SŁUŻEBNOŚCI

PRZYSŁUGUJĄCE WŁOŚCIANOM

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

w obec obowiązujących przepisów z roku 1875.

Służebności przysługujące włościanom na gruntach dworskich, uważane niegdyś za nieodbite dopełnienie dogodności należnych włościanom w zamian za odbywaną przez nich pańszczyznę, oparte zostały na prawnéj podstawie określonéj przez ukaz z r. 1846 i ułożeniu tabel prestacyjnych, od daty zaś uwłaszczenia w r. 1864 przybrały charakter prawa formalnego. Służebności, będąc skutkiem stosunku przymusowego włościanina z posiadaczem większéj własności, który to stosunek pomimo wolności osobistéj włościan przypominał faktycznie pewną formę zależności poddańczéj, przybrały téż nawzajem charakter stosunku przymusowego, jakby poddańczéj wzajemnéj zależności własności większéj od małéj, i są zabytkiem poddańczego prawa. Skoro więc przyznaną została tak z prawnego jak i z ekonomicznego punktu widzenia rzeczy konieczność skasowania przymusu, jako zabytku poddaństwa, oczywistém się staje, że przymus z tych nienormalnych stosunków wynikły powinien być obustronnie zniesiony. Rząd, biorąc na siebie przeprowadzenie reformy włościańskiej i wyzwalając włościan bezwarunkowo nadaniem im prawa własności, upoważnił przez to drugą stronę do oczekiwania na podobnyż współudział w wyzwoleniu własności większéj od nienormalnéj i niemiłéj dla niéj współużywalności. Oczekiwanie to nawet zostało w zupełności uprawnioném, skoro w artykule 12 Najwyższego Ukazu z r. 1864

orzeczono, że służebności mogą być zamienione, na zasadzie dobrowolnéj umowy stron interesowanych, lub też i na jednostronne żądanie większego właściciela, z właściwém i stosownćm wynagrodzeniem strony przeciwnéj, na zasadzie przepisów, które mają być w późniejszym czasie wydane.

W ten sposób ze stanowiska prawnego zniesienie, czyli właściwiéj zamiana służebności postanowioną jest nieodwołalnie, w praktycznym więc biegu rzeczy jest ona tylko kwestyą czasu. Rząd nie uważał za właściwe, kwestyę służebności przeprowadzić prędko, ze względu na ich słabo określony charakter, i potrzebował zostawić sobie czas i swobodę do określenia a następnie i ocenienia tych zawikłanych i niejasnych stosunków. Były już nawet podobno robione w tym rodzaju próby, w r. 1866 co do ułożenia odpowiednich przepisów; zastosowanie ich jednak było uznane za przedwczesne i zostawiano do czasu bieg téj rzeczy na podstawie dobrowolnych umów; umowy te jednak postępowały bardzo twardo i powolnie.

Podług atlasu statystycznego Królestwa Polskiego, ułożonego przez pana Anuczyna, przy zatwierdzeniu tabel likwidacyjnych, służebności zamienione zostały za wynagrodzeniem dla 31.000 osad wł.

Według tegoż atlasu, po zatwierdzeniu tabel, zamieniono służebności na zasadzie dobrowolnéj umowy w	36.519 osadach.
Zamiana zaś służebności z jednoczesną zamianą szachownic była dokonana dla	15.843 „
W ogóle więc uregulowano służebności . .	83.362

Co przy ogólnéj ilości 440.721 osad w majątkach prywatnych stanowi prawie 19% (1).

Jakkolwiek liczby zacytowane tu przez nas sięgają tylko do roku 1874, można wszakże twierdzić prawie na pewno, że od owego czasu kwestya zajmująca nas bardzo mało posunęła się naprzód, do czego powodem były wielorakie przyczyny. Jedną z najważniejszych była ta okoliczność, że przy zachwianiu bytu nie jednéj z większych

(1) Jeden z urzędowych członków kongresu leśnego w Warszawie, były prezes komisyi włościańskiéj P. Bożowski twierdził ustnie, że liczba osad gdzie służebności zostały zamienione stanowi 35% ogólnéj ilości.

własności, skutkiem obdłużenia, paru lat nieurodzajnych i stagnacyi ekonomicznéj, niektórzy właściciele rzucili się do ostatecznych środków ratunku, do wyprzedawania hurtownego lasów lub nawet do parcellacyi. Potrzebując dla przeprowadzenia tych manipulacyj uwolnić za jaką bądź cenę swoje obszary od służebnéj zależności, musieli tę potrzebę wielkiemi okupić ofiarami; oddawali więc często za służebności tyle ziemi ile jéj zażądali włościanie, którzy naturalnie nie zaniedbali z okoliczności korzystać. Przykład ten nie mógł wpłynąć na umiarkowanie żądań okolicznych włościan i odebrał możność zawierania umów tym, którzy, niezmuszeni do ostatecznych kroków, nie mogli poświęcać całéj ekonomicznéj wartości dóbr i odbiérać sobie możności prowadzenia większéj i racyonalnéj kultury.

Rozdanie ziem poduchownych włościanom bezrolnym, niektóre szczegółowe wypadki wynikłe z zatargów między wielką i małą własnością wyrodziły pomiędzy ciemniejszymi pojęcie, że jeszcze późniéj będą rozdawać ziemię, i zachwiały we włościanach ochotę zawierania umów dobrowolnych w przekonaniu, że takowe do dalszych dobrodziejstw rozdawnictwa zagrodzą im drogę.

W ten sposób trudno już dzisiaj rachować na to, żeby umowy dobrowolne mogły skutecznie kwestyą do rozwiązania posunąć, tak że rozwiązania jedynie od interwencyi rządu oczekiwać należy. Ocenienie służebności nawet tam gdzie one są ściśle określone (w wielu miejscach, pomimo wydanych w téj mierze rozporządzeń jeszcze nie są określone) potrzebuje pewnéj znajomości warunków ekonomicznych i technicznych; jeżeli często właściciele więksi nie posiadają potrzebnego do téj czynności przygotowania, tém trudniéj wymagać tego od włościan; to téż w wielu miejscach od rozsądniejszych z nich zdarzało się nam słyszéć, że chętnieby przystali na zamianę, żeby rząd postanowił jakie ma być wynagrodzenie, bo by już się nie lękali, że mogą się oszukać, i byliby pewni czego mogą się spodziewać.

W takiém położeniu rzeczy należy rozpatrzéć: czy owa kwestya czasu co do roztrzygnięcia téj sprawy nie została przez naturalny bieg rzeczy zamkniętą i czy rozwiązanie służebności jest pożądaném dla kraju i całego społeczeństwa.

Że wielka własność czuje się skrępowaną w swym ekonomicznym rozwoju, jest rzeczą naturalną, i pojęcia w téj mierze tak w opinii jak i w prasie są ustalone: nie potrzebujemy więc przytaczać argumentów ze stanowiska wielkiéj własności, jako powszechnie znanych i obficie powtarzanych. Że interesa ekonomiczne kraju cierpią z powodu służebności i że się hamuje ich rozwój, na to

też wiele dowodnych przytaczano argumentów; były też niemniéj wygłoszone argumenty, dowodzące, że służebności nie są użyteczne dla własności małéj. Jednakże wielu ludzi nieinteresowanych bezpośrednio w téj kwestyi a dbających o ogólną pomyślność krajową i przychylnych małéj własności, jako reprezentującéj większość narodu, z nieufnością słuchają tych argumentów, zdają się powątpiewać o ich bezinteresowności i nawet czują obawę, ażeby rzeczywisty interes i dobrobyt małéj własności, a zatém i większéj części kraju, przez zbytni pośpiech i gorliwość nie został na szwank narażonym.

Otóż ze stanowiska takich ludzi bezpośrednio niezainteresowanych, a raczéj przyjaciół i protektorów demokratycznéj w kraju mniejszéj własności ziemskiéj, sprobujemy rozglądnąć się w saméj kwestyi służebności i przypatrzéć się okolicznościom tyczącym się jéj rozwiązania.

I.

Dziwném to może wydać się komu, że uznawszy za dowodne argumenta przeciwko służebnościom w interesie ekonomicznym kraju przytaczane, poddajemy pod krytykę dowody tyczące się interesów małéj własności, tak jakby interes większości mógł się nie zgadzać z interesem ogółu. Zdziwienie rzeczywiście byłoby słuszne, jeśliby interes ogółu wszyscy jednakowo pojmowali.

Na nieszczęście egzystuje w kraju doktryna, wedle któréj najwyższym interesem kraju jest najsilniejsze zwiększenie produkcyi, a że gospodarstwa większe, jako warsztaty przemysłowe rozumniéj urządzone, odznaczają się większą stosunkowo produkcyą, należy więc dążyć do jak największego rozszerzenia tych warsztatów nawet przez aglomeracyą drobniejszych gospodarstw, czyli jedném słowem dążyć do utworzenia latifundiów, które już niejednę ze starożytnych społeczności zgubiły. (Sparta—Rzym—Judea) (1).

---

(1) Głównym reprezentantem téj doktryny jest pan Jan Mittelstedt. Nie brałbyśmy tego objawu na seryo, gdyby, oprócz możliwych zwolenników téj doktryny w praktyce, nie była ona broniona w piśmiennictwie na seryo. Autor trafnego artykułu o służebnościach, p. Antoniewicz prof. Instyt. w Nowéj Aleksandr. (Puławach), drukowanego w czasopiśmie „Trudy Wolnaho Ekonomiczeskaho Obszczestwa", o którym będziemy mówili w dalszym ciągu naszego artykułu, nazywa pana Mitt. polskim ekonomistą. Jedno zaś z pism naszych illustrowanych w sprawozdaniu o kongresie leśnym, jako punkt kulmi-

Otóż najważniejszym sprawdzianem ekonomicznéj doktryny jest, oprócz zabiegliwości o zwiększenie produkcyi, troska o dobry jéj podział, ażeby jak największa masa obywateli kraju mogła tego bogactwa używać. Bez téj troski największym ideałem byłaby społeczność, złożona z samych bogatych kapitalistów i proletaryuszów, z których pierwsi mogliby dostarczać najlepszy warsztat i środki, drudzy zaś zostali nieustającemi maszynami do pomnożenia téj idealnéj produkcyi. Kraj, który względnie mało produkuje a posiada szczęśliwy rozdział choć niewielkich bogactw, może się znajdować w stanie pomyślniejszym od wielu bardzo krajów przemysłowych i bogatych wedle obliczeń statystyki, a opierających swą produkcyą na proletaryacie. Szwecya przedstawia nam wymowny tego dowód.

Wracając do naszéj kwestyi, rozpatrzmy: czém jest służebność dla małéj własności, najprzód jako użytek i potém jako prawo. W tym celu najlepiéj służebność przejrzéć kategorycznie, tj. w porządku jéj naturalnym, a ten jest następujący:

I. Służebność gruntowa, a w tém: a) Pastwisko na wspólnym z dworem paśniku; b) pastwisko na ugorach i ścierniskach dworskich i c) pastwisko na łąkach dworskich po pierwszym pokosie; i II. Służebność leśna, a w tém: d) pastwisko leśne; e) opał; f) budulec; i g) ściółka leśna.

I. a) Nie tylko ludzi obeznanych z gospodarstwem wiejskiém, ale i każdego uważnego przejeżdżającego po kraju podróżnika, rażą szczególniéj w okolicach mniéj żyznych i mniéj ludnych owe obszary czczéj i jałowéj ziemi pokrytéj zwykle drobnym porostem krzaków a najczęściéj jałowcem, przypominające widokiem swém owe niegdyś gaskońskie landy, po których wałęsa się nielepsze, od rzekomego pastwiska, wychudzone i zdrobniałe bydło. Są to ziemie dworskie, zostające pod sekwestrem pastwiskowéj służebności, tak zwane wspólne włościan z dworem pastwiska. Pastwiska te, które nie byłyby nawet w stanie utrzymać przy życiu owego nędznego bydła, gdyby nie przemysł napasania onegoż po miedzach, brzegach dróg, a nawet i innym mniéj dozwolonym sposobem—z biegiem czasu stają się coraz gorsze.

---

nacyjny jego objawów, przytoczyło odczyt pana M.; przeciwnie, Kuryer Warszawski proponował uznać go za niebyły, niektóre zaś inne sprawozdania pominęły go zupełnie, gdyż pod względem formy i treści okazał się nieodpowiednim.

Nędzna trawa wygryzana aż do korzenia przez bydło, a szczególniéj owce, w upały zupełnie wysycha i marnieje, a tymczasem wszechmocny tu jałowiec coraz bardziéj się rozsiadając zagłusza resztę i zabiera co rok więcéj przestrzeni, bo go włościanom, naturalnie, jako na obcéj ziemi, wycinać nie wolno; dwór zaś nie ma chęci ani obowiązku w jakikolwiek sposób ulepszać pastewnik, na który przytém, pomimo służącego mu prawa, najczęściéj nie chce swojego bydła skazywać.

Każdy, nieznający się nawet na gospodarstwie, łatwo pojmie, że taki nieużytek, rozdzielony właściwie między gromadą i dworem i znajdujący bezwarunkowych właścicieli, zaraz zupełnie inną przybierze postać (1). Właściciel, chcący nawet utrzymać pastewnik, z łatwością go ulepszy, skoro po odseparowaniu przeprowadziwszy częściowo uprawę może go obsiać na pastwisko trawami.

b) Prawo pasania na ugorach dworskich, a często nawet i na ścierniskach, przynosi nieobliczone szkody większéj własności, nie dozwalając jéj przyjąć innego, niż egzystujący, systematu uprawy i najczęściéj utrzymując większe gospodarstwo w systemie trzypolowym, przy którym ono obecnie nawet istnieć nie może, uprzywilejowanemu téż bardzo małe korzyście przynosi. Przy gospodarstwie płodozmienném ugor zajmuje bardzo małą przestrzeń, albo i wcale nie egzystuje, przy gospodarstwie trzypolowém racyonalniejszém, gdzie się grunta podorują na zimę i wcześniéj zatém idą pod uprawę, zaraz po wiosennych zasiewach, żadnéj paszy nie daje. Ściernie téż przy starannéj uprawie pozbawione wszelkiéj trawy i następnie zaraz po sprzęcie podorywane bardzo małą i krótkotrwałą korzyść jako pastewniki mogą przynosić.

c) Prawo pasania na łąkach dworskich po pierwszym sprzęcie odbiera możność sprzątania potrawu i, w wielu razach dla kultury łąk i dobrego ich utrzymania, jest wielce szkodliwe; jakkolwiek zapewnia ono dobry stosunkowo pastewnik, jednak dosyć krótkotrwały, przy naumyślnie późno dokonywanym w takich razach sprzęcie, i przychodzący już wtedy gdy włościanie na własnych łąkach i ścierniach mają pastwisko otwarte. Posiadanie na własność odpowiedniéj części téjże łąki dałoby im własny pastewnik, dostarczający paszy przy pierwszym wzroście trawy stosunkowo obfitszéj i otwarty do

---

(1) Prawo z r. 1875 pozwala takie pastwiska rozdzielać między dworem i gromadą, stosunkowo do ilości bydła, do wypędzania którego dwór i gromada mają prawo; o postanowieniu tém niżéj mówić będziemy.

użytku w czasie najtrudniejszym pod względem wiosennego i letniego wyżywienia bydła.

II. W lasach dobrze urządzonych, których eksploatacya i odmładnianie na racyonalnych zasadach są prowadzone, gdzie zagajniki są ochraniane od pastwiska (1) i gdzie, po zaspokojeniu służebności, właścicielowi nie tylko opędzenie własnych potrzeb, ale i odpowiedni dochód na koszta leśnéj kultury są zapewnione, tam służebność, jeśli jest należycie i dokładnie określoną w ekonomicznym względzie, właściwie szkody nie przynosi.

Wyjątek tu chyba może stanowić grabienie ściółki, powszechnie i słusznie poczytywane za bardzo szkodliwe dla lasów. Służebności leśne jakkolwiek i dla uprzywilejowanych mają swoje ujemne strony, bez zaprzeczenia przynoszą im jednak pewne i stałe, chociaż niewielkie korzyści.

Pastwisko leśne, chociaż częstokroć szczególniéj w lasach sosnowych bardzo ubogie, ma jednak tę zaletę, że jest otwarte przez całe trzy pory roku i obszernością w części wynagradza ubóstwo. Zbiórka, dająca wprawdzie materyał opałowy dosyć lichy, zapewnia wszakże choć w części jednę z najdotkliwszych potrzeb ubogiego rolnika, szczególniéj tam gdzie nabycie opału jest nie tylko kosztowne, ale i trudne. Budulec, jakkolwiek w małéj zwykle ilości wydzielany, zawsze jednak przez pożądającego drzewa włościanina bywa dosyć ceniony. W drobném gospodarstwie tyle jest potrzeb na drzewo budulcowe, że zawsze tę parę sztuk właściciel korzystnie użyć potrafi. Widzieliśmy nawet dosyć praktyczny w niektórych wsiach zwyczaj, że gromada drzewo z całéj wsi lub z części oddaje na budowlę najbardziéj potrzebującym, i koléj taka na wszystkich z czasem przychodzi. W ten sposób drzewo ze służebności używa się rzeczywiście z pożytkiem większym, służąc na całkowitą restauracyą jakiéj budowli, gdy rozproszone pomiędzy wszystkich musiałoby iść na użytki podrzędne. Nakoniec najszkodliwsza forma służebności, ściółka leśna, jakkolwiek obok słomy bardzo podrzędną gra rolę, i na téj zasadzie za mało znaczącą chcą ją poczytywać, gdy jednak jest w użyciu szczególniéj w okolicach posiadających grunta ubogie, ważnym jest dla małego rolnika surogatem podściołu, jeśli przy nieurodzajności gruntu mało takowego posiadają włościanie. To też zwykle są oni najakuratniejsi w wybieraniu przyznanéj sobie ściółki, kiedy zbiórki najczęściéj oznaczonéj liczby fur nie wybierają, żałując

(1) Stosownie do przepisów o urządzeniu lasów obciążonych służebnościami z r. 1875.

czasu na jeżdżenie do lasu, dobrze już przez ciągłe zbieranie oczyszczonego.

Otóż tę stratę czasu na uzbieranie mało cennego materyału uważają za stronę ujemną służebności opałowéj; jest to prawdą względną, wtedy, kiedy włościanin każdy dzień swéj pracy może z pożytkiem spieniężyć i, w dodatku, ma możność nabycia za ów grosz zarobiony lepszego opałowego materyału. Główną jednak ujemną stronę dla uprzywilejowanych, w lasach dobrze urządzonych, z postępem czasu stanowić będzie stopniowe zmniejszanie się i nakoniec zupełne zniknienie leśnego pastwiska.

Jeżeli takowe ma jeszcze jakąś wartość w drzewostanach starych, z naturalnego obsiewu źle lub średnio zwartych, to już we wszystkich zagajnikach obsiewanych lub sadzonych po wyjściu ich ze stanu ochrony, drzewostany są zwykle tak mocno zwarte, że już żadna trawa pod niemi rość nie może. Z czasem więc w takich lasach, jakeśmy to nadmienili, żadnego nie będzie możliwego pastwiska.

W takim stanie rzeczy, właściciele takich lasów, nawet w razie wydania prawa o zamianie służebności, nie mają najmniejszego interesu żądać rozwiązania tychże, bo by przez to uszczuplili sobie terytoryum leśne, zrobili zamieszanie w planie leśnego gospodarstwa i dochód z lasu uszczuplili. I to wszystko, ażeby się pozbyć: *pastwiska* nieszkodliwego a dla nich nieużytecznego, które samo z czasem musi ustać; *zbiórki*, która jeśli jest wykonywana bez ostrych narzędzi służy tylko do oczyszczenia lasu i wydania pewnéj ilości *cienkiego budulcu*, jakiego już nawet nie z poręby, ale tylko z 40 letnich zagajów z czasem będą mogli dostarczyć, skoro przy odmładnianiu lasu w drodze ręcznéj kultury, racyonalna i peryodyczna trzebież zagajników i starszych zagajów musi być wprowadzoną (1).

Mówiliśmy dotąd o lasach dobrze urządzonych; zobaczmy teraz jaki będzie stosunek służebnościowy w lasach całkowicie, lub częściowo zniszczonych przy braku wszelkiego gospodarstwa i niszczącéj rabunkowéj exploatacyi. W takich lasach uprzywilejowani mają

---

(1) Po objaśnienie szczegółowe téj bardzo ważnéj gałęzi gospodarstwa leśnego, odsélamy czytelnika do bardzo cennéj pracy pana Benedykta Aleksandrowicza pod tytułem: „O trzebieży i znaczeniu jéj w gospodarstwie leśném.“ Ztamtąd można się przekonać, do jakich rezultatów prowadzi racyonalna kultura ze sztucznym obsiewem, która, wywołując potrzebę peryodycznéj trzebieży, daje exploatacyą ciągłą na 10-éj części leśnéj przestrzeni i doprowadza dochód leśny do téj skali, do któréj natężone rolnictwo nawet przy dobréj ziemi doprowadzić nie jest w stanie.

do czasu wielką łatwość korzystania ze służących im przywilejów. Przy znacznêm i nieporządnêm przerzedzaniu lasu pastwisko jest bezporównania obfitsze; przy nieporządnêm rabunkowêm rąbaniu wielka obfitość leżaniny i odpadków leśnych ułatwia niezmiernie zbiórkę; małe i nędzne podrośle uszkodzone przez bydło mogą być łatwo niszczone i wyrywane bez pozostawienia w takim lesie widocznych śladów zrobionéj szkody i w ogóle wszelki brak kontroli, jako towarzysz niedbałości, ułatwia obydwóm stronom nieoględne używanie. Lecz korzyści ze służebności w takich warunkach są tylko czasowe; las bez możności odmładniania wyczerpie się zupełnie a chrusty i nędzne krzaki z czasem utrudnią nawet pastwisko.

Wszystkie przepisy o przymusowêm nawet urządzeniu tego lasu (jak przepis z r. 1875) okażą się bezsilnemi. Urządzenie takiego lasu pociągnie za sobą koszta, trudne do poniesienia przy braku wszelkiéj korzyści, a będzie ono tylko pozornêm i na prawdę nie możliwêm, dopóki służebność, szczególniéj pastwiskowa, będzie na nim ciążyła. Przy zabronieniu pastwiska na $\frac{1}{6}$ części tylko, jak to chce mieć przepis dla zagajników, taki las mógłby się tylko odmłodzić w ciągu lat całéj kolei rębów, a więc przy 80 letniéj kolei, w lat 80; byłoby więc całkiem niepraktycznie protegować przez tak długi przeciąg czasu, więcéj niż wiek człowieka stanowiący, rzecz zupełnie nieużyteczną. Odmłodzenie takiego lasu może nastąpić jedynie przy oczyszczaniu na większych przestrzeniach jasnych rębów, z uprzątnięciem wszelkiego lichego porostu i z pozostawieniem choćby nasienników, jeśli się takowe jeszcze znajdą, a jeszcze lepiéj i drzew ochronnych czyli podcienników, jeśli zniszczenie lasu zbyt daleko nie jest posuniętém. W takim lesie pastwisko bezwarunkowo powinno być wzbronione.

Widzimy przeto, że w omówionym przypadku, oba względy, to jest możliwy upadek służebności i nieprodukcyjny ekonomicznie stan przestrzeni leśnéj, związane razem, wskazują potrzebę rozwiązania tego wadliwego stosunku.

To są szczególne widoki i względy, tyczące się stosunku służebności; obok tego istnieją inne, więcéj ogólnéj natury.

Nie ulega wątpliwości, że drobna własność uprzywilejowana dąży szczególniéj od niejakiego czasu do rozdrobnienia przez podział pomiędzy członków rodziny. Służebność z saméj natury swojéj i z prawa musi być określoną i ściśle ograniczoną, co jeśli nie wszędzie nastąpiło, to stosownie do obowiązujących przepisów niezawodnie musi nastąpić. Otóż przy rozdziale własności, gdy potrzeby wzrastają, prawa ograniczonych używalności dzieląc się na części coraz mniejszą ilość potrzeb mogą zaspakajać, tak że np. z całéj ilości

bydła wiejskiego część tylko będzie mogła korzystać ze służebności pastwiska. Zdarza się nawet, że służebność bardzo rozdrobniona, gdy małorolni włościanie zajęci są wyrobkiem już nieodbitym dla ich utrzymania, upada zupełnie, skoro uprzywilejowany żałuje czasu dla sięgania po drobnostkę, któréj wydobycie nie opłaca mu tego czasu. Przykład taki znajdujemy we Francyi, gdzie parcellacya bardzo daleko posunięta doprowadziła w wielu miejscach do zupełnego zaniechania serwitutów.

Drugą z kolei wadą przywileju służebności jest, że nie zamyka on w ścisłéj granicy własnéj działalności uprzywilejowanego, który, spuszczając się na użytki niekosztujące własnéj inteligencyi i przemysłu, uczy się nie stosować tych dźwigni do bezpośredniéj swéj własności; to téż najczęściéj dzięki swym przywilejom włościanie nie uprawiają (chyba wyjątkowo) roślin pastewnych, wycieńczając rolę ciągłym i bezugorowym obsiewem roślin kłosowych i okopowych, zkąd oprócz braku dobréj i pożywnéj paszy mniejszy mają urodzaj przy większym stosunkowo obsiewie. Stan apatyczny i na ogół niepostępowy drobnych gospodarstw włościańskich często jest skutkiem braku dobrego przykładu i zachęty. Ani jedno, ani drugie przy trwaniu stosunku służebności nie może mieć miejsca.

Przykład nie może być doskonałym, gdy większe gospodarstwa z powodu służebności nie mogą stanąć na téj stopie, na jakiéj w miarę postępu nauki rolnictwa i wymagań ekonomicznych staćby powinny. Zachęta téż przez wyższych oświatą jest prawie niemożliwą, skoro z powodu zajść o służebności nie tylko nie ma harmonii, ale najczęściéj silny antagonizm panuje pomiędzy dwiema głównemi klasami wiejskiéj ludności kraju. Jaki udział klasa oświeceńsza bierze w zachęcaniu drobnych rolników do postępu i ulepszeń, znajdziemy przykład w Galicyi i Poznaniu, gdzie już dawno ów powód dysharmonii społecznéj nie istnieje.

Na ostatek wiadomą jest rzeczą, że przy rozdrabnianiu się gospodarstw małych wytwarza się zwykle klasa coraz zamożniejsza jakby wiejskiéj arystokracyi, która wszystkie swoje oszczędności nie inaczéj umie i pragnie jak tylko na ziemi lokować. W takiém położeniu rzeczy niezmiernie jest ona chciwą do kupowania ziemi, zkąd wiele większych własności parcellacyjnie mogłoby być z korzyścią rozprzedane, lub umniejszone do normy możliwéj egzystencyi. Służebności stanowczo stają na przeszkodzie téj dążności, gdyż włościanie pod żadnym warunkiem ziemi obciążonéj służebnością kupować nie chcą. Przy *zapotrzebowaniu* więc ziemi ze strony drobnych właścicieli i przy braku odpowiedniego *dostarczenia* takowéj, muszą oni obracać się w zaklętém kółku; bawić się lichwą pomiędzy swoimi

współbraćmi i później aglomerować obdłużone ich cząstki, wytwarzając w ten sposób większe włościańskie posiadłości, jakby latifundia wioskowe, obok rozparcellowania innych i doprowadzenia ich do stanu małorolnych wyrobników.

Rozpatrzywszy znaczenie służebności ze stanowiska użytku jaki uprzywilejowanym przynosi, zobaczmy jakie ona ma dla nich znaczenie jako prawo.

Otóż prawo do służebności zapewnia im w razie rozwiązania takowéj, czy to w drodze dobrowolnych umów, czy to z urzędu, wynagrodzenie za zniesioną służebność w odpowiedniéj ilości gruntu, którego dochód równać się powinien korzyściom, jakie ze służebności mogą osiągnąć.

Jeśliby wynagrodzenie to mogło choć częściowo odbywać się w pieniądzach, byłby to warunek dla małéj własności niekorzystny a nawet niebezpieczny. Znakomity ekonomista niemiecki Roscher, w rozdziale o gospodarstwie leśném, powiada: (1) „Spłata deputatów mogłaby być przyjemną dla właściciela lasu, gdyż ułatwiłaby jego rachunkowość; ale bardzo niebezpieczną jest dla małych posiadaczów służebności, którzy spłacony kapitał łatwo utracić mogą, a potrzeba drzewa istnieje dla nich ciągle.“

Niebezpieczeństwo podobnéj straty kapitału nie istnieje, skoro, jak wyżéj powiedziano, wynagrodzenie nie inne być może jak tylko gruntowe. Wynagrodzenie to z konieczności rozszerzy obszar drobnych posiadłości, a to rozszerzenie w Królestwie Polskiém jest bardzo potrzebne.

Wiadomo, że skutkiem zbiegu rozmaitych okoliczności, a szczególniéj w skutek podniesienia się ceny ziemi, obdłużenia hypotecznego większéj własności i zubożenia włościan skutkiem rozmaitych przewrotów i wypadków, obszar włościańskich posiadłości znacznemu uległ zmniejszeniu, tak że dzisiaj duże włościańskie, prawdziwie kmiece gospodarstwa są tylko bardzo rzadkim wyjątkiem.

Podług statystycznego atlasu pana Anuczyna, po uregulowaniu kwestyi włościańskiéj, na osadę włościańską wypada średnio po 12 morgów gruntu. Do tego obliczenia p. Anuczyn włączył wszystkie osady mało miasteczkowe, które, jak wiadomo, są bardziéj małorolne; otóż za wyłączeniem mieszczan rolników, uposażenie włościan

(1) Nauka ekonomii rolnictwa p. Wilhelma Roschera, tłómaczenie Kupineńskiego. Warszawa, 1861 r. str. 559.

wieśniaków w dobrach prywatnych, instytutowych i rządowych wypada przeciętnie większe, a mianowicie wynosi średnio na osadę po morg. 13,4.

Z podziału własności ziemskiéj w roku 1868, podług obliczeń ministeryum skarbu, wykazanego u pana Załęskiego w statystyce porównawczéj Królestwa Polskiego, tablica Nr. 33, dają się wyprowadzić następne średnie cyfry uposażenia włościan wieśniaków (z wyłączeniem mieszczan rolników) dla każdéj gubernii osobno, oraz procentowy stosunek tegoż uposażenia do ogółu gruntów większych i mniejszych posiadłości odpowiedniéj gubernii.

NAZWA GUBERNII	Średnia ilość ziemi na osadę włościanina	Procent. stos. grunt. włośc. do łącznego obszaru większych i włośc. posiadłości
Gubernia Warszawska	13 m.	37%
„ Kaliska	10¼ „	36%
„ Piotrkowska	12,9 „	44%
„ Radomska	13,4 „	40%
„ Kielecka	10 „	41%
„ Lubelska	15,9 „	39%
„ Siedlecka	18,5 „	37%
„ Płocka	10,9 „	20,9%
„ Łomżyńska	14 „	32,8%
„ Augustowska v. Suwalska .	23,3 „	68,8%
W ogóle przeciętnie . .	14 m.	40,3%

Uwaga I. Powyżéj jak widać wyprowadziliśmy średnią cyfrę 13,4 morg. mniejszą od obecnéj o 0,6 m. na osadę, różnica pochodzi ztąd, że gdy obecnie liczy się osad włościańskich podług p. Anuczyna, oprócz mieszczan rolników, ... 600.809

w r. 1868 min. skarbu liczyło tylko . . . 514.113

Zatém jak widać do r. 1874 przybyło . . 86.696;

a że przybyli wyjątkowo sami tylko włościanie małorolni z kategoryi komorników lub chałupników, przeto zaliczenie ich do ogólnéj cyfry musiało zmniejszyć przeciętną wielkość włościańskiego uposażenia.

Uwaga 2. W artykule o wielkiéj i małéj własności ziemsk. w Król. Polsk. („Aten." Wrzesień 1877 r.) procentowy stosunek małéj własności do ogółu obu gatunków własności, obliczyliśmy na 46,19% kiedy z przytoczonéj tabelki stosunek podobny obliczony 40,3%; omyłki w tém jednak nie ma żadnéj, skoro do obecnego rachunku wzięta jest tylko mała własność włościańska, do uprzedniego zaś weszły także grunta mieszczan rolników i wszystkich małych właścicieli nie włościan (szlachta zagrodowa).

Z powyższéj tabelki okazuje się, że w ośmiu guberniach, za wyłączeniem Płockiéj i Augustowskiéj, obszar gruntów włościańskich jest dosyć proporcyonalny do ilości gruntów w ogóle i do ich urodzajności. W dziewięciu, za wyłączeniem Augustowskiéj, jest ogólnie mały, w téj ostatniéj zaś odznacza się nie tylko stosunkowo daleko większą obszernością przy bardzo urodzajnym w dodatku gruncie, lecz i wysokim bardzo procentem (68,8%) w stosunku do ogółu użytecznéj ziemi. To szczególne zjawisko daje się tłómaczyć zachowaniem dawnego żmudzkiego patryarchalnego stosunku, który powstrzymał powiew lekkomyślności, spekulacyi i handlu majątkami w ostatnich czasach i trudnym dla nowych przybyszów stosunkiem z włościanami mówiącemi wyłącznie litewskim językiem; ta trudność wstrzymała zapewne napływ niemieckich i miejskich spekulantów, którzy bez wątpienia dali pierwszy spekulacyjny przykład regulowania i uszczuplania włościańskich osad. To też dobrobyt włościan Żmudzkich w gubernii Augustowskiéj jest uderzający.

Nadmieniliśmy wyżéj, że służebność, jako prawo, daje przy jego rozwiązaniu możność powiększenia włościańskich posiadłości. Obecnie chociaż z nielicznych jeszcze stosunkowo danych, możemy jednak obliczyć przypuszczalnie ilość tego powiększenia, jeśli kwestya służebności zostanie uregulowaną ostatecznie.

Według atlasu statystycznego pana Anuczyna, uregulowano kwestyą służebności przy zatwierdzeniu tabel likwidacyjnych dla 31.000 osad włościańskich. A że ogólnie, podług tegoż atlasu, osad włościańskich w dobr. prywatn. i miasteczkach jest 534.659

Za potrąceniem więc owych 31.000

Pozostawało do uregul. 503.659 (1)

(1) W dobrach rządowych, prawie wszędzie służebności są zniesione.

Z przeniesienia	503.659
potrącając połowę liczby osad miejskich (przypuszczalnie na miasta rządowe, niemające służebności)	46.969
Pozostanie rzeczywiście do uregulowania osad	456.690

Z téj ilości do roku 1874, według tegoż autora, nastąpiło umów dobrowolnych:

o zamianę służebności dla	36.519	osad
o zniesienie szachownic i służeb. jednocześnie	15.843	—
Razem w . . .	52.326	osadach.

Jako wynagrodzenie, otrzymali ci włościanie 147.834 morg. i 269 prętów w gruntach i lasach, co przeciętnie na jednę osadę wynosi 2 mor. 246 prętów, przy średniéj zaś wielkości uczątsku—po 12 morg., czyli 23,3% tegoż uczątku.

Sprawdzenie tego rachunku możemy jeszcze z innego źrodła wyprowadzić. Pan Ludwik Górski w swojéj broszurze „o dobrowolnych umowach z włościanami w celu zniesienia służebności" podał, z wiadomości zebranych przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, wykazy dobrowolnych umów o zniesienie służebności do końca roku 1874 dla trzech gubernij: Kieleckiéj, Augustowskiéj i Radomskiéj. Z nich najkompletniejszy jest wykaz z gub. Radomskiéj, jako zawierający, oprócz ilości gruntów oddanych za służebność, jeszcze i ilość gruntów pierwotnie posiadanych przez włościan. Według tego ostatniego wykazu, w gubernii Radomskiéj uregulowano służebności dla 5.003 osad, posiadających 58.363 morg. z wynagrodzeniem 14.991 morg. gruntu i lasów, co wynosi na osadę po 2 mor. 298 pr. i stanowi 25% ich pierwotnego posiadania; cyfry dla oddzielnéj gubernii wzięte, jak widzimy, bardzo zbliżone są do cyfr wyprowadzonych z bardziéj ogólnych danych. Uregulowanie to 5.003 osad, pierwotne ich uczątski 11 mor. 199 pr. na osadę (również bardzo zbliżone do przeciętnéj na Królestwo cyfry 12 m.) podniosło do 14 morg. i 198 prętów.

Dla wyprowadzenia prawdopodobieństwa rachunku możliwego powiększenia małéj własności przez uregulowanie służebności, weźmiemy z powyższych dwóch przykładów mniejszy procentowy stosunek wynagrodzenia do pierwotnie posiadanych gruntów i zredukujemy go jeszcze do prostéj cyfry 23 bez ułamku.

Przy oznaczonéj powyżéj liczbie osad, w których służebność po zatwierdzeniu tabel likwidacyjnych pozostała do uregulowania w liczbie 456.690, biorąc przeciętną przestrzeń uczątków po 12 morgów, ogólne ich uposażenie wyniesie 5.480.280 morgów, wynagrodzenie zaś za służebności, podług wyżéj przyjętéj normy 23% tegoż uposa.

żenia, wyniesie 1.260.464 morgów, czyli że o tę ilość powiększy się ogólna cyfra ziemi będącéj w posiadaniu małéj własności.

Jeżeli przypomnimy obok tego, że włościanie do r. 1874, według p. Anuczyna, nabyli gruntów dworskich 214.920 morg. i że w posiadaniu małéj własności niewłościańskiéj, podług zrobionego przez nas obliczenia w artykule o wielkiéj i małéj własności, zostaje 436.219 morgów, mamy możność ze wszystkich powyższych danych obliczyć i ogólną posiadłość małéj własności, jaka się przedstawi po przypuszczalném rozwiązaniu kwestyi służebności. Uposażenie włościan weźmiemy podług danych pana Anuczyna jako najpóźniejszych pod względem daty.

Własność włoś. prywat. instyt. i majorat. na	440.721 os.	5.561.931 morg.
„ rządow. „ „	160.088 „	2.506.382 „
„ mieszczan roln. „	93.938 „	629 821 „
Przyrost posiadł. włość. jak wyżéj z wynagrodzenia za służebności	„	1.260.464 „
Kupione przez włościan grunta „	„	214.920 „
Ogół własności włość. i mieszcz.		10.173.518 „
Do tego w posiadaniu małéj włas. niewłościańskiéj		436 219 „
Ogół posiadania małych własn.		10.609.737 „

W posiadaniu wielkiéj własności po przeprowadzeniu uwłaszczenia było podług obliczenia naszego w powyż. cytow. art. 10.101.641 morg.

Z tego posiadania odchodzi:

Przypuszczal. wynagrodz. za służebności	1.260.464 m.	
sprzedanych włościanom dobrowolnie	214.920 —	1.475.384 m.
W posiadaniu wielkiéj własn. pozostanie		8.626.257 m.
„ małéj własn. jak wyżéj		10.609.737 „
Ogół posiadania obu rodz. własn.		19.235.994 „

Czyli że wielka własność posiadać będzie 45%, mała zaś—55% ogólnéj ilości ziemi. Gdy zaś stosunek ten po uwłaszczeniu podług obliczenia naszego w powyżéj cytowanym artykule wyrażał się w cyfrach 53.81% i 46.19%, może więc on po przypuszczalném rozwiązaniu służebności stać się więcéj niż odwrotnym i zbliżyć się przez to bardzo do stosunków Galicyjskich, gdzie wielka włas. pos. 42% mała zaś 58%.

W innych ościennych z nami krajach stosunki te wyrażają się w następnych cyfrach.

W Księstwie Poznańskiem	wielka	włas.	55%,	mała—45%
w Prusach	„	„	29%,	„ —71%
w Szląsku	„	„	51%,	„ —49%

Ze wszystkich powyższych prowincyj, w Prusach stan włościan najwyżéj stoi pod względem dobrobytu, moralności i oświaty.

Zatém, jak widzieliśmy, rozwiązanie służebności może i powinno doprowadzić do znacznego rozszerzenia zakresu małéj własności. To rozszerzenie podstawy bytu właściciela przy jéj zaokrągleniu i zupełności praw posiadania powinno okazać wpływ zbawienny tak materyalny jak i moralny. Stan włościański, jak i każdy inny swobodny, musi się rozszerzać, zdobywać dobrobyt i choć częściowo przez oszczędność gromadzić środki, których ujście w którąkolwiek stronę jest nieodzownem. Włościanin nie umie i nie chce wyjść ze swojéj zwykłéj sfery działalności, a więc potrzebuje rozszerzać się na gruncie.

Cały ten stan, zamknięty w granicach uprzywilejowanych gruntów i oddzielany murem chińskim służebności od większéj własności, musi, obracając się w zaczarowaném kółku, sam siebie przetrawiać; obalenie tego muru da mu więcéj przestworu i pozwoli, przez częściową choćby parcellacyą zbytecznych dworskich obszarów, wytworzyć na nowo owe prawdziwe kmiece gospodarstwa, które ekonomiści nazywają średniemi. „Połączenie wielkich, średnich i małych dóbr“, powiada Roscher (T. 11 str. 148 i 9), „w którém średnie przeważają jest najzbawienniejszym stosunkiem, pod względem narodowym i ekonomicznym. Na dobrach średnich spoczywa właściwy stan włościański; te korzenie narodu to główne źródło jego militarnéj siły. Tylko tam, gdzie takie dobra przeważają, zdaje się być możebném życie wspólne z nieocenionemi swemi błogosławieństwy.“

Pomimo jednak korzyści tak różnostronnych i widocznych z rozwiązania jednéj z trudniejszych kwestyj społecznych, są rzekome naukowe powagi, które wręcz przeciwne z tego chcą przewidywać skutki. Jeden z urzędowych członków kongresu leśnego w Warszawie cytował długie ustępy z broszury pana Symonenki (1), w których uczony statystyk, upatrując w liczbach statystycznych przewagę bogactw i produkcyi po stronie Królestwa Polskiego w stosunku do pobratymczych nam prowincyj, Galicyi i Poznania, i jednocześnie konstatując fakt egzystencyi u nas służebności w obec skasowania tychże we spomnionych ościennych prowincyach, chce widzieć w służe-

(1) Profesor statystyki w Uniwersytecie Warszawskim, który wydrukował swój odczyt o porównawczym stanie Królestwa Polskiego do Galicyi i Poznania.

bnościach jeden z czynników owéj statystycznéj przewagi naszego kraju.

Otóż nam się zdaje, że tu jest omyłka. Cyfry statystyczne są wybornym drogoskazem, lecz wtedy gdy są oświecone jasném ich pojmowaniem. Wszelka fantasmagorya zaś myli i na manowce prowadzi. Egzystencya dwóch równolegle istniejących obok siebie faktów jeszcze nie pozwola wiązać ich z sobą węzłem wzajemnéj przyczynowości.

Sąsiedzi i współrodacy nasi, parci z jednéj strony przewagą cywilizacyi przemysłowéj z drugiéj strony przyparci do muru oddzielającéj ich od nas granicy muszą się obracać w zacieśnioném kółku pod wpływem przeważnéj i trudnéj dla nich konkurencyi, kiedy my, dzięki téjże granicy, cłom ochronnym w złocie, niskiemu stanowi waluty rosyjskiéj na rynkach zagranicznych i stosunkowéj przewadze naszego przemysłu nad większą częścią miejscowości cesarstwa, mamy na całéj jego przestrzeni otwarty rynek olbrzymi.

To téż fabryki nasze, równie jak i wszelkie rękodzielnicze warsztaty, z trudnością mogą wystarczyć potrzebowaniu. Ruch w tych nie wielu centrach fabrycznych i przemysłowych jest ogromny, tak że Bank Polski stopę procentu dla otwartych kredytów na 5½ od sta obniża. Lecz czy kraj przeważnie, przynajmniéj co do ilości rąk zatrudnionych, rolniczy partycypuje w téj złotéj powodzi spływającéj na bogatych przemysłowców bankierów, handlarzy i przedsiębiorców kolejowych w znacznéj części cudzoziemców? Tu znowu staje przed nami owa rdzenna kwestya bytowa podziału bogactw, a rozwiązanie jéj stanowczo odpowiada—bynajmniéj. Do téj uczty bogaczów i uprzywilejowanych nie wszystkim droga otwarta. Własność większa obdłużona, zubożała, narzekająca na brak kapitału obrotowego i zaciśnięta służebnościami, własność zaś mała w tymże zaczarowaném kole zamknięta. Włościanie nie odznaczają się ani szczególnym i uderzającym dobrobytem, ani oświatą, ani postępem w gospodarstwie; w wielu miejscach zadłużeni siedzą w rękach lichwiarzy, jeśli nie żydowskich, to wyrosłych z ich własnych współbraci.

II.

Zaznaczyliśmy wyżéj, iż władza prawodąwcza, rozwiązując doraźnie kwestyą włościańską, dotyczącą uwłaszczenia i indemnizacyi, nie uważała za właściwe rozwiązywać ostatecznie zawiłéj i niedającéj się na razie ściśle obliczyć kwestyi służebności; wyraziwszy więc w zasadzie obowiązkowe jéj niejako rozwiązanie w przyszłości, pozostawiła czasowi dokładniejsze jéj wyświetlenie. Od owego czasu upłynęło już lat 14. Zobaczmyż o ile przez ten czas kwestya rozjaśnianą została, najprzód w prasie jako przedstawicielce opinii publicznéj, do któréj należało wskazać możliwe drogi postępowania, i powtóre w odnośnych do téj kwestyi rozporządzeniach rządowych.

Prasa od niedawnego tylko czasu zaczęła się otwarciéj w téj kwestyi wypowiadać; różne prawdopodobnie do tego były powody. Niewiele téż mamy, w tym kierunku, prac bardziéj poważnych. Z odznaczających się tak przedmiotowym poglądem, spokojnością sądu jak i *bezpośrednią* znajomością rzeczy, możemy zacytować w chronologicznym porządku: Pracę pana Edwarda Wojzbuna naczelnika sekcyi leśnéj w Zarządzie finansów „O służebnościach leśnych“, wydaną w r. 1869 nakładem Redakcyi Gazety rolniczéj.

Broszurę Pana Ludwika Górskiego obyw. ziems. pod tytułem: „O dobrowolnych umowach właścicieli folwarcznych z włościanami w celu zniesienia służebności pastwiskowych i leśnych w Król. Pols. Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj w r. 1876, nakładem Gebethnera i Wolfa.

Artykuł pana Antonowicza, profesora szkoły rolniczo-leśnéj w Nowéj-Alexandryi (Puławach), „O służebnościach gospodarczych w kraju nadwiślańskim“ (Sielsko-choziajstwiennyje serwituty w priwislanskom kraje), drukowany w Petersburgskiém czasopiśmie: „Prace Cesarskiego Wolno-ekonomicznego Towarzystwa“ (Trudy Imperatorskaho Wolnaho ekonomiczeskaho obszczestwa); i nakoniec referat pana Krasuskiego, docenta w tymże instytucie, przygotowany dla 4-go zjazdu leśników w Warszawie „o gospodarstwie leśném w Królestwie w związku z włościańskimi służebnościami,“ drukowany w zbiorze referatów wydanych przez Towarzystwo leśne w Petersburgu i podany w tłómaczeniu przez wszystkie pisma warszawskie, znany zaś szerszemu kołu publiczności z rozpraw o służebnościach jakie wywołał na kongresie leśnym w Warszawie.

Praca pana Wojzbuna, oprócz wielu innych zalet, ma przedewszystkiém tę zasługę, że jest najpierwszą; że otworzyła kwestyą zupełnie ciemną, wyjaśniła prawną stronę, znaczenie, pochodzenie

służebności w ogóle i ich klasyfikacyą i dała wyobrażenie o pedantycznie nawet dokładnéj możności uporządkowania chaotycznego i niepokojącego stosunku.

Celem książki jest przedewszystkiém nie interes któréjkolwiek ze stron zaangażowanych w kwestyi, ale sprawa egzystencyi lasów ze stanowiska ogólno-krajowego interesu. Środkiem do tego celu jest, albo rozwiązanie służebności za pomocą słusznego wynagrodzenia strony uprzywilejowanéj, albo urządzenie i takie słuszne oraz stanowcze uregulowanie służebności, ażeby one nie były rabunkiem lub exploatacyą, lecz żeby były racyonalném cząstkowém użyciem, w postaci jakby ściśle określonych deputatów. Drogą do tego wskazaną przez pana Wojzbuna jest dobrowolna ugoda, jako jedyna na te czasy (r. 1869) kiedy p. Wojzbun kwestyą otwiérał. Śmiało powiedziéć możemy otwiérał, bo jakkolwiek były już próby układów o zamianę służebności, a nawet i same układy, ale zawierały się one instynktowo, bez żadnego rachunku, który zastępowała obustronna intuicya. P. Wojzbun pierwszy u nas podał i wykazał sposoby obrachowania wartości tak saméj służebności, jak i tego czém się ona ma wynagradzać. Przy takiém położeniu rzeczy, widząc przed sobą jedyną drogę dobrowolnych umów, pan W. jest nawet ich stronnikiem z zasady. „Ugoda dobrowolna“, powiada (str. 15), „do zniesienia niekorzystnych stosunków jest lepszą od każdego przymusowego zerwania tychże stosunków, dla tego, że każdy interesowany lepiéj zna co mu jest potrzebném i pożądaném, niż kto inny, który częstokroć miejscowych stosunków znajomości miéć nie może; że oznaczenie wartości do wynagrodzenia przypadającéj, najsprawiedliwiéj przez ugodę dobrowolną może nastąpić; że dobrowolny układ więcéj zaspakaja obie strony niż przymusowy, a nadewszystko, że przez takowy dobrowolny układ oszczędzają się koszta.“ Prawda ta jak zawsze tak i dzisiaj pozostaje niezawodną, lecz są wypadki, które, gdy najlepsza droga staje się nieprzebytą, zmuszają do przeprowadzenia innéj, któraby doprowadziła do ostatecznego celu podróży.

Przedmiotowość i wszechstronność poglądu na kwestyą u Pana Wojzbuna zarysowuje się odrazu w postawieniu zasad do zniesienia służebności, które polegają na:

1. „Oznaczeniu rozciągłości prawa służebności.“

2. „Oznaczeniu dochodu, jaki to prawo w téj rozciągłości wykonywane daje lub dać może.“

3. „Oznaczeniu sposobu w jaki wynagrodzenie za zniesienie służebności nastąpić powinno, aby temu co to prawo posiadał, *zape-*

wnić takiż sam i równie odpowiedni *dochód*, do zaspokojenia jego potrzeb, które ze swego prawa wprzód zaspakajał.“

Wartość wielka dziełka pana Wojzbuna jest przedewszystkiém technicznéj natury. Autor nie ogranicza się wystawieniem ogólnikowego prawidła, że gdy masa drzewna pobierana przez uprzywilejowanych jest wiadomą, należy obliczyć jéj wartość na piéniądze i takowy dochód kapitalizować, gdy zaś jest wiadomą ilość i rodzaj bydła paść się mogącego, pomnożyć takową przez cenę pastwiska jednéj sztuki i iloczyn podnieść do kapitału, w obu razach oddając ten kapitał uprzywilejowanym w ziemi; owszem bierze on do obrobienia najtrudniejsze przykłady, gdzie służebność jest największa a przytém najbardziéj nieokreślona.

Cyfry podstawowe do wszystkich tych obrachowań nie są bynajmniéj użyte dowolnie; w długoletniéj praktyce rządowo-leśnéj w Królestwie Polskiém wyrobiły się teoretyczno-praktyczne zasady, do wszelkich obrachowań ilości materyałów drzewnych, stosownie do różnego rodzaju potrzeb; dają więc one dzisiaj gotowy materyał do rachunków. Na téj podstawie oblicza autor całą np. potrzebę budulcu na obudowanie osady włościańskiéj i coroczny kontyngens tegoż do reperacyi; daje to możność wyrachowania kapitału wynagrodzenia, określa ilość opału nieoznaczonego, podług rzeczywistych potrzeb osadnika obrachowanych w stosunku do obszerności jego gospodarstwa, oraz oznacza tę część służebności pastwiskowéj, która za wyłączeniem pastewnika polnego przypadnie na udział lasu. Wykazawszy sposoby obliczenia wartości rozmaitych służebności w kapitale, p. W. daje przykład, wzięty z natury, na wynagrodzenie za tak obliczony kapitał, kawałem lasu urządzonym racyonalnie, z gospodarstwem wysokopienném. W kolei 80 letniéj, albowiem wysokość wynagrodzenia w danym razie morg. 1.440 pr. 76 pozwalała na zastrzeżenie racyonalnego zachowania lasu, i załącza nie tylko całkowity projekt takiego przyszłego gospodarstwa w lesie już włościańskim, ale i plan geometryczny całego urządzenia.

Nie możemy wchodzić w rozbiór szczegółów tych obrachunków, bobyśmy wkroczyli w granice techniki, która nie jest celem niniejszego artykułu; możemy tylko, jako dowód sumienności téj pracy, przytoczyć tę okoliczność, że pan W., po obliczeniu skrupulatném wszystkich możliwych dochodów z części lasów odstępowanych uprzywilejowanym, obliczył in minus możliwe wydatki na dozór lasów, na uprawy i na wszelkie nadzwyczajne wydatki.

Pozwalamy sobie zacytować niektóre ogólniejszego znaczenia cyfry podstawowe, przyjęte przez pana Wojzbuna do pewnych obli-

czeń, które dla ogółu są bardziéj przystępne i większe praktyczne posiadają znaczenie.

Pod względem pastwiska jako zasadę kładzie p. W., że w lasach wysokopiennych młodzież w średniém przecięciu do lat 20 ochranianą być winna od paszy, następnie w kolei 120 letniéj $1/6$ część, w 100 letniéj $1/5$ część, w 80 letn. $1/4$ część, a w 60 letn. $1/3$ część będzie w zagajeniu a tém samém i w wyłączeniu od pastwiska.

W lasach niskopiennych, częstokroć więcéj niż połowę całéj powierzchni obrębu wypada utrzymywać w zagajeniu. W kolei zaś zupełnie krótkiéj (np. gospodarstwo nizkopienne dla produkcyi kory garbarskiéj) pasza bydła wcale miejsca mieć nie może.

Pod tym względem wskazówki techniczne częściowo tylko zostały uwzględnione o przepisach r. 1875 o urządzenie lasów, gdzie bez różnicy długości obrotu kolei rębów, przyjęto jako przestrzeń w zagajeniu do ochrony kwalifikującą się $1/3$ część całego leśnego obszaru. Przepis ten zatém korzystny dla gospodarstw długo kolejowych 120 i 100 letniéj, zaledwo możliwy dla kolei 80 letniéj, trudny dla 60 letn., gdzie zaledwie 12 letnie zagajniki jużby traciły prawo do ochrony, nie możliwy jest całkiem dla gospodarstw niskopiennych.

Dla wyrachowania wartości zbieraniny już określonéj w tabelach pan W. podaje:

a) że fura włościańska zawiera masy drzewnéj w zbiórce: parokonna stóp sześciennych 20, a jednokonna stóp sześciennych 13,5.

b) że sążeń leśny zwyczajny $85^3/_4$ stóp sześciennych ang. (item rosyjskich), czyli $1/4$ sażenia kubicznego drzewa szczapowego bez przestworów zawiera 62,5 stóp sześciennych masy.

i c) że wedle zasady w technice leśnéj przyjętéj uważa się różnicę palności, zachodzącą pomiędzy drzewem szczapowém a zbiórką jak 72 i 37.

O wartości tych cyfr zaświadcza ten fakt, że wszystkie one bez zmiany zostały uznane za obowiązujące w przepisach rządow. z roku 1875 o urządzeniu lasów. Co do ściółki, według p. W., wyłączają się od jéj grabienia, a przeto i z rachunku:

1) Halizny, góry etc.; 2) Drzewostany nie przechodzące lat 50; 3) Drzewostany przeznaczone do odmłodnienia (do wycięcia w języku pospolitym) w ciągu następujących lat 10; i 4) Że z pozostałego obszaru wyłącza się $5/6$, tak ażeby tylko co lat 6 grabienie mogło powtarzać się w tém samém miejscu.

W téj kwestyi znaczna zachodzi różnica z przepisami 1875 r. Tam wyłączona od grabienia tylko $1/3$ część jako pozostająca w zagajeniu i ochronie, i także ilość poręb do odmłodnienia przypadają-

cych (10 jak u Pana W.). Z pozostałéj zaś przestrzeni wyłącza się $^2/_3$, tak żeby grabienie ściółki nie wcześniéj jak co 3 lata na to samo wracało miejsce.

Dalsze szczegóły, tyczące się obrachowania ściółki, u tegoż autora są następne:

1) Jeden morg nowopolski drzewostanu nad 50 letn. wydać może 350 funt. ściółki.

2) Wartość ściółki na wagę równa się $^1/_4$ części téjże ilości słomy targanéj.

3) Jedna osoba nagrabi czystéj ściółki centn. 4,20.

4) Fura dwukonna włościańska ściółki waży centnarów 10.

5) Wartość grabienia od centnara ściółki rachuje się kop. sr. 2.

Do obliczenia ilości służebności pastwiskowéj, jeśli takowa nie jest określoną, pan W. przyjmuje za zasadę ilość bydła, którą uprzywilejowani własnemi środkami mogą przezimować; a w takim wypadku na gruncie średnim i przy niskim stopniu uprawy, liczy się na przezimowanie jednéj sztuki bydła rogatego pięć morgów roli ornéj i łąk.

Co do letniego pastwiska, podaje że:

1) Na wyżywienie jednéj sztuki rogacizny potrzeba pastwiska poln. od 150—900 prętów.

2) Że pasza w lesie praktykować się winna tylko przez trzy miesiące (do 24 Lipca).

i 3) na pastwisku w lesie jedna sztuka rogacizny znajduje wyżywienie na morgach 4 do 5.

Wszystkie podane przez P. W. wskazówki co do wartości praw do pastwiska i używalności lasu mogłyby być bardzo użyteczne jako oparte na dokładnéj znajomości rzeczy i na saméj ich naturze; jednak dotychczas osoby obowiązane do oznaczania i określania służebności nie posługiwały się zbyt subtelnym rachunkiem i dochodziły określeń tych w bardziéj rudymentarny sposób.

W ogólności można się spodziewać, że jeżeli nastąpi rozwiązanie służebności z urzędu i będą ustanowione do tego wszechstronnie kompetentne komisye, książka pana Wojzbuna będzie dla nich jednym z poważnych podręczników.

Pan Ludwik Górski w broszurze swojéj „o dobrowolnych umowach", jak sam tytuł wskazuje, miał tylko na względzie wypadki polubownego rozwiązania stosunku służebności. Nie podawał więc zgoła projektów do norm jakichś stałych, któreby działały w razie przymusu, lecz miał na celu objaśnienie elementarnych zasad kwestyi, nie tylko stronom interesowanym, lecz i pośrednikom, którzy w załatwieniu kwestyi urzędową swą powagą i perswazyą tak

ważną rolę mogą odegrać, a którzy jako pochodzący z odległych prowincyj, gdzie nie istnieją służebności, nie znają po większéj części miejscowego prawodawstwa, obyczaju, potrzeb i stosunków, i nie zawsze się poczuwają do obowiązku moralnego, jaki na nich ciąży w przykładaniu się gorliwém i umiejętném do rozwiązania jednéj z ważniejszych kwestyj ekonomicznych.

Otóż w pierwszéj części swojéj broszury P. Górski przemawia wymownie tak do interesowanych jak i do pośredników za wielkim pożytkiem i nawet konieczną potrzebą rozwiązania służebnego stosunku. Argumentów tych dobrze i jasno rozwiniętych nie potrzebujemy powtarzać ani krytykować, bo wszystkie dowody możliwe w téj kwestyi są do siebie podobne i znane dobrze publiczności, która, z małemi wyjątkami, wyrobila już w sobie pewny na tę kwestyą pogląd.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że gdy przywiléj lub prawo osób trzecich ma się ściśle określać i następnie ostatecznie realizować, potrzeba znać nie tylko faktyczne, ale i prawne jego podstawy.

Ztąd i P. Górski w celu ułatwienia drogi do umów dobrowolnych objaśnia tak interesowanych jak i pośredników o prawnéj podstawie, jaką mają służebności w naszym kraju.

Służebności *niewłościańskie* od dawna w królestwie egzystują, podlegają przeto pewnym prawodawczym przepisom. Uprawnione ukazem z 1846 roku tak zwane dogodności, z których włościanie korzystali faktycznie na obszarach dworskich, ukazem z r. 1864 zostały podniesione do znaczenia służebności, a tém samém poddane pod egzystujące dla tychże prawo, skoro to prawo wspomnianym ukazem nie było zniesione.

Otóż według tego prawa służebność nie służy osobie, lecz ustanawia się tylko dla zaspokojenia potrzeb osady, nie powinna ona niszczyć podstawy, z któréj się czerpie, ani téż uszczuplać koniecznych z niéj użytków właściciela bezpośredniego; wszystko to jest wyrażoném w prawie sejmowem z dnia 16 (28) Czerwca, r. 1830 które stanowi (art. 4 i 7) „że ilość bydła na pastwisku paść się mogącego, jako téż ilość i jakość drzewa na budowle i opał pobieranego, miarkowaną być ma według potrzeby obu gruntów, z większym jednak względem na potrzeby gruntu służebnością obciążanego.“

Autor więc sądzi, że wszelka służebność, jeśli przez omyłkę lub pośpiech określoną była niezgodnie z temi zasadami, winna ulegać odpowiedniéj i słusznéj redukcyi.

Jest w tém rzeczywiście nie tylko prawna, lecz jeszcze i logiczna zasada. Włościanin za czasów pańszczyzny, gdy miał

dozwolone sobie dogodności, mógł używać ich tylko w miarę rzeczywistéj potrzeby i możności ich dostarczenia; oba warunki ograniczały z natury rzeczy tę używalność; szczególniéj przekroczenie pierwszego warunku w praktyce było nie możliwém. Tymczasem autor cytuje przykłady, które są rzeczywiście dosyć pospolite, przekroczenia owego warunku w określeniach niektórych tabel likwidacyjnych, ustanawiających np. ilość fur zbiórki podług ilości dni ugajnych w roku. Liczba tych dni jest czystą formalnością administracyi leśnéj i nie znaczyła wcale, żeby każdy włościanin w każdy dzień ugajny miał wjeżdżać do lasu skoro już miał zaspokojoną potrzebę. Tak zaś oznaczona służebność opałowa, według przytoczonego przykładu, wynosi rocznie na osadę fur 78, jakowe po redukcyi na drzewo szczapowe na zasadzie § 16 przepisów o urządzeniu lasów stanowią 12,8 siągów (po pół sążnia kubicznego każdy), ilość przechodzącą wszelką możliwą potrzebę małego właściciela; redukcya więc w tym wypadku jest możliwą i słuszną.

Należy także przypuścić potrzebę redukcyi w tych wypadkach, kiedy korzystanie ze służebności oznaczonéj w tabelach odbiéra właścicielowi możność zaspokojenia swoich własnych potrzeb bez zniszczenia podstawy użytku. Tutaj musimy jednak zrobić zastrzeżenie, którego nie spotykamy w rozpatrywanéj przez nas pracy, a mianowicie, że redukcya w takim tylko razie może nastąpić, jeżeli właściciel po r. 1864 nie dokonywał hurtowéj sprzedaży lasu, na zasadzie rozwiązania komisyi włościańskich; albowiem, dla uzyskania tego rozwiązania, złożył zapewnienie, że służebność przyznana włościanom, pomimo téj sprzedaży, w zupełności się zabezpiecza, sam więc wysokość służebności usankcyonował. Powstanie wielkich zakładów fabrycznych, które przed rokiem 1864 nie istniały, a które lasy wyniszczają jak huty szklane, cukrownie, wielkie browary, gorzelnie i tym podobne, powinnoby mieć taki sam skutek jak i wyprzedaż lasów.

Dziwném též się nam wydaje, że autor, który za cel założył sobie wyjaśnienie, skonsolidowanie kwestyi i nakoniec ostateczne jéj rozwiązanie, wyraża zażalenie przeciw ścisłemu określeniu służebności budowlowéj w wielu tabelach nadawczych. „Zdawało się być rzeczą najprostszą“, powiada autor, wpisać do tabel prawo pobierania drzewa na reperacyą budowli w miarę udowodnionéj potrzeby, co téż w wielu miejscach zrobiono; w innych jednak i bodaj czy nie liczniejszych, pewne ilości drzewa budowlanego do wydawania corocznie włościanom przeznaczono, przemieniając tym sposobem służebność ogólnie wyrażoną, w ściśle co do ilości i jakości przedmiotu

określoną. Służebność pobierania drzewa na budowle w ten sposób określoną jest najuciążliwszą. Nam się zdaje, że w takim wypadku jest najłatwiejszą, oprócz wyjątkowych wypadków, kiedy ona przechodzi możność lasu lub ubliża potrzebom własnym posiadacza, co, jak widzieliśmy, powinno być uwzględnioném. Unika się bowiem przez to określania nieustających sporów i sądów o to: czy owa rzeczywista potrzeba pobierania drzewa już nastała i w jakiéj przytém ilości.

Nie widzieliśmy jeszcze tabeli, gdzieby na reperacyą budynków włościańskich przeznaczono było na każdego osadnika więcéj jak 2 sztuki drzewa, 24 cale obwodu na wysokości trzech łokci od ziemi mające. Jedna taka sztuka przy najlepszym jéj gatunku i pięknym wzroście, co rzadko chyba stanowi przymiot wydawanego za służebności drzewa, może mieć najwyżéj od 5—6 stóp sześciennych masy drzewnéj; na reperacyą zaś budynków włościańskich w osadzie zawierającéj od 10—20 morg., podług pana Wojzbuna (str. 25), potrzeba budulcu średniego rocznie stóp sześciennych 12,95 czyli niemal 13 stóp, co zaledwie owe dwie sztuki mogą zaspokoić.

Wyłożywszy podstawy prawne służebności, autor przechodzi do kwestyi ich oszacowania. „Oszacowanie służebności z urzędu“, powiada, „wymaga wielkiéj dokładności w postępowaniu. Występuje tu bowiem rząd w charakterze sędziego, który wszystkie najdrobniejsze okoliczności, wpłynąć mogące na podwyższenie lub obniżenie wartości użytków, najściśléj ocenić powinien.“ Trudność i drobiazgowość téj roboty przy stracie czasu i kosztach spowodowały, że w Prusach nowe prawo z r. 1850 wprowadziło do ocenienia służebności użycie *arbitrów*, którzy w razie nie zgadzania się stron, wezwani przez komisarzy, nieodwołalnie kwestye sporne rozstrzygają. „Układy dobrowolne nie mają do walczenia z temi trudnościami i mają tę niezaprzeczoną wyższość nad postępowaniem przymusowém z urzędu, iż w układach tych wchodzą w obliczenie okoliczności osobiste i miejscowe, których przepisy i szematy przewidzieć, objąć i ocenić nie są w możności.“

W celu więc ułatwienia tych układów, podaje autor wskazówki do ocenienia różnego gatunku służebności, o których pokrótce tylko możemy zdać sprawę.

Wspólne pastewniki, czyli owe nieużyteczne odłogi, o których wspominaliśmy wyżéj, projektuje autor rozdzielić między dwie strony w stosunku obszerności pól ornych i łąk tak folwarcznych jak i włościańskich, i część włościanom przypadającą oddać na własność. Po-

dział tych pastewników, z urzędu ustanowiony w przepisach z r. 75, na zasadzie stosunku ilości bydła stron interesowanych używających pastewnika, bardzo mało odmienne wyda rezultaty.

Dla obliczenia wartości pastwiska na ugorach i ścierniskach, gdzie takowe egzystuje, autor proponuje: po ustanowieniu ilości sztuk bydła pasać się mającego i zredukowaniu jéj na krowy podług przyjętych w nauce rolnictwa zasad, oraz zredukowaniu znalezionéj liczby w stosunku dni rzeczywistego pasania odnośnie do ogółu dni pastwiskowych letnich, obliczyć dochód z tegoż pastwiska podług praktykującéj się ceny przelatowania jednéj krowy w danéj okolicy. Dochód ten już łatwo na kapitał zamienić.

W razie trudności takiego obliczenia, uważa téż za właściwy sposób obrachowania bydła korzystającego ze służebności podług możności przezimowania go przez uprzywilejowanych włościan, na podstawie cyfr podanych przez pana Wojzbuna, i potrąciwszy ze znalezionéj liczby połowę, trzecią lub naostatek i czwartą część, na żywienie własnemi pastwiskowemi środkami, który to stosunek zależéć musi od stopnia uposażenia włościan we własne pastwiska.

Łatwe już jest ocenienie i kapitalizowanie określonéj służebności budowlowéj z zastrzeżeniem zawsze nie nadwerężenia kapitalnéj wartości lasu i uwzględnienia potrzeb właściciela. W razie, gdy służebność ta nieobliczona w tabeli, a oznacza się ona w niéj miarą potrzeby, autor oblicza ją na podstawie pruskiéj normy na $\frac{1}{2}\%$ całéj wartości budowlanego materyału, którego wartość przyjmuje podług danych pana Wojzbuna.

Z tego przykładowego rachunku wypada u pana Górskiego roczna potrzeba budulcu na reperacye dla jednéj osady: średniego stóp sześciennych 14, małego zaś stóp 3,25 razem 17,25 stóp; a więc pan Górski dochodzi do liczby większéj od podanéj przez pana Wojzbuna a oznaczonéj jak wyżéj 12,95 stóp kubicznych na osadę. Ustanowiona więc przez pana Górskiego liczba znacznie przeniesie wydajność 2 sztuk drzewa 10 calowéj średnicy, które poczytywaliśmy za największą służebność budowlaną na reperacye.

Zacytowane przez nas obliczenie, zrobione przez autora, zostające jakby w sprzeczności ze skargą na określenie służebności budowlanéj coroczną liczbą sztuk drzewa, okazuje bezwarunkową dążność w obrachowaniach do możliwéj bezstronności pomiędzy interesami obu rodzajów własności.

Proponując obliczenie opału na podstawie cyfr podanych przez p. Wojzbuna a przyjętych jak wiadomo w urzędowych przepisach, pan Górski uważa za słuszne sprawdzić tę ilość możnością lasu, to

jest ocenieniem przy pomocy techników leśnych ile dany las może wydać z morgu zbieraniny rocznie, ażeby nie wynagradzać uprzywilejowanych za to co nie istnieje w naturze. Nakoniec ściółkę autor oblicza również podług cyfr podanych u pana W. Przeszedłszy te trzy momenty ocenienia służebności, P. Górski przystępuje do ostatniego, który stanowi wynagrodzenie za takowy w kapitale.

Oddając sprawiedliwość metodzie pana Wojzbuna ocenienia lasu przeznaczonego do wynagrodzenia służebności, z dochodu jaki tenże może dostarczyć, autor nasz jest stanowczo za łatwiejszą i bardziéj uproszczoną metodą ocenienia w kapitale praktykowanéj wartości gruntu i rosnącego na nim drzewa. Pierwszy sposób, połączony z technicznemi trudnościami, miałby, podług autora, praktyczną podstawę i pożytek, gdyby włościanie godzili się na posiadanie lasu, jako własności wspólnéj, i na utrzymanie porządnego gospodarstwa leśnego.

Co do stopy kapitalizowania dochodu ze służebności, pan G. uznaje za normalną stopę 5%, czyli mnożnik 20, uważając za słuszną redukcyą tegoż dla służebności pastwiska, z powodu zmniejszania się jego wartości z czasem, do niższego mnożnika 10—$16\frac{2}{3}$, pod względem zaś drzewa podnosząc go do 25 na korzyść uprzywilejowanych, czyli powiększając kapitał za obliczeniem go na stopę 4 procentową, z uwagi na przyszłą możność podrożenia materyałów leśnych.

Wynagradzanie za użytki leśne bezwarunkowo lasem, ze względu na dobro włościan i na dobro ogólne kraju, uważa autor za niewłaściwe, mianowicie: „skoro włościanie dzielą się lasem na drobne działki dla każdéj osady wyznaczone. Zwykle téż w lat kilka działy te zostają wycięte, najczęściéj nawet sprzedane, i pozostaje grunt pospolicie od osady oddalony, częstokroć nawet małe korzyści do zamienienia na pole orne lub łąkę przedstawiający, albowiem przy wydzieleniu lasu nie zwraca się zwykle uwagi na gatunek gruntu pod nim będącego. Tym sposobem robi się krzywda przyszłym właścicielom osad, zmniejsza się znacznie przestrzeń leśna w kraju, już i tak w lasy nieobfitującym, i odkrywa niekiedy piaszczyste obszary które nie tylko żadnego nie przynoszą pożytku, ale grożą zasypaniem przyległych uprawnych przestrzeni. Prawo pruskie dozwala właścicielowi lasu w takim tylko razie użytkowników lasem wynagradzać, skoro przestrzeń odstąpiona sposobną jest do leśnego zagospodarowania, która w wysokopiennym lesie najmniéj 30 morg. magdeb. wynosić powinna. W ogólnéj zasadzie prawo to żąda, aby przy wynagrodzeniu użytkowników leśnemi przestrzeniami wydzielać tylko takie, które na grunt orny lub łąkę korzystnie zamienione być mogą; drzewo wówczas pozostaje przy właścicielu, który ono w przeciągu

lat trzech wyprowadzić i koszta karczowania czyli uprawy ponieść winien. Byłoby bardzo zatém do życzenia, aby ten ostatni sposób wynagrodzenia mógł być u nas w praktykę wprowadzony.“

Autor nie widzi żadnéj trudności w ocenieniu ziemi idącéj na wynagrodzenie za obliczony kapitał służebnościowy, skoro cena sprzedażna ziemi w każdéj okolicy jest wiadomą i skoro sami włościanie takową kupują.

Czując się obowiązanym podać stronom interesowanym w téj kwestyi wskazówki jasne i zasady racyonalne do rozpoznawania istoty rzeczy i należytego jéj ocenienia, przyznaje jednak autor, że przy umowach dobrowolnych pomimo tych podstaw występują najwydatniéj względy i potrzeby osobiste stron umawiających się; strona któréj pilniej skończyć musi robić większe ustępstwa.

Z całego powyższego sprawozdania staje się widoczném, że się pan Ludwik Górski w całéj pracy swojéj stara utrzymać na wysokości zadania, to jest być objektywnym i spokojnym arbitrem dobrowolnych umów.

Raz tylko zadźwięczała w autorze struna właściciela, gdy robi wzmiankę—chociaż pobieżną tylko, „że wynagrodzenie za służebności powinno być w pewnéj mierze ustosunkowane do wysokości wynagrodzenia likwidacyjnego, za całość uposażenia włościańskiego odebranego.“

Możeby, dla utrzymania jedności powagi i tonu danéj rzeczy, nie należało wspominać minionych dziejów, które są po trosze dziełem historycznéj Nemesis, i nie podnosić zasady oddania ząb za ząb, oka za oko, a jednak uwaga powyższa naprowadza na myśl o możliwości takiego zdarzenia, w któremby suma przyznanego ze służebności wynagrodzenia przewyższyła wartość otrzymanéj likwidacyi za grunta nadane. Wtedyby się przedstawił fakt dziwny; właściciel by nie tylko oddał darmo włościanom ich prestacyjne grunta, aleby jeszcze za to, że takowe wzięli, imże dopłacił.

Naostatku autor zachęca właścicieli, ażeby przy projektowaniu urządzeń leśnych, zawierali z włościanami układy, starając się wpłynąć na ich przekonanie, a ostatecznie kończy: „i układy i umowy zawierać, *choćby warunki onych nieco uciążliwemi były.*“ W ten sposób z przekonania o ważności celu, jakim jest zniesienie służebności, ze względu na ogólne interesa kraju, autor wielką własność nawet do ofiar w tym celu zachęca.

W tym samym roku 1876, w którym drukowaną była broszura „o dobrowolnych umowach“ pana Górskiego, zjawił się wspomniany wyżéj artykuł pana Antonowicza „sielsko choziajstwiennyje serwitu-

ty w priwislanskom kraje", ogłoszony w Petersburskim ekonomiczno-gospodarskiém piśmie.

Pan Antonowicz kładąc, w początku swojéj rozprawy, nacisk silny na bardzo ważne znaczenie służebności dla włościan, jako dopełnienie nadanego im uposażenia, następnie przechodząc na pole ekonomiczno-gospodarskie, jako specyalista i agronom, stanowczo wykazuje szkodliwość dalszego utrzymania służebności dla obu rodzajów wielkiéj i małéj własności i energicznie przemawia za koniecznością ich ostatecznego rozwiązania, za pomocą właściwego wynagrodzenia uprzywilejowanych, mianowicie przeznaczenia im odpowiedniéj ilości gruntów na całkowitą własność, z pomocą przepisów obowiązujących do tego z urzędu.

Co do obliczenia jaką wartość mają służebności i sposobu wynagrodzenia za takowe, autor rozważywszy trudność reglamentacyi w tym względzie, oraz zastosowanie takowéj przez urzędników najczęściéj nieobeznanych z warunkami gospodarstwa i produkcyi rolnéj, wpada na drogę praktycznego rozwiązania kwestyi, podobną do téj, którą spotykamy u pana Górskiego. Co do pastwiska np. radzi on do każdéj przyznanéj sztuki bydła ze służebności korzystającego stosować miejscową, w każdéj okolicy praktykującą się cenę za przelatowanie jednéj krowy, i odpowiedni kapitał wynajdować w takiéj ilości ziemi, któraby według cen dzierżawnych praktykujących się w okolicy przynosiła uprzywilejowanemu dochód równoznaczący. W podobny sposób radzi wynagradzać za inne służebności, z tém wszakże zastrzeżeniem, żeby za służebność leśną wynagradzać włościan wyłącznie nadaniem pól ornych pastwisk lub łąk, czyli w ogóle ziemi rolniczo użytecznéj, a to ze względu żeby nie zmniejszać przestrzeni leśnéj w kraju; co nie zawodnie musi nastąpić, gdy włościanie nadane sobie lasy niezwłocznie wyniszczą. Odebrawszy zaś wynagrodzenie od razu w ziemi użytecznéj, podniosą siłę swoich gospodarstw i będą w możności łatwego nabywania potrzebnych im materyałów leśnych, skoro własność lasów nie będzie rozszarpaną na drobne działy, przy egzystencyi których, możliwe jest raczéj wyniszczenie lasów niż ich zagospodarowanie.

Dla zabezpieczenia zaś ich od tego losu uważa za niezbędne wydanie odpowiedniéj ustawy leśnéj, regulującéj dowolność eksploatacyi w lasach prywatnych.

Zastrzega nareszcie, że uregulowanie służebności z urzędu powinno się stosować do tych tylko wypadków, w których rozwiązanie tego stosunku jest żądane przez którąkolwiek ze stron interesowanych, i to w razie jeżeli oznaczenie przypadającego za służebność

wynagrodzenia nie może być osiągniętém w drodze dobrowolnéj umowy. Co do określenia stron interesowanych, pan Antonowicz odnośnie do włościan pragnie, ażeby za takową stronę uważaną była nie cała gromada, lecz każdy pojedyńczy gospodarz, jako według praw i obyczajów miejscowych posiadający zupełną indywidualną własność.

Nie będziemy rozstrząsali szczegółów stanowiących oryginalną stronę pomysłów pana Antonowicza, to zaś głównie musimy zaznaczyć, że praca ta sumienna i w przyzwoitym tonie utrzymana przeniosła kwestyą na szersze pole i przedstawiła ją w prawdziwém i naturalném świetle inteligentnéj części téj społeczności, z któréj pochodzą urzędowi u nas obrońcy i przedstawiciele kwestyi włościańskiéj. Praca ta pierwsza także stanowczo i bez ogródek wyjaśniła konieczną potrzebę interwencyi rządu, do ostatecznego i pomyślnego dla kraju rozwiązania węzłów służebnościowych.

Ostatnim nakoniec słowem obecnéj chwili w zajmującéj nas kwestyi, był referat pana Krasuskiego i wywołane w skutek tegoż rozprawy kongresu leśnego w Warszawie.

Pan Krasuski, jako uczony specyalista pod względem nauki leśnictwa, nie interesuje się właściwie całością stosunków ze służebności wynikających, a przeraża go tylko nieproporcyonalny stosunek pomiędzy produkcyą i spożyciem drzewa w kraju. Lasów w kraju jest tylko 23,2% ogólnéj przestrzeni—z téj zaś przestrzeni leśnéj, biorąc ją za 100, rządowych nibyto lepiéj co do trwałości gwarantowych 22%, prywatnych 78%.

Już przed dwudziestu laty obliczano przewagę spożycia nad produkcyą na 227 mil. stóp kubicznych; obecnie, przy zwiększeniu ludności o 1½ milona i powstaniu wielorakich fabryk niszczących lasy, znikanie lasów może stać się przerażającém.

Rzeczywiście wykazany przez pana Kr. stosunek przestrzeni leśnéj 23,2% jest dla kraju naszego niekorzystnym, skoro w ludniejszych krajach, będących na wyższym stopniu kultury, jest on daleko większym.

I tak lasy zajmują w stosunku do ogółu przestrzeni:

W Austryackich Niemiec. prowinc.			33 %
„ Bawaryi	„	„	29, 8%
„ Saksonii	„	„	30,55%
„ Wirtembergii	„	„	31 %
„ Badeńskiem	„	„	32, 5%
„ Hesyi	„	„	33 %

Przytém musimy dodać, że niewielki u nas stosunek konserwatywnego pierwiastku w lasach (lasy rządowe) zmniejsza się jeszcze widocznie. Jeden z członków urzędowych kongresu leśnego w Warszawie zaświadczył, że znaczna część z dawnych rządowych lasów została rozdaną lub sprzedaną. Prawdę tę stwierdzają, nawet w krótkim bardzo przeciągu ostatniego lat dziesiątka, cyfry statystyczne.

Kiedy bowiem podług wykazań ministeryum skarbu w r. 1868 było lasów rządowych . . . . 1.434.998 morg. (1)

Pan K. podaje na zasadzie statystycz. atlasu Tow. leś. z roku 1873 tylko . . 1.124.441 morg.

Zmniejszenie by więc było w tak krótkim czasie o . 310.557 morg. (2)

Szukając przyczyn upadku téj ważnéj gałęzi bogactwa krajowego w niskim stanie kultury i nieporządném prowadzeniu gospodarstwa leśnego u nas, referent upatruje jednę z głównych przeszkód do podniesienia racyonalnego leśnictwa w kraju, w egzystujących i niedobrze uregulowanych służebnościach leśnych. Z jakiegokolwiek punktu zapatrujemy się na ten przedmiot, zawsze dochodzimy do wniosków mniéj więcéj jednakowych. Nie będziemy więc przytaczać argumentów pana Krasuskiego; musielibyśmy bowiem powtarzać niejeden z przytoczonych wyżéj. Zaznaczywszy szkodliwy wpływ na lasy obecnych stosunków ze służebności wynikających, referent zastanawia się, o ile przepisy z r. 1875 o urządzeniu lasów prywatnych ten stosunek poprawiły. Znajdując, że przepisy te jakkolwiek wskazały pewien modus vivendi, wszakże dążąc z jednéj strony do zabezpieczenia służebności, z drugiéj strony mając na względzie widoki gospodarskie, nie odpowiedziały w zupełności żadnemu z założonych celów.

Nie zabezpieczyły one praw uprzywilejowanych.

1. Ograniczając obowiązkowe urządzenie gospodarstwa wysokopiennego przestrzenią ściśle potrzebną do zabezpieczenia służebności budulcowéj, która w ten sposób skutkiem najmniejszych naturalnych uszkodzeń w lesie nie będzie mogła w całéj ilości być zabezpieczoną.

---

(1) Załęski statyst. porównaw. Król. Polsk.

(2) Wyprzedaż rządowych lasów i teraz jeszcze ma miejsce. Słyszeliśmy, że w ostatnich dopiéro czasach, jakiś spekulant z Prus zakupił we wsi rządowéj Szczepocice (gub. Piotrkow.) na wycięcie 10 włók lasu za 35.000 rsr. Suma taka, którąby mogła ratować zbankrutowanego szlachcica, jest zerem dla rządu posiadającego przeszło 2 miliardy długu.

2. Nie określając obowiązków pod względem utrzymania i odmładniania, specyalnie i na wyłączną korzyść jednéj strony urządzonych leśnych obrębów, w obec wprowadzonéj przez komisyą skarbu praktyki, opartéj na obowiązującém niegdyś w części Królestwa prawie pruskiem (697 i 698 artyk. kodeksu), pociągającém serwitantów do częściowego współudziału w konserwacyi lasów.

3. Umożebniając zupełny upadek służebności pastwiskowéj, w obec przewidywanego skutkiem urządzenia lasów zagęszczenia normalnego drzewostanów.

Nie odpowiedziały zaś owe prawidła potrzebom gospodarskim: wprowadzając apriorystycznie jednakowe normy: 1) co do przestrzeni zagajników ($1/_5$ części całéj przestrzeni) (1) bez uwzględnienia rodzajów gospodarstwa, skoro przyjęta norma dla niskopiennéj kolei jest niemożliwą; i 2) co do grabienia ściółki, bez uwzględnienia gatunku i położenia gleby.

Dla uniknienia więc obecnych i ustawą z roku 1875 jeszcze niepoprawionych szkodliwości, potrzebaby było owe prawidła należycie dopełnić i uregulować owe użytki odpowiednio do potrzeb gospodarstwa leśnego i zgodnie z obowiązującym w cesarstwie przepisem (art. 256 T. X.) Jednakże mając na względzie, że nawet w obec tak poprawianych przepisów, dobrowolne umowy albo bardzo powoli będą działały, lub nawet wcale nie doprowadzą do celu, referent wnosi:

1. Że należy, zważywszy przeszkody jakie służebności stawiają uporządkowaniu gospodarstwa leśnego, niemniéj jak i tę okoliczność, że uprzywilejowanym nie przynoszą one *należytéj korzyści*, uznać wydanie prawa o zniesieniu tychże z urzędu za konieczną i nieodwołalną potrzebę kraju.

2. Jeżeliby do wydania obecnie tego prawa spotkały się faktyczne przeszkody, w takim razie dopełnić prawidła z r. 1875.

a) Przyznając służebności za przysługujące osadom, nie zaś osobom je posiadającym.

b) Ilości oznaczone w tabelach uważać za maximum, wymiar zaś zastosować do rzeczywistéj potrzeby osadnika.

c) Używalność pastwiska i ściółki uczynić zależną od stanu lasów i dokładnie określić sposoby używania tych dogodności.

Co do punktu: a) musimy zrobić uwagę, że ani prawo, ani określenie służebności w tabelach nigdy nie orzeka ich inaczéj, ja-

---

(1) Porówn. wyżéj cytowane Pana Wojzbuna w téj mierze prawidła dla różnych rodzajów gospodarstwa leśnego.

ko za przysługujące osadzie; dla ścisłości więc wyrażenia myśli autora propozycyi, należało wskazać potrzebę nie ustanowienia, lecz tylko wyjaśnienia prawa tym z przedstawicieli kwestyi włościańskiéj, którzy, niewłaściwie to prawo pojmując, pozwalają uprzywilejowanym spieniężania przywilejów służebnościowych.

Największą zasługą autora referatu, było głównie wyprowadzenie interesującéj kraj kwestyi, ze sfery zacieśnionéj gazeciarską i książkową bibułą, na szersze i otwarte pole ustnéj i żywéj dyskusyi, przed forum publiczne specyalnego i poważnego naukowego ciała, jakim był kongres leśny w Warszawie.

Dyskusya ta naturalnie okazała zaraz z początku usposobienie opinii publicznéj w nastroju stanowczo przeciwnym służebnościom. Nakipiałe dolegliwości stron interesowanych bezpośrednio, zaciśnięte dotychczas w dusznéj atmosferze komisyi włościańskich, potrzebowały ulżyć sobie, wydostawszy się na szersze i swobodniejsze pole; to téż nie obeszło się bez rekryminacyi i zażaleń na jednostronne nieraz uwzględnianie interesów. Rozprawy jednak, jak to czytelnikom ze sprawozdań o kongresie wiadomo, przybrały w gruncie rzeczy poważny i objektywny charakter. Głównym rzecznikiem ze strony interesu wyłącznie włościańskiego a razem i instytucyj téj kwestyi dotyczących był zaproszony do tego przez prezydyum zjazdu, pan Kostromitinów. Dla pełności roztrząsanéj kwestyi, należało rzecz i z odwrotnéj strony rozpatrzéć, dziwnym jednak zrządzeniem losu do obrony egzystencyi służebności powołanym został komisarz, który odznaczył się uregulowaniem ich na wielką skalę. W gubernii bowiem Radomskiéj w czasie swego tam urzędowania, doprowadził do skutku 6.000 dobrowolnych umów o zamianę służebności. W gubernii zaś Kaliskiéj uregulował w tenże sposób kilka set osad. Jeżeliby po téj drodze szli wszyscy P-wie Komisarze, toby już w Królestwie służebności porządku ekonomicznego nie mąciły. Rzecznik więc służebności najlepiéj mógł wiedziéć, z jakiemi to trudnościami połączone są dobrowolne umowy, i co one znaczą bez współudziału urzędowego przedstawiciela włościan.

Jeżeli komisarz nieposiadający w swym ręku żadnego prawa przymusu, jedynie drogą perswazyi i wpływu, potrafił do 7.000 pojedyńczych kwestyj zgodnie uregulować, o ileż ta sama misya byłaby łatwiejszą dla komisyi specyalnéj, obdarzonéj bardziéj stanowczą władzą.

Jakiego rodzaju bywają te trudności, gdzie nawet ów wpływ zbawienny nie mógł jakichś przesadzonych wyobrażeń pokonać, pan Kostromitinów zaświadcza w ciekawym swym artykule „O wpływie

kredytu ludowego na ustrój mniejszéj własności w Królestwie Polskiém. (Niwa Nr. 70 i 71). „Byłem świadkiem wielu wypadków,“ powiada autor, „jak właściciele ziemscy tracili czas i środki materyalne dla ostatecznego urządzenia włościan za pośrednictwem dobrowolnych układów. Nie wątpię, że nie tylko oni, lecz i inni wykształceni obywatele gminy wypełnią program urządzenia włościan, jaki jeszcze lat temu 17 powzięli.“

„Nadanie bowiem własności jest *dopiéro początkiem* urządzenia włościan.“

Pojmując tak szeroko swoje własne zadanie i obowiązki obywateli kraju, nie mógł być pan Kostromitinów rzecznikiem bezwarunkowego utrzymania służebności w ich obecnym kształcie. Zaznaczając więc stanowczo ich doniosłość dla uprzywilejowanych, a nawet stosunkowy przyrost wartości użytków z drzewa, z biegiem czasu kiedy ten produkt niezawodnie zdrożeje, mówca głównie przedstawiał trudność i niebezpieczeństwo nagłego przejścia dla wielu gospodarstw małych, które dla zreformowania się podług nowych warunków bytu potrzebują czasu i środków.

Obrona ta dobrze i szeroko rozwinięta, którą tu w kilku słowach pozwoliliśmy sobie streścić, sympatycznie była przyjętą. Skoro jednak we wszystkich zdaniach objawiało się jednozgodne pragnienie uregulowania téj kwestyi przez całkowite i słuszne wynagrodzenie uprzywilejowanych, decyzya więc kongresu o potrzebie rozwiązania służebności leśnych i o związku téj kwestyi z wydaniem ustawy leśnéj, co wszystko wybranemu przez kongres komitetowi poruczono, przyjętą została *jednomyślnie*. Obrońcy praw służebności, przyłączając swe głosy do uchwały kongresu, dali dowód, że im nie tyle o zatrzymanie, ile o sprawiedliwe uregulowanie kwestyi chodziło.

III.

Po skreśleniu powyższego szkicu dążności objawionéj w opinii i w prasie do przyśpieszenia ostatecznego rozwiązania służebności, wypada nam zaznaczyć: o ile wydane już i obowiązujące postanowienia rządowe przyczyniły się do wyjaśnienia i ułatwienia podniesionéj kwestyi.

Pierwszym krokiem do uregulowania i zamknięcia użytków służebnych, w określonych poniekąd granicach, było rozporządzenie Komitetu urządzającego, wydane w roku 1870 pod tytułem: „Przepisy a) o porządku użytkowania ze służebności przyznanych na zasadzie ukazów z dnia 19 Lutego roku 1864 i z dnia 28 Października

roku 1866, włościanom i mieszczanom w dobrach prywatnych, instytutowych i rządowych; i b) o porządku rozpoznawania zażaleń, przeciwko naruszeniu lub nadużyciu praw tych służebności.“

Przepisy te, zastrzegając nietykalność praw użytkowników, nadały właścicielom obciążonych gruntów prawo kontroli i ochrony swéj własności od nadużyć. Co do lasu zalecono wydawać włościanom roczne bilety na odbiór należnego im ze służebności drzewa, z oznaczeniem ilości i jakości użytków; bez tych biletów, na których dozór leśny robi adnotacyą odebranych materyałów, nie wolno uprzywilejowanym wjeżdżać do lasu; właściciel zaś ma prawo oznaczać dni wjazdowe, drogi wjazdu i wyjazdu, oznaczać które części lasu przeznaczone są na zagajniki zamknięte, obręby, z których ma się materyał wydawać, lub miejsca zkąd mają zabiérać materyał już wyrobiony lub kupiony dla nich przez tegoż właściciela, jeśliby to uważał za dogodne, z warunkiem wszakże, żeby wywózka onego nie przedstawiała większych trudności, niż w razie czerpania z właściwego miejsca. Co do pastwiska włościanie zostali obowiązani wypędzać bydło tylko takiego gatunku, w takiéj ilości, w tym czasie i na te mianowicie miejsca, jak to jest oznaczoném w tabelach likwidacyjnych lub nadawczych.

Przywileje właściciela co do ochrony lasu, przez zaprowadzenie wyżéj wzmiankowanych porządków, mogły być, z wyjątkiem wydawania biletów, i do ochrony pastwisk stosowane.

Właściciele dobrze administrowanych i racyonalnie urządzonych lasów niezawodnie wszyscy korzystali z dozwolonego im prawa i pod względem ochrony i administracyi lasów wielką znaleźli ulgę. Lecz tam, gdzie nie znają porządku, tam téż go i nie lubią; w lasach więc plądrowanych przez obie strony przepisy te zostały martwą literą.

Drugiém o wiele donioślejszém, już niedyscyplinarném rozporządzeniem, lecz prawem Najwyżéj zatwierdzoném w dniu 29 Grudnia roku 1875, są: „Przepisy o obowiązkowéj separacyi i zamianie gruntów szachownicznych, tudzież o podziale wspólnych pastwisk między właścicieli i włościan w guberniach Królestwa Polskiego.“

Według tego prawa podlegają zamianie i separacyi:

a) na żądanie właściciela, grunta komornicze w szachownicy z dworem zostające, nadane z mocy Ukazu r. 1864, oraz włościańskie łąki i pastwiska pomiędzy gruntami dworskiemi lub w lasach dworskich położone.

b) na żądanie włościan, pustki do dworu należące, powstałe przed Ukazem z r. 1846 pomiędzy gruntami wiejskiemi położone.

c) na żądanie stron obu, osobne łąki znajdujące się w szachownicy między dworem włościanami.

Podział wspólnych tak zwanych pastwisk dokonywać się ma według tegoż prawa, na żądanie stron, proporcyonalnie do ilości pasanego bydła.

Prawo żądania seperacyi gruntów trwa tylko przez lat 6 od daty ogłoszenia przepisów.

Przepisy te są wielkiéj doniosłości i posuwają bardzo naprzód jak całą kwestyą włościańską tak i uregulowanie służebności. Rozproszenie gruntów włościańskich pomiędzy dworskiemi, już z powodu samych odległości, jest niezmiernie dla włościan uciążliwe. Uregulowania zaś służebności, nawet przypuścić niepodobna, przy szachownicy gruntów włościańskich z dworskiemi, skoro posiadacze pierwszych nie mogliby dochodzić z bydłem do swoich posiadłości inaczéj jak przez dworskie użytki. Podział zaś wspólnych pastwisk, w jakimkolwiek stosunku dokonany, ułatwi zniknięcie tych landów polskich, o których wspominaliśmy wyżéj, pokrytych nędznemi krzakami lub jałowcem. Część, która przypadnie na udział większéj własności, bez wątpienia zaraz pójdzie pod uprawę, a przykład ten niezawodnie i włościan do takiéjże czynności zachęci. Należałoby tylko, ażeby zainteresowani nie zaniedbywali tych praw swoich w obec ograniczonego czasu inicyatywy, albowiem czas ten upływa z rokiem 1881.

Prawo to o rozdziale pastwisk wspólnych, będąc tak blisko u kresu zupełnego zniesienia gruntowych pastwiskowych służebności (za wyłączeniem lasu), jednak do tego pożądanego kresu nie doszło. Wszakże i pastwisko ugorowe można uważać za rodzaj pastewnika wspólnego i należy go przytém zredukować w miarę czasu możliwego na onym pasania. Tak samo rzecz się ma i ze ścierniskiem. Przypuszczając np. 1 morg ugoru za $\frac{1}{3}$ lub $\frac{1}{4}$ morgu całoletniego pastwiska, ścierni zaś za $\frac{1}{7}$ (1), można ilość takowego ściśle oznaczyć i rozdzielić tę ilość stosunkowo do pasanego bydła. Ilość przypadającą z tego na włościan, każdy właściciel chętnie by im ze swojéj części pastewnika wydzielił, lub w braku tego nawet ze swojego pola, byle nareszcie pozyskać niezależność gospodarską,

Jednocześnie z przepisami w mowie będącemi wyszły niejednokrotnie w ciągu niniejszego pisania wspominane: „Przepisy o spo-

(1) Cyfr tych jako wziętych dla przykładu przypuszczalnie, choć jak się zdaje prawdopodobnych, za żadną normę nie myślimy rekomendować.

sobie użytkowania z lasów obciążonych włościańskiemi służebnościami w gubern. Królestwa Polskiego.“

O ile to prawo nie zabezpiecza dostatecznie interesów uprzywilejowanych, przytaczaliśmy w téj mierze powyżéj zdanie pana Krasuskiego, wypowiedziane w jego referacie.

Według zdania tegoż referenta, nie zabezpiecza ono dostatecznego odmładniania lasów, określając jednostajną dla wszystkich normę zagajników, $1/5$ przestrzeni, właściwą tylko dla wysokopiennéj stoletniéj kolei cięcia, oraz jednostajną przestrzeń dla grabienia ściółki, nie uwzględniając odrębnych właściwości gleby. Do tego trzeba dodać, że prawidła te nie uwzględniają potrzeby właściciela lasu, w takim wypadku, gdyby służebność, pomimo że las po r. 1864 nie był wyprzedawany, zabiérała cały roczny przyrost. Że przepisy te mają na celu wyłącznie służebności, nie zaś ochronę lasów, widocznem jest, skoro wyłączają obowiązkowe zagospodarowanie takowych, w majątkach w których nie wynikają ze strony włościan skargi na utrudnienie w użytkowaniu ze służebności, wyłączają wszystkie lasy mniejszéj niż 90 morg. obszerności, dozwalają nakoniec właścicielom obszernych lasów urządzenia przez nich tylko części, ściśle odpowiadającéj potrzebie służebności a zostawiają zupełnie dowolne resztą takowych rozporządzenie.

Domyślać się trzeba, że na tychże właścicielach leżéć będzie obowiązek ochrony i dopilnowania należytego odmładniania owych urządzonych specyalnie części, które jako takie, na wyłączną korzyść uprzywilejowanych służące, przez nichże i ochraniane być właściwie powinny.

Przepisy te dla lasów wysokopiennych dobrze i racyonalnie w dłuższéj kolei zagospodarowanych i dosyć silnych, ażeby wytrzymywać służebności bez odebrania właścicielowi odpowiedniego i potrzebnego koniecznie dla należytego utrzymania tychże dochodu, mogą być w pewnéj mierze pożyteczne. Lasów zaś nadniszczonych i rabunkowym gospodarstwem przerzedzonych, nie potrafią uratować; gospodarstwo w tych lasach zostanie czczą formalnością na papiérze a lasy, nieodmładniane na szerszą skalę, przy wzajemnéj rabunkowéj obu stron interesowanych tolerancyi, muszą przyjść do ostatecznego wyniszczenia i z czasem pozostaną przestrzenią leśną bez drzewostanów, obciążoną służebnością.

Najkompetentniejszy w téj mierze specyalny sędzia, a mianowicie kongres leśny, uznał przepisaną ochronę lasów w dzisiejszym ich kształcie za niedostateczną, a służebność daléj w nich protegowaną za szkodliwą.

Najważniejszym skutkiem uchwał kongresu było ustanowienie komitetu do wypracowania ustawy leśnéj i uznanie rozwiązania służebności za kwestyą w ścisłym z nią związku będącą.

Komitet ten, jakkolwiek nie jest urzędowym organem w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, może jednak, przy boku naczelnéj władzy krajowéj, pod jéj przychylną opieką, przybrać pewien charakter organu doradczego, w sprawach tyczących się roztrząsanych przez nas kwestyj.

Wyjednanie więc dopełnienia najwyżéj zatwierdzonéj ustawy o podziale wspólnych pastwisk, w celu uregulowania kwestyi pasania na dworskich użytkach, jako przywileju najmniéj korzystnego dla uprzywilejowanych i najbardziéj szkodliwego ekonomicznie, i daléj wyrobienie podstaw do możliwego zakończenia sprawy służebności leśnych, musi być celem starań komitetu.

Na obawy wszelkie co do niebezpieczeństwa takiéj akcyi dla interesów włościan, najlepszą jest odpowiedź, którą dał gorliwemu obrońcy tego interesu, panu Anuczynowi, pan Załęski (1) „że wyzyskiwania włościan obawiać się nie ma najmniejszéj racyi; mają oni bowiem w administracyi obecnéj kraju i w urzędach włościańskich pewną gwarancyą, że ci, którzy całe dzieło uwłaszczenia przeprowadzili bez krzywdy włościan, potrafią bronić ich interesu, i przy zniesieniu służebności nie dopuszczą ich krzywdy na korzyść większéj własności.“

W końcu musimy nadmienić, że gdy konserwacya lasów staje się głównym motywem całéj akcyi anti służebnościowéj, musi więc ta konserwacya dla dobra społeczeństwa w zupełności być zabezpieczoną, ażeby kraj przez nieoględność, lub chciwość jednostek nie został ogołocony z głównéj a podwójnie klimatycznéj ochrony.

Samo uregulowanie leśnych służebności, o ile takowe zostaną wynagrodzone lasami, znaczną część tychże może zniweczyć, skoro uprzywilejowani wyniszczą kawałki im wydzielone. Propozycya P. Antonowicza, ażeby za leśne służebności wynagradzać wyłącznie gruntem i łąką, w praktyce przeprowadzoną być nie może absolutnie; wypadłoby bowiem dla oszczędzenia wątpliwéj nieraz wartości lasu, przy wielkim rozmiarze służebności, całe gospodarstwo większego właściciela zniweczyć. Propozycya P-a Górskiego, ażeby wynagradzać służebności leśne takim tylko lasem, z pod którego grunt zdatny jest do uprawy rolnéj, lub na łąkę, zdaje się, obok słuszności mieć więcéj praktycznego znaczenia. Nam się jednak zdaje, że w in-

(1) „Ateneum.“ Styczeń r. 1876.

teresie krajowego leśnictwa byłoby pożądaném, ażeby, gdy wynagrodzenie za służebność w jednych dobrach znaczną przestrzeń lasu może stanowić; a przynajmniéj taką, która już się choć do niewielkiego gospodarstwa nadaje (tém bardziéj, że dla włościan dłuższa niż 5o letnia koléj wcale nie jest potrzebną), żeby ta przestrzeń, uważaną była za własność jednéj lub i kilku gromad i obowiązkowo pod kulturą leśną na korzyść tychże gromad i pod dozorem rządowego leśnictwa pozostała. „Kapitał w leśnictwie", powiada Roscher, „polega głównie na oczekiwaniu, a w tém wieczyste osobistości najwięcéj znaczą. Cokolwiek tylko nowsi ekonomiści mają do zarzucenia fideikomisom ziemskim, wszystko to prawie nie odnosi się wcale do *fideikomisów leśnych*, albo bardzo mało. Lasy instytutowe i gminne, mianowicie gmin wiejskich, najwcześniéj i najściślejszéj poddane były opiece policyjnéj; w najnowszych prawach podział lasów gminnych powszechnie jest jeszcze zabroniony."

W zachodnich państwach jeszcze w XVII i XVIII wieku opieka prawna nad lasami prywatnemi najszerzéj była ustanowioną. W początkach naszego wieku zaczęto tę, może już za ostrą w niektórych miejscach kuratelę, zwalniać, i to tém bardziéj, im więcéj było gdzie lasów rządowych i im lepiéj były one w kraju rozdzielone. „Gdzie takie lasy (Roscher) całkowicie, lub połowicznie publiczne, zapewniają znakomitą ilość narodowéj potrzeby drzewa, tam prywatnym posiadaczom lasów może być dozwolony nawet *karczunek*, bez niebezpieczeństwa, pod dwoma warunkami: 1) aby o każdym zamierzonym karczunku rząd naprzód otrzymał wiadomość, a to w celu, iżby te przestrzenie lasów, które z geograficznych względów za *potrzebne uważa*, zwyczajną drogą *wywłaszczenia* w swoje posiadanie mógł zająć; 2) aby każde wykarczowane miejsce w przeciągu czasu prawem oznaczonego, albo na nowo na las zapuszczone, albo pod porządną uprawę użyte zostało." Takie to warunki oględności podaje ekonomia nawet przy obfitości lasów rządowych i publicznych. Na nieszczęście pierwszych już bardzo mało, drugich (martwéj ręki) wcale nie mamy.

„Gdzie handel dobrami," powiada tenże cytowany autor, „stał się grą giełdową, to jest gdzie się dobra kupują nie dla tego, aby w nich gospodarować, lecz aby je szybko znowu odprzedać, a przewyżkę schować do kieszeni, tam i rolnictwo upada. Jednakże co do lasu, takie nadużycie jeszcze jest niebezpieczniejsze, i prędzéj można je przypuszczać, tak że z powodu ogólnego charakteru gospodarstwa leśnego, utrudnienie zmiany posiadania, ma raczéj korzystne niż szkodliwe skutki. Cóś podobnego rozumie się i o podziałach."

Na nieszczęście i to stadyum fatalne, wyrażające się w handlu dobrami, już przeżyliśmy a raczéj obecnie jeszcze przeżywamy, z tą może różnicą, że już dziś to chyba handel jest upadkiem.

Po rozwiązaniu serwitutów, może parcellacya częściowa od téj choroby nas uleczy i podźwignie gospodarstwo narodowe, gdy niektóre z większych własności, dzisiaj wycieńczone i bezsilne, pokryją się zdrową siecią takich kolonialnych gospodarstw, jakich stan kwitnący stanowi najpiękniejszą ozdobę Prus książęcych.

Julian Łapicki.

KRÉSY UKRAINNE

PO „LICHOLECIU" — DO „RUINY."

(*Dokończenie*).

Kulisz—Istorija wozsojedinlenija Rusi. Tom. I i II. S. Peter. 1874.—Tom III. Mosk. 1877.

Archiw jugo-zapadnoj Rossii. Cz. III. Tom I.—Izsledowanije o Kozaczestwie W. Antonowicza. Kij. 1863.

Szajnocha—Dwa lata dziejów naszych 1646, 1648. Tom I. i II. Lw. 1865 i 69.

Źródła dziejowe Tom V-ty. Lustracye królewszczyzn Ziem ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy z pierwszéj połowy XVII wieku — wydał A. Jabłonowski—Warsz. 1877.

W zarysie poprzednim (1) zatrzymaliśmy się na uwadze, że potężniejąca z każdym rokiem, w całym ciągu pierwszéj połowy XVII wieku, namiętna walka socyalno-ekonomiczna możnowładztwa z ludem poddanym na kresach ukrainnych, osobliwie z obróconém mocą konstytucyi sejmowéj r. 1638 w chłopów kozactwem, wywołała, łącznie z innemi przyczynami bardziéj politycznéj i moralnéj natury straszliwe wstrząśnienie powszechne, pamięć którego przechowała się żywo do dziś u ludu w pełnéj złowrogiego znaczenia nazwie— „ruiny."

Otóż istotnie, w rozpasaném starciu się żywiołów, jakie ów okropny kataklizm, owę ruinę sprowadziło, działały przyczyny nie

---

(1) Patrz „Aten." Sierpień, 1877.

tylko ekonomiczne i socyalne, które wyżéj rozważaliśmy, nie tylko polityczne, lepiéj od innych znane, lecz nadto przyczyny ze świata bardziéj idealnego, a zawierające się wszystkie w jedném ogólném haśle: „ne popustymo Lachowi Polszczy, poki naszoi żyznosti"! Na prawdę bowiem, jakkolwiek była to walka społeczną przedewszystkiem, niepodobna przecież nie przyznać, do pewnego stopnia, czynnego współudziału w onéj roznamiętnieniu, pierwiastków religijnych i narodowych. Co więcéj, niepodobna nawet zrozumiéć należycie charakteru owéj burzy rozszalałéj, co tak skołatała była rzuconą na wodę wichrów nawę Rzpltéj, bez uwzględnienia rodzaju i stopnia potęgi pierwiastków owych w grze żywiołów wielostronnéj.

To właśnie ma być dalszym zadaniem naszego zarysu.

Świeżo wydany tom III-ci znanego dzieła p. Kulisza, którego treść stanowi: „Ruch religijny, socyalny i narodowy w epoce Hioba Boreckiego", znacznie nam to ułatwia a nawet obfitość tam wielka mniéj wiadomych szerszemu kołu szczegółów, wzbogacona nadto głębokiemi nieraz wielce uwagami autora, usiłującego być w tym zakresie bezstronnym, robi go teraz wyłącznym prawie naszym przewodnikiem.

Dotykając zawiłego procesu tworzenia się kozactwa, staraliśmy się przy okoliczności określić wyraźniéj znaczenie istotne wpływu pierwiastku religijnego, zarówno w genezie onego pierwotnéj, jak i w powszednim daléj bycie. Przypominamy więc teraz: o ile strona religijna życia była, dla zdziczałych a tak różnéj krwi mołojców stepowych, zupełnie prawie obojętną; oraz jak życiowa poezya Zaporoża obywała się najswobodniéj bez wszelakich form religijnych. Ależ kozactwo wtedy nie było jeszcze tak przemożnym jak późniéj wyrazicielem ukrainnéj Rusi. Ludność zaś mniéj ruchoma, zasiadła, snuła daléj bez przerwy odziedziczone po przodkach podania, utrzymywała stary obyczaj, żywiła dawne uczucie religijne, które krocząca zdobywczo naprzód unia religijna tylko podniecać mogła tém bardziéj.

Unia religijna dwóch przeważnych obrządków w Rzeczypospolitéj, dokonana w Brześciu litewskim r. 1596, jako wynik poważnych przyczyn politycznych, cywilizacyjnych i moralnych, spoczywających na dnie życia ówczesnego społeczeństwa staréj Rusi, posiadała w pierwszéj dobie swojéj siłę, rzec można, niezwalczoną prawie. Wszystko się składało, aby ją popierać: potrzeba wydźwignięcia cerkwi wschodniéj potrzeba zabezpieczenia jéj, narówni z kościołem zachodnim, ze strony podnoszącéj śmiało głowę reformy, daléj sama

nieodzowność wyników unii polityczněj, prowadząca do coraz ściślejszego zbliżenia się moralnego, przy dokonaném już dawniéj przyjęciu form cywilizacyi zachodniéj przez wyższe warstwy społeczności ruskiéj; co więcéj pragnienie zapewnienia powagi na zewnątrz i swobody wewnątrz samych hierarchów cerkwi itd. itd. Dziwić się tylko przychodzi, że zagrożone tak zewsząd błachoczestye mogło się jeszcze zdobyć w sobie na jakąś siłę odporu.

Odpór oczywiście był od początku i być musiał: unia potrąciła zanadto wiele interesów moralnych i materyalnych, by przejść spokojnie w życie, nie wywołując wcale przeciwdzialania; moc faktyczna atoli owego przeciwdziałania była zupełnie nadspodziewaną i prześcignęła wszelkie rachuby przeciwników błahoczestya, a może i nadzieje samych jego obrońców.

Bo i zkąd się ta moc wziąć miała?

Znaczna większość możnowładztwa i szlachty ziem ruskich ziem kresowych, do któréj to ostatniéj należało i wyższe duchowieństwo błachoczestywe, widziała w unii rękojmę ściślejszego politycznego zespolenia się ludów jednéj już Rzpltéj i popierała szczerze jéj sprawę. Rozgłośne, wrzawne protesta i manifesta możnych przeciwników unii, w rodzaju kniazia Bazylego z Ostroga i jemu podobnych, prędko bardzo przebrzmiały bez skutku: i bodaj czy wielce daleką będzie od prawdy istotnéj owa uwaga, goryczy pełna, iż tém głośniejszą podnoszono tu zwykle wrzawę, im drożéj chciano się sprzedać a osiągnąwszy cel, pożądane dygnitarstwa, mijano unią i wstępowano wprost na łono kościoła rzymskiego. Kozactwo ze swojéj strony zbyt z zaporozka patrzyło na sprawę tak dlań idealną jak religia, by się ujmować za czémkolwiek na prawdę. Oto nie tak dawno jeszcze (1618), pomagając królewiczowi Władysławowi w wyprawie moskiewskiéj, sam: „okajannyj wsepahubnyj wrah Petr Sahajdacznyj naczalnyj wsepahubnamu worowstwu i razoritel moskowskoho hosudarstwa, wnezapu priide swoi swoimi na Chrystowa stado, i jako zmii i lutii wołcy chmyznicy... ludi Bożyi... usty miecza pojadosza, i sich krowiju zemlu obahrysza, a monastyry i cerkwi Bożyi razchitisza i ohnem sożhosza...“ Lud zaś wieśniaczy, poddany, na kresach ukrainnych, nie tylko iż stanowił masę bezsilną, bez spójni, lecz nadto w głębi swéj duszy był obojętnym dla rzeczy hierarchii niby jedynie dotyczących. Pozostawało mieszczaństwo z drobną szlachtą i monastery starożytne. W nich téż właśnie znalazł się zaczyn owéj mocy, która, przy sprzyjających okolicznościach, wyrosła powoli na potężną opozycyą przeciw unii i nie dopuściła jéj do zdobycia sobie tak blizkiego już napozór wszechwładztwa na Rusi.

Mieszczanie miast ruskich, owi przyrodzeni strażnicy świątyń starożytnych, zgrupowani koło nich w korporacye religijno-przemysłowe, w porównaniu z wieśniakami bogaci, w porównaniu z kozakami „stateczni,“ u władz samych „sławetni“, pierwsi istotnie poważyli się wziąć na siebie inicyatywę wydźwignięcia cerkwi z tego upadku, do jakiego była ona doszła pod patronatem pańskim. Ocalenie błahoczestya było wprost ich interesem, tak moralnym, jak i materyalnym: podtrzymanie zaś onego symbolów widomych, świątyń—zadaniem tak powszedniém jak zabezpieczenie własnego majątku.

Środki do walki ułatwiała sama organizacya polityczno-społeczna ówczesnéj Polski.

Rzplta polska nie była właściwie ani monarchią ani republiką, lecz raczéj federacyą, albo, jak charakterystycznie określa to badacz Ukrainy, rzeczą monarchii i republiki, istniejących obok siebie na zasadzie nieinterwencyi. Otóż, skoro tylko unia religijna została ogłoszoną, cerkwie, prawo patronatu nad któremi należało bezpośrednio do króla, albo natychmiast oddano faktycznie w ręce hierarchów zuniowanych, lub téż co najmniéj rozciągnięto nad niemi, z mocy prawa, ich władzę. Podobnie jak król w swych królewszczyznach, postąpili sobie oczywiście na téjże legalnéj zasadzie, przychylni unii panowie w swych dobrach dziedzicznych. Lecz w obec tego, z równą samowolą nieograniczoną, panowie ruscy, oddani reformie, zamieniali cerkwie na zbory protestanckie lub je zamykali, jako przybytki zabobonu; pozostający zaś do czasu w błahoczestyju najswobodniéj utrzymywali podawnemu cerkwie w swych majętnościach, pod zwierzchnictwem konstantynopolskiego patryarchy. Póki więc ruscy kniazie i ziemianie możni pozostawali wiernymi wierze przodków, nikt nie poważył się wkraczać w zakres ich prawa patronatu: byli oni w swych dobrach dziedzicznych takimi monarchami, jak król w swoich królewszczyznach.

Stosunek rzeczypospolitych miejskich, wśród tych zrzeszonych pod najwyższém zwierzchnictwem króla monarchij szlacheckich, był odmienny; zależały one najzupełniéj od króla lub od magnatów, i z mocy prawa, w rzeczach religijnych nawet, musiały ulegać ich władzy. Miasta znaczniejsze wszakże, jako ogniska ruchu przemysłowego, zamożności i wyższéj oświaty, posiadały swobodę legalną i faktyczną wcale rozległą. Zgodnie ze znanym charakterem ogólnym instytucyi Rzpltéj, stanowiły one forum, na którém były rozważane kwestye wiary i saméj polityki, w całéj onych rozległości, bez oglądania się zupełnie na władzę najwyższą i wolność zgromadzeń ludowych; wolność osobista, wolność słowa i druku, przyznaje szcze-

rze pan Kulisz, były tam nieograniczone. Korzystali tedy ze swych praw mieszczanie większych miast królewskich, i wiemy, jak dzielnie na razie bronili starożytnego ojców obyczaju przeciw nowatorom. Ale téjże broni i z równą swobodą używali podobnież ich przeciwnicy, w samém łonie ich magistratów, mając za sobą wyższość poparcia z góry. Walka tedy nie słabła.

Lecz, mimo całéj wagi, jakiéj nabrała daléj, zachwiewana jest wciąż przez przeciwników błahoczestya, stałość mieszczan kresowych ziem ruskich; nie im przynależy się zasługa zwycięstwa nad własną słabością i potęgą zręcznych w swém zadaniu ich wrogów. Doradcami ich postanowień w chwilach wyższego przejęcia się uczuciem religijném, ożywicielami ich ducha w chwilach ostatecznego upadku, byl ludzie, co się byli schronili od wrzawszego zgiełku życia za mury monasterskie. Jednakże nie łatwo jest na pierwszy rzut oka zrozumieć potęgę moralną ówczesnych monasterów błahoczestywych Rusi kresowéj.

Już w połowie wieku XVI, djak hospodarski, sumiennie surowy, Lew Patyjewicz Tyszkowicz, w sprawozdaniu swém z odbytéj rewizyi zamków ziemi Wołyńskiéj, obejmującéj wtedy Bracław i Żytomierz, w sposób następny się odzywa (źródła dziejowe t. V. str. 88),

„O tych wszystkich monasterach my tak rozumiemy, iż oni (kniazie i władyki), nie dla żadnéj chwały Bożéj lub modłów za hospodara, wyprosili je sobie i trzymają, ale ku wielkiemu grzechowi i łakomstwu swemu. A to dla tego, że jakie pożytki i dochody przedtém z siół monasterskich na cerkiew Bożą bywały, i z czego bracia i sługi cerkiewne monasterskie pożywienie miewali i modły nieustanne za hospodara czynili, wszystko to oni teraz na siebie obrócili i z tego sobie pożytki rozmnożyli: a nie przestając na włościach i siołach, jeszcze się i w domy Boże pokusili. A w tych monasterach teraz nie tylko, aby chwała Boska i modły za hospodara być miały, po staremu, albo bracia mieli na czém mieszkać, ale w inszym monasterze i czerina nie masz, jedno pop prosty, a w tém nikomu innemu, tylko hospodarowi JMci i grzech i szkoda.“

Dosyć, gdy tu dodamy, iż opłakany stan podobny stał się normą odtąd nadal, wyczekując stanowczéj jakiéjś odmiany.

Gdy przyszła unia, owę odmianę zapowiadająca, przeobrażenie społeczności monasterskiéj błahoczestywéj na społeczność zuniowaną, stało się jak robi słuszną uwagę p. Kulisz, zupełnie pod warunkiem ni etykalności majątkowéj, możliwém; co więcéj skutkiem

potrzeby samozachowania, nawet niezbędném niejako. Społeczność bowiem monasterska przedstawiała zgromadzenie ludzi obcych sobie wzajem co do rodu i pochodzenia, a nawet co do wspomnień miejscowych. Dogmata święte i artykuły wiary nie wyzwalały ich, jak to zwykle bywa, od mniszéj zawiści i swarów. Jednomyślności było wśród nich nie wiele. Przy takich warunkach, zamiana starych dogmatów i wierzeń na nowe, przynoszone przez łacinników, stawała się niby tak łatwą, jak zamiana staréj odzieży zużytéj na nowe szaty ozdobne. Brak wyższéj nauki, brak owéj moralności, jaką nadaje stosunek z warstwami oświeconemi, brak nakoniec spójni pomiędzy monasterami, gdy nie istniało wcale administracyi ogólnéj, wszystko robić się zdawało z braci zakonnéj, szczególnie pieczarskiéj w Kijowie, gotową zdobycz kuryi rzymskiéj.

Lecz, ciągnie daléj tenże badacz, za pośrednictwem jakichś nieznanych historyj dokumentalnéj spójni, serca tego zgromadzenia obskurantów, odrzuconych przez tak zwane wyższe towarzystwa, łączyły się, na całéj przestrzeni Rusi, a nawet po za jéj granicami, z najdroższemi wierzeniami i nadziejami ciemnego i napółciemnego ludu; jakaś niewidzialnie pracująca siła robiła, owe rozosobnione społeczności monasterskie, pulsem ludowych sympatyj i antypatyj; jakiś duch wieszczy, jakby podniesiony do wyższych potęg duch miast i siół ruskich, skupiał się w ludziach, co się oddalili od świata w imię zbawienia, i w chwili najsilniejszego nacisku obczyzny, stawał jako niezwalczony pierwiastek żywotności rozprzężonego organizmu społecznego. Cud ten historyczny, tém więcéj jest uderzającym, iż objawił się on w chwili najbardziéj stanowczych i zręcznych działań falangi jezuickiej, dowodzonéj przez tak wymównego Skargę, podtrzymywanéj przez króla, pobłogosławionéj przez głowę świata katolickiego i, co najważniejsza, zostającéj pod opieką takich ludzi jak Lew Sapieha. Jako wyraz siły, przejawiającéj się w niemocy, wprawia on historyka w zdumienie; gdy nawet metropolia monasterów ruskich, znakomity przybytek błogo. Antoniego i Teodozego, przedstawia mu w XVI-m wieku szereg faktów chaotycznych i odstręczających. Zaiste, były one odstręczające, chaotyczne, odejmujące wszelką nadzieję, owe fakta i prawdziwość ich dokumentalna, zaręcza o tém głęboki znawca przeszłości Rusi, niepodlega najmniejszéj wątpliwości.

Roztoczenie wszakże całego obrazu w szczegółach, zbyt dziko dramatycznych nieraz, za dalekoby nas odprowadziło od głównego przedmiotu obecnego zarysu; dość tu przypomnieć powyższy sąd ogólny niepodejrzanie gorliwego wyznawcy błahoczestya, komisarza królewskiego Lwa Tyszkowicza.

Niewiele też pomogło pieczarskiéj braci zakonnéj wyrobienie przywileju królewskiego, mocą którego mieli oni odtąd prawo wybiérać sami swego archimandrytę, a monaster uwolnionym został z pod opieki wojewody kijowskiego, tudzież dawnych swych patronów, kniaziów, panów i ziemian ziemi kijowskiéj; ani rozprzężenie i nadużycia wewnątrz, ani wdzierstwa z zewnątrz nie ustawały.

Lecz kiedy wystąpiła groźnie, najprzód reforma religijna, porywająca, jak wiadomo, ruską szlachtę nieporównanie daléj, niż dała się unieść bracia jéj z ziem piastowskich; a potém unia, tyle dla jéj większości pożądana, wszystko się zmieniło na górze pieczarskiéj sędziwego Kijowa.

„Ławra" kijowska, jako macierz i rozsadnik zgromadzeń zakonnych po całéj Rusi, od czasów najstarożytniejszych, uczuła naraz spoczywający na sobie cały ciężar moralnéj odpowiedzialności, jeżeliby dozwoliła bez boju, przekazany od przodków obyczaj zniweczyć.

Bracia pieczarska, powiada nam dosadnie p. Kulisz, składała się nie tylko z intrygantów i smakoszów jedynie: zawsze, we wszystkich epokach istnienia swego, zawierała ona w swym składzie, rzec można, sól ziemi własnéj, zawierała wszystko najlepsze, co życie ruskie wyrobić było zdolném. Zrozumiała ona też należycie niebezpieczeństwo swego położenia w obliczu groźnych przeciwników, i tak szybko zmieniła dotychczasowy charakter swéj działalności, jak gdyby odrazu wytrzeźwiła się z przygniatającego ją oszołomienia, lub zerwała się na nogi z nieprzytomnego snu, pełnego dzikich przywidzeń. Świadectwa historyczne, wczoraj jeszcze, przedstawiające owo zgromadzenie zakonne w upadku, okazują nam je naraz jako silną, energiczną społeczność, bez żadnego przejścia prawie od jednego przeciwieństwa do drugiego. Oczywiście, iż zaszedł w jego łonie nieznany historyi przewrót wewnętrzny, skutkiem którego ludzie, umiejący godzić się z możnymi, poddali się tym, co posiadali ascetyczną niepodległość względem władców tego świata. Pobożne obyczaje, wyrobione mnogiemi pokoleniami braci monasterskiéj, wróciły do życia; i archimandryta ławry pieczarskiéj, otoczony uznaniem braci, wystąpił teraz jako przedstawiciel woli ogólnéj, nie zaś jako despota, mający na celu jedynie osobiste swe widoki, jak to było zwykle dotąd.

Mimo atoli owych pozorów mistycznych tak nagłego przeobrażenia się usposobień, w główném ognisku upadającego i zagrożonego zewsząd błahoczestya, dokonało onego przecie zespolenie przyczyn zbyt dotykalnych, co więcéj przyczyn nieprzerwanie działających. Najprzód, w samém łonie duchowieństwa Rusi, niezależnie

od ścisłego związku cerkwi kijowskiéj z resztą ognisk wschodniego kultu, energia podtrzymywania przy życiu staréj tradycyi religijnéj i obrzędowéj nigdy nie słabła aż do stopnia odrętwienia. A gdyby nawet kiedy pozornie nie daleko już było od tego, obudziłby ją napewno głos jaki pustelniczy od Góry Świętéj idący, któréj znaczenie w dziejach życia religijnego i moralnego wszystkich w ogóle Słowian wschodniego obrządku dobrze jest znaném powszechnie. Istniała téż między Kijowem a mniszą, pod opieką Turków zostającą rzecząpospolitą góry Athos, żywa nieprzerwanie spójnia, od czasów niepamiętnych. I teraz właśnie, w tak ciężkiéj dla błahoczestya dobie, obok poruszenia gorączkowéj działalności misyi jałmużniczo-apostolskich, odczuwał się ztamtąd piorunująco głos czczonego wysoce dla swéj świątobliwości ascety, zwanego Janem z Wiszni. Zresztą zamierzona unia religijna metropolii kijowskiéj z kościołem rzymskim w obrębie Rzeczypospolitéj, wyzywała do namiętnego przeciwdziałania cały świat grecki; z pobudek wcale nie tak idealnych, jak gorliwość ruskich kalagerow z Góry świętéj. Patryarchat grecki, oczywiście, tracił z powodu unii, dawne swe prawo sumiennie, po zwyczaju, dokonywane nieograniczonego eksploatowania Rusi, tyle znanéj ze swych szczodrych usposobień. Nakoniec nie patrzyły téż obojętném okiem na to, co się działo w ziemiach ruskich Rzeczypospolitéj, ani patryarchat moskiewski, ani duma bojarska carów.

Wszystkie te przeróżne przyczyny i okoliczności, w najściślejszym związku z sobą zostające, złożyły się na to, aby wśród uciszonéj już od wyłącznych trosk o rzeczy tego świata braci zakonnéj głównego monasteru Kijowa i całéj Rusi, rozbudzić powoli śmiałą naprawdę, jeśli nie zuchwałą myśl przywrócenia w obec ustalonéj już i uznanéj przez władze Rzeczypospolitéj hierarchii zuniowanéj, dawnéj hierarchii błahoczestywéj z osobnym metropolitą na czele. Wiadomo téż, iż patryarcha jerozolimski Teofan, w powrocie swym z Moskwy r. 1620, gdzie był ojca carskiego Filareta poświęcił na patryarchę, wyświęcił podobnież w Kijowie hierarchów wznowionéj metropolii dyzunickiéj. Surowy, uczony Hiob Borecki, główny promotor anty-unickiéj opozycyi, został metropolitą. Stanowczość taka nie uszłaby wszakże bezkarnie nowym dostojnikom cerkwi, urągającym władzy królewskiéj, i cała robota owa byłaby na pewno zniweczoną, gdyby nie osłonił jéj, jakeśmy już wskazywali powagą i grozą swego imienia sam Sahajdaczny, po za którym przyzwyczajono się oddawna widzieć całe kozactwo.

Nie zawadzi tu przypomnieć także, że gdy patryarcha Jerozolimy żegnał się w Buszy podolskiéj z odprowadzającymi go do

granicy wyświęconymi przez się hierarchami, którym towarzyszył Konaszewicz z 3-ch tysięcznym orszakiem, nie mógł on się powstrzymać od zrobienia świątobliwéj uwagi „religijnemu" kozakowi, by téż przecie już nie chodził wojną na Moskwę „naród chrześciański."

Zadanie hierarchów dyzunii z Boreckim na czele było wszelako zbyt trudném: potęga jaką posiadali przeciwnicy zdawała się być nie do przezwyciężenia. Mniejsza o potęgę faktyczną, materyalną, ta w walkach religijnych zwykle bywa mniejszego znaczenia; unia posiadała nadto potęgę moralną, co było daleko skuteczniejszém. Na czele zuniowanéj metropolii kijowskiéj, po Rohozie i Pocieju, stanął od r. 1613 człowiek wyższy, bez zarzutu, Józef Weliamin Rutski, z którym walka stawała się prawie bezowocną.

Był to człowiek surowych obyczajów, niepodejrzanéj świątobliwości, łagodnego charakteru, rozumny, wykształcony i szczerze, głęboko oddany wielkiéj idei, tak religijnego jak i cywilizacyjnego zjednoczenia. Rozpoczął on swą pracę najprzód od reformy zakonu bazyliańskiego, który zapełnił światłymi ludźmi. Z ich pomocą zapewnił téż odrazu silną przewagę cerkwiom unickim nad błahoczestywemi. Walka religijna na Rusi czerwonéj i Wołyniu, pod jego cichym wpływem, straciła, opowiada p. Kulisz, swój charakter wojowniczy, jakim się odznaczała w czasach Pocieja; stała się ona walką dyplomatyczną przedewszystkiém.

Powoli umilkły niepokojące wieści o Lwowie i jego bractwie energiczném. W społeczeństwie tameczném dyzunia zdobyła sobie ową dwuznaczną tolerancyą, która odznaczała dom księcia Ostrogskiego, a jaką on zalecał również bractwu lwowskiemu, na zamknięcie wszystkich swoich czynów rozgłośnych w obronie wiary. Jakby téż na skutek jego rady przedśmiertnéj, rozpoczął się pomiędzy uniatami i dyzunitami kompromis, biegunowo przeciwny zaleceniom Jana Wiszeńskiego i programowi aktu synodalnego z r. 1621 pod tyt. „Sowitowanje o błahoczestyi."

Sprawcami owego dobroczynnego jakby pojednania stawali się we Lwowie zacni katolicy, jak Zamoyscy i Żółkiewscy, których przodkowie istotnie, czy domniemanie, trzymali się cerkwi wschodniéj, i którzy szlachetném swém postępowaniem, swém nieskazitelném życiem chrześciańskiém, swemi tradycyami rodzinnemi, łagodzili niechęć stronników starożytnego ruskiego błahoczestya ku zmianie obrządku. Rzeczy przybrały więc tego rodzaju zwrót, iż wyznawcy wschodni, zmieniając religią, stawali się przez to jakby lepszymi, nabywali większéj powagi, wpływu, i mogli więcéj przynieść pożytku ziemi rodzinnéj od tych, którzy, pozostając w dyzunii, pozbawiali

się możności ściślejszego stosunku z władzą najwyższą, a zatém i wpływu dobroczynnego na sprawy publiczne. Kijów jeden trzymał się długo uporczywie, niewzruszenie: ku téj więc stronie zwróciła się niezmordowana działalność cicha Rutskiego.

Wpływ ojca Weliamina okazał się wprędce i tutaj stanowczym. Doszło do tego, że po smutnéj a znanéj dobrze katastrofie witebskiéj i śmierci gorliwego propagatora unii, Józefata Kuncewicza, gdy panika represyi ogarnęła wszędy mieszczaństwo dyzunickie, wójt miasta Kijowa Chodyka ze swymi sławetnymi rajcami począł był r. 1624 już pieczętować cerkwie błahoczestywe. Oczywiście, nie było to wynikiem jakiegoś fanatyzmu religijnego: fanatyzmu—robi tu przy okoliczności głęboką uwagę badacz przeszłości Rusi—lud ruski niemiał, nie tylko dla tryumfującéj unii, lecz nawet dla prześladowanego błahoczestya; wójt z towarzyszami powodowali się wprost widokami praktycznéj doniosłości. Późniéj zaś nawet, gdy zamach Chodyki został przy pomocy czeredy kozaczéj zniweczonym, mieszczanie kijowscy, pociągani wystawnością obrzędów unickich, obliczonych na to „aby harno buło dywytysia," chętnie opuszczali cerkwie swe dyzunickie, mimo zgorszenia i smutku metropolity Boreckiego.

Opuszczali go i co zdolniejsi jego towarzysze i współpracownicy, jak główny Meletyusz Smotrycki, Kassyan Sakowicz i wszyscy wyżsi umysłem i wykształceniem. Zdawało się, iż opozycya dyzunicka nie znajdzie już podpory moralnéj nigdzie, ludzi zabrakło.

Gdy w r. 1624 książę Krzysztof Radziwiłł, głowa protestantów litewskich, mając zamiar założyć w Słucku szkoły łacińskie, z wykładem w nich zarazem „ruskich nauk," prosił Boreckiego o przysłanie mu człowieka uczonego i trzeźwego, najwyższy pasterz dyzunii w sposób następny z goryczą mu odpowiedział: „Zaiste tu.... rara foenix in mundo, drogi dyament między kamieńmi i złoto między kruszcami, rarior i droższy z obiema, z nauką, trzeźwością i cnotami człowiek między nami, iż mię aż i nader wstyd, że siła kusząc się, i przy samym boku swoim, krom jednego prostaczka, wychowańca swego, od narodu uczonych dla spraw sądowych nie mogę mieć żadnego."

Zręczny a niezmordowany Rutski, sięgający przenikliwym swym wzrokiem daleko w przyszłość, gotował dyzunii cios stanowczy i z innéj jeszcze strony. Ocalał, pomiędzy innemi, ciekawy niezmiernie akt z r. 1624 pod tyt. „Instrukcya tym, kotoryje majut jechaty do Kyjewa, dla znesenja sia z preeminentami storony protywnoi", z którego dowiadujemy się, iż obiedwie strony żywo traktowały o przyjściu do jakiegoś kompromisu, przez utworzenie w obrębie

Rzeczypospolitéj osobnego patryarchatu na wzór istniejącego już w Moskwie, a któryby niebezpieczne wpływy onego na zawsze zniweczył. Chociaż atoli zamysł ten rozległy do skutku nie przyszedł, jednak same powzięcie onego i poważne roztrząsanie jego użyteczności dla społeczeństwa, zwącego się jeszcze w owe czasy „narodem ruskim,“ nie tylko uciszało światlejszych przeciwników unii, lecz nawet, przy zmieniającym się ogólnie prądzie umysłowym, jednało ich bardziéj dla saméj zasady.

Nie było tedy wyjścia dla przewodników dyzunii, trzeba było ustąpić lub chwycić się środków obrony, wychodzących po za zwykły zakrés walk religijnych. Borecki, ze wstrętem może, lecz nie wahał się takowych użyć.

Znanemi są dobrze jego tajemne stosunki z carem moskiewskim i patryarchą Filaretem; wszakże, oprócz moralnego poparcia, nic one więcéj na razie dać nie mogły. Pozostawało jedynie skryć się, jak pisał do cara właśnie „pod kryli chrystolubiwoho woinstwa czerkasskich mołod’ców.“ Stanowcze przystąpienie r. 1624 wójta Chodyki do pieczętowania cerkwi błahoczestywych w samym Kijowie, zmusiło go po raz pierwszy do tak hazardownego i gorszącego w jego własnych oczach kroku. Ale przecie, gdy ten metropolita zaimprowizowany napisał na Zaporoże, że przeciwnicy jego zamierzają „łamać chrześciańską wiarę“ w Kijowie, hetman przysłał tam dwóch pułkowników, którzy, zwoławszy pobliższą „hołotę“, cerkwie odpieczętowali i dopełnili po swojemu wymiaru sprawiedliwości nad panem wójtem i jego towarzyszami.

Poczém nadto tak ścisnęli kozacy samych czerńców nikolskich na ich ziemiach, że ci aż hetmana Koniecpolskiego musieli błagać o obronę. Lecz pierwszy krok był zrobiony! Oczywiście „hołota“ ta wynagrodziła sobie zaraz przy téj okoliczności, za swą gorliwość w sprawie domu Bożego, zwykłą w podobnych razach grabieżą kramnych komor i dworów mieszczańskich.

Niedawno jeszcze, kiedy zdecydowano się, w obliczu zwanego przez władzę najwyższą metropolity unickiego, wyświęcić metropolitę dla dyzunitów, od kozaków skrywano akt wyświęcenia zupełnie tak samo, jak od przeciwników błahoczestya. Obrzędu tego dopełniono tajemnie, bez wszelkiéj uroczystości, w obecności tych osób jedynie, które, podobnie jak Sahajdaczny, mogły pojmować stronę wewnętrzną, społeczną, tego czynu. Powaga religijna nakazywała sprawcom onego zapobiedz starciu się, skorego do rozboju i grabieży tłumu, ze stronnictwem uniackiém, które swemi dostatkami, więcéj niż czémkolwiek, obudzała w kozakach „typową“, nazywa p. Kulisz, chęć „bytysia z Lachami.“ Konaszewicz pomógł sprawie

téj tak wielkiéj doniosłości samém imieniem jedynie spółtowarzyszy sławy swéj wojennéj, zachowując surową ich siłę dla surowych przedsięwzięć. Mimo wszystko, niebawem przecie wypadło bronić bardziéj skutecznie tego, co się udało wyrwać z rąk zdobywców.

Długo się atoli ociągano z odwołaniem się do siły kozaczéj; taki był wstręt powszechny społeczeństwa „statecznego“ do wiązania się z zaporozkiém bractwem.

Mieszczanie nawet błahoczestywi, chociaż oddawna i niejednokrotnie odgrażali się swym przeciwnikom bratczykami niżowymi, lecz w istocie rzeczy nie wiedzieli, która z trzech hord była dla nich niebezpieczniejszą: tatarska, żołnierska, czy kozacka. Jeśli kozacy byli wstrętni co się zowie dla gospodarnéj szlachty, nie mniéj przecie od téj szlachty unikali łupieżników owych oddani przemysłowi mieszczanie. Niezależnie od wyznania wcale, sławetni rajcowie miejscy patrzyli na nich jak na zgoniny społeczności „statecznéj.“ Że zaś ci nieprzywiązani niczém do ziemi łupieżnicy, wyzyskujący z bronią w ręku zarówno chrześciańskie jak muzułmańskie kraje, nie mogli téż i względem religii stawić się inaczéj, niż jak się stawili względem niéj zbóje wszystkich czasów i narodów, nie podlega to, utrzymuje surowy ich sędzia Ukrainy, żadnéj wątpliwości. Wprawdzie nieraz przyjaciele monastérscy kozaków wmawiali im, iż w walkach z Lachami kładli oni właśnie głowy swe za błahoczestye święte, i podobało się łupieżnikom odegrywania od czasu do czasu roli obrońców cerkwi; ale nic nadto.

W całéj literaturze, drukowanéj i pisanéj, jaka była powstała z powodu walki z unią, nie ma wspomnianego ani razu imienia nawet kozaków, jako obrońców starożytnéj cerkwi i błahoczestya. Próżno marzył gorliwy Hiob o założeniu biskupstwa w Czerkasach dla kozackiéj Ukrainy, bezpiecznéj zupełnie od wpływów unii; nie zdołał on nawet mimo częstych swych wypraw osobistych na rady kozackie, dla zebrania jałmużny na budowę cerkwi, oraz wysyłania swych zaufanych między horodki kozacze na porohy, w ciągu swego archijerejstwa, zebrać tyle choćby w tych pustyniach pieniędzy, aby wznieść przy monasterze ś. Michała dzwonnicę murowaną. Bez względu bowiem na przedział tylu wieków i różnicę okoliczności zewnętrznych, kozacy naprawdę byli to zawsze ciż sami Kowuje, Torki, Berendeje, Czarni Kłobucy, których wydawały na świat pustynie ruskie, zalegające jakby otwarty gościniec, do przytulisk cichéj pracy i uspołecznienia, dla podobnéj że dziczy—Połowców i Pieczyngów. Nic ich téż właściwie wyższe zadania moralne, czy religijne, nie obchodziły, chyba czasem za powodem swych wybitniejszych przewódzców jedynie. Lecz sami nie chcieli oni znać duchowieństwa w zbrojnych swych

watahach, nawet za Sahajdacznego, mając w tém swe „pohańskije worożki,“ „że pop na wsiakuju potrebu neszczasływyj;“ chociaż z drugiéj strony, nie jeden posyłał z Niżu do Kijowa bogate dary z łupów, w ofierze za swe grzechy.

Ale za to powołani przez toż samo duchowieństwo błahoczestywe, dla którego byli co najmniéj obojętni, do obrony wiary i cerkwi, tam gdzie było zarazem przyczém się pożywić, jak np. w sprawie powyższéj z wójtem Chodyką—bratczycy zaporozcy, hołota, nie dawali się długo prosić. Już nawet swawolne kupy Nalewajki zasłaniały się od zarzutów grabieży i łotrowstwa obroną wiary ojców uciśnionéj. I oto w tém smutném znaczeniu stawali się odtąd kozacy coraz bardziéj z cerkwią dyzunicką solidarnymi, robi surową uwagę badacz najnowszy przeszłości Ukrainy. Łupiezko-przemysłowe interesa rozjątrzonéj a pozbawionéj zasad moralnych hordy spotkały się w najbardziéj złowrogi sposób z moralno-religijnemi interesami dyzunickiéj cerkwi. „Ruina,“ co się stała we wspomnieniach ludu synonimem epoki Chmielnickiego, wylęgła się z tego przeciwnego naturze moralnéj związku.

Zresztą nienawidzili kozacy unią, jako wiarę, która odstręczała od nich jeszcze bardziéj swych wyznawców, niż sam katolicyzm, co się stał wiarą pańską per excelencyam w ich rozumieniu: a więc już dla tego i dla tego jedynie, posiadał oddawna ich całą niechęć ku sobie.

Co wszystko razem wzięte wyjaśnia dostatecznie, że wcale nie jakieś uczucie gorliwości, nakazujące rozpaczliwą obronę zagrożonéj wiary przodków, lecz jedynie rozpasana nienawiść ku wszystkiemu, co było pańskiém, a więc i ku wierze pańskiéj lub przez panów popieranéj, stanowić mogła ów tyle rozsławiony późniéj motyw religijny, jaki dźwięczał zaledwie dosłyszalnie w szalonym ryku obcych mu wcale żywiołów owéj burzy, która sprowadziła „ruinę.“ Wszelkie zaś inne rozumienie rzeczy byłoby dowodem, co najmniéj, dobrowolnéj nieświadomości strony faktycznéj dziejów ziem krésowych Rzeczypospolitéj.

Podobnéj nieświadomości przyświadcza również naiwne bardzo a tak powszechne powtarzanie, jakoby lud wiejski brał czynny udział w wywołanéj przez unią walce religijnéj. Błędne to dotychczasowe pojmowanie rozprasza przecie w niwecz zupełnie najnowszy badacz Ukrainy w jednym ze swych głębszych ustępów, do którego wielką przywiązujemy wagę, i z uwagi na doniosłą treść onego poważamy się go tu podać w całéj niemal rozciągłości.

„Zaiste, niepodobna prawie wskazać,“ powiada p. Kulisz, „czém się mianowicie wypowiedział wieśniak ruski w téj tak ważnéj epoce

dziejów jego kraju. Pośród ludzi uczonych, pośród ludzi takich, którzy starali się zamienić każdego na chodzący katechizm pewnego wyznania, rataj wiejski nie mógł się wypowiedzieć inaczéj, jak własną chyba, od przyzby, jeśli tak rzec można, przypowieścią o „tamtym świecie,“ w któréj odźwierciadlała się otaczająca go rzeczywistość. Co zaś dotyczy namiętnych wybuchów lwowskich lub kijowskich teologów, był on względem takowych dość obojętnym. Niewątpliwie, warstwa niższa ludności ruskiéj nie ustępowała co do zdolności przyrodzonych warstwom wyższym. Zamykała ona w sobie ukryte dla niéj saméj pierwiastki tego wszystkiego, co czynili mieszczanie po miastach, kozacy w swych koszach i taborach, czerńcy w monasterach a nawet szlachta na sejmach; lecz rola jéj w ruchu społecznym nie mogła być inną, jak bierną jedynie. Była ona, albo milczącym widzem walki warstw wyższych, lub też nosila na sobie sieroco cały ciężar téj walki. Historycy, pragnący,“ ciągnie daléj tenże autor, „ażeby cały naród, jak zwykle się pisało i pisze w różnych manifestach, przyjmował czynny udział w opisywanym przez nich ruchu religijnym, nie powinni zapominać, iż wieśniacy byli w owe czasy bardziéj odosobnieni niż dzisiaj; że oni, względnie do innych klas społeczeństwa, w większéj pogrążeni byli ciemności niż obecnie, że mieszczanie byli odcięci od nich swemi handlowemi, kozacy zaś wojskowemi interesami, nadto, iż zależność zupełna poddanego od jego własnego pana nie pozwalała mu działać w sprawach cerkiewnych samoistnie.

Wieśniak z czasów Hioba Boreckiego nie tylko nie przyjmował udziału w ogólnym ruchu religijnym, lecz jeśli wolno sądzić o nim, robi głęboką uwagę jego znawca etnologiczny, podług jego potomków dzisiejszych, pogrążonych we własne sprawy domowe, nie był nawet ciekawym wiedzieć o tém, co się działo za kopcami jego okolicy.

Na Ukrainie kozackiéj, to jest w kresowych miastach i miasteczkach królewskich, służących za miejsce przytułku dla żon i dzieci kozackich, kwestya religijna, jako kwestya walki socyalnéj, nie istniała wcale. Ta część świata ruskiego była zasłoniętą od stronników papieztwa przez Kijów, jako przedmurze niezdobyte. Tam wszyscy, tak mieszczanie „posłuszni“ kozacy, jak i podzamczanie, to jest włościanie przysądu starościńskiego, trzymali się bez przerwy najspokojniéj swych parochów błahoczestywych. Co zaś dotyczy ukrainy pańskiéj, oddalonéj od rozgranicza tatarskiego i dla tego gęściéj zasiadłéj, tu patronami dawnych i wznosicielami nowych cerkwi, byli nieograniczeni władzcy swych dóbr, dziedziczni panowie. Ruch więc religijny we wsiach pańskich mógł być dokonanym jedynie

przez samych panów, lecz żadną miarą pomimo nich, przez włościan. Z tego też powodu, i wspomniane przez nas wyżéj „Sowitowanje o błahoczestyi“ przemilcza o wsiach i mówi o jednych panach, zalecając władykom pilnie nawiedzać „dwory szlacheckie.“

Nadto należy pamiętać,“ roztacza daléj przedmiot ten nasz badacz, „że społeczeństwo, wytworzone na Rusi przez szlachtę (a choćby i dawno przed jéj nastaniem), nawet i po opuszczeniu go przez klasę wyższą, zapatrywało się na wieśniaka mniéj lub więcéj po szlachecku. Wieśniak, rzec można, nie był przyjmowanym nawet w rachubę, kiedy rzecz szła o obronę błahoczestya od stronników papieztwa. Sam Jan Wiszeński czynił wyrzuty władykom unickim, z powodu ucisku poddanych im włościan, w duchu niewolnictwa: powiadając jedynie, „odzieracie tych, którzy zapisani są przez pobożnych chrześcian na wyżywienie sierot.“ Włościanin bowiem siedzący na przypisanéj do cerkwi ziemi stanowił wtedy część gospodarczego inwentarza, praca jego obracaną była na utrzymanie w porządku świątyń, na wyżywienie rodziny parocha, na zasilenie, pod opieką cerkwi, wdów i sierot zostających bez przytułku. Wzbudzał on współczucie moralisty z góry Athos jedynie ze względu na bezowocne trwonienie pobiéranych odeń dochodów, na wyzyskiwanie go zbyteczne przez duchownych panów; lecz w jego liście apostolskim wcale nie ma mowy o stosunku poddanego do cerkwi, jako istot myślących. Cóż powiedziéć o pieczołowitości apostolskiéj ówczesnych jego pasterzy? Żaden szlachcic błahoczestywy „chłopskim“ ksiądz nie był; szlachtę widujemy w stanie zakonnym. Bywała ona czasem parochami po miastach; niżéj tego wszedł chyba nieszczęśliwiec jaki! ksiądz wiejski występuje w historyi błahoczestya zwykle jako poddany pański, odbywający powinności dworskie na równi z włościanami. Smutna ta okoliczność przyświadcza nie mniéj dotykalnie, czém też był zostający pod jego opieką pasterską wieśniak w oczach innych warstw społeczeństwa, oraz czém on mógł być w roli działacza historycznego.

Słusznie czy nie, lecz tak zwolennicy jak i przeciwnicy papieztwa w ziemiach ruskich Rzpltéj byli jednostajnie przejęci uczuciem obrazy socyalnéj do miana „chłopa.“ Miano to było synonimem surowości uczuć i pojęć dla ówczesnego moralisty i człowieka nauki. Znany Lawryn Drewiński, rzecznik sejmowy w sprawie błahoczestya, zarzucał przewodnikom unii, iż oni w ciągu lat dwudziestu nie znaleźli ani jednego rodowitego szlachcica dla osadzenia wakujących katedr biskupich, przedstawiciele założonych przez metrop. Izajasza Kopińskiego monasterów przywiązywali wielką zbyt wagę do pochodzenia i, jako rodowita szlachta, dopiekali swym towarzyszom, iż oj-

cowie ich byli „Kozorizkoho rodu“—rzeźnicy. Nakoniec sam „kozacki bat'ko“ Chmielnicki, w znaném zażaleniu na sprawione kozakom krzywdy, nazywał bez ogródki pułkownika kozackiego Romana Pesztę „chamem.“ Drobna szlachta ruska starała się wyróżnić nie tylko od włościan, lecz i od mieszczan nawet, swą odzieżą i językiem. Ztąd też powstał ów na pół polski, uszlachetniony niby język, którego i sami znaczni kozacy używali w mowie i piśmie do czasów Mazepy i Skoropadzkiego. Nawet kobzarze ukraińscy, mając się, niby menestrele rycerscy za coś wyższego od twórców zwyczajnych pieśni wieśniaczych, zastosowali język swój do smaku kozackiéj starszyzny i wiele polskich form mowy, łącznie z cerkiewno-słowiańskiemi, utrzymali do naszego czasu. Na ile też kozacy byli mieszaniną polsko-ruskiéj szlachty i mieszczan, na ile byli wychowańcami pańskich dworów i dworskiego życia, na tyle równie wzgarda ich dla masy ludowéj wypowiadała się zawsze surowo a nawet oburzająco. Tém jedynie należy tłómaczyć nie tylko znaną czołobitną propozycyą Nalewajki obrzynania uszu i nosów włościanom, jeśli się poważą kozakować, ale i faktyczne kaleczenie, za jakie ich panowie szukali sądu na watażkę i jego wspólników, brata jego protopopa Demiana i pódwojewodziego kijowskiego, kniazia Woronieckiego. Podobnież tém się tłómaczy i ów postrach w jakim kozacy trzymali wieśniaków do tego stopnia, iż czasem upędzali oni całe sioła pańskie, dla kolonizowania przez nikogo jeszcze niezajętych pustyń.

Włościanin tedy mógł brać udział w ruchu błahoczestywym w takim razie jedynie, kiedy pan go uzbrajał na obronę majątku cierkiewnego. W ogóle zaś wieśniak XVI i XVII wieku był biernėm narzędziem w ręku swego pana, bez względu kto był tym panem, i nie dorósł w rozwoju ekonomicznym i socyalnym do tego, ażeby, narówni z mieszczanami, odpierać wszelakie zamachy unii na błahoczestye. Dla tego napróżno,“ powiada na zamknięciu swych uwag gruntownych p. Kulisz, „wynosi się go w piśmiennictwie obecném na obrońcę starożytnéj wiary ruskiéj. Nie jemu biedakowi było myśléć o obronie pańskiéj własności, cerkwi, razem z przypisaną do niéj przez pana ziemią i posadzonym na niéj przez tegoż pana parocha. Największa rzecz, na jaką mógł się on zdobyć, było to wstąpienie do karczmy z cerkwi, oddanéj przez pana parochowi unicie, o którym ksiądz „chłopski“, tam również zasiadający, mógł mu za to naopowiadać wiele rzeczy po sercu. W ogóle, na ile są znane warunki życiowe téj epoki, owoczesny wieśniak ruski, w razie zbyt przykrego położenia myślał o rzeczach, bardziéj możliwych, niż przywrócenie błahoczestya—w pańskiéj cerkwi i na pańskiéj ziemi. Zbiegał on np. od je-

dnego osadczego, u którego wysiedział już był wolę, do drugiego, u którego rachunek wolnych od pańszczyzny lat rozpoczynał się mu na nowo. Ztąd sam chłop „pronoza“ mógł ruszyć choćby jeszcze daléj, na Ukrainę, kraj wymarzonéj szczęśliwości dla wszyskich, komu się nie siedziało na miejscu, a tam, poznawszy sztukę władania orężem i nabrawszy innego ducha w walce z łupiezką hordą, mógł stać się wolnym kozakiem, choć „uciekaczem,“ pobywać za Porohami, pohulać po morzu i nabrać tém bardziéj niezwalczonego wstrętu do pańszczyzny. Lecz nawet i tak wyjątkowa koléj życia prowadziła go wcale nie ku temu, by bronić dyzunii, mimo bardziéj natarczywych swych potrzeb.

Wszakże prześladowania starożytnego błahoczestya nie mogły, zdaje się, nie zadrażnić miejscami, żywiéj uczucia religijności i w ludzie wiejskim, tak, iż do pewnego stopnia mogła zadźwięczéć w jego sercu i ta struna, gdy go „bat'ko kozacki“ do srogiego osobistego odwetu uwieńczonego „ruiną“, powołał.

Nakoniec, gdy zapytamy o znaczenie, jakie mieć mogło, w owéj rozpasanéj, niweczącéj wszystko burzy kozaczéj, uczucie narodowości ruskiéj, pojmowanéj w odrębności języka i kultury, przychodzimy znów do odpowiedzi, iż znaczenie owo było jeszcze mniejszego stopnia, niż to, jakie posiadało dotykane powyżéj uczucie religijne.“ Musimy i tu przyznać, iż badacz Ukrainy należycie rzecz tę rozumie i przedstawia.

Otóż co do języka, „był on w owych czasach przedmiotem zupełnie podrzędnéj wagi: o ludzie oczywiście wcale tu mowy być nie może; widzieliśmy zaś na ile kozacy i ich rycerzy menestrele kobzarze, czystości mowy ludowéj, w pieśni nawet, przestrzegać chcieli. Co do odrębności kultury—takowéj Ruś owoczesna nie tylko że wytworzyć nie mogła, nie była w stanie; ale nawet takowéj nie pragnęła, nie potrzebowała. Nie tylko bowiem warstwy wyższe społeczeństwa ziem ruskich Rzpltéj, ich kniazie i ziemianie ważniejsi, z duchowieństwem unickiém, uznały oddawna kulturę zachodnią, polską, za swą własną; lecz najchętniéj poddawało się jéj wszystko, co tylko zmierzało do dystynkcyi, do oświaty, choćby stało w wysuniętym naprzód szeregu najzawziętszych przeciwników unii.

Kultura Rzpltéj w owéj epoce już była jedną, powszechną polską. Był to wiek złoty literatury narodowéj polskiéj, do któréj samoistnego wzniesienia tylu się przyczyniło rodowitych Rusinów. Zapamiętałe zaś walki dyzunitów z unitami przykładały się tylko tém skuteczniéj do szerzenia po Rusi polszczyzny, którą krzewiły wszędy szkoły.

Było też rzeczą wcale naturalną,“ robi uwagę p. Kulisz, „iż ruscy wychowańcy jezuickich kolegiów i uniwersytetów katolickich musieli nieuniknienie przejmować się czcią i miłością dla swych przewodników, którzy bardzo często przedstawiali w sobie wzory uprzejmości serdecznéj dla ludzi, surowéj cnoty w sprawach publicznych i wysokiéj pobożności chrześciańskiéj. Było rzeczą naturalną, że wyższość oświaty, wykwintność form i urok wpływu wywieranego na młode umysły przez zdolności przewodników, poddawały ludzi nauki z pośród Rusi na zawsze pod przewagę żywiołu służącego im za wzór. Nabyta tedy przez nich wiedza głębsza nie tyle im służyła jako środek obrony starego obyczaju, ile raczéj jako łącznik z przemożną kulturą ogólną Rzpltéj: za przykład niech służą Smotrycki i Sakowicz. Następnie i szkoły ruskie podobnież były urządzone podług wzorów szkół łacińskich; panował i w nich oczywiście tryb polski. Preceptorowie i studenci (spudei) tych szkół zniżali się do języka napół polskiego jedynie ze względu, że publika ludowa nie dorosła była jeszcze do rozumienia myśli i piękności polszczyzny. Wdrażając w umysły i serca prawdy błahoczestya, oni wśród niepiśmiennéj społeczności ruskiéj wytwarzali, najmimowolniéj, wykształcone społeczeństwa polskie. Gdyby jezuici byli przenikliwsi, toby,“ zdaniem badacza przeszłości Rusi, „poniechali byli wcale walki z błahoczestywą teologią, ucząc pilniéj natomiast wyznawców dyzunii po polsku i po łacinie. Lecz i przy wszystkich ich pomyłkach, polonizacya Rusi posuwała się teraz z coraz bardziéj wzrastającą szybkością. Niepodobna też było, upowitéj dotąd w grubéj ciemnocie Rusi, oprzeć się niezwalczonemu wpływowi potężnéj w owéj dobie naprawdę cywilizacyi polskiéj.

Najbardziéj rozwinięty z wychowańców ówczesnéj szkoły „elino-słowiańskiéj“ stawał się w naturalny sposób najmniéj rusinem i najwięcéj polakiem ze względu na swe ideały, na swój gust i ten język, w którym myślił. Sympatye polityczne i religijne mogły go jeszcze pociągać ku sferze ruskiéj, lecz socyalne pociągały go nieodzownie ku polskiéj. Należéć do narodu polskiego w owe czasy, znaczyło w mniemaniu całéj Europy, należéć nie tylko do społeczeństwa cywilizowanego, lecz zarazem do narodu, znakomitego z pokonania Turków: mniejsza, iż podług słów prawdomówcy Birkowskiego, uciekali bisurmanie z pod Chocimia, wołając: „kozak,“ „kozak“! Żaden też szkolnik ruski nie odważyłby się podać w wątpliwość najmniéj nawet uzasadnioną chwałę imienia polskiego. Co było uznaném za wielkie w literaturze w Krakowie i Warszawie, nie mogło być małém dla Kijowa, który książkę drukowaną uważał za przedmiot zbytku i niewolniczo zajmował się przepisywaniem polskiéj publicy-

styki. Przepisywaniem takowém, jak wiadomo, trudnili się wtedy „spudeje,“ jako swém rzemiosłem cechowém;“ a p. Kulisz świadczy, „iż dotąd za Dnieprem spotyka się mnóstwo kopij rękopiśmiennych z druków polskich, pomimo tylu pożarów i zniszczeń, jakie kraj tamten dotknęły. Bez względu więc na to, jakie tam być mogły spory teologiczne z unitami i katolikami, nigdy, powiada on, cień najmniejszy separatyzmu nie dawał się dostrzedz w ruskich odezwach piśmiennych o żywiole polskim. Ruś znajdowała się pod urokiem jego sławy nadmiernéj.

Mówiąc o Rusinach ówczesnych, w ogóle trzeba wyznać, iż stali oni twardo i dumnie na swym gruncie rodzinnym dotąd jedynie, dopóki ubóstwo i ciemnota nie niepokoiły ich samopoznania. Lecz skoro tylko kultura polska dawała im inny pogląd na położenie własne, odstręczała ich ona wtedy od sfery ruskiéj w głębi ich duszy i, niedostrzeżenie dla nikogo, przysposabiała do ról Kuncewicza, Smotryckiego, Sakowicza, Chodyki.

W obliczu tego, a co było najważniejszém, osiadła starszyzna kozacka z drobnéj szlachty,“ powiada, zamykając uwagi swe gruntowny znawca rzeczy kozackich, „była najlepszym propagatorem polszczyzny. Kwestya szerzenia między Rusią polskiego żywiołu zajmowała uczonego Kromera jeszcze w połowie XVI wieku, kiedy kwestya tam religijna uważaną była za rzecz niezasługującą wielce na wspomnienie. Propaganda religijna i w XVII w. podobnież interesowała wcale nie wszystkich panów ruskich, co byli przyjęli katolicyzm. Odpowiednio oddzielności interesów, właściwiéj społeczeństwu pańskiemu, patrzyli panowie na kwestyą kościoła, jako na przynależność wyłączną dostojników duchownych, interesowali się nią jedynie w charakterze krewnych lub przyjaciół takich osób, jakiemi byli błahoczestywy archiréj Gedeon Bałaban, uniacki metropolita Hipacy Pociej, łaciński arcybiskup Dymitr Solikowski i znakomity Piotr Mohyła, ludzie pochodzenia znacznego. Każdemu z nich „królewięta“ polscy pozostawiali swobodę osiągania swych sprzecznych celów na widowni kościelnéj, tak zupełnie, jak oni sami znów chcieli działać nieskrępowanie na polu polityki, wojny i istnie królewskiéj kolonizacyi pustyń. Lecz żywioł narodowości polskiéj, żywioł spójności państwa przez język, obyczaje i zwyczaje, wchodził w ich interesa głębiéj. Mile było i niezbędnie zarazem dla pana każdego, spotykać w tłumie przywódzców kozackiéj „ruszczyzny,“ pogardzanéj w szkołach, oraz pomiędzy ubogiém duchowieństwem błahoczestywem, ludzi, odznaczających się językiem, sympatyami i skłonnościami towarzystwa wykształconego. Ze swéj też strony, i kozacy

chętnie przyjmowali do demokratycznéj sfery swéj każdego, kto widział dwory pańskie, kto posiadał związki służbowe z wielkiemi domami pańskiemi i umiał prowadzić układy z „królewiętami.“ Zobopólność wygód i naturalne uznanie wśród Rusi dla języka władzy zwierzchniczéj doprowadziły sprawę polonizacyi onéj, pomimo religii, do tego, że nie tylko czyny heroiczne przodków ruskich, lecz i cuda świętych pieczarskich były opisywane już po polsku. Była to zaś rzecz wagi nie małéj. Żywioł ruski ustępował powoli przed polskim na rynki miejskie i do miejskich szynków, gdy tymczasem żywioł polski, za pośrednictwem szkół i życia społecznego, brał górę nawet i nad teologicznym językiem ruskim. W ciągu dwudziestu ośmiu lat spokojnego kozakowania Bohdana Chmielnickiego (tj. do r. 1648) polszczyzna, w sferze wyższego duchowieństwa i wyższego kozactwa, a również mieszczaństwa, nie mówiąc już o ziemianach ruskich, stawała się tak naturalnym, jakby rodowitym językiem, jakim była owa w XVI wieku jedynie w domach arystokratycznych, podobnych do domu księcia z Ostroga. Dziesięć lat rewolucyjnéj działalności Chmielnickiego nie zniszczyły oczywiście w społeczeństwie ruskiém obcego żywiołu, co się był włonił w jego tryb życia i sympatye. Objawiał się wpływ jego potém w działaniach Wyhowskiego oraz podobnych doń małoruskich przewodzców, do czasów Mazepy i jego szlacheckiego stronnictwa. Czy zaś szerzył się on w sferach cerkiewnych, to jest wśród głównych, jeśli nie jednych, obrońców dyzunii, z ich świadomością, lub też czy było to jedynie działanie naturalne dynamiki socyalnéj, dość, że drogą tą zdobywała Polska bardzo ważne dla się wyniki, mianowicie:

Że wtedy, gdy na czele kozactwa stała wykształcona po polsku szlachta, niewzdragająca się kubka gorzałki „okowitéj,“ na czele duchowieństwa dyzunickiego, zamiast Wiszeńskich i Boreckich, ocucili się ruscy Polacy, różniący się od Kuncewicza i Smotryckiego tém tylko, że bronili, a nie zwalczali błachoczestye. Różnica, na pozór, głęboka, radykalna; lecz pod jéj osłoną, Rusini, pomimo wyznania religijnego, stawali się Polakami, w ten sposób zupełnie, jak to się stało przed oczyma błahoczestywych z księciem Konstantynem Bazylim Ostrogskim, i z wielu doń podobnymi panami ruskimi, którzy bronili wiary ruskiéj na sejmach, a jednocześnie wprowadzali tryb życia polskiego do swych rodzin. W téj zatém chwili, kiedy błahoczestye obchodziło w Kijowie zwycięztwo nad protektorami unii religijnéj iskra samoistności ruskiéj na południu dogasała, a gasicielami jéj byli ci właśnie, na których zwykle się spoziera, jako na zbawców ruskiéj narodowości. Ani epoka, poprzedzająca unią religijną, ani epoka, idąca bezpośrednio po jéj ogłoszeniu, nie przedstawiała,“ kończy pan

Kulisz „dla Rusi tak stanowczego przełomu, jak ów kwitnący okres jéj swobodnego czerpania ze skarbnicy cywilizacyi polskiéj, okres dziesięciolecia od 1630—1640, kryjący w sobie przyczyny całego szeregu takich zjawisk, jak znane dobrze zwroty za Wyhowskiego, Brzuchowieckiego i Mazepy.

W obec czego nie może pozostawać wątpliwém wcale: jaką rolę odegrywała istotnie w katakliżmie kozackim, obok religijnéj, kwestya narodowości ruskiéj, nienapastowanéj i niebronionéj przez nikogo.“

Gdy się zwrócimy teraz do samego autora najnowszéj pracy w zakresie badań nad przeszłością Ukrainy, a która nam służyła za główną podstawę naszego zarysu, gdy się zwrócimy do p. Kulisza, nie możemy z nim się tu rozstać bez wyrażenia mu, za to życie, jakiém on dawno zamierzchłą przeszłość kresów ukrainnych napełnił, za te iskry prawdy śmiałéj, które tu wśród historycznego obrazowania hojnie rozsypał, za ten, że tak powiemy, „duch od stepu,“ jaki ztamtąd wieje zasłużonego wielce uznania.

Ale dla czegóż nie możemy na tém uznaniu poprzestać? gdy tak łatwo było poważnemu pracownikowi utrzymać się wszędy na stanowisku surowéj powagi naukowéj i etycznéj; gdy nadto bojowanie wszelkie, bursackie, hajdamackie, w najbardziéj profesorsko-katedralne szaty nawet przyodziane, najbardziéj humanitarno-filozoficzném kozakowaniem natchnione zdaniem samego autora, tyle razy dzielnie wypowiadaném jest dziś bezcelowém zupełnie. Winą tu może też sama w nim sprzeczność zapatrywania się na rzeczy życia, jaką on sam w przeszłości tak dotkliwie całéj Rzpltéj zarzuca.

Mniejsza wreszcie w tym tu razie o sąd p. Kulisza, dotyczący charakteru ogólnego rozwoju dziejów Rzpltéj, etnicznego, narodowego indywidualizmu Polaków, doniosłości polskiéj kultury, znaczenia w niéj istotnego żywiołów i ducha cywilizacyi zachodniéj, europejskiéj itp.; nie tu miejsce robić nad tém uwagi. Za to nie możemy tu pominąć rzeczy mniejszego istotnie znaczenia, które dotknięte nawet pobieżnie, nawet w swém luźném rozproszeniu, wystarczą przecie na uwydatnienie oraz poglądów na przedmioty wyższych przestworów myśli i bytu.

Potrąciliśmy już wyżéj o przeciwieństwo, jakie uderza każdego w p. Kuliszu za najlżejszém doń zbliżeniem się; panuje ono u niego we wszystkiém nieświadomie, chcielibyśmy wierzyć, niejednokrotnie atoli zbyt świadomie może....

Samo stanowisko, z jakiego p. Kulisz zapatruje się na przeszłość narodu, do którego należy, kryje już w sobie sprzeczność zasadniczą. Bije to w oczy przedewszystkiém z okoliczności wypowiadań się jego ogólnych o Rzptéj. Tu badacz życia ukrainnego, dwie szaty na siebie przywdziewa.

Istny chameleon o zmiennych ciągle barwach, niedających się nieraz ująć i określić, że jaki dalszy niż my sąsiad czasem nie domyśliłby się nawet z kim ma właściwie do czynienia.

Jeśli nie taż sama dwulicowość, to sprzeczność podobna panuje u p. Kulisza, znów, nie w pojmowaniu oczywiście, lecz w przedstawianiu względnego znaczenia żywiołu ruskiego, w porównaniu z polskim, na łonie Rzpltéj. Wszystko to prawie, co w dziejach i życiu Rusi ujemne, lub nie podoba się badaczowi Ukrainy, jest koniec końcem polskie niezawodnie; co zaś dodatnie, w prostym wyniku ruskiém być winno. Ztąd możnowładztwo ruskie, z całém rojowiskiem feudalno-dynastycznėm kniaziów wielkich i małych, to wytwór polityczno społeczny polski, boć to wszystko po unii lubelskiéj równie szlachtą się przezwało. Widzieliśmy téż, że prawo książęce możnowładztwa onego, dające mu władzę nieograniczoną nad ludem, to podobnież nabytek jedynie polski. Lecz z drugiéj strony co dotyczy téj saméj szlachty ziem ruskich; jeśli jest mowa o jéj dzielności wojowniczéj, o jéj rycerskości, o tém, że z niéj właśnie miała Rzplta wszystkich niemal koronnych hetmanów, że była ona najpiękniejszym kwiatem kultury, na jaką Rzplta się zdobyła, będzie to zawsze szlachta ruska; jeśli zaś taż sama szlachta kresowa, ukrainna, po książęcemu można, występuje w charakterze przeciwników kozactwa, ciemiężycieli ludu, choćby jednocześnie stała twardo przy błahoczestyju—będzie wtedy polską szlachtą. Wielcy ludzie Rzpltéj: Zamoyscy, Żółkiewscy, Sobiescy, to wszystko panowie „ruscy,“ w nacyonalném, mimo heraldyki i rodowodów, znaczeniu tego wyrazu; szkoda tylko, iż odstępcy. Kniaź Konstanty Bazyli Ostrogski, przedmiot uwielbień burs wychowańców, istny pan „polski.“

Lecz przy téj okoliczności pospieszymy przyznać atoli p. Kuliszowi wielką słuszność na innym punkcie: drobnym samo przez się, ale niemałéj wagi wszelako, w obec pewnéj tendencyjności niepoczciwéj, w którą on nadto wciąż dzielnie sam uderza. Oto p. Kulisz nie posunąłby się naprzykład do wystawienia w fałszywym półcie-

niu powszechnie znanego faktu, wydzierżawienia w r. 1593 przez kniazia Hrehorego Sanguszkę dóbr jego koszyrskich, razem z dochodami cerkiewnemi, „sławnemu panu“ Abrahamowi Szmojłowiczowi, w półcieniu, pozwalającym wnosić, że kniaź ten był pewnie katolikiem, a w fakcie samym grała jakąś rolę niechęć religijna; gdy tymczasem z aktów archeograficznéj komisyi kijowskiéj wiadomo, że pierwszy z Sanguszków dopiéro r. 1620 błahoczestyę opuścił. Nie, takiego cieniowania dziejów p. Kuliszowi zarzucić nie można; w ogóle nawet na smutną walkę religijną na Rusi wcale trzeźwo on patrzy, rozpędzając wszędy przy okoliczności odczarowaną różdżką surowéj krytyki historycznéj, widma pokutujące dotąd po powszednich małorosyjskich elukubracyach latopisarskich, porodzone nieprawie w czasach zawziętego roznamiętnienia. Tak, za całą odpowiedź na znaną niedorzeczną legendę, zmyśloną tendencyjnie w czasach wojen kozackich i powtórzoną potém w osławionéj, Koniskiego niby, „Historyi Russów,“ jakoby w czasach prześladowań błahoczestya przez unitów, sprzedawane przed świętami wielkanocnemi po wszystkich miastach i targowiskach, odpowiednie pieczywo na „paschę“ (święcone), zostawało pod strażą urzędników polskich, a chcący kupić owę paschę, winien był mieć na piersi kartkę z napisem „uniata.“ Znawca spraw ruskich przypomina, iż sam zwyczaj święconego nie był wtedy jeszcze upowszechnionym po Ukrainie, jak nim jest dziś, gdy nawet bractwo lwowskie, przestrzegające czystości starego obyczaju, skarżyło się jeszcze na władykę swego Gedeona Bałabana, że on „na Wielkanoc, jakieś pieczywo, paschą zwane, podług starego heretyctwa święcić nakazuje,“ itp.

Daléj, mimo usiłowań surowéj bezstronności, podnosząc uwielbienie swe dla ruszczyzny, we wszelkich onéj przejawach, do idealizmu, w czém nawiasem powiedziawszy, oczywiście nie widzimy nic zdrożnego, nie tylko boleje on nad tém, co Ruś dała z siebie w ofierze na rzecz życia wspólnéj Rzpltéj, na rzecz wspólnéj wtedy kultury wyższéj i rewindykuje wszystko, co uzacniło, wsławiło krew ludu, która i w jego żyłach płynie, lecz w zapędzie téj rewindykacyi sięga tam, gdzie nawet pozory dawać mu do tego jakiegoś prawa nie mogą.

Zabawnie tedy naprawdę wygląda owo ujmowanie się przeciw mniemanemu naszemu zapoznaniu, za Paprockim: że ten niby, w zacnéj swéj bezstronności, wynosi szlachtę „ruską“ po nad szlachtę „polską“; kiedy właśnie sam tytuł rzadkiego jego pisma: „Panosza to jest wysławienie panów i paniąt ziem ruskich i podolskich,“ niewątpliwie wskazuje, jak należy owo przeciwstawienie u nie-

go rozumiéć, jak tu najmniejszego cienia narodowego przeciwstawienia być nawet nie mogło.

Raz sobie przytém powiedziawszy, iż wszystko co Rzplta w łonie swém posiadała istotnie wyższego, dzielniejszego, było ruskiém, zagarnia on bez pardonu na rzecz Rusi, co gdzie bardziéj wybitniejszego dopatrzy, znakomity nasz kronikarz, ceniony wysoce dla swéj bezstronności, Marcin Bielski, szlachcic gniazdowy sieradzki, ze wsi Białéj, gdzie dotąd mają sterczyć szczątki domu, który on na starość zamieszkiwał, Bielski, zwący się nawet pierwotnie Wolskim od posiadanéj Woli Bielskiéj, jest dla p. Kulisza Rusinem czystéj krwi, na nieszczęście, spolaczonym tylko, jak tylu znakomitych mężów Rzpltéj. Powtarza to nam autor, przy każdéj okoliczności, do znużenia: nie daje mu widać spoczynku „Biła“ nieszczęsnéj pamięci, i zwie téż nawet kronikarza Bilskim, wątpię bowiem czyby dla tego mu tylko przyszło, z łaski badacza Ukrainy, zostać Rusinem, iż współherbowny jego, Prawdzic Oryszewski, był za Batorego „starszym“ na Zaporożu. Śmiały a surowego sądu dziejopisarz Paweł Piasecki także ma być Rusinem z rodu, że był biskupem w Chełmie i Przemyślu i nicował ostro jezuitów; zwie go oczywiście p. Kulisz Piseckim, darowawszy mu *e* w nazwisku, bo dzielnego Piaseczyńskiego zwie Pisoczyńskim, jako Rusina.

Widzimy też u niego, iż Zamoyscy są odstępcy od prawosławia na podstawie zapewne dedykacyi głośnego protestu przeciw unii, p. t. „Apocrisis,“ hetmanowi; a nie tylko oni, lecz i Potoccy nawet. To znowu spotykamy jako Rusinów, Stadnickich, dowiadujemy się jak Koniecpolski „po rusku“ jest zawziętym, przymiot narodowy wysoko ceniony przez p. Kulisza: jak wreszcie Tarnowski jest grafem z Ternowa. Nic to wszystko jeszcze przecie; my tu się nadto podzielimy z czytelnikiem daleko ciekawszém odkryciem: Oto sam Jan z Czarnolesia, ojciec poezyi polskiéj, i to Rusin. I niech to nikogo nie dziwi: Ruś p. Kulisza jest niezmiernie rozciągliwą „etnografia wie,“ zapewnia on nas, „że żywioł ruski sięga po lewéj stronie Wisły daléj Krakowa“! Nakoniec, że Mickiewicz i Szajnocha są Rusinami, tego już sami winniśmy się byli domyśléć; znakomici to ludzie naszego społeczeństwa, dla czegóżby Rusinami być nie mieli!

Ale co nadto bardziéj jest rażącém u p. Kulisza, to pewna małostkowość jakaś, ze scholastyczną monomanią bez mała graniczącą, w przykrajaniu na ruski niby sposób nazw rodowych i miejscowości. Wprawdzie jest on twórcą znanéj mało-ruskiéj pisowni fonetycznéj, w któréj wysuwa naprzód *i*, że zgubą bez powstania srodze pokrzywdzonego *ѣ*: ale cóż to mu może dawać za prawo do przekształcania ustalonych nazwisk szlacheckich polskich, polskich miejscowości,

prawo do zabawki gorzéj jak dziecinnéj. Zgoda, pisząc historyą Rusi, można było, należało nawet, w ustępie odpowiednim, zrobić ogólną uwagę, iż takie to a takie rodziny szlacheckie ruskie, z biegiem czasu, nagięły nazwy swe do wymowy polskiéj, a pisały się pierwéj lub powinny były pisać, tak a tak, po rusku. Nic przeciw temu. Ale przezywać wciąż w tekście swego dzieła wielkich ludzi Rzpltéj: Żółkowskimi, Sobiskimi, lub innych téż Orichowskimi, Siniawskimi, kiedy oni sami zwali się i pisali inaczéj, to w poważnéj pracy jest nie darowane; że to nie jest potrzeba historyczna niby rewindykacyi dawnych nazw ruskich rzeczywistych, ale istna zabawka tylko, przekonywa nas stosowanie tego procederu i do Litwy: tak naprz. zwie p. Kulisz możny ród wielk. księztwa uporczywie Sopihami, spotkawszy pomiędzy różnemi postaciami tego przezwiskowego nazwiska i taką formę, protoplastów zaś Lanckorońskich litewskim (?) rodem Zbihniwów nazywa; chociaż wie dobrze, jak i wszyscy, że w wymowie narodowéj krywickiéj długiego *i* ukraińskiego wcale nie ma, lecz właśnie *ie* rozwarte ile można przeciągłe. Wreszcie i w mniemaném odtwarzaniu nazw starych szlachty ruskiéj nie ma konsekwencyi u p. Kulisza: gdy Żołkiewskich gotów *Żowkowskimi* przezywać, choćby *Żowkiwskimi* z ukraińska należało. „Odstępcom od prawosławia“ Zamoyskim zostawia nazwiska przez nich samych używane, a przecież to Zamostscy, jeśli Zamość Zamostje, zresztą sami się oni Zamośckimi pisali. Podobnąż niekonsekwencyą widzimy i w nazwach miejscowości: badacz Ukrainy słynną z oblężenia Trębowlę zwie oto arcy konwenansowie i wcale nie po rusku Terembowla itp. Ale dosyć już tego: pisownia p. Kulisza, odrzucając mądre *ѣ*, utrzymane w pisowni rosyjskiéj, daléj przecie nie idzie; a wypadało by już, chcąc być logicznym, pisać Lwiw, pisać Jazłowećkiéj itp. Mniejsza zresztą. Nie rozumiemy jednak wcale, czemu przypisać należy, iż autor w świeżo wydanym III tomie swéj pracy wrócił po części do opuszczonego *ѣ*: pozdrowilibyśmy go tutaj, gdybyśmy mieli pewność, iż jest to zwrót, w następstwie z głębszego zastanowienia wynikły.

Rewindykując po swojemu, co Rusi słusznie i niesłusznie się należało, nie oddaje głęboki wielbiciel głębokiego Konaszewicza należytéj słuszności, zimno i objektywnie wymierzonéj, ani Rzpltéj w ogóle ani narodowi polskiemu w jego pochodzie dziejowym.

Ale, powiadamy raz jeszcze, nie tu jest miejsce rozważania owéj, tak rozległéj doniosłości, etniczno-cywilizacyjnéj dziejowéj kwestyi. Jedno wszakże dodać nam wypada: poważamy zdanie p. Kulisza wszędy, gdzie występuje on jako przeciwnik poważny i historyczny, sędzia sprawiedliwie surowy. Darujemy mu jego niepowściągliwy popęd ku szermierce publicystycznéj, ubliżającéj historykowi nie

mniéj szkodliwéj od potępianego przezeń trybu „artystujących“ dziejopisarzy; darujemy mu jego sentymentalizm etyczny, jego doktrynerstwo socyalne; co więcéj powtarzane przezeń wyrażenia przykaźnie stereotypowe, których człowiek, sam nasłuchawszy się od dzieciństwa, traci potém poczucie owych dyzharmonij; mniejsza, iż tego widać za mało jeszcze dla dawniejszych towarzyszy a obecnych antagonistów autora. Okupioném jest to całemi przestworami jasnéj prawdy, w obliczu któréj wszystko samo opromieniać się zdaje; okupioném przez owo serdeczne, siermiężne, że tak powiemy, ukochanie własnéj społeczności, które zewsząd tryska.

Wątpimy przecie czy społeczność ta ukochana zechce się przyznać do jego, tak ostentacyjnie wypowiadanego kultu faktów dokonanych, oraz fatalistycznego upatrywania kryteryum dziejowo-moralnego w powodzeniu faktyczném. Wątpimy, czy się przyzna do wykazywanego jéj przez historyka głównego niby celu życia w przeszłości, jaki tytułowa dewiza ma charakteryzować, jaki ma charakteryzować ów wiele znaczący epigraf z listu do Koryntyan:

„No bujaja mira izbra Boh, da premudrya posramit: i nemoszcznaja mira izbra Boh, da posramit krepkaja: i chudorodnaja mira i uniczyżennaja izbra Boh, i ne suszczaja, da suszczaja uprazdnit.“

Wreszcie nie nasza rzecz to wcale, tak nam się zdaje jedynie. Panu Kuliszowi zaś, rezolutnie kroczącemu w tym kierunku, to byśmy tylko przy rozstaniu, prawem starego sąsiedztwa, przysłowiowie powiedzieli:

„Ne tudy do wody...“—czystéj oczywiście; i— „zasuń, nechaj ne wije!“

Aleksander Jabłonowski.

FILOZOFIA DZIEJÓW

I JÉJ HISTORYA

1. *La Civilisation primitive*, par E. B. Tylor. Traduit de l'Anglais. Tome I, II. Paris 1876 — 1878.
2. *La Philosophie de l'histoire en France*, par Robert Flint. Traduit de l'Anglais. Paris. 1878. *La philosophie de l'histoire en Allemagne* (tegoż autora). Paris 1878.
3. *Die Philosophie der Geschichte*. Darstellung und Kritik der Versuche zu einem Aufbau derselben. von R. Rocholl. Göttingen, 1878.

I.

Zrobiono to postrzeżenie, że człowiek najmniéj się zajmował rzeczami zblizka go obchodzącemi, a przeciwnie pragnął odrazu rozwiązać zagadkę i cel bytu swojego na ziemi; że najmniéj rozumiał zjawiska codzienne, a piął się do pojęcia rzadkich i niezwyczajnych; że nawet co do własnéj przeszłości i losów swoich wśród istot ziemskich był obojętniejszy, a troskliwie badał początek, rozwój i uporządkowanie roślin i zwierząt. I w istocie tak było, przynajmniéj w części. Ale przyczyna tego leżała raz w naturze samego umysłu ludzkiego, a powtóre, w utrudnionych stosunkach, a ztąd wzajemnéj nieznajomości rozmaitych gromad ludzkich.

Jakoż w istocie, ta jest natura umysłu ludzkiego, że gdy codzień na pewne rzeczy patrzy, oswaja się z niemi, przestają go mocniéj zajmować i obojętnieje na nie; a chociaż tych powszednich zjawisk nie rozumié, niemniéj jednak ma je za małoważne, lub same przez się zrozumiałe. I ztąd to poszło, że uczeni dawnego świata pytali o początek bytu wszech rzeczy, nie umiejąc sobie zdać sprawy choćby z najprostszych objawów tego bytu i zastępując dziwacznemi często

hipotezami potrzebne dowody. Ztąd poszło daléj, że uczeni wcześniéj się zajęli niebem i gwiazdami, niż ziemią; wcześniéj zaczęli porządkować rośliny i zwierzęta, niż własne rasy; lepiéj rozumieli stosunki polityczne, niż zjawiska takie, jak oddychanie lub trawienie.

Tak późne stosunkowo zajęcie się ludzi samymi sobą pochodziło téż i ztąd prawdopodobnie, że przy trudnych komunikacyach, mało o sobie wiedzieli, mało się znali, nie czuli się związani żadną wspólnością, a témsamém nie mogli się sobą interesować. Była téż przeszłość dziejowa rodu ludzkiego jeszcze, jak się zdaje, niedawna, jeszcze się dzieje jego nie rozpoczęły, a przynajmniéj o tém jak wyglądał, co robił, nie wiedziano. Dopiéro w ostatnich czasach zaczęto badać ten byt pierwotny i wiązać szczątki jego z dzisiejszą cywilizacyą, chcąc ją lepiéj rozumiéć. Jest więc poniekąd zrozumiałe opóźnienie się badań nad człowiekiem. Nie były jednak losy jego dawnym uczonym całkiem obojętnemi; owszem, spotykamy w przeszłości pytania mniéj więcéj te same, dotyczące człowieka co i dzisiaj: ale były one i rzadkie, i odpowiedzi na nie udzielane wielce się od dzisiejszych różniły. Bo najprzód o czasach tak zwanych historycznych, miano bardzo niedokładne wiadomości; a zaś o przedhistorycznych jedynie mityczne podania. Ztąd téż, jeżeli który z historyków odważył się na uogólnienia wyrażające prawdopodobny rozwój społeczności ludzkiéj, przy szczupłéj liczbie faktów niedość pewnych, uogólnienia te były bardzo problematycznéj wartości. Ale im więcéj upłynęło czasu i pokoleń, im ściśléj spisywano fakta i za pomocą druku podawano je późniejszym pokoleniom; tém prędzéj musiała się obudzić chęć do uporządkowania zdarzeń, do wynalezienia pośród nich przewodnich myśli, czyli innemi słowy do filozofowania nad dziejami rodu ludzkiego. Bądź co bądź jednak, do utworzenia z tego osobnéj nauki, w któréj zdarzenia historyczne miały służyć za materyał i premisy do uogólnień i wniosków filozoficznych, przyszło zaledwie w naszym wieku. A i teraz jeszcze są tacy, co wątpią, czy osobna nauka, zwana filozofią dziejów, jest potrzebna i możebna, czy nie należałoby raczéj z wykładem historyi powszechnéj, lub szczegółowéj, wiązać tych ogólnych wniosków, do jakich opowiedziane fakta upoważniają historyka.

Że nauka podobna jest potrzebna, tego dowodzić byłoby zbytecznie. Na cóż bowiem zdałyby się tysiączne fakta spisane w księgach, przechowane w pomnikach i mowie, gdyby z nich nie zdołano wyciągnąć bądź praktycznych wskazówek dla nadchodzących pokoleń, bądź prawdopodobnych wniosków o przeznaczeniu człowieka na ziemi? Czy zaś te wyciągnione ze zdarzeń dziejowych wska-

zówki i wnioski mają być koniecznie układane w osobną naukę, o tém nie chcemy tu rozprawiać. Co do drugiéj wątpliwości, mianowicie, czy nauka taka jest możebna, tyle na początek można powiedzieć.

Nauka pewna wtedy jest możebna, gdy zgromadzono dostateczną ilość faktów jednego gatunku i gdy pośród nich dostrzeżono pewną prawidłowość, jednostajność, lub szereg takich jednostajności czyli praw, którym fakta owe służą za wyraz, są ich niejako wcieleniem. Że faktów dziejowych wielką moc zebrano, rzecz to wiadoma; że się one rozwijały według jakichś praw i wzajemnéj od siebie zależności, to także zaczyna coraz lepiéj być pojmowane i uznawane, pomimo, że wola ludzka, będąca przeważnym twórczym ich czynnikiem, uchodzi dotychczas u wielu za motor nadzwyczaj kapryśny, swawolny i jakoby od niczego niezawisły. Zgodziwszy się zatém na ten postulat nieodzowny, to jest na prawidłowość czynów ludzkich, zdaje się, że i nauka o nich, zwana filozofią dziejów, jest możebna.

Jakoż, wielu uczonych spółczesnych tak tę sprawę pojmuje i zgodnie z tém pojęciem próbują utworzyć syntezę dziejów ludzkich, któréj dają nazwę Filozofii Historyi.

Ci, którzy dawniéj filozofowali nad dziejami człowieka, ogarniali w swoich poglądach tylko czasy historyczne i, jak łatwo zgadnąć, dochodzili do rozmaitych na nie zapatrywań. Późniejsi spostrzegli, że temu dziełu brak początku; bo chociaż czasy przedhistoryczne, z natury rzeczy zdawały się nie należéć do filozofii dziejów, skoro samych tych dziejów nie było; niemniéj jednak, bacząc na ciągłość rozwoju plemienia ludzkiego, stawało się jasném, że czasy historyczne rozwinęły się z przedhistorycznych, że zatém te ostatnie muszą stanowić pierwsze ogniwo filozofii historyi. Zaczęto więc badać czasy przedhistoryczne. Z licznych postrzeżeń czynionych w podróżach nad ludami żyjącemi dotychczas w dzikości i barbarzyństwie usiłowano odbudować w wyobraźni stan ludzi pierwotnych. A chociaż dogorywające szczątki plemion dzikich mogą się znacznie różnić od pierwotnych swoich przodków; jednak różnice te nie są zapewne o tyle doniosłe, by nie pozwalały na prawdopodobne przynajmniéj wnioski o stanie człowieka pierwotnego. Zwrot umysłów do badania owych przypuszczalnych przodków człowieka wezbrał obecnie szerokim prądem i bardziéj zaciekawił spółczesnych niż filozofowanie nad dziejami lepiéj znanemi. Zamierzyliśmy zatém podać czytelnikowi najprzód ułomek tych rozmyślań nad dziejami pierwotnemi, a następnie przedstawić jakie koleje przechodziły w o-

góle badania tyczące się dziejów rodu ludzkiego. Za materyał do tych uwag posłużą przytoczone na początku dzieła.

II.

Pierwsze z tych dzieł, t. j. *Pierwotna Cywilizacya* Tylora, zawiera tyle i tak różnorodnych pytań rozważanych, że gdy je streścimy i wnioski wyciągnione przytoczymy: starczy to, jak się można spodziewać, do dania wyobrażenia o tém, czém są obecnie badania tyczące się pierwotnego stanu człowieka.

Autor zaczyna od określenia wyrazu cywilizacya i zastanawia się nad tém, co on sobą ogarnia. Kultura, czyli cywilizacya, powiada, obejmuje całkowity zbiór zjawisk zgrupowanych jako nauki, sztuki, moralność, wiary, prawa, obyczaje i t. d., które,. badane troskliwie, okazują z jednej strony jednostajność prawie niezachwianą, dającą się uważać za jednostajny skutek przyczyn także jednostajnych; z drugiéj świadczą, jak rozmaite stopnie cywilizacyi odpowiadają rozmaitym peryodom rozwoju, z których każdy był rezultatem epoki poprzedniéj i gruntem, z którego wyrasta epoka następna. Rozważać zatém należy wszystkie te zjawiska jako związane z sobą prawem ciągłości, według starego axyomatu dającego się i tu stosować, że natura skoków nie czyni, *natura non facit saltum*; albo, jak mówił pewien naczelnik Bedszuanów do misyonarza Casalisa, że „wszelkie zdarzenie jest synem innego zdarzenia, i że o tém ich pokrewieństwie nigdy nie powinniśmy zapominać.“ Ztąd téż historycy wszystkich wieków, pragnący być czémś więcéj niż kronikarzami, starali się przedstawiać czytelnikowi nie tylko chronologiczne *następstwo* zdarzeń, ale oraz ich *przyczynowy związek*, t. j. świadomie lub mimowiednie przypuszczali możebność filozofii dziejów. Że jednak pomimo licznych prac znakomitych myślicieli, filozofia dziejów znajduje się dopiéro w zawiązku, to nikogo dziwić nie będzie, kto rozważy ogrom i rozmaitość faktów historycznych a zarazem wspomni jak wiele z nich jest niepewnych. Dlatego téż i wnioski ogólne, z tych faktów wyciągnione, nie mogą być bezwarunkowo pewne. Nawet najpierwszy geniusz ludzki, rozporządzający choćby największą sumą faktów, jeszczeby nie zdołał w dzisiejszym stanie nauk utworzyć filozofii dziejów takiéj, którąby tłómaczyła przeszłość i zdolną była przepowiedziéć przyszłość. Znający ogrom podobnego zadania nie dziwią się tym sumienniejszym uczonym, którzy wyznają trudność przedsięwzięcia i nie budują filozofii historyi obyczajem Heglów lub Schellingów, lecz poprzestają na badaniu jednéj grupy zjawisk, jedne-

go lub kilku rozdziałów, mających w przyszłości wypełnić ramy takiéj nauki.

Podobna metoda nie prowadzi do całości gotowéj, naprzód w głowie ułożonéj, przedstawia się mniéj ułudnie; ale za to daje rezultaty pewniejsze.

Tak téż sobie postąpił Tylor i zamiast bawić się tworzeniem hipotez o całości dziejów ludzkich lub prawach ich rozwojowi przewodniczących; obrał do badania jeden, że tak powiemy, rozdział z filozofii historyi, t. j. cywilizacyą pierwotną. Świadom skutków metody obserwacyjnéj nie gardzi on niczém, coby się mogło przyłożyć do rozwiązania założonego tematu. Badanie początku i rozwoju cywilizacyi pierwotnéj, powinno być, mówi on, prowadzone nie dla zaspokojenia próżnéj ciekawości, lecz w interesie poznania lepiéj teraźniejszego stanu człowieka i odgadnienia, jaką ma być jego przyszłość. A więc żaden rodzaj świadectw nie powinien być lekceważony, pod pozorem, że one są przestarzałe, bardzo skomplikowane lub małoważne. Nauka bowiem coraz bardziéj człowieka przekonywa, że jeżeli są prawa przewodniczące wielkim zdarzeniom, to i drobne a małe z pozoru muszą im równie ulegać. Mamy do rozporządzenia materyały liczne, które mnóstwo uczonych stara się porządkować; a chociaż niewiele jeszcze zrobiono w porównaniu z tém, co pozostaje do zrobienia, zaczynamy jednak pojmować możebność utworzenia filozofii dziejów pierwotnych.

Zgodnie z takiém pojęciem filozofii dziejów i materyałów, z których ma być zbudowana, autor rozważa ślady pierwotnéj cywilizacyi przemysłowéj, umysłowéj, politycznéj i moralnéj, przyczém samo przez się nasuwa mu się pytanie, czy ród ludzki w tych kierunkach postępuje naprzód, czy się wstecz cofa. Wiadomo, że jedno i drugie przypuszczenie mają nie tylko swoich obrońców, ale i fakta w jednym lub drugim duchu przemawiające. Bądź co bądź jednak, przypuszczenia te nierówne mają za sobą dowody. Ci, co obstają za mniemaniem, że ród ludzki postępuje naprzód, mogą przytoczyć na jego obronę ślady dawnych budowli megalitycznych, mieszkań nadwodnych, narzędzi kamiennych, które gdy porównamy z dzisiejszemi budowlami narodów cywilizowanych, z ich narzędziami przemysłowemi, machinami wojennemi i t. d. okaże się niezawodnie pod tym względem postęp w stosunku do owych czasów prastarych. Z drugiéj strony, obrońcy mniemania, jakoby człowiek upadł i cofnął się ze stanu wysokiéj pierwotnéj cywilizacyi; jakoby świat wogóle stał się gorszym i zmierzał ku swojemu kresowi, także mogą przytoczyć rozmaite dowody po większéj części ze sfery moralnéj i politycznéj, a najdzielniejszym przedstawicielem teoryi degenera-

cyi, zwyrodnienia, upadania rodu ludzkiego, był de Maistre, który pisał: „Rozpoczynamy zawsze od hipotezy niedorzecznéj, jakoby się człowiek stopniowo wznosił i przechodził z barbarzyństwa do nauki i cywilizacyi. Jest to ulubione marzenie.“ Czyby de Maistre i dzisiaj tak sądził po tylu rozmaitych pracach dokonanych na polu etnografii, trudno zgadnąć; ale tak jak on myślących, i dziś nie potrzebaby szukać z latarnią.

Tylor nie zamyka oczu na dowody, mające bronić téj ostatniéj hipotezy; lecz przeciwnie, degeneracyą uważa jako zjawisko bardzo często zdarzające się w dziejach narodów, ale z tego nie wynika jeszcze potrzeba przypuszczania jakiéjś wysokiéj cywilizacyi u ludzi pierwotnych. Że nauki, sztuki, instytucye marnieją w niektórych krajach; że ludy będące niegdyś na drodze postępu zostały wyprzedzone przez szczęśliwszych sąsiadów; że czasami nawet całe społeczeństwa upadają i cofają się do barbarzyństwa: na to historya nowożytna może dostarczyć przykładów. Alboż po naszych wielkich miastach, klasy zwane *niebezpiecznemi* nie są bardziéj znikczemniałe od najdzikszych dzikich? Gdybyśmy mogli porównać Papuasów Nowéj Kaledonii ze spółkami żebraków i złodziei europejskich, przyszłoby ze wstydem wyznać, że pośród siebie mamy coś gorszego od dzikich. Jest to niewątpliwie degeneracya i upadek pewnych klas, co przecież wcale nie przeczy postępu innych klas, chociaż rzuca cień na cywilizacyą, która za sobą ciągnie podobne objawy.

W innych razach może to nie być degeneracya, lecz resztki barbarzyństwa, utrzymujące się w pewnych miejscach, gdy tymczasem w innych, niedaleko leżących, stan rzeczy zupełnie co innego okazuje. Fakta, zebrane w rozmaitych stronach Irlandyi lat temu dwieście lub trzysta, świadczą o tém, jak jeszcze w 16 lub 17 wieku, ludność tego kraju w niektórych okolicach mało się różniła od tak zwanych dzikich. Parlament angielski wydawał naprzykład dekreta przeciw zakorzenionemu w Irlandyi zwyczajowi zaprzęgania koni do pługów za ogon, lub suszeniu owsa ze słomą, by łatwiéj wykruszyć ziarno i oszczędzić sobie pracy młócenia. Fynes Moryson taki podaje opis dzikiego, czyli *czystego* Irlandczyka około r. 1600. Lordowie irlandzcy, mówi on, mieszkali w nędznych chałupach z gliny, narzuconych gałęźmi i pokrytych darniną. W wielu miejscach mężczyzni i kobiéty wśród zimy nosili tylko gałgan około bioder, a lniany płaszcz na grzbiecie, jadali owsiane placki, nie mieli stołów, lecz objadowali na kupce trawy służącéj za podstawę, zdechłą koniną raczyli się jako rozkosznym przysmakiem, gotowali kawałki świniny lub wołowiny równie jak flaki zwierząt nieopłókane. Chcąc zagrzać mléko, rzucali doń rozgrzany w ogniu kamień.

Ale nie trzeba się cofać do wieku 17, żeby znaléźć jeszcze resztki barbarzyństwa. W r. 1868 Walter Morison będąc na wyspach Hebrydzkich, kupił serwis gliniany, który, gdyby umieszczono w muzeum, śmiałoby mógł uchodzić za wyrób jakiego dzikiego pokolenia. Oczywiście, nie tylko na wyspach Hebrydzkich, ale i nad Wisłą po naszych chatach, można dostrzedz ślady barbarzyństwa nie tylko w wyrobie naczyń kuchennych z gliny, ale i wielu innych gałęziach przemysłu domowego. Wszakże te i im podobne fakta jak z jednéj strony nie dowodzą cofania się cywilizacyi, tak z drugiéj pokazują siłę, z jaką się utrzymują stare rzeczy, stare przesądy, stare praktyki wcale nielicujące z otaczającym ich nowym światem.

To utrzymywanie się starych zwyczajów, przesądów, zabaw i t. p. pośród nowéj cywilizacyi stanowi przedmiot osobnego i bardzo zajmującego rozdziału w pracy Tylora. Rozważa on w nim gry i zabawy dziecinne, gry losowe, przysłowia tradycyjne, śpiewki niańiek, pozdrawianie kichających, obrzędy zachowywane przy zakładaniu miast, przesąd wzbraniający ratowania topielców i inne tym podobne, jakby niejeden nazwał, fraszki. Autor pozostał wierny swojemu założeniu, że „nie należy lekceważyć choćby i najdrobniejszych świadectw, pod pozorem, że są małoważne.“ Bo i cóż mniéj ważnego, jak np. formuły używane w pozdrawianiu kichających, albo gry dziecinne? A jednak drobne te rzeczy, umiejętnie tłómaczone, mogą nas niejednego nauczyć. Pokazują one jak w świecie ludzkim nic nie ginie, podobnie jak w świecie fizycznym, lecz tylko przestraja się, przybiéra czasami ubiór tak odmienny, że maskuję tą szatą swoję treść starą; czasami znów ubiór ten mało co się różni od dawnego, pomimo upłynionych wielu stuleci.

I tak, weźmy gry i zabawy zarówno dziecinne jak i te, na których dorośli czas zabijają. Ile z tych gier i zabaw jest tylko naśladowaniem rozrywkowém poważniejszych spraw życia? Oto dzieci bawią się w konie, wyprawiają objady, odbywają nabożeństwo. Czyliż nie czekają ich te sprawy już na seryo brane, w starszym wieku? Nie sąż to lekcye, sposobiące do przyszłych zatrudnień? To samo się spotyka u dzikich ludów, tak u Eskimosów jak u Australczyków, gdzie strzały i łuki i proce i boomerang, naturalnie w miniaturze, stanowią zbiory zabawek dziecinnych.

To, co zadziwia w tych fraszkach, jest to mianowicie ich trwanie prawie w téj saméj formie, co u dawnych ludów. Tak np. do dziś dnia w wielu miejscach dzieci mają zabawę rachunkową, w któréj każdy z graczów wystawia rękę, a drugi zgaduje ile palcy było podniesionych. Otóż płaskorzeźby i obrazy świadczą, że starzy Egipcyanie już grę tę znali, zarówno jak i późniejsi od nich Rzymianie, u których

nazywało się to *micare digitis*. Gdy młodzież szkocka bawi się w *tappie-toussie*, i gdy jeden drugiego chwyta z przodu za czuprynę wołając: chcesz-że być moim sługą? zapewne nie myśli o tém, że w taki sposób niegdyś brano sobie niewolnika. Albo np. kto nie widział, jak pasący trzodę chłopcy rozniecają ogień, trąc kawał suchego drewna o inny kawał? Otóż do dziś dnia Indusowie w ten sposób dobywają ognia do ofiar.

Innego rodzaju zabawy, w których las gra rolę, kiedy to dzieci rzucając pieniądz w górę zgadują, na którą padł stronę; albo gdy się bawią w cetno i licho, są także zabytkiem staropogańskich wróżb i zgadywań, w których oczywiście teorya rachunku losów nie mogła być brana do pomocy. Zresztą czyliż nie do losu, t. j. do senników, udaje się biorący numer na loteryą? Tyrolczycy wyrabiają talizman, udzielający kupującym go dyabelskiéj sztuki wygrywania w karty lub kości; w Łużycach, włościanie kładą pod obrus na ołtarzu bilet loteryjny, by prędzéj mogli na wygraną liczyć.

Ażeby zrozumiéć zwyczaj życzenia zdrowia kichającemu, należy się cofnąć do praktyki i teoryi plemion stojących na najniższym szczeblu cywilizacyi. Według ich teoryi, podobnie jak dusza wchodzi i wychodzi z ciała, tak samo i inne duchy krążące około człowieka postępują. Plemie Zulu najlepiéj zachowało wyobrażenie o związku duchów z kichaniem. Kafrowie mocno wierzą, iż duchy zmarłych krążą między nimi, sprawiając szczęście lub nieszczęście żyjącym, ukazują im się we snach, wciskają w ciało ludzkie i przyczyniają się do powstawania chorób. Gdy Zulu kichnie: mówi do siebie: „teraz jestem błogosławiony; Idhlozi (duch przodków) jest ze mną. Spieszmy się go chwalić, albowiem on to sprawił moje kichanie.“ Jakoż, wzywając cienie przodków, prosi ich o bydło i wszelką pomyślność.

Kichanie zwiastuje, że chory wróci do zdrowia, a ci co go odwiedzają, pytają najprzód, czy kichał. Jeżeli usłyszą odpowiedź przeczącą, szepczą do siebie: biada mu, ciężka choroba! Ztąd też czarownicy Zulu'sów okrutnie kichają, to bowiem świadczy, że duchy są z nimi. Sir Thomas Brown opowiada w swojém dziele „*Błędy ludowe*,“ że gdy król Monomotapy kichnął, wieść ta piorunem przechodziła z ust do ust jego wiernych poddanych, którzy za to składali bogom dzięki. Powinien atoli był jeszcze dodać, że nie tylko za kichanie królewskie modlono się w stolicy tego murzyńskiego państwa, ale nawet wtenczas, gdy monarcha pił lub kaszlał. W Gwinei jeszcze przeszłego wieku był zwyczaj, że gdy jaki dostojnik kichnął, wszyscy obecni padali na kolana, całując ziemię, klaskając następnie rękoma i życząc mu wszelkich pomyślności.

Zarówno w Azyi jak i w Europie przesąd, tyczący się kichania, ogarniał i ogarnia liczne kraje i plemiona. Co do starożytności klasycznéj, mamy świadectwa pokazujące jak Grecy i Rzymianie przesąd ten podzielali z innemi ludami. W Odyssei, kichanie Telemaka uważa się za szczęśliwą wróżbę; Xenofont takież nadaje mu znaczenie; Arystoteles nadmienia, że pospólstwo za jego czasów miało kichanie za wróżbę pomyślną, a kaszlanie za niepomyślną; Petroniusz pisze, że kichającemu życzono tak jak u nas, *Zdrowia! Salve!* Tyberyusz, choć odludek, wymagał by się stosowano do tego zwyczaju. U Żydów do kichającego, odzywają się: *Tobim chayim!* (dobrego zdrowia lub życia); Muzułmanin zaś w takim razie woła: chwała Allahowi! Po czasach starożytnych zwyczaj pozdrawiania kichających przeszedł do wieków średnich, a następnie do czasów nowszych i dziś Włoch mówi do kichającego: *Felicita*!, Niemiec: *Gott hilf*; u nas życzą sobie wprost *Pomyślności!* albo: *Sto lat zdrowia!* Dodajmy, że w wielu miejscach utrzymuje się podobny zwyczaj przy ziewaniu, a u ludów dzikich towarzyszy mu myśl o złych lub dobrych duchach, które wówczas wychodzą lub wchodzą w kichających i ziewających.

Innego dowodu, świadczącego jak stare rzeczy pośród nowych się utrzymują, dostarczają różnego rodzaju wróżby, jak np. ze snów, rąk, kart i t. d. Spirytyzm to także nie nowe zjawisko: znali już starożytni duchy pukające, a za naszych czasów odżył w Ameryce r. 1847 (w mieście Arkadyi w Stanie Newyorskim). Astrologia również mogłaby przytoczyć niemało swoich obserwacyi na stwierdzenie powyższego spostrzeżenia. Przecież jeszcze w roku 1524 astrolog zapowiadał nowy potop w Europie i wielkiego strachu nabawił ludzi, tak że prezydent Tuluzy, Aurial, zbudował sobie arkę na wzór Noego. Że nawet teoretyczna astrologia nie zaginęła, można jako dowód przytoczyć fakt, iż w r. 1861 wyszedł w Londynie *podręcznik* téj umiejętności, napisany przez pana Zadkiela Tao-Szc. Alboż magia zaginęła? Pliniusz rozumiał w czém moc jéj tkwiła, gdy pisał: „dlatego właśnie, że najzdradliwsza ze wszystkich sztuk najbardziéj się po całym świecie rozwielmożyła.“ A czarownictwo, czyż już znikło? Może oświeceni już go się nie lękają; ale prostacy, gotowi wołać jak Luter, gdy mu doniesiono, że czarownicy zaczarowali masło i jaja: „Byłbym bez miłosierdzia dla tych czarowników, wszystkichbym spalił.“ Jakoż w r. 1860 w Camargo Mexykanie spalili czarownicę. Kapitan Burton powiada, że we wschodniéj Afryce u plemienia Wakhutów, szczególniéj starców posądzają o czary i rzadko który uniknie stosu.

Między pierwiastkami składającemi cywilizacyą liczymy język

i nauki. Ciekawe są w dziele Tylora postrzeżenia zebrane o sztuce rachowania, o początkach arytmetyki. Sądzili niektórzy, iż prawdy matematyczne, takie jak pewniki np. są człowiekowi wrodzone. Dziś coraz mniéj obrońców tego mniemania, a postrzeżenia tysiącznych podróżników, po krajach zamieszkanych przez dzikich czynione, coraz bardziéj przekonywają nas, że i prawdy matematyczne z doświadczenia i obserwacyi wyrosły.

Pośród plemion, stojących na najniższym szczeblu cywilizacyi, to jest pośród dzikich mieszkańców w lasach Południowéj Ameryki i w pustyniach Australii, nie spotyka się osobnego wyrazu do oznaczenia liczby 5, a u niektórych zaledwie na 3 i 2 istnieją wyrażenia; liczba wyższa nad dwa oznacza się wyrazem *wiele*. Hordy brazylijskie liczą na palcach u ręki, ale tylko do trzech; w narzeczu puri znajdują się tylko wyrazy: *omi*=1; *curiri*=2; *prica*=3; a potém idzie *wiele*. U Botokudów zaś liczą: *mokenam*=1; *uruhu*=2; *wiele*. U Tasmańczyków: *parmery*=1; *calabawa*=2; *cardia*=więcéj niż 2. Nowohollandczycy także tylko do dwóch mogą liczyć, poczém radzą sobie za pomocą wyrazu *wiele*.

Nie widzimy potrzeby przytaczania tu więcéj przykładów; ale dobrze nadmienić, że wszędzie wśród dzikich liczenie odbywa się za pomocą palców u rąk i nóg, przyczém towarzyszy mimika i gesta. Gdy mówią *jeden*, podnoszą jeden palec u ręki, daléj dwa, trzy, cztery, pięć; gdy chodzi o wyrażenie 6, mówią: ręka i jeden palec drugiéj; gdy o 10, mówią: dwie ręce; gdy o 15, mówią: dwie ręce i noga; gdy o 20, mówią: obie ręce i obie nogi, albo: cały człowiek; gdy o 40, mówią: dwaj ludzie (dwaj Indyanie) i t. d. Negrzy tak są zależni w liczeniu od gestów, że bez palców u rąk, a gdy siedzą, to i u nóg, prawie nie są zdolni liczyć.

Mitologia stanowi osobny rozdział w cywilizacyi ludów. Porównawszy mitologią dzisiejszych tak zwanych dzikich z mitologią ludów klasycznéj starożytności, widzi się: jak te same lub podobne pojęcia o świecie, płynące z jednakowéj natury człowieka, obeszły całą kulę ziemską. Prawie wszędzie spotyka się uosobienie słońca, księżyca, gwiazd, nieba, deszczu, grzmotu i błyskawicy, tęczy, trąby wodnéj, słowem, mitologia widocznie wzięła początek z obserwacyi zjawisk niebieskich i powietrznych i dla tego możnaby je nazwać mitami kosmicznemi. Bardzo zajmującą jest u Tylora historya wilkołaków, o których i u nas do dziś dnia prawią niańki dzieciom straszne powieści, a po wsiach i starzy ludzie na seryo o tych potworach rozpowiadają.

A ileż to bajek krąży o olbrzymach i karłach, o Wyrwidębach i Waligórach, o karzełkach z wielkiemi uszami, tak że jedno sobie

jako materac podkładają a drugiém służy im za kołdrę! Zkąd te bajki wyszły, kto je rozniósł po całym świecie, co im dało początek? Juźciż musiał do tego być powód w naturze stosunków dawnego świata. Plemiona zdobywcze, ujarzmiając słabszych, często szkaradnych z wejrzenia mieszkańców, najprędzéj utworzyły te powieści o olbrzymach potwornych, o ludziach leśnych (*homo silvaticus*) o ludziach ogoniastych (*homo caudatus*). Czyż ozdoby, jakie dzicy do warg, nosa i uszów przywieszają, nie mogły dać powodu do stworzenia owych karzełków z olbrzymiemi uszyma? Wiadomości, jakie zdobywcy Nowego świata przywozili do Europy o dzikich mieszkańcach Ameryki, musiały być potworne, skoro papież Paweł III w r. 1537 uznał za potrzebne w osobnéj bulli ogłosić, że Indyanie są prawdziwymi ludźmi. Rękopis portugalski przytaczany przez Castelnau mieści w istocie opis mieszkańców południowéj Ameryki, z którego możnaby wnosić, że mistyfikacyą o ludziach ogoniastych brano na seryo. Powiada bowiem dosłownie: „Liczny ten naród, zwany *Cuatas*, zamieszkuje na wschód od Juruena, na brzegach San João i San Thome. Szczególna rzecz, iż składający go Indyanie chodzą na czworakach, pokryci są na piersiach, ramionach, brzuchu i nogach włosami; są małego wzrostu, gwałtowni, bronią się zębami, sypiają na ziemi lub między gałęźmi drzew, a żywią się wyłącznie owocami, korzonkami i rybami.“ Oczywiście, autor portugalski opisał gromadę małp z gatunku *simia paniscus*, jako wielkie plemię Indyan, poczém w Europie już można było powoływać się na relacye podróżników, w bajkach o ludziach leśnych i ogoniastych.

Połowę swojego dzieła poświęcił Tylor rozbiorowi *animizmu*. Co to takiego animizm? Jest to nauka o duszy, albo raczéj o duchach; jest to ta skłonność człowieka do ożywiania, uosobiania i obdarzania duszą nie tylko istot organicznych, ale nawet martwych. Możnaby cały ten proces umysłowy nazywać spirytualizmem, gdyby wyrazu tego nie używano w znaczeniu ciaśniejszém, jako przeciwstawnego, materyalizmowi. Animizm tedy znaczy wiarę w istnienie duchów wogóle. Wiarę taką spotyka się u plemion najniżéj stojących pod względem cywilizacyi; następnie, lubo zmodyfikowana, nie urywając się w szeregu wieków i pokoleń, ciągnie się ona do naszych czasów. A jak nie znaleziono dotychczas plemienia, któreby nie miało jakichkolwiek pojęć religijnych, chociaż przez mylne rozumienie wielu praktyk pogańskich niektórzy podróżnicy innego byli mniemania; tak téż nie znaleziono plemienia, któreby nie miało pewnych wyobrażeń o duchach i duszy. Mogą te pojęcia bardzo się różnić od takichże pojęć ludów cywilizowanych, mogą nam się wydawać dziwaczne, śmieszne: nie mniéj jednak są one stare jak świat,

modyfikowane odpowiednio do zmieniających się faz ogólnéj cywilizacyi, powszechne. Ta wiara w istnienie świata duchowego przyprowadziła ludzi do rozmaitych obrzędów, mających duszom nieboszczyków zapewnić szczęście zagrobowe. Opis tych ceremonii stanowi ostatni i, niemniéj jak inne, zajmujący rozdział w dziele Tylora. Z zebranych świadectw na całéj kuli ziemskiéj i ze wszystkich czasów pokazuje się, że ludy pojmowały życie zagrobowe jako dalszy ciąg ziemskiego i ztąd niezawodnie wzięło początek kładzenie przy umarłym narzędzi, któremi się w życiu ziemskiém posługiwał, lub palénie żon i niewolników, by duchowi zmarłego i na tamtym świecie mogli posługiwać.

Dzieło Tylora obfituje w niezmierną ilość faktów, zebranych i ugrupowanych starannie w osobne rozdziały. Ogólnych teoryi, śmiałych hipotez, fantastycznych domysłów autor unikał i tym sposobem ominął szkopuł, o który się rozbijają domysły imaginacyjne etnologów. Wiele wprawdzie zrobiono dla poznania czasów i ludzi, których przedhistorycznymi nazywają; ale tylko świadom brakujących jeszcze ogniw może być tak jak Tylor wstrzemięźliwym w wyrokowaniu o tém, co podobno na zawsze pozostanie tylko w półcieniu. Jedno wszakże jest widoczne w téj pracy, mianowicie, stosowanie hipotezy rozwoju do całego szeregu faktów roztrząsanych. Po przeczytaniu dochodzi się do mniemania, że dzisiejsze zwyczaje, praktyki, zabawy, przesądy, chociaż przebrano je w inne szaty, są z sobą związane na całym świecie i ciągną się nieprzerwanym łańcuchem przez całe wieki, sprawdzając sobą pewnik, że natura nie czyni skoków.

Dla pracujących nad archeologią przedhistoryczną naszego kraju; dla zbieraczy podań, klechd, bajek, przysłów, pieśni; dla historyków z powołania nareszcie, dzieło Tylora może być bardzo przydatne. Pozwoli im ono porównać nasze zabytki z takiemiż pomnikami ludów całego świata, lepiéj wyrozumiéć znaczenie rozmaitych podań, a przez to utworzyć wstęp do dziejów krajowych, rozdział objaśniający nasze dzieje bajeczne, które do dziś dnia stanowią zagadkę.

III.

Filozofia dziejów stała się za dni naszych jednym z najulubieńszych przedmiotów pracy umysłowéj, polem obiecującém obfite żniwo. W każdym z cywilizowanych narodów europejskich liczy się co najmniéj po kilku uczonych, którzy rozmaitemi drogami dążą do tego samego celu, do lepszego poznania rodu ludzkiego. Nie pochodzi to

tylko z ciekawości, albo z braku innych przedmiotów do opracowywania; jest to wynik rzeczywistéj potrzeby, jest to razem warunek do lepszego rozumienia teraźniejszości. A kiedy jedni badają ród ludzki w jego rozwoju historycznym i przedhistorycznym, kiedy już literatura tego przedmiotu znacznie urosła; powstała myśl uporządkowania tych pomysłów, zregestrowania prac i zyskanych rezultatów, do jakich filozofia dziejów doszła; słowem, obudziła się potrzeba historyi filozofii dziejów. Wprawdzie w ogólnych dziejach filozofii, bywają przytaczane i roztrząsane mniemania filozofów o dziejach powszechnych, ale są to tylko ułamkowe wzmianki, niepozwalające na urobienie sobie wyobrażenia o całości tych usiłowań. A tak, jak może być i rzeczywiście bywa traktowana osobno historya logiki, psychologii, lub etyki; tak też może być osobno wyłożona historya filozofii dziejów powszechnych. Nie będzie to więc spis i ocenienie wszystkich historyków, coby stanowiło dzieje badań historycznych wogóle, czyli historyografii; lecz tylko tych historyków, lub wogóle autorów, którzy się nad całemi dziejami rodu ludzkiego zastanawiali, posiłkując się faktami nie tylko historycznemi, ale wszelkiemi jakich nauki dostarczają, i usiłując tym sposobem nakreślić obraz rozwoju człowieka na ziemi. Że nie wszyscy historycy zasługują na miano *filozoficznych*, że wielu z nich było i jest kronikarzami, których powiązanie i zależność przyczynowa zdarzeń historycznych nie obchodziły, lub do zrozumienia których brakło im zmysłu; ztąd słusznem się być zdaje wybranie z pośrodka nich takich, którzy w labirynt dziejowy wnieśli jakieś światełka, pozwalające wędrowcowi oryentować się w niezliczoném mnóstwie faktów.

Już dawniejszemi czasy niektórzy uczeni próbowali kreślić zasługi historyków-filozofów osobliwie w Niemczech, gdzie np. Rosenkranz, Gans i inni, w rozprawach temu przedmiotowi poświęconych, oceniali niemieckich, a czasami i obcych historyków; ale dopiéro obecnie pojawiły się prace, mające na celu zobrazowanie całości. Na pierwszém miejscu pod tym względem powinien stanąć Anglik, p. Robert Flint. Jest to jeszcze młody autor, liczący około 40 lat życia, obecnie profesor uniwersytetu Edynburskiego, który rozpoczął Historyą filozofii dziejów od pisarzy francuskich i wydał w r. 1874 „The philosophy of history in Europe.“ Dwa pierwsze tomy obejmują Francyą i Niemcy, dwa pozostałe mają zawierać Anglią i Włochy. Filozofia dziejów we Francyi i Niemczech została już wytłómaczoną na język francuski, i tłómaczenie to służy za podstawę do uwag niniejszych.

W pierwszym tomie, obejmującym historyków francuzkich, autor zamieścił obszerny wstęp, w którym pokrótce ocenia zasługi history-

ków starożytnych, greckich i rzymskich, a nieco obszerniéj streszcza dzieło Ś-go Augustyna *De civitate Dei.* Ocena historyografii starożytnéj i średniowiecznéj jest bardzo skąpa, chociaż trzeba to wyznać, sprawiedliwa. We wstępie również, autor roztrząsa trudności towarzyszące przedmiotowi takiemu, jak filozofia dziejów, trudności wielkie w naszych czasach, a tém większe w dawnych, bądź dla braku materyałów, bądź dla nieistnienia krytyki. Słuszniejsze zatém poglądy na dzieje powszechne datuje Flint od XVI wieku i dla tego też dopiéro od tego czasu zaczyna obszerną krytykę publicystów i historyków francuzkich. Że historyk filozof nie może pomijać wieków średnich, i że pogląd na te wieki musi uledz zmianie, to autor przyznaje; ale prawdopodobnie dla braku prac bezstronnych nad temi wiekami, nie mógł iść w ślady Buckle'a i potępić jaki tysiąc lat dlatego, że się nazwyczajono potępiać owe czasy jako barbarzyńskie. Coby jednak w takiéj filozofii historyi wieków średnich zrobić należało, ażeby wykazać nieprzerwaną nić postępu w rozwoju historycznym, to Flint rozumie i sprawiedliwie powiada:

'Gdyby chciano całkowicie i we wszystkich kierunkach wyśledzić postęp, który przez wieki średnie aż do XVI prowadził umysł ludzki do pełnéj świadomości samego siebie, a przez to do coraz lepszego rozumienia jedności rodu ludzkiego, należałoby pisać całkowitą historyą Europy w ciągu tego długiego peryodu. Należałoby kreślić rozwój przemysłu po wsiach i miastach, okazując jak klasy pracujące zostały dotknięte zmianami dokonanemi w formach nabywania i dziedziczenia własności, w ogólnym rządzie społeczeństwa, w stowarzyszeniach kupieckich; co sprawiły krucyaty, gminy, miasta wolne, postęp w sztukach przemysłowych i wyzwolonych, rozszerzony zakres wiadomości geograficznych, odkrycie Ameryki, napływ drogich metali do Europy itd. Słowem, należałoby wykazać: jak więzy krępujące przemysł i handel pękały, jak uczciwa praca zaczęła nabierać szacunku, jak klasy robocze zyskiwały prawa ludzkie i powoli wchodziły do procesu historycznego; jak nareszcie stopniowo rósł stan trzeci, mieszczański, któremu z kolei kiedyś mieli królowie i szlachta służyć. Trzebaby się przyjrzéć rozmaitym sztukom wyzwolonym, muzyce, rzeźbie, malarstwu, poezyi a nawet powieści wtenczas gdy zostawały pod natchnieniem i kierunkiem kościoła, okazać jak się odbywała edukacya rodu ludzkiego, jak się rozrastała sfera działania człowieka, a historya jego bogaciła się nowemi czynnikami. Trzebaby opisać pracowity pochód umiejętności, jak się przechowała wiedza starożytna, jakie powstały instytucye dla jéj rozwoju, co dla postępu zrobiła myśl spekulacyjna tj. teologia i filozofia scholastyczna.

Przedewszystkiém zaś należałoby się przyjrzéć, jak w łonie Europy tworzyły się jednostki narodowe, czyli raczéj narody, albowiem jest to rzeczą niezaprzeczoną, że potworzenie się narodowości potężnie wpłynęło na całkowity rozwój ducha ludzkiego, jak niemniéj, że dalszy postęp ludzi w naukach i sztukach zależy od utrzymania téj rozmaitości narodów odrębnych, których walki i ścierania się działają ożywczo i postęp ów, jako swoje następstwo za sobą prowadzą. Należałoby zrobić to wszystko i więcéj jeszcze, albowiem przez ten wytrwały, metodyczny i heroiczny rozwój sił swoich we wszystkich tych kierunkach, umysł ludzki powoli i mozolnie przekraczał wszystkie zapory, jakie mu stawiały góry i morza, rozmaite zwyczaje i języki, wiary i rządy, uprzedzenia rasowe i stanowe, i tym sposobem zdążał do urzeczywistnienia wspaniałéj prawdy o powszechném braterstwie ludzi. Niepoliczone trudy, ofiary i zawody doprowadziły umysł ludzki do poznania, jaka nieskończona rozmaitość objawów, jaka moc różnic kryje się w zasadniczéj jedności rodu ludzkiego i jak każdy z tych objawów, każda z tych różnic, kolejno lub spółcześnie, w rozwoju historycznym znajdują swój wyraz.

Z powyższego widać, że Flint dobrze rozumie, coby filozofia dziejów mieścić w sobie powinna, a to razem pozwala się spodziewać, że ocena jego rozmaitych prac historycznych będzie wszechstronna i bezstronna. I taką jest ona w istocie. Autor rzuca krótki szkic historyografii francuzkiéj w średnich wiekach i potém zaczyna już szczegółowy rozbiór prac Bodin'a, Bossueta, Monteskiusza, Turgot'a, Voltaire'a, Condorceta, szkoły teokratycznéj (de Maistre, de Bonald), St. Simona, Cousin'a, Guizota, szkoły socyalistycznéj (Buchez i Leroux), Aug. Comte'a, szkoły demokratycznéj, którą składają: Michelet i Quinet, a następnie Tocqueville, Odysse Barrot de Ferron, Laurent.

Pierwszym Francuzem, który, zdaniem Flinta, rzucił filozoficzny pogląd na dzieje, był Jan Bodin (1530—1596). Jaki na to dowód? Oto, że w historyi dojrzał *postęp* odnośnie przeszłości. Czy i na przyszłość ród ludzki będzie się rozwijał pod prawem postępu? Zdawałoby się, że tak, i że to wniosek konieczny z poprzedniego. Tymczasem Bodin nie tylko o tém nie mówi, ale nawet z pary zdań możnaby sądzić, jakoby przypuszczał możność powrotu i cofania się spraw ludzkich wstecz do punktu, z którego wyszły. Zresztą Bodin spłacił dług swojemu wiekowi; pomimo głębokiego sceptycyzmu jaki się z dzieł jego przebija, wierzył mocno w czary, w tajemniczą potęgę liczb i wpływ ciał niebieskich na losy człowieka. Bądź co bądź,

Bodin nie miał sobie równego w historyografii i publicystyce francuskiéj do czasów Monteskiusza. Wątpi on już, żeby cztery monarchie Daniela proroka miały stanowić cztery peryody świata pogańskiego, i rozumie, że nie tylko Assyro-Babilonia, Persya, Greko-Macedonia i Rzym, ale także i inne narody powołane są do rozwoju historycznego.

Jużeśmy wspomnieli, że Bodin nie tylko uznawał w rozwoju dziejów ludzkich postęp, lecz także widział jasno prawo władnące tym rozwojem. Ażeby wykryć to prawo, należy się radzić historyków i prawników i obok Rzymian naznaczyć właściwe miejsce Persom i Grekom, Egipcyanom, Hebrajczykom, Hiszpanom i Anglikom. Idea zatém *prawa powszechnego*, któremu ulegają dzieje, jest u Bodin'a główną i zasadniczą, a zaś wykrycie samego prawa powinno być osiągnięte przez badanie historyi powszechnéj. Nie poprzestając wszakże na wygłoszeniu pojęć ogólnych, Bodin stara się wskazać bliższe przyczyny rozwoju historycznego i widzi je przedewszystkiém w czynnikach fizycznych i politycznych. Że czynniki fizyczne, głównie zaś geograficzne położenie pewnego ludu bardzo wpływa na charakter jego historyi, rozumieli to i starożytni jak Hipokrates, Platon, Arystoteles, Polibiusz i Galen; ale Bodin probował postrzeżenie stosować do mnóstwa przypadków i czynił to ze świadomością. Pokazuje się więc, że nie Monteskiusz, lecz Bodin pierwszy zwrócił uwagę na znaczenie czynników fizycznych i wpływ ich na losy narodów. Co się tyczy znaczenia czynników politycznych, Bodin wiele zawdzięczał Arystotelesowi, którego poglądy daléj rozwijał.

Po Bodin'ie ocenia Flint z kolei Bossuet'a i tu można widzieć jego bezstronność w krytyce tego znakomitego pisarza, którego Buckle sponiewierał, a którego nasz autor wymownie broni. W *Rozprawie o historyi powszechnéj* (1681) Bossuet założył sobie nakreślić historyą narodów i pojedyńczych epok w tym duchu, by służyła za obraz ogólny dziejów, tak jak ogólna mapa świata przedstawia ogół krajów ją składających. Chodziło mu o wskazanie węzłów, łączących z sobą narody i pokolenia; wprawdzie podniósł tylko węzeł religijny, niemniéj jednak dzieło jego nosi piętno geniuszu. Za pomocą prostych, niewymuszonych sądów, kreśli on prześliczne obrazy; każdy wyraz jest tém, czém być powinien, każdy wiersz nosi na sobie wdzięk majestatyczny, a całość sprawia wrażenie, którego trudno językiem oddać.

Jedno, coby mu można zarzucić, to zbyt ciasne pojmowanie historyi, w którém głębokość zastępuje szlachetnością myśli i wspaniałym stylem. Dzieło składa się z trzech części: pierwsza obejmuje

szkic historyi od stworzenia świata do Karola W-o i dzieli się na dwanaście epok; druga, zawiera historyą religii mojżeszowéj i chrześciańskiéj; trzecia rozważa przyczyny wzrostu i upadku państw. W téj ostatniéj celują osobliwie dwa rozdziały, traktujące o upadku Rzymian. Przewodnią myślą Bossuet'a w téj pracy jest pojmowanie dziejów jako zostających pod kierunkiem Opatrzności.

W miarę jak się zbliżamy ku czasom nowszym, zjawiają się na tém samém polu badań, mających na celu filozofią historyi, pisarze tacy, jak Monteskiusz, Condorcet, Voltaire, St. Simon i inni, których autor ocenia z całym spokojem, bez przesadnych sympatyi, lecz i bez nienawiści. W szeregu najnowszych pisarzy przyszła koléj i na Cousin'a. Wymowny ten deklamator miewał w Paryżu (1828) swoje odczyty o historyi, na których po parę tysięcy osób grzmiące dawało mu oklaski. Cousin powtarzał przed Paryżanami głównie pomysły Hegla i tak z lekcyi berlińskiego filozofa jak i z osobistéj z nim rozmowy pochwytał niektóre myśli, jak np. o znaczeniu wojny, wielkich ludzi, i te następnie oratorskim stylem wygłaszał jako oryginalne.

Chciał on równie jak Hegel żyć w zgodzie z potęgami rządzącemi, więc wmawiał w słuchaczów, że filozofia jego najzupełniéj pasuje do istniejącéj wówczas konstytucyi państwa, że eklektyzm jest doktryną zgodną z zasadami rządu, że konstytucya jest istnym eklektyzmem. Perorował emfatycznie, że „konstytucya ogarnia tron i kraj, monarchią i demokracyą, porządek i wolność, arystokracyą i równość, słowem, wszystkie pierwiastki historyi, myślenia i rzeczy.“

Nie możemy tu powtarzać całéj rozprawy o Cousin'ie; przytoczymy tylko pojęcia jego o narodach, wojnie i wielkich ludziach, oraz ich krytykę podaną przez Flinta. Rzeczy te mogą mieć interes bieżący, mogą nieco objaśnić ważne te przedmioty.

O narodach odzywa się Cousin w tych mniéj więcéj słowach:

Istnieją one w tym celu, by sobą wyobrażały momenta idei bezwzględnéj w każdéj epoce, do któréj należą. Ażeby pojąć pewien naród, filozofia historyi powinna wskazać ideę, którą ten naród reprezentuje lub reprezentował, fazę do jakiéj doszedł w jéj urzeczywistnieniu; rozwój téj idei w przemyśle, prawach, sztuce, religii i filozofii; nareszcie porządek i wzajemną zależność od siebie tych czynników. Narody pewnéj epoki, dla tego właśnie, że do niéj należą, okazują z konieczności więcéj podobieństw niż różnic między sobą, chociaż i różnice zatrzéć się nie mogą, gdyż narody te są niezależne. Filozofia widząc, że różnice narodowe, to jest ich idee szczegóło-

wc, są prawdami bardzo niezupełnemi, może na nie spoglądać nie tylko pobłażliwém, lecz i przychylném okiem. Ale same narody zapatrują się na swoje idee jako na prawdy absolutne, mające prawo do wyłącznego panowania. Z tego bierze początek wojna, która jest tylko gwałtowném ścieraniem się idei szczegółowych rozmaitych narodów. Niechybnym rezultatem wojny jest tryumf idei mocniejszéj nad ideą słabszą, narodu, który wstępuje dopiéro w szranki, nad tym, co już dobiegł do mety. Wojna jest konieczną i dobroczynną, albowiem stanowi warunek i narzędzie postępu. Bitwa jest niczém inném, jedno walką między błędem a prawdą, a zwycięztwo, tryumfem prawdy dzisiejszéj nad prawdą wczorajszą, która dziś już się stała błędem. Jest to nierozumienie rzeczy, gdy się mówi o szansach wojny; kości do gry są narządzone, ludzkość nie traci ani jednéj partyi, żadna bitwa nie była straconą dla cywilizacyi. Strona zwyciężona zawsze jest winną, a strona zwycięzka bierze górę, ponieważ jest lepszą, bardziéj przewidującą, roztropniejszą, waleczniejszą, więcéj wartą niż jéj przeciwnik. Wojna jest biegiem na długą metę i służy za najlepszy probierz wartości narodu. W historyi wojennéj i w organizacyi wojennéj pewnego narodu, można dojrzéć całkowity jego charakter.

Jest to kopia Heglowskiéj filozofii dziejów i prawa z tą różnicą, że po francuzku gładziéj się to czyta, niż po niemiecku. Ale co warta podobna filozofia historyi? Flint widzi w niéj same fałsze i najzgubniejsze następstwa. Co to są te idee, które narody mają realizować? zkąd się one o nich dowiedziały?

Kto może na pewno twierdzić jakie są idee, czyli posłannictwa Francyi, Niemiec, Anglii itd? Wprawdzie Francya za Napoleona III sądziła, że posłannictwem jéj być żandarmem Europy; Niemcy dziś prawią o swoim posłannictwie na wschód Europy jako missyonarze cywilizacyi. Ale kto w takie pretensye wierzył lub wierzy? Fałszywą téż jest teorya wojny. Ma ona brać początek ze ścierania sią idei reprezentowanych przez szczegółowe narody. Wszakże, nie przecząc, że idee sporne mogą się w pewnéj mierze przyczyniać do wywołania wojny; czyliż nie bliższym był prawdy Hobbes, który za istotne przyczyny wojen uważał rywalizacyą, nieufność, chęć sławy, czyli innemi słowy, chciwość, zazdrość, pychę, uzbrajające narody do mordowania się i łupieży? Albo znów zkąd pewność, że niechybnym rezultatem wojny jest tryumf prawdy i zysk dla cywilizacyi? Kain zabił Abla; więc Abel był winien? A ileż bratobójstw między narodami? W dziejach starego Rzymu, w historyi Francyi, Anglii, Prus, wszędzie znajdą się przykłady, jak za pomocą podstępów, zdrad, oszukaństw, gwałtów wszelkiego rodzaju, narody tryum-

fowały jedne nad drugiemi. I słusznie powiada Flint, że nie tylko przezorność i duch ofiary prowadzą narody do potęgi wojskowéj i przewagi nad innemi: tyleż lub może więcéj jeszcze pomaga ku temu zemsta, żądza łupu, służalstwo pielęgnowane w masie narodu. Hegel i Carlyle nie ubielą murzyna; ani téż retoryka Cousin'a nie zdoła odjąć fałszu tym teoryom, któremi wszystkich i wszystko można usprawiedliwić.

Teraz zobaczmy jeszcze jednego konika, na którym pewni statyści i filozofowie harcują: konikowi temu możnaby dać nazwisko „teoryi wielkich ludzi" albo „ludzi opatrznościowych." Czemuż nie mamy wielkich ludzi, wołają zrozpaczeni; czemu tak rzadko zjawiają się Cezary, Napoleony, Bismarki?! Cousin za innemi poszedł i rozważaniu tego przedmiotu poświęcił jeden z najwymowniejszych swoich odczytów. Rozumowania jego dają się streścić w następujących słowach:

Zjawienie się wielkiego człowieka nie jest przypadkowe; nie jest on istotą, któraby mogła być lub nie być, lecz przeciwnie jest mniéj lub więcéj pełnym i koniecznym przedstawicielem, jakiego każdy wielki naród powinien wydać. Wielki człowiek, jak wszystko co jest prawdziwie piękne i wzniosłe, łączy w sobie ogólność i szczególność. Wyobraża on ogólnego ducha swojego kraju, swojéj epoki, a przez to wiąże się ze wszystkiemi i wpływ swój na nich wywiera; ale równocześnie jest on sobą, jest szczegółem. I tym sposobem zlewają się w nim nieskończoność i skończoność, co stanowi prawdziwą wielkość ludzką.

Wielcy ludzie streszczają w sobie narody i epoki tak dobrze, iż historya powszechna jest właściwie tylko szeregiem ich życiorysów. Wielki człowiek zjawia się na reprezentanta pewnéj idei i jest nim póty, póki ta idea zasługuje na to; rodzi on się i umiera zawsze w porę, ani zawcześnie, ani zapóźno; czuje, że jest tylko wykonawcą jakiéjś potęgi zewnątrz niego stojącéj, jakiegoś nieubłaganego przeznaczenia. Znakiem, po którym się poznaje wielkiego człowieka, jest powodzenie, z powodzenia rodzi się wielka siła i wielka cześć, jakich nie osiągają ci, co to nie zasłużyli. Wielcy ludzie stali się wielkimi głównie w dwóch kierunkach: jako mędrcy zdobywający nowe prawdy i jako wojownicy wyciskujący mieczem te prawdy na świecie; jako ich krzewiciele na rozległych obszarach przez siebie zhołdowanych.

Ta charakterystyka wielkich ludzi, te cechy, po których można ich rozpoznawać, mieszczą wiele prawdy i tyleż bardzo świetnych paradoksów, które pod piórem takiego Carlyle'a wyglądają jak genialne jasnowidzenia, jednak nie zdolne są oprzéć się surowéj krytyce.

Jak bowiem rozumiéć to, że wielki człowiek rodzi się i umiera w samę porę, gdy spełnił ideę, do urzeczywistnienia któréj był przeznaczony? Kto go przeznaczał? Co to za potęga działa w nim i przez niego, a on się oprzéć jéj nie może? Czyliż tym argumentem każdy uzurpator nie zdoła się obronić od słusznych zarzutów? Można zapewne powołać jeszcze Opatrzność do spółdziału i powiedziéć, że to Ona wybrała wielkiego człowieka za narzędzie. Ale któż z Opatrznością zasiadał do rady? Inni wprowadzają fatum, co jeszcze bardziéj wikła pojęcie o stosunku wielkiego człowieka do reszty maluczkich, albowiem fatum, to także nieznane X, wyraz, pod który nie wiadomo jaką ilość podstawić. Ubóstwianie wielkich ludzi, byle niebrane dosłownie, ma swoje dobre strony jako nagroda dla zasługi i zachęta do zasługi na polu dobra publicznego; jeżeli jednak przez nich tylko zechcemy tłómaczyć rozwój historyczny będziemy podobni do tych, co samemu wodzowi przypisują zwycięztwo. Wielki człowiek zależy tak dobrze od innych ludzi jak oni od niego. Gdy go nie poprą, zużyje się, strawi i zmarnieje.

Na tém skończymy uwagi nasze nad historyozofią francuzką. Wprawdzie Flint ciągnie daléj swoję ocenę historyków francuzkich, i moglibyśmy idąc za nim powtórzyć jego poglądy na historyków doktrynerów jak Guizot, lub demokratów jak Michelet i Quinet; lecz potrzeba nam jeszcze zajrzéć do drugiego tomu jego dzieła, w którym rozbiéra historyków niemieckich.

* * *

Mniemają powszechnie w Niemczech, powiada Flint, że literatura historyczna, a nawet nie tylko historyczna, zjawiła się niejako gotowa w drugiéj połowie zeszłego wieku; jakoż, mniemanie to blizkie jest prawdy. W istocie, ta dziwna literatura, którą nazywamy niemiecką, lubo dziś jest może najobfitszą w Europie, datuje się w pewnym względzie dopiéro od połowy XVIII wieku. Ma ona jednak korzenie podziemne, sięgające głęboko w przeszłość; żadna jéj gałąź nie jest bez przodków i to bardzo starych, wprawdzie nizkiego rodu, ale szanownych. Pomijając jednak te dawne czasy, autor zaczyna od epoki Reformacyi i Humanizmu, gdy się rozpoczęła walka religijna, która dała początek i do żywszego zajęcia się historyą. Wtenczas to zaczęły wychodzić *Centuriae Magdeburgicae* Flacciusa, liczące 30 woluminów in folio (1559—1574), kolekcya historyczna pełna żółci i nienawiści do katolików, którzy też ją przezwali „Centuryami szatana".

Następnie, protestantyzm rozdzielony na dwie gałęzie, luterską i kalwińską, chcąc usprawiedliwić swoje powstanie, uprawia historyą, przeważnie kościelną, przepełnioną sekciarskiemi wycieczkami na przeciwników, polemizuje, ale poważniejszych prac nie wydaje. Nadchodzi wojna trzydziestoletnia, podczas którój zamilkły prawie wszystkie muzy i dopiéro po kongresie westfalskim zaczyna się budzić ruch umysłowy, w którym przoduje Leibnitz, nazywany Arystotelesem nowożytnym. Z kolei historya zdobywa sobie już niejakie imie, dzięki pracom Mosheima, Püttera i Schlözera, którego wypadnie najwyżéj w téj plejadzie postawić (1772). Daléj idą: Iselin, Wegelin, Müller, Lessing, Herder, Kant, Schiller i inni. Czas, w którym ci autorowie pisali, nosi w dziejach Niemiec nazwę „peryodu oświecenia, Aufklärungsperiode“, widocznie dla pokazania, że poprzedni był peryodem ciemności. Ale to oświecenie, zasadzające się na wznowieniu ideałów pogańskich, klasycznych, doprowadziło do kosmopolityzmu i powierzchownéj, płytkiéj filozofii w rozumieniu historyi. Niemcy przyszli wówczas do mniemania, że prawdziwa oświata zasadza się na uwielbianiu ludzkości; wielu z nich uważało patryotyzm za synonim niedorzecznego przesądu; tak go nazywał Fryderyk W. Lessing; przyznawał się, że nie rozumie znaczenia tego wyrazu, a Fichte na krótki czas przed bitwą pod Jeną, twierdził, że tylko człowiek gruby może ubolewać nad stratą ojczyzny, a zaś wyższy umysłem ten naród uważa za swoję ojczyznę, który najwyżéj w cywilizacyi stanął.

Jednakże, gdy hańba, jaką Napoleon okrył naród niemiecki, dała poczuć uczonym co wart kosmopolityzm humanitarny, rozbudził się patryotyzm, *szerokie natury* zaczęły wglądać w przyczyny słabości narodowéj, poszukiwać środków do ich wykorzenienia. Owocem tego kierunku, nieszerokiego, są rzeczy na które patrzył rok 1870. Od tego to zwrotu patryotycznego, który wojny Napoleońskie rozbudziły, datuje się potężny wzrost literatury niemieckiéj, wśród którój historya i jéj filozofia nie ostatnie zajmują miejsce. Dość tu przytoczyć nazwiska takich mężów, jak Lassen, Ewald, Bunsen, Niebuhr, O. Müller, Mommsen, Ihne, którzy rozświecili historyą Wschodu, Grecyi i Rzymu; Savigny, Grimmowie, Pertz, Leo, Giesebrecht, którzy opisywali wieki średnie; Schlosser, Gervinus, Ranke, von Sybel, którzy uprawiali pole dziejów nowożytnych. Niemieccy historycy badali historyą każdego narodu; tak np. historyą Anglii zajmowali się Ranke, Gneist, Fischel. Historyą filozofii pisali: Hegel, Ritter, Zeller, Erdmann, Fischer i mnóstwo innych; historyą kościelną wszystkich wyznań chrześciańskich zajmowało się tylu, że jak mówi Flint, naprzeciw jednego Francuza lub Anglika, Niemcy mogą postawić pięćdziesięciu równych lub wyższych.

Wielka szkoła historyczna, któréj w Niemczech dali początek Niebuhr i Savigny, wzięła za główną zasadę uznanie indywidualności narodów. Znamiona jéj stanowią: *wstręt* do narzucania historyi z góry powziętych idei, czyli jak technicznie mówiono, do „konstruowania historyi *a priori*“ i wysnuwania z niéj abstrakcyjnych systematów; *chęć* wniknienia w charakter każdego narodu, jak gdyby konkretnéj osoby; *usiłowanie* tłómaczenia każdéj z faz ruchu dziejowego, jako rozwoju organicznego, czyli ewolucyi przyrodzonéj; nareszcie *nałóg* badania u źródeł, szukania wiadomości z pierwszéj ręki, przy świetle głębokiéj krytyki. Nowsza szkoła historyczna uznała, że bezbarwny kosmopolityzm, zamykający oczy na różnice narodowe, jest błędem; że prawdziwy i uzasadniony kosmopolityzm musi uznawać te odrębności, a wznosząc się ponad nie, od nich zaczynać. Głównym błędem historyków kosmopolitów jest przeoczanie tego faktu, mniemanie, że można poznać ród ludzki, nie znając narodów i pokoleń, które go składają; słowem, mniemanie, że filozofia historyi leży na powierzchni, nie zaś w głębi saméj historyi.

Filozofią historyi w Niemczech, oprócz samych historyków, uprawiali po większéj części filozofowie, tacy jak Fichte, Schelling, Krause, Hegel i inni. Uczeni ci zwykle rozpoczynali od jakiéj abstrakcyjnéj zasady, z któréj snuli wątek dziejów najczęściéj niezgodny z faktami, ale zgodny z ową zasadą. Kiedy historycy niemieccy z benedyktyńską cierpliwością kopali się w kronikach i archiwach, kiedy gromadzili i materyały i ich opracowania; filozofowie wybierali z téj spiżarni, co im przypadało do smaku, budowali systemata, którym sami ich ziomkowie odmówili wszelkiéj wartości. Ztąd to jeden z najnowszych filozofów-historyków Konrad Hermann w swojéj *Filozofii Historyi* (Lipsk, 1870), uważa na tém polu za bezpośredniego poprzednika swojego dopiéro Hegla, a wszystkich co przed nim pisali bardzo lekko ceni. Dzieło Herdera, nazywa „pozbawioném wszelkiego ładu“, takież Schellinga, „filozofią awanturniczą, mistyczną i fantastyczną,“ a Bunsen także tylko „jednę stronę rzeczy ukazał“ (w dziele: „Gott in der Geschichte“ 1857—58). Jest to zapewne sąd trochę zaostry, ale świadczy, że sami Niemcy jeszcze nie są w porządku z filozofią historyi. Flint jest sprawiedliwszy. Rozbiera on starannie prace Herdera, Kanta, Fichtego, Schellinga i jego uczniów: Stutzmanna, Stefensa, Görresa, daléj Fryderyka Schlegla, Krausego, Hegla, Bunsena, Lassaulx'a, Lazarusa, Lotze'go i kończy na owym Konradzie Hermannie. Najwięcéj stosunkowo miejsca poświęcił Flint rozbiorowi dzieł Krausego i Hegla. Wszędzie jest on sobą: umiarkowany w sądzie, sprawiedliwy przy ocenianiu choćby wręcz nieprzystających do niego pomysłów, trzeźwy na sposób an-

gielski. Co zaś najbardziéj go zaleca, to protestacya przeciw sile i pięści, które nie tylko że gospodarują teraz zwycięzko wśród narodów, lecz i filozoficznych mają obrońców. Jedno byłoby do nadmienienia przeciw Flintowi, mianowicie nieco goryczy anglikańskiéj i protestanckiéj, gdy mówi o katolikach. Wszakże i w tych ustępach nie masz napaści ani złorzeczenia, lecz teologiczny zapał, który w Anglii do dziś dnia nie wygasł.

Potrzebę zebrania i ocenienia rozmaitych poglądów na historyą powszechną rozumiano zarówno w Anglii jak i w Niemczech; ale zabrać się do takiego dzieła i wykonać je, jeżeli nie wzorowo, to przynajmniéj dostatecznie, było nie łatwo. Ogrom materyału musiał przerażać choćby i najśmielszych. Pojedyńczych monografii o historykach-filozofach już wprawdzie kilka istniało; wszakże o całość niewielu się kusiło przed Flintem. Praca jego, któréj szkic podano wyżéj, jest w tym kierunku najpoważniejszą i stosunkowo najobszerniejszą; zupełną jednak nazwać jéj nie można: brak w niéj oceny historyków starożytnych, a nadto metoda jego ma pewne niedogodności. Opisuje on bowiem historyków grupami narodowemi i kreśli monografie historyografii francuzkiéj, niemieckiéj, angielskiéj i włoskiéj i to dopiéro nowszych czasów. Tym sposobem czytelnik traci możność porównania historyków nowożytnych ze starożytnymi i nie widzi ich ugrupowanych wedle ogólnych stanowisk, z jakich dzieje rozważali. Dla tego obraz usiłowań filozoficznych około zrozumienia historyi powszechnéj bardziéj systematyczny był pożądany, i obraz taki wykonał p. R. Rocholl, o którego dziele podajemy następne wiadomości.

IV.

Wydział filozoficzny uniwersytetu w Getyndze ogłosił w r. 1874 konkurs na ułożenie dzieła, któreby obejmowało „Usiłowania, czynione od czasów starożytnych w celu napisania filozofii historyi.“ Na zadanie odpisał R. Rocholl tak zadawalniająco, że wydział filozoficzny wspomnionego uniwersytetu dzieło jego „Filozofia Historyi“ uwieńczył.

Autor miał przed sobą pracę ogromną: ocenić, choćby najtreściwiéj, większe i mniejsze dzieła i rozprawy kilkuset autorów i wyciągnąć z nich myśli filozoficzne, dotyczące rozwoju dziejów człowieka na ziemi. O wielu z tych historyków, zwłaszcza starożytnych były gotowe monografie, ale nowszych trzeba było samemu przeczy-

tać i dopiéro uporządkować ich podług stanowiska, z jakiego na dzieje patrzyli. Z zadania tego wywiązał się ku zadowoleniu wydziału, który konkurs rozpisał, a trzeba przyznać, że i u postronnych trud jego musi spotkać uznanie; jest to bowiem treściwa, dosadna i na osobistém rozważaniu oparta charakterystyka mnóstwa historyków.

Pierwszém pytaniem, jakie się autorowi nasuwało, było, jak uporządkować olbrzymi materyał? Grupować go tak, jak Flint uczynił, nie mógł, bo, powiada „dzielenie podług narodów, ma w sobie coś bezładnego, gdyż rozrywa wątek tych rozmaitych o historyi pomysłów.“ Czyby więc nie można ustanowić podziału ze względu na cechy wewnętrzne, na stanowisko, z jakiego dziejopisarze na rozwój historyczny ludów patrzyli? Jakoż, zdaje mu się, że historyków możnaby na trzy grupy podzielić. W pierwszéj mieszczą się ci, co z teologicznego punktu rozważali dzieje: historya w ich oczach, jest dziełem Boga. Tak sądzili pisarze chrześciańscy i dawni klasyczni. Następnie, w epoce Odrodzenia (Renaissance) zjawia się pogląd humanistyczny. Na tém stanowisku, historya uchodzi za dzieło człowieka. Nareszcie zjawia się pogląd naturalistyczny, wydobyty z nauk przyrodzonych, przejęty materyalizmem. Na tém stanowisku historya jest przedewszystkiém dziełem czynników przyrodzonych, śród których człowiek prawie znika; czynniki te działają za niego i przez niego, albo raczéj on sam jest jednym z tych czynników, wykonywającym ruchy to naprzód, to wstecz, nie wiedząc po co i na co krąży jako jeden z atomów wszechświata, jako jedno z kółek téj wielkiéj machiny. Tak więc uogólniając jak najbardziéj zapatrywania historyków na rozwój dziejów, możnaby te ich poglądy zsumować w wyrazy: Bóg, człowiek, natura. Inaczéj jeszcze: teologia, antropologia i fizyologia. Albo innemi słowy, przypuśćmy, że mamy przed sobą jakąś wspaniałą budowę, i że widzowie ją oglądają. Wówczas, jedni będą w niéj widzieli tylko mistrza, drudzy o mistrzu zapominają, a widzą spojenia części i dziwne ich spółdziałanie w całości: gdy zaś dostrzegą jakby wcieloną jakąś w nich ideę, mówią, że to ślepy los zrządził. Ostatni wreszcie mają tylko materyał przed oczami, dziwią się jego podatności na wszystko i przezeń wszystko tłómaczą. Coś podobnego widzimy w ocenianiu cudownéj budowy historycznéj, poglądy zbliżające się do powyższych zjawiają się bądź jedne po drugich, bądź biegną spółcześnie.

Stosownie do téj upatrzonéj wewnętrznéj różnicy w poglądach na dzieje powszechne, rozważa Rocholl pisarzy starożytnych, gre-

ckich i rzymskich, Ojców kościoła i średniowiecznych kronikarzy, daléj humanistów i nareszcie najnowszych.

Pod wyrazem „Historya“ mówi autor, rozumiemy wogóle zarówno żywotny rozwój ludzkości jak i nasze pojmowanie tego rozwoju. W tém drugiém znaczeniu jest historya, jak uczy, Droysen „wiedzą ludzkości o sobie saméj.“

Ta wiedza rozpoczyna się najprzód od badania, ale na ułamkach ztąd osiągnionych nie poprzestaje; nagromadzenie faktów jeszcze samo jéj nie zadawalnia. Zaczyna więc je porządkować i brakować, ażeby pośród wielości zjawisk dotrzéć do jedności, która im za fundament służy, i tym sposobem dopiéro przebrane materyały w systematyczną budowę układa. A więc jak znajomość przyrody, tak również i historya potrzebuje pomocy filozofii, która nawet przy najelementarniejszém pisaniu dziejów winna być obecna. Ona to bowiem dla zjawisk zmysłowych i faktów historycznych szuka przyczyn wewnętrznych. Ale filozoficzne dziejów pisanie jeszcze nie jest filozofią historyi. Tamto bowiem może poprzestać na idealném ujęciu życia pewnego narodu, na ocenieniu doniosłości jakiegoś wielkiego zdarzenia; tymczasem filozofia historyi ogarnia całość historyi i szuka myśli służącéj jéj za fundament. Tym sposobem pomaga ona ludzkości do samopoznania, do oryentowania się w swoim pochodzie. Starzec cofa się myślą w ubiegłe lata, bierze samego siebie za przedmiot rozważania i przez to dopiéro staje się samemu sobie zrozumiałym. Czém jest autobiografia dla jednostki, tém jest filozofia dziejów dla ludzkości. W téj pracy nad filozofią dziejów przychodzą badaczowi w pomoc i astronomia i geologia i lingwistyka i religia, słowem, wszystkie umiejętności, które w nią jak rzeki w morze spływają.

Tak oto Rocholl pojmuje zadanie i stanowisko filozofii dziejów i, zgodnie z nakreślonym planem, w treściwych i jędrnych poglądach na historyczne prace wszystkich ludów i czasów prowadzi czytelnika po labiryncie dziejów powszechnych, przytaczając główne punkta ocenianych dzieł, krytykując słabe ich strony, podnosząc to, co prawdopodobnie można uważać za trwały nabytek w nauce historyi. Nie pójdziemy za nim w przytaczaniu treści dzieł rozbieranych, lub krytyk o nich podawanych. Wogóle możemy powiedzićć, że krytyki te zdają nam się być trafne, i że z całego dzieła wieje duch zdrowy, może tylko czasami za sceptyczny. Przy rozbiéraniu tylu pomysłów często z sobą sprzecznych, z których jedne uderzają głębokością a inne trącą dziecińst wem, septycyzm może się naturalnie obudzić i nasunąć pytania, czy wogóle filozofia dziejów powszechnych nie jest dziełem nad siły nawet najdzielniejszych umysłów, a powtó-

re, czy nagromadzone materyały, pomimo swojéj ilości i rozmaitości, są o tyle pewne, by na nich oprzéć trwałą budowę. Rzeczywiście, pytania te są na miejscu, chociaż nie mogą i nie powinny zniechęcać badacza.

Żeby dać wyobrażenie o trudnościach zadania, powtórzymy w streszczeniu to, co Rocholl o nich na rozmaitych miejscach mówi. Materyałów do filozofii historyi dostarczają rozmaite nauki, jak etnografia przedhistoryczna, historya religii, lingwistyka, ekonomia polityczna, statystyka i t. d. Do jakich rezultatów każda z nich doszła? Oto co mówi nasz autor.

Co się tyczy etnografii przedhistorycznéj, która ma nam pokazać pierwotnego człowieka, wié ona bardzo mało, albowiem nie wié czy na początku przypuścić stan cywilizacyjny, czy na pół zwierzęcy. Ani Lubbock, ani Wallace pytania tego zadawalniająco nie rozwiązali. Darwin zaś mówi krótko: „Zagadnienie, dotyczące postępu dzikich ku cywilizacyi, jest obecnie jeszcze zatrudne, żeby mogło być rozwiązane.“ Peschel dodaje: „Obecnie brak jeszcze jakiegokolwiek stanowczego faktu, któryby pozwalał budowle nadwodne uważać za starsze niż piramidy nad Nilem.“ Otóż, wiadomo, że co do tych prastarych dziejów nad Nilem, panuje ogromny zamęt. Henne przypuszcza, że Menes żył na 6.117, Brugsch, że na 4.393; a Hofmann, że na 2.182 lat przed erą chrześciańską. A gdzie ów pierwotny człowiek mieszkał początkowo? Leo Reinsch naznacza dlań siedzibę gdzieś około równikowych mórz Afryki, zkąd kierując się biegiem rzek powędrował w rozmaitych kierunkach lądu afrykańskiego, następnie do Europy i Azyi. Za najstarożytniejszy zaś język uważa mowę pokolenia Teda, mieszkającego lat temu przeszło trzy tysiące gdzieś na oazach Libijskiéj pustyni. Inni początek rodu ludzkiego widzą znów w tajemniczéj Lemuryi, albo téż naznaczają takich punktów aż ośm, wzajem od siebie niezależnych, mianowicie w grupach: chińsko-japońskiéj, indo-malajskiéj, irańsko-semickiéj, egipskiéj, europejskiéj, arabskiéj, azteków i peruwiańskiéj.

Badania rozmaitych religij na kuli ziemskiéj także jeszcze nie doprowadziły do żadnych pewnych wniosków. Haug, mówiąc o pracach Maxa Müllera, pisze: „Chociaż mamy już wszystkie teksty ksiąg Wedyjskich, ale jesteśmy jeszcze bardzo daleko od ich zupełnego rozumienia. Egzegeza właściwa jeszcze nad niemi nie rozpoczęta, a dopiéro po niéj może historya swoje słowo powiedziéć.“

Nie inaczéj rzecz się ma z lingwistyką porównawczą. Grimm i Szafarzyk odkryli źródła niemieckie i słowiańskie, Bopp i Burnouf odcyfrowali Wschód. Wciągnięto do porównania mnóstwo dawniéj pomijanych języków. Od czasów Remusata mamy osobne badania

dotyczące Chin, od Champolliona Egiptu, a pomimo tego, jakże niepewne są wiadomości o wędrówkach narodów! Niejaki Grill jeszcze w roku zeszłym zaliczał naród hebrajski do Aryjczyków, czyli do rodziny indo-germańskiéj. Tak to jeszcze nauka nie jest świadoma stosunku, jaki zachodzi między pierwiastkami mów indogermańskich i semickich. Najwięcéj badano języki aryjskie i semickie, co stanowi nieznmiernie mało w porównaniu z istniejącemi na ziemi językami; a znów bez poznania przynajmniéj głównych, filozofia dziejów postąpić naprzód nie może.

Statystyka również zaledwie pierwsze kroki stawia. Jako statystyka zaludnienia, przedsiębierze ona okazać nam ruch wielkich mas historycznych; ale to, co dotychczas zrobiła na tém polu, nie sięga za początki. Co zaś ważniejsza, przekonaliśmy się, że ściślejszych wiadomości o ludach starożytnych zrzec się trzeba, albowiem już ich w statystyczne rubryki wciągnąć nie możemy, a więc i z formułowaniem praw dotyczących rozwoju całéj ludzkości, musimy być bardzo ostrożni. Nie lepiéj jak ze statystyką. ma się rzecz z ekonomią polityczną. Liczy ona zaledwie sto lat życia, dopiéro sama zaczyna się uczyć, jaki jest ruch i istota społeczeństwa ludzkiego. Co z tego wynika? Wcale niepocieszające wnioski: nie wiemy czém są narody. Sąż one czémś więcéj niż gromadami mrówek? Na czém ich szczęście zależy? Nie jestże życie ostrygi szczęśliwsze niż ryby, a znów życie téj ostatniéj szczęśliwsze niż człowieka? Tak się pytają ci, którzy historyą uważają za czysty utwór natury. A cóż dopiéro powiedziéć o innych pytaniach, np. o tém, jaki jest stosunek wolności do konieczności w rozwoju jednostek i narodów; jak pojmować postęp w tym rozwoju? Są tacy, co go uważają za rzecz dowiedzioną, a do nich liczą się: St. Pierre, Diderot, Condorcet, St. Simon, Lubbock, Mill, Buckle, Romagnosi, Bertolo, wreszcie idealiści niemieccy. Carey także jest pełen ufności; Bastiat twierdził, że „ludność dąży do równowagi ze środkami wyżywienia.“ Malthus był innego zdania. Roscher i Lotze czynili znaki zapytania, gdy chodziło o wskazanie postępu. Sam Mill odzywał się w te słowa: „Jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy wszystkie nasze wynalazki mechaniczne ulżyły choć na jotę codzienny trud człowieka.“ Engel, zwracając uwagę na teraźniejszy system przemysłowy w Niemczech, doszedł do konkluzyi, że polega on „na zużywaniu ludzi ku pożytkowi kapitalistów.“ We Francyi dostrzeżono zmniejszanie się ludności. Mają więc i przeciwnicy teoryi postępu silne argumenta, a pessymizm, grasujący w literaturze, nastręcza obfity materyał do czarnych przewidywań. Wszystko to świadczy, że filozofia historyi, mająca nam okazać prawa rozwoju historycznego, nie prędko jeszcze będzie nauką ścisłą.

* *
*

Słuszności tym uwagom Rocholla odmówić niepodobna. Filozofia historyi nauką ścisłą nie jest i być nią nie może. Nauka jakakolwiek jest ścisłą wtenczas, gdy może *przewidzieć*, *obrachować*, jakie będą rezultaty sił i czynników działających. Przy niepewności danych, z których te przepowiednie czynić wypada, omyłka jest nieunikniona; ale też chodzi tu nie o rachunek ścisły, lecz tylko o prawdopodobny: dla tego i filozofii dziejów do nauk ścisłych nie liczymy. Jako nauka przewidywań prawdopodobnych, które mogą nastąpić, jeżeli takie a takie czynniki historyczne będą działały, może być bardzo pożyteczną. Nie przewidzi ona na pewno upadku państwa, ale powie warunkowo: jeżeli w tém państwie władza naczelna będzie zwątlona, jeżeli rozmaite gałęzie zarządu zostaną skrzywione, jeżeli w obywatelach prywata weźmie górę nad ofiarnością dla dobra publicznego, jeżeli egoizm zapanuje w tych, co innych dźwigać powinni i t. d., państwo upaść musi. Tym sposobem skutek zwiąże z przyczyną, czyli raczéj z szeregiem przyczyn i stanie się filozofią państwa. Nie będzie to jeszcze filozofia całego rodu ludzkiego, lecz dopiéro jednéj gromady ludzkiéj; ale to co się dzieje z mniejszą grupą, dziać się musi i z wielką masą. Natura ludzka w swoich zdolnościach i namiętnościach nie uległa zmianie, a to, co było, znów się może powtórzyć, gdy się znajdą podobne czynniki i podobne okoliczności. Gdyby nie to, nawet przybliżone obrachowania w historyi czy to powszechnéj, czy szczegółowéj jednego narodu, byłyby niemożebne.

Chociażby zatém nigdy nie zdołano ułożyć filozofii dziejów powszechnych, któraby była nauką ścisłą; niemniéj jednak filozoficzne badanie historyi powszechnéj i swojego narodu będzie wielce nauczającém. Prawdziwy statysta w historyi przedewszystkiém musi szukać odpowiedzi na pytania, jakie mu obecność zadaje. Rozwiąże mu ona niejednę zagadkę i ustrzeże od błędów w stosowaniu pomysłów reformatorskich do danéj chwili. Filozoficzne badanie dziejów rozprasza sofizmata i mimowolne złudzenia, takie jak np. że zdarzenia dziejowe bez przyczyn nastąpiły. Już zaś w szukaniu tych przyczyn umysł musi sięgnąć nie tylko do zdarzeń właściwie politycznych poprzedzających, lecz do wszelkich objawów tak zdrowych jak i chorobowych, które, wzięte razem, stanowiły przyczynę tego lub owego faktu dziejowego.

Słowem, nauczy się pojmować historyą powszechną i swoję jako łańcuch złożony z szeregu ogniw wiążących się z sobą na mocy prawa przyczynowości. Wyleczy się równie z sofizmatów takich, jak np. utarty i powtarzany błąd o trzech fazach: dzieciństwa, dojrzałości i zgrzybiałości narodów; albo inny, o *missyi*, jaką pewien naród ma spełnić i, po jéj spełnieniu, w grób się położyć. Złudzenia i sofizmata powyżéj przytoczone krążą do dziś dnia nie tylko po książkach, lecz służą oraz za podstawę działania w rozmaitych doświadczeniach, jakie narody jedne na drugich wykonywają. Takie, oprócz innych, można sobie obiecywać rezultaty z filozofii dziejów.

F. K.

KRZYŻ NAD OTCHŁANIĄ,

STUDYUM KOBIECE

przez

Deotymę.

(Ciąg dalszy).

LIST XIV.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—10 Lutego.

Droga i jedyna przyjaciółko moja!

Wczoraj wróciliśmy nakoniec z naszéj cudackiéj wyprawy. Śpieszno mi wypłacić dług zaległy i opisać resztę dni spędzonych w Warszawie; dni te były pełne ruchu i przewrotów, tak że tam ani na chwilkę nie mogłam siąść do pisania.

A najprzód, usłysz mój wykrzyk radosny: Zwycięztwo! Wszystkie pokusy zwyciężone! Świat nie dla mnie, i ja nie do świata. Powołanie moje niewątpliwe już i uznane. Sam wujaszek najdroższy już go nie zaprzecza. Jeszcze tylko nieszczęśliwe moje zdrowie stoi na przeszkodzie. Ale i ta wkrótce się usunie, jeśli Bóg miłosierny wysłucha mię wedle niecierpliwości duszy mojéj.

Wszystko się przesiliło w dzień owego balu. Ach, co za rozczarowanie! Błogosławione rozczarowanie, kiedy mi otworzyło oczy na marność marności. Nie tylko mi ten bal nie zawrócił głowy, ale się na nim znudziłam najokropniéj, wyniosłam z niego niesmak i ro-

dzaj oburzenia, które mię na zawsze od pustych zabaw odstręczyły.

Przygotowania poszły jeszcze bardzo wesoło. Twój list przybył dopiéro w sam dzień balu, toaletowe przestrogi zdawały się zapóźne, ale mój kobiecy, jak nazywasz, instynkt przeczuł je i uprzedził. Jeszcze na dwa dni pierwéj uprosiłam wuja, żebyśmy poszli sami do magazynu; tam, po naradzie z pannami, zostało zmienione przybranie sukni; zamiast wyblakłych konwalii, dano kokardy z czarnego aksamitu i pęki ciemno-czerwonych jagód, których długą kiść wzięłam i do włosów. Teraz wystaw sobie moję uciechę, kiedy w twoim liście zobaczyłam, że radzisz kubek w kubek te same kolory. Oj, ten list! Zawierał on i różne inne niebezpieczne radości.... Ktoby się spodziewał, że mój anioł stróż stanie się raz kusicielem? Twoje miodowe słówka, twoje złudne zachęty, płynące ze szczeréj, ale zaślepionéj duszy, były takie miłe, że przez cały dzień w nie wierzyłam i do dziś dnia możebym wierzyła jeszcze, gdyby sam bal nie podjął się zaprzeczyć im najsolenniéj.

Tak, moja poczciwa kusicielko, raz już musisz oswoić się z myślą, że masz przyjaciółkę szpetną, a przynajmniéj wcale niepowabną, kiedy nikt nie chce z nią tańcować, nikt nie chce nawet na nią patrzéć.

Ale wówczas rano nie miałam jeszcze powodów do tak silnego przekonania, owszem twój list wbił mię w odwagę i w ufność, które sprawiły, że ubrałam się śpiewający. Włosy mi ułożył fryzyer pierwszy to raz w życiu spotykał mię ten zaszczyt, który, mówiąc nawiasem, nie bardzo mi się podoba; czy to przyzwoicie, aby mężczyzna, i jeszcze młody elegant, wdawał się w naszę toaletę? Ale prześlicznie uczesał, to główne. Co do sukni, kiedy ją zobaczyłam rozpiętą na łóżku, które jeszcze nie wystarczało, aby objąć jéj ogrom, byłam przekonana, że piękniejszéj chyba nikt miéć nie może, a kiedy weszłam w te strumienie tarlatanu, kiedy upięłam tuniki i girlandy, rozpuściłam treny i loki, zlękłam się doprawdy czy nie jestem *nadto* wystrojona? Wujaszek przepowiadał, że będę królową balu, i tą myślą się trzeźwił, bo ziewanie go już porywało. O wpół do jedenastéj pani Prezesowa zajechała po mnie.

Gmach Resursy przedstawił mi się z początku jak zaczarowany. Kagańce przed kolumnadą, tłumy służby okrytéj złotem i srebrem, schody pąsowem suknem wysłane, całym lasem zieloności zagęszczone, źwierciadła wielkie jak ściany, nakoniec sama sala, ogromna jakby kościół, trzęsąca się od światła, powiadam ci Anielciu, Kopciuszek nie tyle się co ja zadziwił, wchodząc na bal królewicza. Ale

wszystko mi popsuł zmienny humor moich towarzyszek. W karecie były dla mnie bardzo grzeczne; za to na samém wejściu, jak tylko zdjęłam salopę, krzyknęły obie i zaczerwieniły się dziwnie.... Musiała je rozgniewać zmiana, jaką zaprowadziłam w mojém ubraniu bez ich wiedzy, ale byłoż znowu o co tak się obrażać? Pani Prezesowa zmierzyła mnie od stóp do głowy spojrzeniem bardzo nieprzyjemném, porwała córkę pod rękę i poszła z nią naprzód, ja za niemi sama i drżąca. Długo krążyły po sali, witając się ze znajomemi, w końcu siadły na ławce gdzie już tylko były dwa miejsca. Przystanęłam z boku, nie wiedząc gdzie się mam obrócić. Pani Prezesowa, długo mię wytrzymawszy w zapomnieniu, zwróciła głowę po za siebie, do drugiego rzędu ławek, i poprosiła jakieś dwie niemłode panie, aby mi zrobiły miejsce między sobą. Nie wiedziałam jak się wśliznąć między dwa zbite rzędy? Ale już wszyscy poruszyli się dla mnie, musiałam deptać po sukniach i nogach krzywiących się gości, wcisnęłam się między dwie staruszki i siadłam w cieniu ogromnego filaru, który mi prawie całą salę zasłaniał. Żal mi się zrobiło mojéj świeżuchnéj sukni, od razu wygniotła się niemiłosiernie, a prawdę mówiąc jedyną jéj zaletą była świeżość, bo już na samym wstępie zrozumiałam jak to ubranie, co mi się cudem świata wydawało w hotelu, gasło obok dziwów tu nagromadzonych. Sam strój panny Leokadyi, podobny do stulistnéj róży, zaćmiewał wszystkie stroje panien, cóż dopiéro powiedziéć o przepychu mężatek! Długo nawet nie mogłam sobie zdać sprawy, co właściwie składa się na te ubrania? Są to jakieś niepojęte budowy z atłasów, koronek, aksamitów, splątanych misternie a cudnie jakby kolumny z mgły i kwiecia. A na tém wszystkiém zatrzęsienie klejnotów, a co za perfumy, co za bukiety, co za jakieś brwi i oczy nadludzkich rozmiarów i blasku! Samym takim widokiém całą noc możnaby się bawić, ale ja, zapędzona w mój ciemny kącik, nic nie widziałam tylko rudawy kok pani Prezesowéj i plecy panów stojących szpalerem wkoło sali.

O pierwszy kontredans nie miałam się co troszczyć, zamówił mię już do niego poczciwy pan Aleksander, znajomy wuja, niegdyś urzędnik w Sandomierzu, dziś osiadły w Warszawie; podżyły to już i podłysiały kawaler, ale człowiek szczerze nam życzliwy; odwiedził nas w hotelu i wyprosił sobie kadryla. Już muzyka dała hasło, już wszyscy stali, on jeszcze nie mógł mię znaleźć; nakoniec dobił się do mojéj kryjówki i, wyprowadzając mię, z niecierpliwością odezwał się do moich towarzyszek: „Na miłość boską, któż tak nieszczęśliwie umieścił pannę Teresę? Nie godzi się stawiać światła pod korcem.“ Ośmielona komplementem, wyszłam dość odważnie, ale że mało mam wprawy do tańca, truchlałam czy nie zmylę figur? Mój tancerz nie-

wiele był wprawniejszy. Wybrnęliśmy jednak szczęśliwie, i z wesołym śmiechem odprowadził mię do pani Prezesowéj, przy któréj znalazłszy puste miejsce siadłam. Wnet nadbiegła panna Leokadya i odezwała się kwaśno: „Cóż to znaczy Teresiu? Zabierasz moje miejsce, kiedy masz swoje? „Draśnięta jéj tonem, przeskoczyłam przez ławkę, udało mi się to zgrabnie, ale Prezesowa, obróciwszy się do mnie, szepnęła: „Któż takie głupstwa robi? Proszę pamiętać, że tu nie prowincyonalny balik.“ Zawstydzona, wtłoczyłam się napowrót między moje staruszki i medytowałam jak zrobię, kiedy przyjdzie do każdego tańca wydobywać się z nory? Niepotrzebna troska! Od téj chwili już nikt się ani spytał o mnie.

Mylę się, było to przed mazurem: jakiś pan chciał do mnie dostąpić, nie mogłam go widziéć, bo stał za filarem, ale słyszałam jak mówił do Prezesowéj: „Któż jest ta panna, *taka do innych niepodobna*, co przed chwilą z panią rozmawiała?“ Zagadnięta, niby nie rozumiejąc, pytała się: „Która? Która?“—Głos nieznajomego ciągnął daléj: „Ta, co tuż za panią siedzi. Niech pani będzie łaskawa mnie przedstawić, chciałbym ją zaprosić do mazura.“ Prezesowa odpowiedziała niedbale: „Dobrze i owszem, ale chyba troszkę późniéj, bo teraz muszę koniecznie odszukać moję córkę, która w drugim salonie gotowa się zaziębić“. To mówiąc, odeszła, ów pan cofnął się w głąb tłumu, i nie wiem co się stało, ale już nie przyszedł ani on, ani żaden inny.

Nie, moja droga Anielko, ty co masz wszędzie powodzenie, bo masz wszelkie po temu dary, ty nie możesz mieć pojęcia, jaką śmieszną, jaką poniżającą rolę gra na balu panna, któréj nikt do tańca nie bierze. O, gdybym tam miała wujaszka, bylibyśmy odjechali o północy. A tak, zależna od moich towarzyszek, musiałam siedziéć do piątéj z rana! Sześć godzin, sześć śmiertelnych godzin!..... Chyba w ciężkiéj chorobie noc może się podobnie dłużyć.

Z początku znosiłam cierpliwie tę próbę, starałam się uśmiechać, słuchać muzyki, która istotnie grała bardzo pięknie i dziarsko; ale nie przywykłam do długiego czuwania, powoli zaczęła mię ogarniać nieprzezwyciężona senność, a ławki są bez oparcia, nie można się nawet zdrzémnąć. Upał i huk orkiestry napędziły mi nieznośnego bólu głowy. Nakoniec ogarnął mię jakiś taki żal do wszystkich i do saméj siebie, że łzy mi się w oczach zakręciły.

Moje sąsiadki, tknięte widocznie współczuciem na widok mego opuszczenia, starały się bawić mnie pytaniami, ale rozmowa szła kulawo, jak zwykle między nieznajomemi.

O trzeciéj, ruszyłyśmy do apartamentów dolnych, na kolacyą. Byłam zgłodniała, jednakże kotlet nie chciał mi przechodzić przez gard-

ło, dławił mię widok panny Leokadyi, co otoczona znajomemi, upojona zabawą, rzucała mi wejrzenia wpół litościwe a wpół tryumfujące. Nie mogę powiedzieć, abym jéj zazdrościła, do takiego uczucia nie umiałabym się poniżyć, ale byłam przepełniona goryczą. Po kolacyi znów przyszło wrócić do sali. Gości się przerzedziło, moje panie już nie mogły zamknąć mię za filarem, zaraz też pan Aleksander zaprezentował mi jakiegoś młodzieńca, który mię zaprosił do walca. Powiedziałam sobie: „Trzeba zapomniéć poprzednich nudów i zacząć się szczerze bawić.“ Szłam, tém ciekawsza, że to miał być walc, ów taniec nad tańce; miałam poznać nakoniec owe wiry, owe zachwyty. Moja Anielko, nie wiem czy ja jestem inaczéj niż wszyscy stworzona, ale nic z tych czarów nie doznałam. Może w kółku przyjaciół byłoby mi raźniéj, tu kiedy człowiek nieznajomy, którego nazwisko ledwie dosłyszałam, bez ceremonii porwał mię i uniósł, doprawdy przyszła mi ochota uciec, a tu już ani sposób, lecimy jak waryaci; wir wprawdzie był, ale całkiem niemiły; a to istna pokuta! Sala resursowa ogromna, ledwieśmy ją dwa razy okrążyli, już nogi się podemną zwijały, świat w głowie kołował, tchu brakło, byłam najszczęśliwsza kiedy mię tancerz na krzesło rzucił; sam zziajany, poważny jakby ciężką powinność spełnił, odszedł i więcéj się nie pokazał. Nastał drugi mazur przedwieczny, który znów bezczynnie przesiedziałam, poczém zaczęto mówić o kotylionie; ucieszyła mię nadzieja tego tańca, który jako finałowy miał zakończyć moje męczarnie. Podczas gdy zbierano pary, panna Leokadya rozmawiała niedaleko odemnie z jakimś młodym panem; śmieli się bardzo głośno, a że niestety mam słuch doskonały, dosłyszałam jak mówiła: „Niechże też pan weźmie choć raz do tańca tę biedną panienkę, którąśmy na utrapienie nasze tu przywiozły, a która prawie nie ruszyła się z ławki. Zrób to pan dla mnie.“ Co powiedziawszy, przywiodła mi *namówionego* tancerza. Możesz sobie wyobrazić jak ich przyjęłam. Powiedziałam, że mię noga boli, że spróbowałam walca, ale próba mój ból powiększyła i wcale już nie myślę tańcować. Panna Leokadya się zmieszała, młody człowiek spojrzał na nią z wyrzutem, jakby gniewny, że go naraziła na odprawę, a do mnie odezwał się z ironią: „Kiedy nóżka boli, po co na bal przychodzić?“ Następnie różne inne żarciki, z których wciągnęli mię w rozmowę naszpilkowaną złośliwemi słówkami: widziałam jak im było przyjemnie brać na fundusz biedną parafiankę; odcięłam się kilka razy mocno, ale w duszy powtarzałam sobie: „Tak, po co było na bal przychodzić? Narażać się na tyle niezasłużonych poniżeń?“ Nakoniec kotylion i zaczął się i skończył. Ze ściśnioném sercem zeszłam po tych samych schodach, na które wstępowałam pełna wesołych myśli.

W karcecie, moje towarzyszki znów się nagle zrobiły czułe: ściskały mię, zapytując: „Czy się dobrze bawiłam?“ Dotknięta naigrawaniem zawartém w tych słowach, odpowiedziałam, że się bawiłam doskonale, że bal był cudowny, i że teraz dopiéro dobrze rozumiem ile mogę na te panie liczyć.

W domu znalazłam się o wpół do szóstéj; była to już prawie godzina wujaszka, który zawsze o szóstéj wstaje. Zerwał się wesół, obsypał mię pytaniami i, podczas kiedy zmieniałam ubiór, kazał podać kawę. Przy kawie nastąpiło opowiadanie, najprzód półsłówkami, potém coraz szczerzéj, nakoniec obraz wszystkich moich przykrości. Wuj się zmartwił, oświadczył z oburzeniem: „że opuści te baby, które mi psuły sukces,“ że znajdzie inne damy życzliwsze, albo sam zacznie ze mną bywać. Ale ja wtedy uściskawszy jego ręce i kolana, w prośby: „Zaklinam, błagam, niech wujaszek już sobie mojemi zabawami nie zaprząta głowy. Oddawna mówiłam, że ja zrodzona nie do tańca, ale do różańca. Osoba, mająca prawdziwy pociąg do świata, ponowiłaby zapewnie te próby, ja mam dosyć jednéj; i nie mówię z żalu do ludzi, ani z obrażonéj miłości własnéj, ale z prostego rozsądku: po co się męczyć, piéniądze wyrzucać, aby w końcu to wiedziéć co już dzisiaj wiemy?“ I tak długo mówiłam, tak przekonywałam, aż wujaszek ustąpił. „Może,“ powiedział, „masz i racyą.... Lepiéj niż ja znasz własną duszę. Co mogłem zrobiłem, teraz trzeba zacząć z innéj beczki.“

Zmordowana bezsenną nocą położyłam się o dziewiątéj rano i kamieniem spałam do wieczora. Wujaszek poczciwy tymczasem nie próżnował; zaczynając rzeczy z *innéj beczki*, udał się do wielkiéj instytucyi dobroczynnéj, założonéj tu pod wezwaniem *Dzieciątka Jezus*, miał długą naradę z Przełożoną Siostr Miłosierdzia i wyrobił mi u niéj audiencyą na dzień następny. Wybrałam się tam z radością, przygotowując gorące przemówienie. Na samym wstępie Matka Przełożona zmieszała mię niespodzianą uwagą: „A cóż to za delikatna panienka! Mój Boże, a toż istne kurczątko.“ Potém zwróciła się do wuja: „Mój panie, leczcież ją, wzmacniajcie, bo taka jak jest i roku u nas nie wytrzyma.“ Potém dała mi się wygadać, wywnętrzyć, zachęcała mnie, kilka razy przycisnęła do serca, podbiła mnie zupełnie dobrocią, cóż kiedy zawsze wracały te słowa: „Dobrze moje dziecko, zobaczymy, tylko co na teraz to ani myśléć o nowicyacie, musi pierwéj ciało wyrównać duszy, bo u nas niedosyć dobréj woli, trzeba żelaznych sił.“ Wymogła na przestraszonym wuju, że się o mnie poradzi warszawskich doktorów, a przy pożegnaniu objawiła życzenie, abyśmy obejrzeli cały zakład Dzieciątka Jezus. „Niech,“ rzekła „pa-

nienka zobaczy co ją czeka. Po takim widoku nie jedna się rozmyśliła."

Obejrzeliśmy więc wszystko: sale chorych, malutkich dzieci, starców, obłąkanych.... O moja Anielo, co to za przerażające widowisko! Ale zdrowe dla duszy. Nikczemnemi wydały mi się moje balowe zmartwienia, kiedy tu ludzie mocują się z boleścią, mrą krociami, waryują z rozpaczy! Oddział obłąkanych najwięcéj mnie przestraszył. Chwilami już, już pytałam saméj siebie po cichu, czy wytrzymam w tém niebiańskiém piekle? Jednak się nie rozmyśliłam, o nie! Żeby tylko z tém zdrowiem jak najprędzéj poradzić!....

Zaraz też nazajutrz wuj mię zaprowadził do jednego z najsławniejszych tu doktorów. Człowiek to już nie pierwszéj młodości; wydał mi się jakiś smętny i tajemniczy. Wuj opowiadał powody dla których trzeba mię wzmocnić; myślałam, że moje zamiary wielce doktora zbudują, ale nic nie mówił, tylko wpatrywał się we mnie z bacznością, późniéj mię, jak nazywają, *oskultował*, słuchał, pukał, oświadczył, że nic złego jeszcze nie ma, ale też i za nic nie ręczy gdyby mię zostawiono bez kuracyi. Ani myślałam, żem taka słabowita? Na teraz kazał mi tylko nosić kaftanik wełniany i zażywać jakieś proszki, na lato zaś koniecznie, ale to *koniecznie* kazał jechać do Zakopanego i pić sławną tamtejszą serwatkę. Chciałam sprzeciwić się podróży co znowu napędzi kosztu, wujaszek zamknął mi usta, twierdząc, że słowo doktora jest święte, i że nie ma gadania gdzie chodzi o zdrowie.

Dotąd wszystko dobrze, ale na samém wyjściu spotkała mię dotkliwa nieprzyjemność.... Kładłam już futro w przedpokoju, kiedy na progu od salonu doktór coś szepnął wujowi, a że, jak już pisałam, słuch mam na moję biedę wyborny, doszły mię ostatnie słowa: „Z takiemi oczami nie idzie się do klasztoru...."

Słyszałaś ty kiedy co podobnego? Co jemu zawiniły moje oczy? I jeszcze mówiąc to, uśmiechał się niegodziwiec! Szczęście, że w ciemnym przedpokoju nie dostrzeżono jak okropnie się zaczerwieniłam, ale bo też wszystkie ognie oburzenia uderzyły na mnie. Jużbym nigdy nie chciała radzić się tego doktora. Nie cierpię ludzi co drugich z pierwszego wejrzenia sądzą. Wujaszek nie może zrozumiéć mojéj do niego antypatyi, bo nie śmiałam się przyznać, że doszły moich uszów te ubliżające słowa, ale ty Anielko, ty, przed którą nic nie ukrywam i która nawzajem nic mi ukrywać nie powinnaś, powiedz: czy w moich oczach jest coś tak nieskromnego, coby mogło podobną uwagę wywołać?—Nie, panie Hipokratesie warszawski, z całą twoją uczonością, mylisz się.... znam ja siebie najlepiéj, i wszyscy już mię poznali. Ty nawet mój aniele, już nie możesz mi zarzucić braku

zastanowienia, doświadczyłam już wszystkiego, miałam konkurenta, poznałam teatra, bale, i nic mi do smaku nie przypadło.

Bo czy wiesz? Nawet o tym teatrze odmieniłam zdanie, a to po następującéj próbie: na dwa dni przed wyjazdem z Warszawy, poszliśmy na summę do katedry Ś-go Jana; uczniowie Konserwatorium wykonywali na chórze jakąś muzykę cudowną: narzędzia i głosy napełniały świątynię echami godnemi nieba. Wszystkie wrażenia opery powtórzyły się nie tylko z równą, ale z podwojoną siłą: dreszcze, płacz rzewny, olśnienie wzroku ogarnęły mnie postrachem i rozkoszą; musiałam się oprzéć na ramieniu wuja, ażeby nie upaść, a wyszedłszy dziękowałam Bogu za te chwile co mnie oświeciły, bo zrozumiałam, że w teatrze nie teatr mię zachwycił, ale muzyka, a muzykę przecież wolno kochać w każdym stanie? Więcéj nawet powiem: ona jest jednym z najsilniejszych objawów i probierzy religijnego uczucia.

Nazajutrz po wizycie u doktora, nie mając już co robić w Warszawie, wyjechaliśmy do Sandomierza, gdzie napowrót w nasze zwyczaje i zwyczaiki wchodzimy: to życie codzienne, jednostajne, odnajduje się z dziwną łatwością; trudno mi uwierzyć, że była w niém przerwa, cały pobyt w Warszawie przedstawia mi się już w oddaleniu jak sen, gdzie bal i szpital, Trubadur i Eskulap migają w różnobarwnéj fantasmagorii. Z pośród tych złudnych obrazów jednę tylko uniosłam niezaprzeczoną prawdę, a tą jest przekonanie, że przyszłość moja zapewniona. Nie uwierzysz jakie od téj chwili weszło we mnie uspokojenie.

Wielką miałam ochotę przed wyjazdem z Warszawy poprosić wuja: czybyśmy nie mogli posunąć wycieczki naszéj do Poznania? Ale nie wydałam się z tą chęcią, bo naraziłaby wuja najprzód na kłopoty paszportowe, powtóre na wydatki, które i tak już musiały dojść do groźnéj cyfry.

Nakoniec..... odwiedziny moje u ciebie uważałabym jeszcze za przedwczesne; teraz musicie żyć jak najwięcéj we dwoje, sama to najlepiéj czujesz, kiedy ci każda rozrywka, nawet „każda wizyta cięży.“ Wiem, że byłabyś mi serdecznie rada, ale jest czas na wszystko. Zaprosiny twoje przyjęłam jak widziałaś z najżywszą wdzięcznością, zaraz jednak w duszy sobie powiedziałam, że nie przyjadę aż pożycie wasze zupełnie się *zaokrągli*. Nim ta chwila nadejdzie, nie trzeba, ażeby żadna ręka, choćby najżyczliwsza, mąciła czysty strumień gdzie się ogładzają kamienie a raczéj klejnoty przyszłości.

Jak widzisz Anielko, i ja umiem niekiedy myśléć rozsądnie, po twojemu. Ale bo téż teraz już ze mnie osoba doświadczona, znająca

świat i ludzi, i z téj znajomości wyciągam ostateczny wniosek, że o ciebie jedną dbać warto.

LIST XV.

Teresa do Anieli.

Poznań—22 Lutego.

Z głębokiém wzruszeniem przeczytałam ostatnie kartki, odebrane od ciebie, moja droga, coraz droższa sercu memu Tereniu. Prosty a tém wymowniejszy opis walki, którą ztoczyłaś z pokusami i przykrościami świata, nadręczył mię a w końcu ucieszył, jakby widok choroby szczęśliwie przebytéj; pokusy to na pozór drobne, walka głucha, jak dobrze mówisz raczéj na szpilki niż na miecze, ale takie starcia dużo kosztują, dużo znaczą, i uspokojenie jakie z nich umiałaś wyciągnąć jest owocem, na który wartoby i cięźéj zapracować.

Nie idzie zatém, abym cię już uważała za wybróbowaną *ostatecznie*. Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Jeden konkurent i to niemożebny, jeden bal i to w najniekorzystniejszych warunkach, nie mogą jeszcze dać wielkiéj znajomości ludzi. Jednak i to prawda, że osoba, mająca istotny pociąg do świata, nie przestałaby na takich słabych próbkach, nie dałaby się tak prędko zniechęcić. Twoja wstrzemięźliwość, twój doraźny sąd nad marnościami, zdają się widoczną wskazówką gdzie cię Opatrzność woła. Skłaniam czoło przed twojém przekonaniem, i nie śmiem już mu się dłużéj sprzeciwiać.

A nie śmiem tém bardziéj, że przeświadczyłam się niedawno, jak trudno jest sądzić o drugich duszach według własnéj...

W jednym z ostatnich listów napisałaś mi: „Trzymaj krócéj twojego pana, itd. itd...."

Ta przestroga trafiła na chwilę rozdrażnienia... które to chwile, niestety, zdarzają się aż nadto często od niejakiego czasu.

Tak, odkąd wir zapustny wyrwał nas z domowéj zaciszy, August nieraz narażony jest na pokusy, które nie tak łatwo jak ty odpycha.... nieraz wraca do kawalerskiéj swobody z pustotą, a nawet rzec mogę z lekceważeniem, które mi już niejednę cichą łzę wycisnęło.

Na ostatnim balu zwłaszcza, tak mało dbał o mnie, a tak bardzo o *inne*, że pierwszy raz w życiu poznałam co to jest mieć do kogo żal ciężki. Przypomniały mi się twoje przestrogi i powiedziałam

sobie gorzko: „Może Terenia ma i słuszność? Może mojém grzesznén pobłażaniem, utwierdzam winnego na złéj drodze? Ja co tak lubię drugim dawać rady, dla czegóż cudzych nie słucham?“

Wróciwszy więc z balu, zrzuciłam cały ciężar z serca, spiorunowałam winowajcę moim gniewem i wyrzutami. O Tereniu, jakże źle na nich wyszłam! Nie dla tego wcale, żeby rada sama przez siebie złą była, ale że dla jéj wykonania musiałam wyjść z mojego charakteru.

Gniew mój był zupełnie sprawiedliwy, szkoda tylko, że nie dość umiarkowany. Raz puściwszy wodze oburzeniu, ach jak to trudno się nie unieść!

Twoim oczom Wezuwiuszowym, twoim ustom pełnym płomienia, możeby lepiéj przystała taka włoska scena? Może od ciebie mężczyzna by ją przyjął jako najsilniejszy dowód przywiązania.

Ja jestem inaczéj stworzona..... Cała moja siła leży w kobiecéj bezsilności, jeśli mogę czém panować to chyba dobrocią, to téż z tą gwałtownością widocznie było mi nie do twarzy.... Mój mąż mi to sam powiedział, zamiast skruszyć się i nawrócić, ruszył ramionami, wyglądał zdziwiony jak człowiek co robi nieprzyjemne odkrycie. Przez kilka dni znikał z domu, stawiał się jako strona obrażona. Pierwszy raz nastała między nami ta oziębłość co przypomina dzień słotny, aż przyszło do takiéj ostateczności, że dla spokoju domowego musiałam pierwszy krok uczynić, ja co jednakże miałam słuszność,—musiałam pierwsza przepraszać, ja co powinnam była doczekać się przeprosin.

Tak to użycie niewłaściwéj broni, przechyla zwycięztwo na niewłaściwą stronę.

Z téj niefortunnéj próby wyniosłam taki sens moralny, postanowiłam popierwsze: wrócić się do systematu łagodności i cierpliwości, którym dotąd wojowałam szczęśliwie, podrugie: stać się skąpszą w radach. Jeżeli twoje mi nie służą dobrze, czemuż moje mają służyć tobie? To jakby kto wymagał, abyś ty do twoich kruczych włosów używała koniecznie tych samych seledynowych, albo turkusowych wstążek co przystoją mojéj płowéj głowie.

To wszystko jednak nie dowodzi, abym sobie w niektórych przedmiotach nie zastrzegła jeszcze głosu, nie tylko doradczego, ale stanowczego.

Takim przedmiotem naprzykład jest twoje zdrowie. Ach moja Tereniu, Przełożona szarytek, wuj, doktór, ja, nakoniec twój własny

rozsądek, wszyscy cię zaklinamy, abyś szczerze o niém pomyślała.— „Szanowne zdrowie, nikt się nie dowie jako smakujesz, aż się popsujesz....“ Święta prawda, którą teraz lepiéj niż kiedykolwiek rozumiem, bo i ja od niejakiego czasu czuję się cierpiąca, w ostatki nawet już nie tańcowałam.

Ciebie moja biedaczko, na pensyi nie dosyć pielęgnowano; gdzie jest kilkadziesiąt panien, tam trudno się o każdą troszczyć, zwłaszcza kiedy nie ma rodziców coby wciąż przypominali troskliwość. Już wówczas niejednokrotnie, słysząc krótki, suchy twój kaszelek, widząc twoję trzcinową szczupłość, byłam tknięta jakiemiś obawami. Dziś przestroga doktora je powiększa; drżę na myśl trudów i niebezpieczeństw co ci grożą w murach szpitalnych. Proszę cię, nic nie postanawiaj dopóki zdrowia nie odzyskasz; bo nawet, sama powiédz, czy byłoby ładnie przynosić Bogu w ofiarze ladajakie i niezdarne siły? Kto chce wstąpić do Jego wojska, musi się jak żołnierz zahartować. Jużbym chciała widziéć cię w tych Karpatach, których mléko i powietrze mają cię odrodzić. Może téż tam odnajdziesz tę dolinkę co cię na płótnie zachwyciła? Po co żądasz, aby ci rozwiązano jéj zagadkę? Sama już ją prześlicznie rozwiązałaś, tłómacząc, że ci się przyśniła; ta co na jawie tak miłuje malarstwo, nie dziwno że miewa i sny peizażystki, czyli lepszą polszczyzną mówiąc, *krajobrazistki*. Jak widzisz, ukułam wyraz nowy, dość twardy wprawdzie do wymówienia, ale nie wiem czemuby miał być gorszym od artystki, lutnistki, pozytywistki i różnych innych nazw, których kobiéty w naszém stuleciu nagle zapotrzebowały?

Wracając do zamiarów podróży, oświadczam ci, że z wycieczki Poznańskiéj bynajmniéj cię nie kwituję. Śmieszna jesteś z twojém czekaniem aż się nasze pożycie zaokrągli. Podobno przyszłoby długo czekać. Uharmonizowanie się dwóch dusz zupełne wymaga jak widzę nie miesięcy, ale całych lat, może dziesiątek lat! A przyjaźń, o Tereniu moja, nie przypuszczam, ażeby mogła kiedy zamącić strumień życia. Jest ona owszem jak promyk wesoły, który nam dno jego rozświeca i jaśniéj pozwala rozpoznać: co muł a co klejnot?

Rozmyśl się więc dobrze moja droga, a może w lecie namówisz wuja, abyście w góry pojechali przez.... Poznań. Wprawdzie nie bardzo to po drodze, ale wiém, że tobie do mnie zawsze blisko, na serce zaś twego wujaszka dosyć już nauczyłam się rachować, aby wierzyć, że niczego nie pożałuje, kiedy będzie chodziło o przyjemność jego Tereni, a przez to samo i twojéj Anielki.

LIST XVI.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—4 Marca.

Niech cię Bóg błogosławi najmilsza Anielko, za słowa, któremi nakoniec potwierdzasz moje postanowienie. Tych słów tylko mi już brakowało, bo zresztą wszystko mię do niego popycha. Nabożne nasze damy, o których ci pisałam, dowiedziawszy się jaki obrót wzięła nasza warszawska wycieczka, przyjęły mię zupełnie pod swoje skrzydła, odwiedzają mnie często, troszczą się po macierzyńsku o moje zdrowie, znoszą mi recepty ze swoich apteczek, religijne książki, obrazki, zupełnie mię psują. Księża tutejsi, poznawszy stałość moich myśli, także bardzo na mnie łaskawi. Słowem, jak mówi wujaszek, stałam się faworytką całéj rozsądnéj części Sandomierza; to dosyć, bo przecie o nierozsądną dbać niewarto.

Ale co przybiéra niespodziane i prawdziwie kolosalne rozmiary, to serdeczność poczciwéj Reginy; całe jéj niańczyne przywiązanie do mnie rozbudziło się na nowo i, rzecby można, tyle urosło co i wychowanka. Dobra kobiecina, nie może sobie darować swojéj chwilowéj oziębłości, dziesięć razy na dzień z niéj mi się tłómaczy; myślała, że spotka pannę rozswawoloną na pensyi, dumną z nauki, chcącą rządzić w domu, a tu odnalazła, jak powiada, swoję *kochaną trusię*. Nie wiem zkąd mi przyszło do téj nazwy *trusi*, bo między wami nie odznaczałam się potulnością, o nie! To jednak prawda, że jak tylko mi kto okaże serce, wnet cała moja hardość mięknie, czego najlepszy dowód na tobie saméj Anielko, bo gdyby mi kto inny śmiał powiedzieć setną część nauczek, jakie od ciebie znoszę, no..... krewby się we mnie gotowała.

Z Reginką więc już nie mam żadnych przykrości, ale mam za to odwrotny kłopot: ogarnęła ją desperacya, że dom opuszczę, że się narażę na ciężkie życie; nie mogę się opędzić od jéj nadskakiwań i łakoci, a teraz mi one nie w porę przychodzą, nie chciałabym się już do niczego ani do nikogo przywiązywać.

Na wuja smutno mi czasem patrzéć.... wolałabym już przyspieszyć to rozstanie, które codzień staje się trudniejszém, a tu nie można, trzeba czekać na owę kuracyą. Ciężko będzie zostawić go tak samego, zwłaszcza przy zmartwieniach jakich mu nie brakuje; ma on dwóch synowców, chłopców niepoczciwych, którzy mu wiele już zdrowia napsuli; w tych dniach właśnie jeden do niego przyje-

żdżał, drugi pisał, obaj szturmowali jak zawsze o pieniądze; wuj biedaczek musiał za nich jakieś długi płacić, co wszystko mocno zachmurzyło nam życie i tak już niełatwe, gdyż muszę ci pod sekretem powiedziéć, że jeżeli wujaszek wysilił się na hojność w Warszawie, za to wróciwszy do domu, wrócił i do swojéj kochanéj *oszczędności*..... którą nawet bardzo jeszcze łagodnie określam, bo ta oszczędność tak daleko, ach! tak daleko idzie, że Reginka, chcąc mi czasem w jakich drobnostkach dogodzić, musi niejako oszukiwać wuja, co mię stawia w przykrém położeniu, pomiędzy młotem a kowadłem.....

Zamiar jednak letniéj wycieczki w góry trwa zawsze, a nawet, czy uwierzysz, może i u was się zjawimy? Serdeczna wymowa twego ostatniego listu rozwiała moje skrupuły, i któregoś dnia podsunęłam wujowi nasz planik, chociaż bez nadziei, aby się udał, bo prawdę mówiąc, jechać przez Poznańskie do Karpat, kiedy tu mamy Galicyą pod ręką, jest to w miniaturze objeżdżać antypody; przytém wydatek, ten straszny wydatek, zdawał mi się przeszkodą niezwalczoną.

Tymczasem wujaszek wcale się nie ofuknął i odpowiedział, że choć to nie po drodze, plan mu się uśmiecha, a dla czego? Słuchaj:

Wuj miał niegdyś przyjaciela w całém znaczeniu tego słowa. Był nim jakiś pan Bonawentura Sęp. Dziś już nie żyje, ale gdyby wierzyć wujowi, posąg jego powinienby stać na wszystkich placach, obraz jego powinienby żyć we wszystkich sercach. Miał to być człowiek znakomity, pełen rozumu i poświęcenia dla każdéj świętéj sprawy. Kolegowali w szkołach i w uniwersytecie; tam ich związało uczucie potężne, godne rzymskich dusz, kochali się jak bracia, a raczéj jak rzadko bracia się kochają. Późniéj, pomimo różnicy stanowisk i majątków, pomimo całych lat rozdziału, przyjaźń zawsze odnajdywała się równie silną. Wuj mu zawdzięcza kilka ważnych dobrodziejstw, bez których może dziś nie miałby dachu, w trudnych okolicznościach znalazł u niego wysoką protekcyą i pomoc pieniężną co jak z nieba spadła. Aż przyszła godzina kiedy i wujaszek potrafił mu się odpłacić; w czasach wielkich zamieszek, uratował mu wolność i mienie, przewożąc go z narażeniem własnego życia do innych prowincyj, co było tém trudniejsze, że przewiózł nie tylko przyjaciela, ale i jego synka, małe dziecię, bez którego ojciec nie chciał się ratować.

Wśród gwałtownéj ucieczki pożegnali się krótkim uściskiem, wuj wrócił do domu szczęśliwie, ale przyjaciela już nigdy nie widział. Pan Bonawentura nie mógł pokazać się w naszych stronach,

mieszkał odtąd w Poznańskiém, od czasu do czasu udawało mu się przesłać list wujowi, w każdym błogosławił go za ocalenie swoje a nadewszystko dziecka. Przed kilku laty, czując się już bardzo chorym, napisał mu serdeczne: Do widzenia na lepszych światach! I owego syna, dorastającego już młodzieńca, polecił pamięci przyjaciela. Ta śmierć była największym ciosem w życiu wuja; zdaje mi się, że i wujenki nie tyle żałował. Od owego: *do widzenia!* uczucie religijne wszechwładnie go ogarnęło, zresztą na wszystko zobojętniał, chociaż wszystko sumiennie spełnia.

Wuj bardzo pragnął zbliżyć się z owym synem, Adamem Sępem i, jeżeli nie osobiście, to przynajmniéj listownie okazać mu tę pamięć o którą nieboszczyk prosił. Ale pan Adam ani słówkiem nie zgłosił się do wuja, a nie wiedzieć gdzie go szukać; jeździ po zagranicach i podobno nie najlepiéj się prowadzi, jeżeli można dowierzać niepewnym wieściom co niekiedy do naszego kąta dolatują.

Tu muszę ci się wyspowiadać z grzechu, który popełniam i popełniam z ciągłą recydywą. Od dawna już wujaszek, widząc mię często piszącą do ciebie, mawiał: „Spytajże się przy sposobności twojéj pani Anieli, czy co nie słyszała o Adamie Sępie? Przecież w Poznańskiém ludzie muszą coś o nim wiedzieć.“

Ja zawsze obiecuję, ale, że pisząc do ciebie, myślę tylko o tobie, zawsze zapominam się pytać. Dziś nakoniec mój błąd spostrzegam, napraw go moja Anielko, dowiédz się czego możesz o tym szaławile i donieś mi jak najprędzéj.

Tymczasem ja kończę opis owéj rozmowy z wujem. Na moje nieśmiałe napomknienie, odpowiedział po chwili namysłu:

„I owszem, twoja myśl schodzi się z moją, bo choć ta wycieczka nam nie po drodze, jednak łatwiéj odbyć ją raz już wyruszywszy z domu, niżeli powtórnie się wybiérać, a zawsze miałem ochotę pojechać w Poznańskie, aby choć raz w życiu pomodlić się na grobie przyjaciela i spełnić, o ile zdołam, jego ostatnie życzenie.“

Nieprawdaż Anielko, jaka wzruszająca ta przyjaźń do grobu i za grobem? Niezmiernie, zwłaszcza słyszana po raz pierwszy,—ale dla mnie ma jednę wielką wadę; słyszę ją prawie codzień. Między dwoma robrami wista, albo dwiema kłótniami o polityce, wiecznie się wracają dzieje pana Bonawentury i wszystkie jego awantury, i to z rozwlekłością, z powtarzaniami właściwemi wiekowi opowiadacza i słuchaczy, panów Jakubów, Wincentych i tym podobnych, którzy po staremu co wieczór nas nachodzą. Nie rozumiem jak ci ludzie mogą od całych lat codzień wysłuchiwać z równą ciekawością téj saméj historyi? Codzień wujowi przerywają w tych samych miejscach,

te same zadają pytania, już nieraz bierze mię ochota podpowiedzieć im koniec rozmowy.

Ale odłożywszy na bok nudy stylu, przyznaję, że sama historya piękna, i w każdym razie nie mnie buntować się przeciw świętości przyjaźni, tém bardziéj, jeżeli jéj wspomnienie może mnie przybliżyć do ciebie. Tak wieczorna gwiazda jednego uczucia będzie oświecała poranek drugiego.

Oto mi się udało coś nakształt figury retorycznéj. Byłoby najstosowniéj takiém tryumfalném zakończeniem list zamknąć, ale nie mogę, jeszcze mi został przedmiot, który jako przykry ciągle odkładałam, aż wypadł na sam koniec: muszę cię wyłajać.... piszesz mi, że jesteś cierpiąca, i tę wiadomość zbywasz w kilku słowach! Musiało to być jednak nielada cierpienie, kiedy cię w ostatki pozbawiło tańca. O mnie to umiész się turbować, zaklinać na wszystkie potencye nieba i ziemi, abym się szanowała, a o sobie napomykasz jakby o istocie dla mnie obojętnéj. O niegodziwa! Gdybym cię tak nie kochała to.... tobym cię nie kochała. Pamiętaj na tę groźbę i pisz mi jak najprędzéj o sobie.

P. S. W tych ostatnich słowach jest rozkaz a nie rada, bo rad już nie myślę ci dawać, kiedy tak źle na nich wychodzisz. Wcale jednak nie żałuję téj, co sprowadziła *włoską scenę*. Raz przynajmniéj twój latawiec usłyszał od ciebie słowa prawdy, a późniéj mogłaś tém wspanialéj okazać cudowną szlachetność twego charakteru; to ustąpienie mu, *chociaż miałaś słuszność*, jest najwyższém zwycięztwem serca. Czyż nakoniec i on nie zrozumié, że ten zawsze najlepiéj kocha, kto najpierwszy przeprasza?

LIST XVII.

Aniela do Teresy.

Poznań—30 Marca.

W smutném, bardzo smutném usposobieniu odzywam się dziś do ciebie. Od dwóch tygodni najdroższa matka moja leży ciężko chora. Nigdy kochana mama nie miała zdrowia, i jak wiész to był główny powód dla którego musiano mnie oddać do klasztoru, ale jéj wieloletnie cierpienia wydają się niczém przy torturach jakie dzisiaj znosi. Doktorzy nazywają tę chorobę sciatyką, mówią, że nie grozi życiu, trudno jednak uwierzyć patrząc na podobną męczarnię, aby siły ludzkie mogły ją długo wytrzymać, tém bardziéj, że główna

choroba jest powikłana z innemi, ta przymieszka strasznie utrudnia leczenie; co pomaga na jedno, szkodzi na drugie. Jestem głęboko zaniepokojona.

Moje zdrowie niech cię nie zatrważa; zapomniałam o niém, w obec téj wielkiéj boleści zapomniałam o wszystkiém, nie wiém, który to dzień ani tydzień. Dziś spojrzawszy na datę twego listu, widzę, że prawie przed miesiącem pisany; nie przepraszam cię za opóźnienie, twoje serce zrozumie co się ze mną dzieje. Nie zważaj na nic, pisz do mnie często i długo, bo teraz twoje listy są nie tylko pociechą, ale i pomocą. W chwilach ulgi, przy łóżku drogiéj choréj głośno czytuję z nich ustępy; mama bardzo niemi zajęta, kazała cię uściskać serdecznie, co czynię z całéj duszy za nią i za siebie. Spieszno mi do niéj wracać, jednak nie mogę listu zamknąć, nie podziękowawszy ci za złotą wiadomość o waszym przyjeździe do nas. Niech się święci przyjaźń! O Tereniu, słuchaj codzień opowiadania wujowskiego z namaszczeniem i cześcią, bo *taka* przyjaźń jest prawdziwie czci godna. Nasza już nam się wydaje wielką, a cóż to dopiéro będzie, jeżeli tyle lat stałości i tyle wzajemnych ofiar ją uświęci? Co daj Boże, amen. Miałam tylko parę słów do ciebie napisać, a już zajeżdżam na drugą stronnicę. Z tobą łatwo zacząć, niełatwo skończyć. Otóż kończę, dalekiém jeszcze wprawdzie, ale niemniéj serdecznem: Do zobaczenia! Oby tylko do tego czasu wszystko u nas już było dobrze!

LIST XVIII.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—2 Kwietnia.

W téj chwili odbiéram twój list zastraszający, moja droga, nieszczęśliwa Anielko! Czemuż mnie przy tobie nie ma? Ach czemuż nie jestem już Siostrą Miłosierdzia? Mogłabym twojéj kochanéj matce służyć, w dzień cię pocieszać, w nocy cię wyręczać, bo domyślam się ile trudów i bezsenności spada na ciebie samę jednę. Próżne życzenia! Bezskuteczne żale! I tobie w niczém pomódz nie mogę i sama się tu dręczę w niepokoju.

Chciałabym przynajmniéj posłać wam cały tom rzeczy ciekawych i zabawnych, zachęcona zaszczytną myślą, że moje listy mogą być rozrywką dla twojéj mateczki, cóż kiedy jak na przekorę nie wiém o czém pisać, najprzód z powodu zmartwienia, które mi odej-

muje wszelką dzielność pióra, potém.... potém, że na prawdę nie ma tu o czém pisać. Żyjemy jak na pustyni, gorzéj niż na pustyni, bo tu niby są ludzie, niby się ruszają, a wszystko to karłowate, powszednie, już nie marność marności, ale mierność mierności. Sahara myśli, nawet bez huraganów ani fata-morgany, cmętarz serca, nawet bez poezyi grobów.

Prawda, porównywając moje życie spokojne z cierpieniami co trapią tylu innych ludzi, z twojém naprzykład obecném Anielko, powinnabym dziękować Bogu, że mię nie dotyka żadną ciężką zgryzotą, a jednak słowo dziękczynne zamiéra mi na ustach.... nie wiém czy największe dopuszczenia byłyby dla mnie straszniejszemi jak ta czczość, ta nieruchomość, ten letarg? Pożerana żądzą działania, kłuta wewnętrznemi ostrogami do ruchu i czynu, wiję się bezsilnie jak wąż zamknięty w pudełku. Pobyt w Warszawie mignął błyskawicą, a teraz ciemności wydają mi się jeszcze głębsze. Po naszym powrocie, przez kilkanaście dni przeciągnęło się niejakie echo tego wstrząśnienia; i my i nasi znajomi, zelektryzowani nowością, mieliśmy przynajmniéj o czém mówić; ale teraz już wszystko zapomniane; nie uwierzysz jak tu ludzie i rzeczy łatwo wracają do swojéj ulubionéj ospałości.

Na dobitkę pogoda okropna, Marzec porozdzielał domy i towarzystwa przepaściami nie skał, ani téż nienawiści, ale po prostu..... błota, i teraz jeszcze istny potop.

Dla zahartowania sił na nic nie zważam i wychodzę, a chcąc już przyzwyczajać się do zakonnego ubioru, próbuję nosić bardzo grube obuwie, ale nie wiém doprawdy czy potrafię przywyknąć? Jestto w każdym razie jedno z umartwień najcięższych dla osób wychowanych w wygodzie. Wuj się martwi, że pomimo kaszlu wychodzę, Regina aż jęczy, ale oboje zabronić nie mogą, bo przecież muszę dawać lekcye. Przybyła mi nawet jedna i to droższa, pół-rublowa, bo tam dwóm panienkom od razu wykładam rysunek. Spełniam tę powinność wiernie, trudno, raz podjąwszy się, zaraz porzucić, a przytém bardzo jest mi łym grosik zarobiony; jednak nie mogę powiedzićć, aby mi te lekcye sprawiały przyjemność, oprócz jednéj gdzie trochę się przywiązałam do dziewczynki, inne mię nad wyraz niecierpliwią swoją niekarnością i niezdarnością. Gniewam się na same siebie, ale cóż poradzić? Ja bez odrobiny miłości nic nie potrafię dobrze zrobić. Samo poczucie obowiązku nie wystarcza mi do jego spełnienia. Aż mię strach czasem bierze jak to będzie w zakonie, gdzie przecież nie można przywiązać się do nikogo z chorych, albo nieszczęśliwych, bo nawet po prostu nie ma czasu na przywiązanie? Żadne łóżko, żadna kołyska, żadna cela nie stoją ani godziny pró-

żne. Ofiary mieniają się krociami, tysiącami, płyną jak fale bez końca. A trzeba równie być troskliwą dla dobrych i niedobrych, dla wdzięcznych i niewdzięcznych! Oh, to najcięższa strona tego powołania. To też czy wiesz Anielko co zauważyłam u wszystkich prawie Siostr Miłosierdzia? Chociaż słyną z dobroci i poświęcenia, mnie jednak zawsze się wydawały jakieś zimne, oschłego serca i szorstkiego obejścia. I nie może być inaczéj. Gdyby im przyszło podzielać każdą boleść, rozczulać się nieustannie, straciłyby wszelką energią i same niedługo poszły do szpitala. A! Widok ciągłych męczarni, słyszenie ciągłych krzyków zatwardza w końcu i nerwy i duszę.

Ale co *ja* tam zrobię z mojém sercem spragnioném ukochania? Ach, wiem czego niebo chce odemnie..... próżnobym udawała nieświadomość, religia mówi wyraźnie:

— „Przepełnia cię nadmiar uczuć? Zwróć je do źródła. Poświęć ludziom wszystko co ludzkie, ale miłość, która jest boską, oddaj tylko Bogu.“

Rozumiem ja dobrze tę przestrogę, rozumiem jeszcze lepiéj od kilkunastu dni, odkąd w szafie wuja znalazłam bardzo cenne i stosowne dziś dla mnie dzieło. Jest tam wiele książek nabożnych po wujence, między innemi pisma Świętéj Teresy, w tłómaczeniu francuskiém przez Arnaud d'Andilly. Wydanie dawne, ale wybornie zachowane, sześć tomów prześlicznie oprawnych w skórę orzechową ze złotem. Wzięłam się na gwałt do studyowania tych arcydzieł co mają być, jak słyszałam, brewiarzem dusz gorących. Czytam pilnie, jednak nie mogę dużo na raz przeczytać. Rozumiem i nie rozumiem. Zachwycam się chwilami, częściéj się przestraszam; widać, że słabą mam głowę, bo od téj książki dostaję zawrotu myśli, jakbym długo patrzyła w przepaść. Allegorye coby mi powinny ułatwiać pojęcie, jeszcze owszem je zacieśniają; ten *Ogród modlitwy* ze swemi studniami i źródłami, ten *Pałac duszy* ze swoim labiryntem pomieszkań, ściągają moję uwagę do ziemi, do rzeczy skończonych, właśnie wtedy kiedybym chciała rozwinąć ją w nieskończoność. Szkoda, że napój ten dla mnie za mocny, żałuję, bo wiem iłeby ugasił moich pragnień, ale na prawdę za mocny, nie mogę go znosić. Jak tu uchwycić niepochwytne? Jak się utrzymać na wysokościach, których pustkowie zupełnie podobne do nicości? Jak tu kochać Tego, którego nie tylko nie można widzieć ani pojąć, ale nawet w żadném przybliżeniu wyobrazić sobie? Takie kochanie to chyba sztuczny wysiłek myśli, w żadnym razie nie może to być prosty, mimowolny wybuch serca. Jestem jak ów rybak apostoł, któremu kazano iść po wodzie: miał wiarę, miał bardzo silną, kiedy bez wahania wyszedł z łódki, a je-

dnak zaczął zapadać się w głębie i, gdyby Mistrz mu nie podał ręki, byłby mimo swojéj wiary utonął. I ja chcę stąpać po bezbrzeżnych głębiach, ale żadna ręka nie przychodzi mi w pomoc.... Może jeszcze nie zasłużyłam na nią?

Tymczasem, lękam się wkraczać za daleko w światy nieprzystępne dla mnie, czytam coraz mniéj Ś-téj Teresy a coraz więcéj innych dzieł nabożnych, których mi tu nie brak, bo, jak ci pisałam, szanowne moje znajome naznosiły mi książek całe stosy. Bardzo mię zajęło życie Ś-go Wincentego a Paulo, a jeszcze bardziéj Podróże po Tybecie i po Chinach przez księdza Huc.

Wyznam ci ze wstydem, że te opowiadania, pełne bohatérstwa *ludzkiego*, więcéj mię porywają niż *nadludzkie* extazy świętéj Hiszpanki. Ale po co ten wstyd fałszywy? Sama pokora każe nam wybiérać nie to co jest najlepsze samo w sobie, ale to co najlepsze dla naszéj ułomnéj natury.

Jak widzisz, światowe książki odsunęłam i same już tylko religijne czytam; nie powiem, aby mi to przychodziło z łatwością; już mi się nie trafia jak niegdyś, zapomnieć przy książce, która jest godzina; owszem, codzień muszę naznaczać sobie: Tyle a tyle kartek dziś przeczytam. Jeżeli obietnicy dopełnię, czuję wewnętrzne zadowolenie. Jednak taki sposób czytania jest więcéj obowiązkiem niżeli przyjemnością, i w dniu zostawia mi wiele jeszcze godzin niezajętych. Robię co mogę, aby je zapełnić; pisałam do wszystkich a wszystkich naszych klasztornych koleżanek, co mocno już nadszarpnęło mój cudny zbiór papiérów listowych. Cóż powiész? Na siedmdziesiąt kilka panien, ledwie cztery mi dotąd odpisały, i to jak węzłowato, jak sucho! Każda zajęta swoim nowym światem; co je obchodzi dziewczyna zapadła w jakiéjś mieścinie, dająca lekcye, niemająca ani zabaw, ani sercowych podbojów do opisywania? A jak to one obiecywały wieczną pamięć, nierozerwalne stosunki!

O, żeby nie ty mój aniele, możnaby znienawidzieć ludzi, a co najmniéj pogardzić niemi. Do ciebie jednéj warto pisać, i łatwo się pisze; zaczynając, myślałam że w połowie stronki stanę dla braku treści, tymczasem patrz, już ćwiartka się kończy i to dobrze nabita.

Zdziwiona czém ja też mogłam cały arkusz zapełnić, spróbowałam go odczytać, i nie bardzo mi do smaku przypadł, bo czuję, że tobie wcale nie przypadnie.....

Namyślam się nawet czy go wysłać? Może przynajmniéj przepisać z poprawkami? Co? Jabym ci miała posyłać listy przerabiane? A to

lepiéj wcale nie pisać. Wiem, że chcesz mieć *prawdziwy* portret mojéj duszy, a nie jakiś obraz sztucznie upiększany. Bierz więc ten list jak się udał, jestto wierna fotografia, cóżem ja winna, że czarno wyszła? Nigdy nie grzeszyłam wesołością, a miałażbym ją mieć teraz, kiedy obawa o twoje szczęście zasępiła resztki mojego?

Twojéj matce jednak, nie wiém czy warto abyś ten list pokazywała? Gotowa mię wziąć za jakąś desperatkę, zwątpić o mojém nabożeństwie, a ja bardzo stoję o jéj łaski. Jaka ona w Poznaniu była dobra dla mnie! Jaka dobra kiedy mi pozwalała nie rozdzielać się z tobą, zapraszała mię na święta i wakacye. Oj te wakacye, z huśtawką, pamiętasz? A te podwieczorki, te konfitury z rajskich jabłek, których objadłyśmy się aż do.... morskiéj choroby? Co to były za złote czasy!

Kiedy pomyślę, że ta kochana matunia tyle cierpi, serce mi się ściska, jakbym także była troszkę jéj córką. To téż proszę cię moja droga, nie trzymaj mię w niepewności, chociaż wiém, że masz mało czasu i głowy do pisania, zmiłuj się, napisz przynajmniéj parę słówek, inaczéj uschnie z niepokoju twoja kochająca Teresa.

LIST XIX.

Aniela do Teresy.

Poznań—15 Kwietnia.

Moja Tereniu, módl się do miłosiernego Boga, do świętéj twojéj Patronki, która tyle łask umiała sobie u Niego wyprosić, do wszystkich potęg nieba módl się za moję matkę i za nas wszystkich. Niebezpieczeństwo coraz większe. Doktorzy za nic nie ręczą. Odkładałam z dnia na dzień pisanie, chcąc ci donieść coś pocieszającego, ale pociechy nie widać. Pomagaj nam twoją serdeczną modlitwą, innéj pomocy już nie widzę.

Mój August okazuje się nie zięciem, ale prawdziwym synem dla mamy. Nigdy mu nie zapomnę tych dni poświęcenia, wszystko mu dla nich będzie darowane.

Kończę, bo mi się litery mienią w oczach. Jeśli tylko będzie polepszenie, napiszę. Ściskam cię.

LIST XX.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—21 Kwietnia.

Spiorunował mię twój list. Łączę się z wami sercem, łączę się z wami najgorętszą modlitwą. Choćbyś jéj nie żądała, mogłażbym teraz jednę godzinę bez niéj przeżyć? Rachuję dni, czekam co rano i truchleję co wieczór, nie odbierając żadnéj nowéj wiadomości. Ach, jeśli nie pomogą twoje czyste, nieskalane modły, cóż mogą pomódz wykrzyki mojéj grzesznéj duszy? Modlę się jednak jak umiem, wuj także zakupił nabożeństwo na waszę intencyą, właśnie wracamy z kościoła, gdzieśmy za was błagali i płakali, co nie przestaniemy czynić aż do lepszéj chwili. Zlituj się, donieś mi co się u was dzieje, pamiętaj o twojéj Tereni.

LIST XXI.

Aniela do Teresy.

Poznań—29 Kwietnia.

Chwałaż niech będzie Najwyższemu! Dzięki wszystkim dobrym duchom i tobie moja Tereniu dzięki, bo musiały być gorące twoje modlitwy, kiedy nas wysłuchał Przedwieczny.

Mama zupełnie wyszła już z niebezpieczeństwa, i kiedy ja biorę się do pisania, ona po drugiéj stronie stołu siedzi już w fotelu, spożywa kotlecik z móżdżku, który jéj przyrządziłam i patrząc na mnie ze swoim rzewnym uśmiechem, poleca mi, aby ciebie uściskać i twemu wujaszkowi serdecznie się pokłonić.

Odżyłam,—a pierwszą moją myślą po odżyciu jest podzielenie się z tobą memi radościami. Nigdy jednak na tym świecie, radość nie chodzi bez cienia troski; i na mnie spadły teraz nowe. Pierwszą troską jest zły stan zdrowia Augusta; namęczył się przy choréj, nie chciał myśléć o sobie dopóki jéj był potrzebnym, tak że teraz kiedy mama wstała, on zaczyna mocno niedomagać. Według zaręczeń doktora, nie jest to nic groźnego, August sam twierdzi z wesołą skruchą, że cierpienie to sięga czasów dawniejszych, czasów gęstych libacyj i hulanek, jednak dopiéro teraz wybuchnęło, ja więc wolę je kłaść

na karb jego poświęcenia i, zastraszona jedną chorobą w domu, lękam się już każdéj może do przesady.

Druga moja troska także nie mała..... Czy uwierzysz Tereniu? Zdaje się, że nic nie będzie z naszych zamiarów spotkania się w tym roku. Mamie kazano jechać już w Maju do Toeplitz, August się wybiera do Ems a potém do Biarritz, nie wiem jeszcze nawet na pewno gdzie, bo ma się pierwéj poradzić wiedeńskich lekarzy. Rozumiesz moja droga, że jestem potrzebna i mamie i mężowi, ojciec mój także z nami jedzie, i tak całe lato aż do późnéj jesieni zejdzie nam na ciągłych przejazdach; wy już pewno będziecie dawno w domu, zanim się nasza włóczęga skończy, a nie chciałabym za nic w świecie abyście zjeżdżali do Poznania kiedy mnie tam nie będzie. Wyperswaduj więc wujaszkowi moja Tereniu, owę pielgrzymkę przyjaźni, abyśmy na rok przyszły przynajmniéj mogły zachować sobie tę jedyną sposobność zbliżenia. Wszyscy wkoło mnie cieszą się niezmiernie europejską naszą podróżą; o sobie tego powiedziéć nie mogę; nie czuję się dosyć zdrową, aby mię taka bieganina miała bawić, ale wszyscy powtarzają, że ruch mi posłuży, zresztą sama powiedz, czyż mogę najlżejszém słówkiem odradzać podróż tak potrzebną dla drogich mi osób? Udaję więc wesołą i niby się cieszę, chociażbym sto razy wolała siedziéć w domu i czekać na ciebie.

Teraz, kiedy mam spokojniejszą głowę, odczytuję z uwagą twoje ostatnie listy, z których pierwéj moje skołatane serce niewiele co więcéj rozumiało, tylko że mię zawsze kochasz i zawsze jesteś smutna. Moja Tereniu, co się z tobą dzieje? Wróciwszy z Warszawy, pisałaś że zstąpiło na ciebie błogie „uspokojenie," z czego ja się naiwnie już cieszyłam. Ale to jakieś uspokojenie zmienne jak łaska pańska, gust kobiét, pogody jesienne, kiedy z następnych zaraz listów widzę, że nigdy owszem twoja dusza nie była tak chora.

Struchlałam na ustęp gdzie mówisz: „Łatwiéj możebym zniosła najcięższe zgryzoty, niżeli taką czczość, bezbarwność, itd."

Ach, odwołaj te słowa.... nie bluźnij niebu. Dopuszczenia boskie bywają straszne..... Ja co przeszłam teraz *prawdziwą* zgryzotę, wiem, że człowiek w takiéj chwili zgodziłby się na całe życia *bez szczęścia*, byle uniknąć *nieszczęścia*.

Już więc nie moja mama, ale ja ci mówię: twój pogląd na życie jest desperacki, twoje uczucia i myśli rozpędzone od jednéj ostateczności do drugiéj, lecą zawsze w gzygzak jak piorun, bo téż ty kochasz się w burzy, i drżę, aby całe twoje życie nie było jedną burzą.

Łudzisz się nadzieją, że w klasztorze odnajdziesz spokój, który zewsząd od ciebie ucieka? Ach moja biedna marzycielko, czyż i pod habitem nie można nosić burzy, gorszéj niż inne, bo wewnętrznéj, gorszéj stokroć, bo trzeba ją ukrywać.... do śmierci?

Sama piszesz: „Bez odrobiny miłości nic nie potrafię dobrze robić.“ Dowód, że jesteś stworzona do życia z ludźmi a nie z aniołami.

Sama piszesz: „Niedaleko mi do znienawidzenia całego rodu ludzkiego....“ Ładny stan duszy dla służebnicy bożéj!

Moja złota wierz mi, ty się tak urodziłaś do zakonu jak ja do baletu.

Przypuśćmy, że się mylę, w każdym razie zaklinam cię nie zagłębiaj się przynajmniéj w mistyczne czytania, bo te mogą zwichnąć do reszty równowagę twego umysłu. I ja ich próbowałam i zlękłam się ich niebieskiego czaru, chociaż moja spokojna dusza łatwiéj by je zniosła. Dla ciebie są prawdziwie niebezpieczne, nie dla tego wcale, żeby, jak piszesz, twoja głowa miała być słabą, ale że twój duch jest ognisty, a takie dzieła to oliwa na ogień.

Aby wkroczyć w te nadziemskie sfery, trzeba, o ile sądzę, być co się nazywa *w stanie łaski*. Nie dość tu pałających uniesień, nie dość nawet najlepszéj chęci, przemocą tam nikt nie wtargnie. To jakby niewidomy chciał siłą woli przejrzéć. Niech, jak chce, zaćmiony wzrok wysila, zawsze będzie widział tylko ciemności; może czasem na tém tle czarném zamajaczą mu jakieś tęczowe kółka, ale to będzie tylko ułuda, owém wysileniem wywołana. Świata bożego, słońca, jasnych niebios nie zobaczy aż mu łuski z oczów opadną, a w człowieku oczy są podwójne, zewnętrzne i wewnętrzne. U większéj liczby ludzi zewnętrzne tylko bywają otwarte, wewnętrzne długo albo zawsze zamknięte.

Uderzmy się w piersi moja Tereniu, przyznajmy, że i my należymy do téj *większéj liczby*. Najlepszym dowodem naszéj duchownéj ślepoty jest ta nuda, to znużenie co nas ogarnia nad opisami duchowego świata. Przecież on stoi przed nami? ci co mają oczy wewnętrzne otwarte widzą go bez wysilenia, z rozkoszą, opowiadają nam o nim cuda, a my wzrok napróżno wytężamy, napróżno gniewamy się na ciemności, ten gniew sam dowodzi, że nie przyszła dla nas godzina przejrzenia.

Może przyjdzie, ale jeżeli przyjdzie to nie siłą woli, tylko siłą zasługi. To też nic mi się tyle nie podobało w twoich listach, ile ten ustęp o rybaku apostole, który zakończasz pokornie słowami: —„Mnie żadna ręka nie przychodzi w pomoc..... może jeszcze nie

zasłużyłam na nią?" Mój aniołku, kto tak mówi, ten już bliski owéj pomocy.

Ale jakie też ze mnie zabawne stworzenie! Miałam ci już nigdy rad nie dawać, a zawsze wpadam w stary grzech moralizowania. Rodziłam się, jak widać, do nauczycielskiego stanu. Jeszcze jedno powołanie chybione.

Basta. Porzucam te metafizyki, mistyki, etyki i wszelkie inne wykrzykniki i wracam do poczciwéj prozy.

Twoja panna Regina zupełnie moje serce podbiła. Ale cóż to za Proteusz niepochwytny! Nie próżno ona ciebie niańczyła, zostało ci coś z jéj wpływu, bo i ona, jak widzę, rządzi się ostatecznościami.

Nasze koleżanki niesłychanie polubiłam za to, że ci nie odpisują, bo proszę cię, jakaż byłaby moja wyższość nad niemi, gdyby cię wszystkie tak jak ja kochały?

Zagłuszam się ile mogę żarcikami, ale mi nie wesoło, za kilkanaście dni wyjeżdżamy, trzeba żegnać miłe życie domowe, trzeba mi się coraz więcéj od ciebie oddalać. Może jeszcze liścik od ciebie mię tu zastanie? Tymczasem ściskam cię po tysiąc razy i powtarzam jeszcze: *chi va piano va lontano*, nie spiesz się z niczém, tylko myśl o zdrowiu i o twojéj Anieli.

P. S. Jestem niepoprawna, jeszcze jedna rada: Skarżysz się na długość czasu; a gdybyś też spróbowała zająć się wyszukiwaniem i odwiedzaniem chorych, ubogich, smutnych? Wierz mi, przy takiéj pracy każdy dzień wyda ci się za krótkim, a co więcéj stanie się ona dla ciebie rodzajem już nowicyatu, z którego zmiarkujesz czy ci do smaku przypada praktyczne miłosierdzie?

LIST XXII.

Teresa do Anieli.

Sandomierz — 5 Maja.

Już widzę jak moja najmilsza Anielka dziwi się, odbierając odemnie taką ogromną kopertę. A widzisz, że nie zapominam twoich życzeń! Przed wielu miesiącami przymówiłaś mi się poczciwie o jaki taki widoczek Sandomierza. Zbyłam to żądanie długiém i bardzo niegrzecznem milczeniem; ależ bo w ówczesnéj porze jesiennéj, a następnie zimowéj, niepodobna było myśléć o zdejmowaniu krajobrazów. Jednak twoje życzenie ani na chwilę nie wyszło mi z pamięci,

i niecierpliwie wyglądałam wiosny. Teraz, kiedy wody już nakoniec opadły i wszystko się zazieleniło, podjęłam co żywo tę miłą pracę; posyłam ci obecnie jéj owoc. Jest on niedojrzały, nieudolny, biedniuchny, ale jak zwykle czynią podrzędni artyści, wymawiam się brakiem czasu.... Istotnie, na ten raz wymówka jest prawdziwa; musiałam okropnie spieszyć się z robotą, ażeby ta przesyłka doszła cię jeszcze przed wyjazdem, bo przecież za kilkanaście dni, 31-go Maja przypada dzień Świętéj Anieli? Niech ta mała akwarelka służy za wiązanie, do którego dołączam sto uściśnień i milion życzeń. Przesyłam je trochę za wcześnie, ale cóż robić? W końcu miesiąca nie wiedziałabym już gdzie cię z niemi gonić, zresztą jak się za granicą napatrzysz cudnych obrazów, nie będziesz już chciała patrzéć na mój parafiański malunek.

Przystępując do twego ostatniego listu, mam zaszczyt oświadczyć szanownéj pani *radczyni*, że nie czekałam na jéj budujące postscriptum, ażeby szukać chorych i ubogich. Nie chwaliłam ci się z tą stroną mego życia, bo tak najprostsza skromność nakazywała, ale dziś kiedy mi tyle pociech obiecujesz z tego zajęcia, powiem ci że więcéj w niém znalazłam kolców aniżeli kwiatów. Trzeba miéć wiele, bardzo wiele środków materyalnych, ażeby stać się dla ubóstwa pożądanym gościem. Ja wprawdzie większą część zarobionych fundusików przeznaczam na ten użytek, u wuja także czasem co wyprosiłam, rzadko jednak stało mi odwagi na ten ostatni środek, bo to nie sztuka cudzym kosztem zaskarbiać sobie miłość ludzką. Szłam więc często z pustemi rękami, a choć serce miałam pełne współczucia i usta pełne ewangielicznych obietnic, zmiarkowałam, że parę poczciwych złotówek, funt bulionu, albo ciepła kołdra, więcéj wrażenia robią niż wszystkie moje maxymy i czułości. Raz mi to nawet wyraźnie powiedziała pewna biedna wdowa, którą troskliwie odwiedzałam; ma ona malutkie dzieci i utrzymuje się z szycia, nad którém już oczy wypatrzyła. Kilka razy udało mi się nieco jéj dopomódz. Przed miesiącem, nie miałam sama złamanego szeląga, poszłam tam jednak, aby nie sądziła, że o niéj zapominam. Zresztą, mówiłam sobie, czyż to samym chlebem człowiek żyje? Zaniosę jéj słowa pociechy, niech się wygada, wypłacze przedemną, i to już ulga. Siedziałam u niéj z półtory godziny, wysilając się na wszelkie argumenta, które mogły ją pogodzić z losem. Wdowa słuchała mię z wielką uwagą a nawet z uśmiechem, zawsze pewnie w nadziei, że rozmowa skończy się, jak dawniéj, datkiem, ale kiedy zobaczyła że ją żegnam i za klamkę biorę, cała zaczerwieniona zastąpiła mi drogę, mówiąc z oburzeniem: „Ha tak, łatwo to gadać o cierpliwości kiedy kto się dobrze najadł, smaczno wyspał i ubrał się jak lalka. Ale niechby panna

spróbowała kilka dni przeżyć o głodzie i chłodzie, kilka nocy nakrwawić sobie oczy nad igłą, toby nie przyszła na próżno mitrężyć biedakom czas, który dla nich jest droższy niżeli dla próżniaków.“ Odeszłam zawstydzona prawdą jéj wyrzutów, a razem zraniona niesprawiedliwością dla mojéj dobréj chęci, i odtąd już nie śmiem iść nigdzie z próżną kieszenią.

Miałam też niedawno gorszą jeszcze awanturę, która mi nawet wiele zmartwień napędziła. Chodząc po ubogich z Franusią, naszą kucharką, wynalazłam jednę nieszczęśliwą dziewczynę; prześliczna jest jak świętéj obrazek, nazywa się Magdusia, mieszka pod ohydnym strychem, i to z malutkiém dzieciątkiem, bo wystaw sobie, ta sierota w nędzy wzięła do siebie z litości jeszcze mniejszą sierotkę, tak przynajmniéj sama mi opowiadała. Ale co najciekawsze, to historya tego dziewczęcia, możnaby z niéj balladę ułożyć; przed półtora rokiem, przyjeżdżali tu jacyś inżynierowie, dla brania pomiarów na koléj żelazną czy coś podobnego. Jeden z tych panów, przystojny, majętny, zajął się niedolą uroczéj sieroty i obiecał ani mniéj ani więcéj tylko że się z nią ożeni. Potém odjechał do Warszawy i przepadł bez wieści. Chyba umarł, bo przecież obiecał solennie. Biedna Magdusia tęskni, płacze i rozpacza. Jéj przygody zajęły mię gorąco jakby jakaś baśń o pasterce i królewiczu. Przyrzekłam jéj, że wujaszek weźmie ją pod swoję opiekę, że napisze do tego pana w Warszawie. Tymczasem wyobraź sobie, wuj nie chce nawet słyszéć o niéj, wyłajał mię na funty, powiedział, że to dziewczyna niedobra, że mnie oszukała, a co najgorsza, zabronił mi wychodzić z Franusią. Teraz kiedy mam nieść jałmużnę, muszę iść z jaką starszą panią, albo przynajmniéj z Reginką, co czyni te odwiedziny strasznie uroczystemi i rzadkiemi. Jak widzę miłosierdzie jest rzeczą nie łatwą; ale to tylko dla tego, że spełniam je po amatorsku. W zakonie wszystko pójdzie mi inaczéj.

Zapowiedź waszéj podróży, niemożebność widzenia cię w tym roku, okropnie mię z początku zgryzły. Jednak nie ma złego coby na dobre nie wyszło; medytując nad tylu przeszkodami, wpadłam na pomysł genjalny: dla czegóż to ja koniecznie w *Warszawie* mam zostać Szarytką? Przecież i w Poznaniu istnieje podobny zakład? O moja Anielko, mieszkać w jednéj z tobą mieście, widywać się często (bo tybyś mogła i codzień nas odwiedzać?) ta myśl zupełnie mię pocieszyła, i odtąd będzie mi jeszcze pilniéj do przywdziania habitu, bo że go przywdzieję, o tém już ani wątpliwości.

Ty wiesz dobrze, nic mię tak nie kusi, nie wabi, nie porywa, jak wszelkie *niebezpieczeństwo*.

Gdyby mnie Pan Bóg był stworzył mężczyzną, zostałabym misionarzem, poszła między pogan i ludożerców, zdobyła może koronę męczeńską.

Kobiéta gdzież ją zdobędzie? Niegdyś marzyłam, że zostanę jakąś Joanną d'Arc, albo przynajmniéj Heloizą. Ale, jak widzę, w naszym wieku nie ma już ani cudów, ani Abelardów. Jeden tylko sztandar świętego Wincentego otwiera jeszcze dla kobiéty pole bohatérstwa i groźnych poświęceń. Pod ten się zaciągam.

Nie psuj więc już pióra na daremne perswazye droga moja Anielko,—jeżdżąc po Europie, pomyśl czasem o mnie, i bądź przekonana, że choć kocham cię w gzygzak, to jednak nie mniéj szczerze i gorąco.

LIST XXIII.

Aniela do Teresy.

Toeplitz—31 Maja.

W sam przeddzień naszego wyjazdu odebrałam twój kochany liścik z życzeniami, które dopiéro dziś uroczyście przyjmuję, równie jak nieocenione wiązanie. Ach, droga artystko, czémże są wszystkie moje upominki kupne, w obec takiego daru co jest dziełem twojéj ręki, twego serca, twojéj pamięci? Ta pamięć najwięcéj mię wzrusza; już przed miesiącem pomyślałaś o dniu dzisiejszym!

Pod względem wykonania, twoja akwarella wydaje mi się prześliczna; nie dowierzałabym własnym, uprzedzonym oczom, ale mój mąż, który lepiéj odemnie zna się na malarstwie, kilkokrotnie ją chwalił. Pomimo wszelkich twoich opisów, nie wyobrażałam sobie, aby wasz Sandomierz tak romantycznie wyglądał. Na wyjezdném, schowałam do biórka drogi ten, jak go nazywasz, „malunek," za powrotem włożę go w jakie misterne ramki i zawieszę nad biórkiem, aby zawsze patrzéć jakby przez okienko na siedzibę mojéj Tereni.

My tu już bawimy blisko dwa tygodnie, i czas uchodzi prędko, nieledwie za prędko, bo ledwośmy się wygodnie ulokowali, już znowu niedługo przyjdzie pakować kufry i po wagonach się kołatać. Kraj tutejszy bardzo ładny, kąpiele mamie służą, spacery urocze, chociaż mnie swoją górzystością nieraz męczą.

Dziś August urządza dla mnie jakiś podwieczorek w lesie, wszyscy się rozeszli dla szykowania téj sielskiéj niespodzianki, gdzie, jak

wiem z posłuchu, mają być i girlandy i muzyka i szampan.—Korzystam z chwilki samotności, aby z tobą pogawędzić i uiścić się ze starego długu.

Nie zapomniałam o żądaniu twojego wuja; przed wyjazdem, gdzie tylko się dało, zasięgnęłam wiadomości o synu jego przyjaciela; niewiele mogłam ich zebrać i nie takich, niestety, jakiebym lubiła wujaszkowi przesłać, ale co słyszałam wiernie muszę powtórzyć:

O panu Bonawenturze wszyscy jednogłośnie mówią z najwyższym szacunkiem, o panu Adamie, rozmaicie. I on w pierwszéj młodości podobno zanosił się na znakomitość; słyszałam ludzi co mu przyznawali ogromne zdolności, dowcip, rozum; jednak musiał ten rozum porządnie się zwichnąć, kiedy dotąd żadnych owoców nie wydał. Niedługo po stracie ojca, ów, jak go stosownie nazwałaś, szaławiła miał się żenić z jakąś piękną panną, która przed samym ślubem umarła. Przez kilka miesięcy desperował po niéj tak okropnie, że już miano go zamknąć w domu obłąkanych, kiedy jedną razą, ni ztąd ni zowąd się pocieszył, zapomniał całéj rozpaczy i zaczął hulać, trwonić, dokazywać, nie tak jak większa część młodzieży, ale *en grand*, jak drugi Sardanapal. Paryż i Florencya podobno dużo o nim słyszały. Nagle stracono go z oczu, wieść się rozeszła, że wchodzi do Trappistów, ale i tam długo nie wytrzymał, po półrocznym nowicyacie pojawił się w kraju, sprzedał wszystkie majętności i znowu zniknął a już tą razą na dobre; od trzech lat przepadł jak kamień w wodę, niektórzy mówią, że istotnie w *wodę*, bo miał się wybrać do Australii na okręcie, który zatonął, inni twierdzą, że po prostu kryje się przed wierzycielami. Taką jest Odysseja przez ciebie żądana, omijam wiele szczegółów mniéj pochlebnych, bo może fama je przesadziła, w każdym razie musi to być oryginał, jakieś pół waryata.

Trzeba kończyć, bo zajeżdża już omnibusik co ma nas wieźć na bory, na lasy, żegnam cię najlepsza Tereniu, życząc ci także wesołéj podróży. Miléj mi teraz patrzéć na piękne krajobrazy, kiedy myślę, że i ty niedługo będziesz się podobnemi cieszyła. Nie wiem jaki ci na przyszłość naznaczyć adres, nie mam wyobrażenia gdzie się daléj obrócimy? W każdym razie najlepiéj abyś pisała do Wiednia *poste restante*, jeżeli zechcesz nowym dowodem pamięci uradować twoję wiernie kochającą Anielę.

LIST XXIV.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—10 Czerwca.

Jakżeż to poczciwie, że i w Toeplitz pomyślałaś o mnie, kochana moja turystko! Jestem uszczęśliwiona i prawdziwie dumna z przyjęcia jakiego doznała moja akwarella. Za powrotem, proszę cię, nie oprawiaj jéj w ramki; powodzenie zachęca, już tu upatrzyłam pełno innych obrazków godnych odtworzenia, powoli ci je będę przesyłała, potém wszystkie oprawią się w jednę księgę, i tym sposobem posiądziesz małe *Album sandomierskie*, które będzie miało wartość jako unikat i hołd przyjaźni.

U nas tu rwetes ogromny. Za cztery dni wyjeżdżamy, a ponieważ ani wujaszek, ani ja nigdyśmy u żadnych wód nie byli, nie mamy wyobrażenia co brać a co zostawiać? Któż może wiedzieć jak się w tém Zakopaném ludzie ubierają, jak żyją? Regina zachodzi w głowę; widzę że i wuj niebardzo rad wyruszaniu się z domu i wydatkom, mnie jedną to wszystko bawi, bo przynajmniéj jest nowość, coś przynajmniéj *się dzieje.*

Zniesiono z pod strychu starą jak świat walizkę, którą stary Szczepan, za pomocą starych domowych narzędzi, łat i blaszek, chce doprowadzić do zdrowia; dużo już wyreperował; nie będzie pokaźna, ale mocna.

Ten list według twojéj wskazówki wysyłam do Wiednia. Gdzie mam pisać daléj, nie wiém, i niestety wątpię, abym się tak prędko dowiedziała, bo i ja pewnego adresu nie mogę ci wskazać. Z Zakopanego mamy robić częste wycieczki w góry, a w tych pustyniach żaden list nas nie znajdzie. Jeżelibyś więc łaskawie chciała jeszcze z drogi się odezwać, pisz zawsze do Sandomierza, gdzie Regina zostaje; wolę twój list odebrać późniéj niżeli go stracić. Zresztą cała nasza wycieczka nie potrwa długo, za pięć lub sześć tygodni będziemy z powrotem w domu, a wtedy mam nadzieję, że zastanę od ciebie słówko. Może téż o dalszéj podróży napiszesz mi obszerniéj niżeli o czeskich Cieplicach, które strasznie lakonicznie zbywasz. Cały twój list zasępiony historyą owego Sępa. Lękałam się czy wujaszek nie weźmie jéj bardzo do serca, ale nie, machnął tylko ręką, powiedział: „Szkoda, po takim ojcu!“ I więcéj o nim nie wspomina.

Zabieram z sobą moję tekę rysunkową; mam zamiar pochwytać co się da górskich krajobrazów. Już to ostatnie miesiące mojéj swobody artystycznéj, trzeba jéj użyć zanim furta się zamknie. To też przygotuj zasób cierpliwości; za powrotem będziesz zasypana nie tylko widokami, ale opisami Karpat; nie myślę jak ty żałować pióra, nie daruję ci ani jednéj doliny, ani jednego wodospadu. Tymczasem obsypuję cię uściskami i.... troszkę łzami.... Przykro mi pomyśléć, że coraz bardziéj odemnie się oddalasz, i że tak długo nie będziemy o sobie dokładnie wiedziały. Niech was Bóg prowadzi!

LIST XXV.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—15 Września.

Już przeszło trzy miesiące nie odzywałam się do ciebie droga Anielo, już półczwarta miesiąca nie miałam od ciebie wiadomości. Co się z wami dzieje? Wracając do Sandomierza, cieszyłam się myślą, że zastanę liścik, a w nim wskazówkę gdzie mam się do ciebie zgłosić? Ani wątpiłam, że go tu zastanę. Tymczasem wracam i nic nie znajduję. Od kilku tygodni już jesteśmy w domu, codzień wyglądam napróżno. Zaczyna mię niepokój ogarniać, na wszelki traf piszę do Poznania, chociaż wątpię, abyście już tam byli, bo jeżeli z drogi nie chciało ci się pisać, to przecież za powrotem jużbyś nie leniła się choć kilka słów przesłać?

A wielka szkoda, że mi tych kilku słów brakuje; nie uwierzysz jak wielka szkoda, dopóki nie zrozumiesz obecnego stanu mojéj duszy. Ten brak wieści od ciebie, ten niepokój, jest jedyną chmurką na czystém, najbłękitniejszém, najpromienniejszém niebie mojego szczęścia. O, bo tak Anielo, jestem szczęśliwa jak nigdy nie byłam, nie miałam pojęcia o podobném szczęściu,—chyba nikt jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy!

Teraz moja droga, rozumiem twoję pogodę duszy, twoję słodycz dla ludzi; o tak! świat jest piękniejszy, ludzie są lepsi, niżeli dawniéj w mojéj dziecinnéj krnąbrności sądziłam. Może nie wszyscy, ale niech kilku dosięga ideału, czyż to już nie dowód, że cały ród ludzki dosięgnie go kiedyś, że wart najwyższéj czci i miłowania? I co najpyszniejsze, co najbardziéj pocieszające, to że na te wyżyny czło-

wiek wchodzi nie po szkarłatnych stopniach potęgi i pomyślności, ale po szorstkich szczeblach cierpienia i..... grzechu. Tak, nie cofam słowa, po szczeblach *grzechu*, bo gdyby człowiek nie grzeszył, nie mógłby ani żałować, ani naprawiać, ani się zwyciężać, a to przecież najszczytniejsze jego przywileje. Nigdy nie jest wyższym jak kiedy powstaje z upadku, a im upadek był głębszym, tém podźwignienie się z niego więcéj wymaga boleści i bohatérstwa; to też niepróżno powiedziano, że w niebie więcéj radości z powrotu jednego grzesznika, niż z wytrwania wielu niegrzeszących.

Wszystko to są prawdy od dwóch tysięcy lat wiadome, z katedr i z ambon głoszone; w klasztorze nam o nich mówiono, a jednak dla mnie długo były martwą literą; powtarzałam je z pamięci jakby geograficzne nazwy rzek, lub miast nieznanych; teraz dopiéro wzięłam je do serca, przystosowałam je do żywych ludzi i od téj chwili kocham ludzi, świat, życie. Ach, życie! Jakże rzadko kto umie oceniać jego nieobliczoną wartość! Ja sama, jakże mało dotąd znałam się na niém! A teraz..... Teraz całe życie mi nie wystarczy na dziękowanie Najwyższemu za wspaniały dar życia.

Zdziwi cię może mój styl i usposobienie. Dawniéj podobno inaczéj mówiłam, a nawet pisałam. W dawniejszych moich listach, znalazłby się może niejeden wyraz gorzki, niejeden sąd fałszywy; ależ co było *dawniéj*, kiedyś, w czasach, które mi się dziś wydają życiem na innym świecie. chociaż według rachub ludzkich ledwie parę miesięcy od nich mię oddziela. Dziś nie mogę nawet zrozumiéć powodów owéj goryczy, przypomniéć sobie dokładnie ówczesnego stanu mojéj duszy? Więc i ty Anielko zapomnij tych skarg i bluźnierstw, ja się ich uroczyście zapieram, ja nic już nie pamiętam tylko to, co zaszło od chwili jak się odrodziłam, a raczéj jak się narodziłam do prawdziwego życia. Spytasz zapewne zkąd ta zmiana? Słuchaj:

Czy ci się kiedy zdarzyło studyować niepojęte przeobrażenia jedwabnika, lub jakich innych podobnych mu stworzeń? Na pozór przygody ich wydają się bajeczne jak dzieje Fenixa, a jednak są najpraktyczniéj prawdziwe, każdy codzień może je stwierdzić. Nieraz pewnie patrzyłaś z rodzajem litości i źle ukrytym wstrętem na tę gąsienicę szarą, brzydką, nieznośną, co nic nie robi tylko za żerem pełza, rozsiewając wszędzie odrazę i zniszczenie. Potém nastaje przerwa tajemnicza, i nagle dnia jednego wylatuje motyl, prześliczny, stukolorowy, radosny. Człowiek widzi na własne oczy tę przemianę, i własnym oczom nie wierzy, a jednak to czysta prawda, owa szpetna, nigdy nienasycona gąsienica, i ów skrzydlaty, wonią kwiatów żyjący motyl, to jedna i taż sama istota. O moja Anielo, jeżeli mogłaś mię kochać w mojéj dawnéj, posępnéj i zgryźliwéj postaci, mam na-

dzieję, że pokochasz mię jeszcze lepiéj teraz, kiedy Bóg łaskawy rozwiązał skrzydła mojéj duszy.

Stare to jak świat porównanie duszy do motyla, jeszcze mitologia motylemi skrzydłami ustroiła Psychę. Wiém że stare, jednak nie szukałam innego, bo choć zużyte, zawsze najprawdziwsze. W iluż to rzeczach niby już zużytych, odkrywam dziś znaczenie zupełnie dla mnie nowe!

I tak naprzykład, historya dzieli się na wielkie ery, jak potop, era Nabonassara, era chrześciańska, Hegira i tyle innych. Dawniéj, kiedy nas tych dat uczono, sądziłam, że to są sztuczne wskazówki, które dziejopisowie poustawiali sobie jak słupy drogowe, ażeby łatwiéj trafić wśród pustyni wieków. Dziś widzę, że to nie są dowolne wymysły, że istnieją rzeczywiście wielkie, niespodziane przewroty, podobne do konania, po którém nowe rozpoczyna się życie. Istnieją nie tylko w dziejach narodów, ale i w dziejach pojedyńczych istot. Dla mnie taką *nową erą*, co mój byt na dwie połowy rozcina, stała się podróż do Karpat! Błogosławione Karpaty! W nich zrozumiałam, że przyrodzenie jest cudowną księgą, a życie ludzkie najcudowniejszym poematem jaki Bóg w niéj pisze. Trafiają się tam wprawdzie karty czarne, ależ tém pyszniéj na nich błyszczą złote głoski cnót i bohatérstwa. Bo pytam ci się, gdyby nie było tych kart czarnych, gdyby wszystko nam się ciągle szczęściło, moglibyśmy na prawdę być szczęśliwi? Gdyby ludzie nie cierpieli, z czegóż by można ich pocieszać, za cóżby ich kochać? A jestże szczęście bez miłości? Wiedział Pan nieba jak urządzić ziemię, i nie tak daleko ta ziemia od niebios jak mi się dawniéj wydawało.

Wyobraź więc sobie, ile twoje milczenie w takiéj chwili mię boli. Teraz kiedy wszystko mi się uśmiecha, miałożby mi tylko twego uśmiechu zabraknąć? Teraz, kiedy uwierzyłam we wszystkie wielkie, nieśmiertelne uczucia, miałażbym zwątpić o przyjaźni? O nie... wolę czekać jeszcze na wytłómaczenie téj zbyt długiéj przerwy i wierzyć, że choć milczysz, nie zapomniałaś o twojéj, więcéj niż kiedykolwiek przywiązanéj Teresie.

LIST XXVI.

Aniela do Teresy.

Poznań—15 Października.

Winszuj mi, złota moja Tereniu. Było napisane w księdze przeznaczeń, że obie w tym roku zaczniemy nową erę. Twego tajemni-

czego szczęścia winszuję ci szczerze, choć wyznaję, że go dobrze dotąd nie rozumiem, za to moje szczęście jest zupełnie zrozumiałe i jasne, mam najśliczniejszą, najmilszą pod słońcem córeczkę, której nadaliśmy dwa imiona: Ludwika—Teresa. Ludwikę odziedziczyła po mojéj matce, Teresę po mojéj przyjaciółce, chciałam w niéj połączyć wszystko co mi najdroższe.

Nie wiem czy twoje serce, jeszcze dla wielu uczuć niedostępne, zrozumie co się dzieje w mojém, ale wierz mi, mówię już z doświadczenia, w życiu kobiety macierzyństwo jest najpamiętniejszą erą. Nie powiem, aby same dni szczęścia miały się od niéj rachować, o nie! Poczucie nowéj, cięźkiéj odpowiedzialności, przewidywanie tysiąca niebezpieczeństw grożących temu drobnemu ciałku i téj czystéj duszy, nakoniec jakaś niepojęta obawa przyszłości, rzucają niejeden cień na złoty poranek rodzicielskiego uczucia; a jednak za nic w świecie nie oddałoby się tych obaw i niepokojów, nie chciałoby się już powrócić do dawnéj swobody, bo, jak sama powiadasz, nie ma szczęścia bez miłości a nie ma miłości bez cierpienia. Z całego serca zgadzam się na piękne to określenie, chociaż z przyjemnością wsunęłabym tam jeszcze nazwę *obowiązku*, bez którego wszelkie *amore* i *dolore* wyglądają mi tylko na śliczną aryą teatralną, co kończy się razem z bengalskiemi ogniami piątego aktu, a życie jak na przekorę miewa kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt aktów, gdzie finał nigdy prawie nie przychodzi w porę.

Ale dość filozofii, trzeba ci się usprawiedliwić z mego na pozór niepojętego milczenia. O moja Tereniu, uniewinnię się w kilku słowach: powracam od bram śmierci. Wiesz jak nie lubię przesady w pojęciach ani w słowach, jednak na ten raz nie lękam się przesadzić, nie tylko byłam u bram śmierci, ale nieco zajrzałam za nie, i dotąd jestem jeszcze przemrożona mglistém wspomnieniem uczuć tam doznanych, chociaż to wspomnienie, podobne do snu tajemnego, z każdym dniem głębiéj się zaciera. Chorowałam ciężko. Nie sądziłam, abym jeszcze miała wrócić pomiędzy żyjących, abym jeszcze kiedy mogła pisać do ciebie, i to była jedna z myśli co mię najbardziéj w moich cierpieniach trapiły. Na tę chorobę zanosiło mi się już dawno, nie myślałam jednak, aby przybrała tak wielkie rozmiary; już jéj początki psuły mi całą podróż, którą nawet przez wzgląd na mnie skrócono; w końcu Sierpnia już byliśmy w domu, i to wielkie szczęście, bo zaraz nazajutrz położyłam się do łóżka, z którego nie wstałam aż przed trzema dniami. Przez kilka tygodni byłam, jak to mówią, między życiem a śmiercią, od kilkunastu dni wracam powolutku do siebie, ale moje otoczenie strzeże mię jeszcze od wszelkich wrażeń i wzruszeń; wczoraj mi dopiéro pokazano twój list pisa-

ny przed miesiącem. Z początku chciałam się troszkę gniewać za tę okrutną troskliwość, chciałam wymówić Augustowi czemu jakiém najmniejszém słówkiem nie wytłómaczył mię przed tobą? Ale po namyśle widzę, że lepiéj się stało, byłabyś napróżno żyła w śmiertelnych obawach, a tak dowiadujesz się razem o mojéj chorobie i mojém wyzdrowieniu, którego najlepszy dowód masz odbiérając moje własnoręczne pismo, chociaż muszę ci się przyznać, że piszę troszkę w sekrecie.... doktór by się strasznie gniewał, gdyby mię widział z piórem w ręku. Mama jedna wié, że do ciebie piszę; po długich certowaniach przystała na to ustępstwo, bo dobrze widzi, że niepokój o ciebie więcéjby mi zaszkodził niż chwilka znużenia. Ach, ta droga mama, co ona téż ze mną teraz przecierpiała! Co dni i nocy nademną przepłakanych! To téż jak cień wygląda i lękam się, aby cała jéj kuracya w niwecz się nie obróciła. Teraz dopiéro, kiedy matką zostałam, rozumiem ile się matce winno, i truchleję na myśl coby się ze mną działo, gdyby moja Ludwinia miała kiedyś jak ja chorować?

Muszę jednak uderzyć się w piersi i wyznać, że nie bardzo jestem posłuszna mojéj matce; pozwoliła mi list napisać pod warunkiem, że będzie *krótki*, obiecałam, że będzie nawet *króciuchny*, tymczasem piszę i piszę, a jeszcze nie dotknęłam i połowy przedmiotów co mi się tłoczą do myśli; ale bo téż już tak dawno nie rozmawiałyśmy z sobą, a od tego czasu tyle ważnych zmian zaszło!

A najprzód muszę umieścić choć na trzeciéj stronce to, co powinno było stać na pierwszéj, życzenia dla Solenizantki, bo przecież to dzisiaj 15-ty Października, dzień twojéj Patronki, główny powód, dla którego uparłam się koniecznie *dziś* pisać, choć i tak spóźniona będzie moja dobra wola, bo ten list dopiéro za kilka dni odbierzesz, i smutno mi pomyśléć, że całe to święto przebędziesz, oczekując napróżno, a może i gniewając się za moje milczenie?

Innych lat miałam zwyczaj tylko ci *życzyć* wszelkiego dobrego, w tym roku, przez rzadki w życiu ludzkiém wyjątek, mogę ci i *winszować*; doprawdy jest czego, jeżeli mam wierzyć w cudowną zmianę twego usposobienia, i jeżeli *nowa era* jeszcze się nie skończyła, bo twój list przed miesiącem pisany, a miesiąc to na ciebie bardzo długo! To téż winszuję nieśmiało, w niepewności, czy ów napad złotego humoru potrafił do dziś dnia się utrzymać? W każdym razie jest on zbyt gwałtowny, ogromny i niespodziany, aby można rachować na jego trwałość.

Dawniéj widziałaś życie w kolorach nadto czarnych, teraz je widzisz zanadto różowo. Zawsze ostateczności! To téż twój list nie

tyle mię ucieszył ile przestraszył; zapędzając się tak daleko w jakieś krainy niepojętych zachwyceń, przygotowujesz sobie wielkie rozczarowania, bo prędzéj czy późniéj przyjdzie wrócić się z téj krainy i uznać, że nasze życie nie jest ani tak czarne jak dawniéj twierdziłaś, ani tak różowe jak dziś twierdzisz. Już ja naprzód widzę te rozczarowania, słyszę twoje lamentacye, i dla tego zaklinam cię: Moja Tereniu, miary! Trochę więcéj miary tak w złém jak w dobrém, tak w zniechęceniu jak w zapałach.

Możebym zresztą uwierzyła w to błogosławione *odrodzenie*, gdybym rozumiała jego przyczyny, ale twój list nic a nic nie objaśnia; jestto arcydzieło dyplomacyi, niewieściego Machiawelizmu, gdzie mówisz o grzesznikach i Fenixach, o Nabonassarach i Psychach, o liszkach i motylach, a nie mówisz ani gdzieście bywali, ani jak się bawiłaś, ani kogo poznałaś, słowem, najmniejszéj wskazówki coby mogła otworzyć mi oczy. Bo przecież nie jestem dosyć dobroduszna, abym miała uwierzyć, że sam widok Karpat pogodził cię nagle z życiem i kazał ci pokochać ludzi? To ostatnie nadewszystko mię dziwi; dopóki jeszcze piszesz: „tam zrozumiałam że przyroda jest cudowną księgą,“ pojmuję, ale kiedy dodajesz: „a życie ludzkie najcudowniejszym w téj księdze poematem,“ tu już moja przenikliwość ustaje. Aby *to* zrozumiéć, trzeba studyować człowieka; czyżeś go studyowała w Karpatach? Gdzie, jakiego? Odpowiedz mi na to jedno pytanie, a wszystko zrozumiem; chcąc nawet uprościć przedmiot, opisz mi tylko towarzystwo jakie z wami bawiło w Zakopaném, nie omijając *nikogo*, a to już będzie dosyć, ale nie wyobrażaj sobie, że potrafisz mię dłużéj oszukiwać sztukmistrzostwem słowa, bo któż przypuści, ażeby kupy nastroszonych kamieni miały tak miękczyć serce ludzkie? Aby trochę szumiącéj wody i obłoków miało tak zmieniać kolor myśli? Przecież tysiące osób jeżdżą co rok w Karpaty, a nie widać, aby wracały tak magicznie przeobrażone? Przecież i ja w tym roku widziałam góry, i nie lada (zaczepiliśmy o Szwajcaryą), a wyznaję pokornie, że po kilku chwilach wielkiego zachwytu na wierzchołkach, zeszedłszy, odnajdywałam się kubek w kubek taka sama jak dawniéj.

Być może iż ty jako malarka i peizażystka, wrażliwsza jesteś od nas na cuda krajobrazu, ale i tych cudów nie znać pod twojém piórem; gdzież owe opisy szumnie obiecywane przed wyjazdem? Miałaś mi nie darować ani jednego wąwozu, ani jednéj kaskady, tymczasem w całym twoim liście, Karpaty raz tylko wspomniane i to mimochodem. Chciéjże czy opisem, czy szkicem, dać mi jakieś o nich wyobrażenie, a przytém, o powiewny motylu, chciéj choć na chwilkę dotknąć jeszcze ziemi, wspomnij o wujaszku, o pannie Reginie,

powiédz mi co czytasz, czy jeszcze Świętą Teresę? Czy się wróciłaś do lekcyi rysunku? Powiédz mi nadewszystko czy Sandomierz wydaje ci się weselszy, a jego mieszkańcy mniéj karłowaci i ospali niż dawniéj? Jeżeli tak jest, zacznę wierzyć w twoje odrodzenie. Tymczasem, twój list leży przedemną jak istna szarada, nad którą łamię sobie głowę, podsuwając pod nią napróżno wyrazy najrozmaitsze.

Jest wprawdzie jeden wyraz, któryby wytłómaczył wszystko..... ale nie śmiem go napisać, jeszcze..... bo jeżeli nie zgadłam, gotowaś okropnie się oburzyć, a jeżeli zgadłam, kto wié? Może także się oburzysz, aby nie wyznać prawdy.

Są w twoim liście jeszcze inne zagadki, może mniéj niespodziane, bo stanowiące niejako dalszy ciąg naszych klasztornych rozpraw, zawsze jednak dziwne; nie mogę naprzykład zrozumiéć do czego stosujesz ustęp gdzie chcesz dowieść, że człowiek dochodzi do szczytu wielkości po szczeblach *cierpienia* i *grzechu*? W każdym razie zdanie trąci paradoxem.... na pierwszy z owych szczebli, na cierpienie, piszę się z całéj duszy, ale na drugi.... bardzo.... bardzo warunkowo. Zapewne, skrucha jest rzeczą piękną, wydźwignienie się z upadku dowodem wielkiéj siły, jednak nikomu nie śmiałabym téj drogi radzić ani zalecać. Ach, zawsze krótsza i pewniejsza droga bez upadków! I to nie tylko w wielkich wydarzeniach, ale w naszém potoczném życiu, wierz mi, zawsze jest bezpieczniéj trzymać się ludzi co cichutko wytrwali w dobrém, niż rachować na te jakieś nagłe nawrócenia, cudowne poprawy, które mogą ciężko omylić. Trafiają się wprawdzie wyjątki wspaniałe, zdumiewające, ale zawsze to są wyjątki, i samo niebo musi je zaliczać do zjawisk niesłychanie rzadkich, kiedy je obchodzi tak wielkiém weselem.

Słyszę powóz wjeżdżający w bramę. Pewnie moja matka wraca z miasta, zamykam ten list prędko, aby nie nastraszył jéj swoją długością. Dodam tylko jeszcze, że chciałam ci na wiązanie posłać figielek mojéj własnéj roboty, ale choroba nie pozwoliła mi go skończyć, muszę tę niespodziankę odłożyć na później, może aż do kolendy. Tymczasem ściskam cię w imieniu mojém i mojéj infantki, któréj téż od ciebie należą się powinszowania, bo i dla niéj dzisiaj są półimieniny. Mnie znów powinnaś winszować, że jestem jeszcze przy życiu, słowem, nie wybrniemy z tych odmian gramatycznych: winszuję ci, winszujesz mi, winszujemy jéj, winszujmy sobie.... najlepiéj wszystko zakończyć staropolskiém: Kochajmy się.—Twoja—Aniela.

LIST XXVII.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—24 Października.

Anielo moja! Niechże cię najprzód przycisnę do serca, niechże cię ze łzami szczęścia powitam wracającą, jak sama powiadasz, od bram śmierci! O mój Boże, twoje życie było zagrożone, a ja w głębi serca oskarżałam cię o zapomnienie! Tyś cierpiała a mnie przy tobie nie było! Nikt mię nawet żadném słówkiem nie ostrzegł! Ale, kiedy nie mogłam być przy tobie, to może i lepiéj, że nic nie wiedziałam, byłabym się zagryzła niepokojem. Teraz niechże dzięki będą niebu za twój powrót do zdrowia, a tobie za twój list kochany, który, jak na pierwszy list po śmiertelnéj chorobie, jest zdumiewająco długi i wesoły. Na mnie jednak sprawił on jakieś wrażenie poważne, prawie smętne, które mnie względem ciebie.... jakby to powiedzieć? troszkę.... onieśmiela.

Wiadomość o infantce zdziwiła mię, odurzyła. Są rzeczy tylko dla tego dziwne, że nieprzewidziane. Mnie nigdy na myśl nie przyszło, abyś mogła podobną nowinę mi donieść. Znałam cię młodziuchną, nieśmiałą panienką, i do dziś dnia taką cię widzę na tle naszych klasztornych wspomnień. Już wieść o twoim ślubie pomieszała mi szyki, tém bardziéj, że nigdy nie widziałam twojego małżonka, ba! nie widziałam cię nawet w długiéj sukni. Już niełatwo mi było wystawić sobie moję Anielkę mężatką, cóż dopiéro dziś matką! Ta godność przyobleka cię w jakiś majestat, który mi trudno zczepić z potulną minką mojéj pensyonareczki, a przytém.... obudza we mnie coś niedobrego, coś podobnego do maleńkiéj zazdrości. Kiedy tyle i tak wielkich uczuć zapełni twoję duszę, czyż zostanie jeszcze w niéj miejsce dla biednéj Tereni? A choćby zostało, to już w każdym razie nie najpierwsze, byłoby nawet grzechem żądać teraz pierwszego. Póki z panem Augustem, to jeszcze pół biedy; zdawało mi się łatwiéj odkraść mu kawałek twego serca. Ale ta Ludwika-Teresa, to groźna osóbka..... prędzéj czy późniéj, wszystkich nas w sercu matuni zakasuje. W każdym razie wypada ci winszować, i zdaje się że jest czego; to uczucie musi być potężne, wiele szczęścia dające, kiedy nawet moja Aniela mówiąc o niém, wychodzi nieco ze zwykłéj sobie *miary*. Ach, ta nieznośna miara! Przestań, proszę cię, prześladować mię tą bladą figurą z ważkami i łokciem w ręku; do niéj,

jak cię kocham, nigdy przekonać mię nie zdołasz. Co pod miarą to mierne, a mierność dla mnie gorsza od samego złego. Wolę truciznę niż ciepłe piwko, wolę zbrodniarza niż nudziarza. Łatwiéj pierwszego jak drugiego przerobić.

Nie przeczę, że *się rządzę ostatecznościami*. Dobrze wiém co czynię. Dusza, która gorąco szuka prawdy i szczęścia, nie może a nawet nie powinna rządzić się inaczéj. Kiedy byłam zniechęconą, byłam nią do dna duszy i nie bez przyczyny; życie moje stało wówczas pustkowiem, błądziłam bez drogi i bez celu; więc ciskałam w niebo skargi i pytania, i dobrze robiłam, niebo mię usłyszało. Teraz kiedy uwierzyłam w szczęście, uwierzyłam wszystkiemi siłami duszy, i znów nie bez przyczyny; życie moje się zapełniło, ideały moje się urzeczywistniły. Czyż to nie dosyć? Choćby żadne inne szczęście nie miało mię już spotkać, czyż to nie więcéj niż pragnęłam? Wolno skarżyć się i wątpić temu, który szuka, temu co znalazł, już nie wolno. To téż niech cię próżno nie dręczy obawa, żeby moja nowa era miała się liczyć na dni lub tygodnie. Jestem odrodzoną *na zawsze.*

Tak, nawet słowo: Zawsze! Wydaje mi się za ciasne. Niech dusza raz poczuje się nieśmiertelną, już miała wizyą wieczności.

To wszystko nie wykazuje ci jeszcze powodów mojéj odmiany, i przyznaję, że mój ostatni list był, według twego wyrażenia, szaradą, albo estetyczniéj mówiąc, sfinxową zagadką. Wiém o tém, ale nie mogłam pisać inaczéj i dziś jeszcze nie mogę.... A dla czego? O moja Anielo, serca nasze *dotąd* rozumiały się we wszystkiém, ale pojęcia nasze różniły się jak niebo od ziemi. Dopóki życie nam płynęło w zwyczajnych warunkach, te różnice zdradzały się tylko drobnemi utarczkami, na których nic nie cierpiała przyjaźń, a umysł nieraz korzystał. Ale minął czas pustoty, czas dziecinnych przekomarzań się i figlów. Z latami przychodzą w życiu zwroty nieprzewidziane, potężne, w których różnica pojęć może sprowadzić i rozstrychnięcie się uczuć. To mi zamyka usta. W ostatnim liście miałam ręce związane podwójną obawą: że albo ja cię zrażę, albo ty mię zranisz. Pierwszy raz pisanie do ciebie szło mi jakoś opornie; trzeba mi było dobiérać wyrazy, ważyć stopień mojéj szczerości.... O! Bo lękałam się twoich kazań, twego okrutnego rozsądku, a nadewszystko.... twoich żartów.

Odpowiedź twoja dowiodła, że lękałam się, nie na próżno.

A teraz, poradź sama Anielko, co robić? Jeżeli mamy się nie zrozumiéć, lepiéj może nie tykać wcale przedmiotu coby mógł zakłócić naszą zgodę? Wierz mi, bywają uczucia tak wielkie, że nie

można ich brać pod żadną miarę, tak zazdrosne o swoję godność, że najlżejszy uśmiech je płoszy. Gdyby się też kto odezwał wątpiąco, lub złośliwie, o twojém przywiązaniu do infantki, czyżbyś nie zamilkła, dotknięta głęboko? Uczucie macierzyńskie jest święte, nie zaprzeczam, ale czyż jest jedyne pod słońcem? Czyż inne nie mogą być równie drażliwe?

Jeśli zechcesz zwracać mię z drogi, którą nakoniec znalazłam, jeśli spróbujesz mię rozczarowywać, zasmucisz i mnie i siebie, bo rozczarowanie nastąpić nie może, a zaufanie jak mimoza łatwo się zamyka.

Lecz gdybyś chciała wysłuchać mię poważnie, z namaszczeniem i prostą wiarą, gdybyś chciała na moje życie spojrzéć raz po mojemu, kto wié? Możebym się odważyła otworzyć przed tobą serce? Może nawet już jesteś na drodze domysłów? Ale sama powiédz.... słowo, które ci się pod pióro podsuwało, musi być strasznéj potęgi, kiedy nie śmiałaś nawet go napisać.

W każdym razie, ostrzegam cię, nie szukaj klucza zagadki między gośćmi Zakopiańskiemi; tam, zapewniam cię, nic nie znajdziesz. Cały czas jaki przebyłam w Zakopaném liczy się jeszcze do mojéj dawnéj ery.

Żądasz odemnie opisania Karpat? W pobieżnym liście trudno zamknąć taki ogrom wrażeń. Mam ja wprawdzie zaczęty a nawet prawie już skończony *Pamiętnik* z téj wycieczki.... Tam znalazłabyś wszystko.... chociaż i tam jeszcze nie znajdziesz takich opisów jakiemi zwykle podróże są przepełnione; moja podróż odbyła się w wyjątkowych warunkach. Ja Karpaty widziałam *inaczéj* niż ktokolwiek na świecie. Mieliśmy przewodnika pod którego kierunkiem cała ta cudowna pielgrzymka wydała mi się nie podróżą po ziemi, ale wstępowaniem w wyższe światy.

Pytasz się czy Sandomierz zyskał w moich oczach? Zyskał stokrotnie, równie jak jego mieszkańcy, nie dla tego wcale, żeby mieli się stać lepsi albo mędrsi, ale że moje stanowisko względem nich się zmieniło. Dawniéj, tutejsze osoby i przedmioty stały na pierwszym planie mego życia; nie dziw, że nie mogły mi się podobać, nie odpowiadały rojeniom jakie nosiłam w duszy, grały za wielką rolę na swoje małe siły. Dziś kiedy zeszły do ról drugorzędnych, wywiązują się wybornie z zadania; już od nich nie wymagam żadnego ideału, i uśmiecham się nawet na myśl jak mogłam kiedyś go wymagać? Otoczenie zresztą tak mało już dziś dla mnie znaczy, że wszystko mi jedno gdzie się znajdę, w Saharze czy pod biegunem, wszędzie

przeniosę oazę, która zakwitła w mojéj duszy. Doszłam więc do tego samego stanu, którego tobie Anielko zazdrościłam: wszędzie mi dobrze. Tylko doszłam inną niż ty drogą. Co głowa to rozum. Co serce to tajemnica.

Lekcye rysunku daję znowu i z wielką przyjemnością. Szyję nie tyle co dawniéj, ale zawsze dużo, i także z przyjemnością, słowem, wszystko idzie jakoś raźno, a dla czego? Bo wszystko spycham jak najprędzéj, ażeby się tylko dorwać do zajęcia, które mi teraz największą liczbę godzin pochłania, do książek.

O moje kochane książki, wy jesteście teraz światem zaczarowanym, gdzie przebywam najlepsze chwile! Przez was poznaję ludzi, lepiéj stokroć niż gdybym z niemi żyła, bo wy mi od razu otwieracie skrytki duszy, które oni tak zazdrośnie zamykają,—zdobywam skarby doświadczenia bez jego praktycznych niebezpieczeństw, uczę się sądzić o świecie nie z kilku lat, albo osób, ale z wysokości wieków i społeczeństw. A już nic milszego jak kiedy uda mi się rozpoznać jakie rysy dobrze mi znajome, nadewszystko téż samę siebie. Nieraz namyślałam się dla czego człowiek doznaje takiéj przyjemności, odnajdując w książce swoje wrażenia i uczucia? Czyżby potrzebował świadectwa cudzych uczuć, cudzych myśli, na usprawiedliwienie własnych? Słuszniéj może byłoby zauważyć, że u większéj liczby ludzi, myśli i uczucia krążą w rodzaju mgły niepewnéj, w zarysach zawsze niedokończonych, które na każdym kroku czynią nas chwiejnemi; to téż doświadczamy podziwu i czegoś nakształt wdzięczności, ile razy wielki pisarz wniesie pochodnię w tę pomrokę, naszę jąkaninę zwiąże w lapidarne zdania, nasze mętne przeczucia przekuje w pewniki. Jeden to dowód więcéj, że człowiek stworzony został przeważnie na istotę rozumną, kiedy taką radość mu sprawia *zrozumienie* czegokolwiek, zwłaszcza samego siebie.

A jakiż to ogromny ten świat książkowy! To zupełnie jak ze światem rzeczywistym: im więcéj go się poznaje, tém nieskończeniéj rozsuwają się jego granice. Ja teraz wkroczyłam w sfery piśmiennictwa, których się ani domyślałam, a raczéj nie domyślałam się ich potęgi i piękności; wprawdzie mówiono mi o nich, ale zawsze z przekąsem, z postrachem, jakby o truciźnie, tymczasem karmię się tą trucizną i widzę, że przy niéj odkwitam.

Zostały mi wprawdzie jeszcze resztki owych postrachów, kiedy i tobie nie śmiem od razu, jasno opowiedzieć co czytam..... Już pewnie jednak odgadłaś i sama podpowiesz groźny wyraz: *romanse.*

Jak dobrze wiesz, dawniéj nie garnęłam się do nich. W klasztorze, gdzie tyle panien, chciwych zakazanego owocu, czytało potajemnie złe książki, twój przykład ustrzegł mię od téj zarazy. Tak droga Anielko, tobie głównie należy się tu zasługa, byłabym poszła może za innemi, bo wiesz jak łatwo mię wciągnąć, ale widząc twoję pogardę dla téj grzesznéj ciekawości, widząc urok jaki roztacza twoja niewinność, chciałam i ja téż nie być gorszą od ciebie, bałam się nadewszystko stracić twój szacunek; to sprawiło, że nie wzięłam innéj książki tylko taką co przeszła przez ręce zakonnic, i wielkie to dla mnie szczęście, *wówczas* podobna ostrożność była zbawienną, na umysł nieprzygotowany, dzieła nawet najlepsze mogą podziałać fałszywie, przedwczesna wiedza może istotnie otruć. Ale jest czas na wszystko. Co było złém w latach piętnastu, bywa dobrém w dwudziestu. Nie można przecie całe życie być pensyonarką? Zresztą przyznam ci się, sfera pojęć zakonno-pedagogicznych już stała się dla mnie za ciasna, duszna, nie do wytrzymania. Dzieła ascetyczne prowadziły mię do smutku, prawie do rozpaczy, sama radziłaś, ażebym się ich wystrzegała. Mój zbiorek dzieł edukacyjnych już mi się do mdłości uprzykrzył, umiałam je na pamięć, kręciłam się w ich kółku jak wiewiórka w klatce. To téż książka przedstawiała mi się w postaci nie rozrywki, ale obowiązku, i to najnudniejszego.

W tém ogłodzeniu umysłowém, oprawném w suchoty małomiasteczkowe, więdłam już na dobre, zwłaszcza teraz.... ach teraz, kiedy we wszystkich moich pojęciach nastąpił przewrót, kiedybym potrzebowała zwierzyć się, wypłakać, wyradować, słowem, dzień i noc mówić, a nie ma do kogo..... dusza moja wyżarłaby chyba samę siebie, po prostu mogłabym zwaryować, gdyby jakiś duch opiekuńczy nie był mi jak Agarze na pustyni pokazał upragnionego źródła.

Mieszka tu jedna młoda wdowa, pani Aurelia, prawdziwa perełka zamknięta w naszéj ciemnéj skorupie. Przed dwoma laty mąż jéj umarł, a że zostawił interesa bardzo powikłane, mądra wdówka postanowiła trzy lata w Sandomierzu przesiedzieć, procesa pokończyć, majątek oczyścić, a potém dopiéro wesoło na świat wyfrunąć. Otoczona samemi rządcami i prawnikami, nikogo z towarzystwa nie widuje, co jednak nie przeszkadza jéj ubiérać się cudnie, zawsze według ostatniéj mody. Ze mną poznała się przypadkiem, i bardzo dla mnie grzeczna, zawsze powtarza komplement, że „ze mną jedną może tu rozmawiać.“—Ponieważ prenumeruje *Bluszcz*, zgłaszałam się do niéj niekiedy po żurnale mód, z czego powstała między nami, nie

powiem zażyłość (boję się jéj wykwintnisiowéj pańskości), ale miła znajomość, co parę tygodni stwierdzana odwiedzinami. Kilka razy ośmieliłam się wyrazić przed nią zdumienie nad jéj dobrowolną samotnością, bezcelową elegancyą, nadewszystko zaś dziwiłam się jakim cudem umiała w tém głuchém życiu zachować umysł sprężysty i świetny, jak żeby wczoraj wróciła z Paryża?

Odpowiedziała mi: „Nie widuję tego co nazywacie tutejszém *towarzystwem*, bo nie mam ochoty zostać prowincyonalną Lafiryndą, zresztą siedzę tu jedynie dla oszczędności, po co mi trwonić pieniądze na ugaszczanie ludzi, których bodajbym już nigdy nie widziała? Jeszcze rok takich rekollekcyi, a wrócę do właściwego mi żywiołu. Tymczasem, ubieram się zawsze z równém staraniem, aby nie wyjść z dobrych zwyczajów, bo elegancya jest nauką trudną i która się łatwo zapomina. Co do utrzymania świeżości umysłu, o! na to mam sekret.... mam dla niego zbiór cudownych kosmetyków, co mu się nie dają zestarzéć.“

To powiedziawszy, otworzyła swój buduar, gdzie mi pokazała kilka szafek i pułek zapełnionych książkami, na stołach leżało także mnóstwo książek o świeżutkich, różnokolorowych okładkach. Kiedy się zbliżałam aby czytać tytuły, chwyciła mię za rękę ostrzegając: „Moja panno Tereso nie oburzaj się, jest tu jedynie tak zwana *lekka literatura*. Ciebie, niedawno wyszłą z klasztoru, może to troszkę zgorszy, ale ja co już więcéj znam życie, powiadam ci, nie ma dla kobiéty lepszéj szkoły jak czytanie *dobrych* romansów. W nich poznaje życie cudzym kosztem, uczy się sama nie wié kiedy, a co najważniejsza, wiele się nauczywszy nie wygląda jednak na *uczoną*. Przyznaję, że są między niemi i niedobre i niebezpieczne, ale od czegóż rozsądek? We wszelkich książkach, a tém bardziéj w romansach, trzeba robić wybór i to surowy, jeżeli się chce miéć przyjemność i korzyść. Ja też czytam same *wyborowe*, złych już ani dotknę, dla prostéj przyczyny, że mię nie zajmują, bo, jak się przekonałam, złe romanse bywają najczęściéj źle pisane. Dzisiaj, dość mi już kilka pierwszych kartek przerzucić, aby poznać czy książka dobra? Księgarze Warszawcy przysyłają mi wszelkie nowości, a i do dawnych utworów powracam bez ustanku, bo co piękne to nie ulega przedawnieniu. Ach, trudno wypowiedziéć ile rozkoszy znajduję w tém urojoném towarzystwie, które na każde moje zawołanie odgrywa przedemną najdramatyczniejsze sceny. Gdybym wśród téj czczości co mię otacza, wśród tych ślęczeń nad hypotecznemi aktami, chciała jeszcze studyować jakie poważne dzieła, no, tobym została pedantką, albo znienawidziła książki. A tak, żyjąc życiem

sztucznem, życiem drugich, przechowam się młodą i wesołą do chwili kiedy mi będzie wolno zacząć znowu życie na własną rękę. I ty moja panno Tereso, wierz mi, porzuć dziecinne przesądy i weź się do tych książek, jeśli nie chcesz zakwasić się i zardzewiéć.“

Te zdania, które ci tu jednym tchem wypisałam, pani Aurelia wypowiadała mi częściowo, przy wielu rozmowach, zawsze częstując mię swoją olśniewającą biblioteką. Długo opierałam się namowom; głos *przesądów* nastraszał mię groźbami, które dziś mi się wydają śmieszne, przedstawiał mi tę pociechę jako szatańską pokusę Wymawiałam się brakiem czasu, obawą spowiednika, Bóg wié nie czém. To trwało aż do wyjazdu. Ale wróciwszy z Karpat, znalazłam się tak osamotniona, moje stare książki tak mi już obrzydły, brak listów od ciebie postawił mię w takiém duchowém opuszczeniu, że odważyłam się skorzystać z uprzejméj ofiary pani Aurelii, i odtąd codzień ją błogosławię.

Ach moja Anielo, co to za dobrodziejstwo książka, która czas zabija! Cobym ja zrobiła z temi przedwiecznemi dniami i nocami, gdybym nie miała czém nakarmić zgłodniałego serca, a przynajmniéj omylić głodu chwilowém złudzeniem? Jak mówi pani Aurelia trzeba żyć życiem cudzém, kiedy nie można żyć własném. Jakaż to ulga, jeżeli czasem przy książce kilka godzin nie wiedzieć gdzie mi się podzieje! O tyle ciężaru zepchniętego z taczki żywota.

Inne, szczęśliwe! Mogą codzień widywać istotę ukochaną, a jeżeli nie codzień, to przynajmniéj czasem, przynajmniéj mają przed sobą cel jakiś, oczekują na list, na spotkanie. O! takim nie trzeba dziejów cudzego serca, przygód wymyślonych przez czyjąś wyobraźnię! Rozmowa z oczekiwanym, sam jego widok, parę słów jego ręką nakreślonych, staną im za wszystkie księgi. Godziny ich są pełne wrażeń, pełne aż po brzegi, czas dla nich pędzi niepochwytnie, trawiony niepokojem, albo szałem. Ja nieszczęśliwa, skazana jestem na tęsknotę najstraszniejszą, bo nieokreśloną żadnemi granicami, może wieczną? Błysnął mi na chwilę, jak nadludzkie widzenie, i zniknął. Może nigdy się już nie zobaczymy, a w każdym razie, nie prędko.

Pióro mię zdradziło. Tak, droga Anielo, już dłużéj taić przed tobą nie mogę,—miłość..... Trzeba to wielkie i straszne słowo napisać, *miłość* wstąpiła w moje życie, w moje serce, w moje myśli, ogarnęła całe moje istnienie, ona jest i odtąd będzie tajemnicą mojego szczęścia i mojéj rozpaczy.

To wielkie słowo już i tobie na myśl przychodziło, wyczytałam je w twoim liście pomiędzy liniami.... Przyjaźń ma nieomylne przeczucia.

Tak, moja najdroższa, ta miłość o któréj długo i mówić nam nie było wolno, o któréj dochodziły nas echa najsprzeczniejsze, pełne błogosławieństw i przekleństw, ta miłość, którą ty uważasz za dodatek niepotrzebny w życiu, któréj niegdyś i ja bluźnierczo śmiałam przeczyć, w którą ponuro nie wierzyłam, biorąc ją za wymysł poetów, za przesadę serc rozmarzonych, o moja Anielo, miłość jest i, prawdę mówiąc, tylko ona *jest*,—reszta świata i życia to sen, a raczéj niespokojna drzémka. Kogo dotknęła miłość, ten dopiéro się budzi.

To téż wy wszyscy wyglądacie mi teraz na sennych, i gdybym chciała wam opowiedziéć co widzę, gotowibyście uśmiechać się niedowierzająco, przeczyć mi i upierać się na wiarę obrazków jakie przed wami majaczą, ale teraz już mię nikt nie przekona, teraz przy mnie wyższość sądu, bo wy śpicie a ja czuwam. Najwymyślniejsze pojęcia jakie niewidomi chcą sobie wyrobić o kolorach, mogąż jeszcze miéć jakie znaczenie dla tego, który już przejrzał?

I tu jest przyczyna mego szczęścia. Zrobiłam odkrycie, największe, jakie przed śmiercią można zrobić: odkryłam, że to niebo do którego wiecznie tęsknimy, nie tylko jest gdzieś za obłokami, nie tylko nas czeka za gwiazdami, ale istnieje tu już, w tém nędznem życiu, na téj opłakanéj planecie. Wprawdzie pokazuje się tylko przelotnie, jak każde objawienie, otoczone przepaściami prób i ogniami męczarni, ale kto raz tam zajrzał, ten już za nic w świecie nie wróci do dawnego letargu, ten odważy się na wszelkie przepaści, na wszelkie płomienie, byle zaznać jeszcze chwileczkę nieba.

To téż nie dziw się, że teraz wszystko, co nie jest miłością, wydaje mi się blade. Ten jeden przedmiot mię zajmuje; o nim tylko mogę myśléć, albo czytać. A i myślenie i czytanie najczęściéj nie wystarczają.., jabym się chciała wywnętrzyć, wyspowiadać do dna duszy,—a przed kim? Przed wujem? Ach, ani sposób. Najprzód, to mężczyzna. Chyba jednemu rodzonemu ojcu można takie tajniki wypowiedziéć. Potém.... on teraz tak się zmienił!

Tobie? Ach tak, tobie! Tobie jednéj na świecie mogę i powinnam wszystko odsłonić. To téż nic innego nie czynię, pisząc te półwyznania, jak właśnie początek owéj spowiedzi.

Spytasz mię, dla czego od razu, w pierwszym liście, nie opisałam ci po prostu całego zdarzenia? Na owo: „Dla czego?“ byłoby

wiele odpowiedzi..... najprzód, jest to wypadek zanadto ważny w mojém życiu, aby go dotykać pobieżnie, bez przygotowania. Przytém, jak ci już mówiłam, lękam się twojéj odpowiedzi.... przewiduję, że wypadnie mi nie pomyśli, bo ty biedna, dotąd wydziedziczona ze skarbów jakie ja już posiadłam, nie poznasz się może od razu na całéj ich wartości, nie zrozumiesz może twojéj Teresy..... trudno nawet przypuścić, abyś ją zrozumiała, chyba przez jakiś cud współczucia.

Nakoniec..... jak ci to wytłómaczyć? W duszy prawdziwie panieńskiéj jest jakaś nieprzeparta nieśmiałość, jakaś wstydliwość serca, która w takich razach przed najdroższemi nawet osobami zamyka nam usta, i sprawia że pragniemy, gorąco pragniemy uczynić wyznanie, ale chcemy, aby nam je niejako przemocą wydarto. Więc pisz, pytaj, badaj, rozkaż mi być szczerą a będę nią, skończę ów Pamiętnik i cały ci prześlę, bo jak dotąd nie miałam, tak i nadal nie chcę mieć nic ukrytego przed najlepszą moją przyjaciołką.

LIST XXVIII.

Aniela do Teresy.

Poznań—29 Października.

Najukochańsza i najzakochańsza z cór ziemi i nieba! Mówisz mi: „Pytaj, badaj, rozkaż.“

A więc pytam, badam, rozkazuję, powiedz-że kto on? Gdzie go widziałaś? Jak wygląda? Kto go rodzi? Czém on się trudni na tym ziemskim padole, na który się zabłąkał ze światów lepszych, bo musi to być istotnie człowiek nadzwyczajny, kiedy umiał taką cześć natchnąć?

Twój list jest przepyszny zapałem, porywający wymową, mnie samę porwał, tak że przez *cud współczucia*, i ja już o niczém nie myślę, o niczém nie mogę pisać tylko o miłości, ale o twojéj.

To też zlituj się, nie wytrzymuj mię dłużéj, otwórz mi po staremu twoje złote serce, tém bardziéj, że i tobie, o ile mi się zdaje, pilno do téj chwili; wyglądasz mi zupełnie jak poeta co aż drży do przeczytania swojego utworu, ale daje się długo prosić, aby nie myślano, że to rzecz powszednia.

O, przyznaję, takie potężne uczucie to rzecz jeszcze niepowszedniejsza niż jakie arcydzieło myśli. A więc dajże mi usłyszéć twój poemat, który mnie tém serdeczniéj zajmie, że jest *prawdziwy* i że *twój*.

Chciałabym jak najprędzéj ten list wysłać, aby jak najprędzéj otrzymać ów upragniony Pamiętnik, nie mogę jednak skończyć, nie zgromiwszy cię za osobliwsze przyczyny jakiemi chcesz upowodować, a raczéj upozorować twój brak zaufania.

Lękasz się odemnie morałów? Słów rozczarowania? Piszesz mi, dosyć twardo, że należę do drzémiących, do niewidomych? Może być, że mam oczy zamknięte na czary jakie ty widzisz, ale przyjaźń we mnie czuwa, ta sądzę da mi jasnowidzenie, bo przecież i przyjaźń należy do potęg serca, a pod względem bystrości wzroku uchodzi za lepiéj obdarzoną niż ów bożek co, z twojém przeproszeniem, nosi przepaskę na oczach.

Lękasz się, że nie zrozumiem uczuć, których sama nie znam? Najprzód pytanie czy ich nie znam, choćby troszkę? Pani zapomina, że mam przecie męża? Przypuśćmy jednak, że nie zaznałam uczucia w *takim stopniu* o jakim chcesz mówić, cóż to dowodzi? Czyż trzeba koniecznie przebyć osobiście wszystko co się chce zrozumiéć?

Pojmuję i szanuję każde uczucie, byle było szczere, głębokie i z sumieniem zgodne; a twoje takiém jest, nie wątpię. Zresztą, czegóż ja chcę, moja droga, wszak tylko twojego szczęścia? Jeżeli to przywiązanie ma ci je zapewnić, nic nie pozostaje jak winszować, radować się z tobą. Wprawdzie, w jednym i tymże samym liście piszesz o najwyższém szczęściu, a zaraz potém o *rozpaczy*, ale to są sprzeczności, które, jak słyszałam, spotykają się zwykle w stylu zakochanych i które może lepiéj zrozumiem, poznawszy twoje dzieje.

Nie wierzę więc, nie chcę uwierzyć, abyś na prawdę miała się obawiać sądu najlepszéj, jak mówisz, przyjaciołki. Ale twoje wahanie musi miéć jakieś inne powody, których sama sobie może nie chcesz przyznać, a których ja nie śmiem odgadywać. Widząc jak długo, jak ostrożnie mię przygotowujesz, lękam się czy w tém uczuciu nie ma czegoś.... nie powiem zdrożnego, ten wyraz niepodobna mi do ciebie przystosować, ale,—niebezpiecznego?

Czyżby was dzieliły jakie przeszkody towarzyskie? Jakie przeciwieństwa losu? Bo i cóż znaczą wyrazy: „Może nigdy się już nie zobaczymy?“

Te wszystkie niepewności niemało mię dręczą. Chodzę nieswoja, strwożona, aż mi się rodzice i mąż dziwią. Dopieroż by się dziwili, gdyby wiedzieli, że mam głowę romansem nabitą!

Widzisz coś ty narobiła: ja co nigdy nie czytuję romansów, teraz nie wiem cobym dała, aby ów zapowiedziany raz już dostać do ręki. Skróć mój niepokój, pisz i, nie ujmując *komuś*, zachowaj troszkę serca dla twojéj Anieli.

(c. d. n.)

Z ARCHIWUM MNISZCHÓW.

(*Dokończenie*).

V.

Znane powszechnie smutne dzieje niewoli Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego w Koenigsteinie; smutne, mówimy, bo odsłoniły całą wątłość i słabość tego charakteru, który, nie wytrzymawszy ogniowéj próby dokuczliwego więzienia, wyszedł z niego złamany i przygnębiony poczuciem upokorzenia, na jakie się sam skazał, błagając w sposób małoduszny o litość—tyrana, zasypując najpochlebniejszemi wyrazy tego, który się z nim obchodził bezprawnie i niemiłosiernie.

O ile jednak wiemy, co się działo z wojewodą do chwili uwolnienia, to jest do 15 Lutego roku 1717 a z rozpoczętego przezeń pamiętnika i innych źródeł, znamy przynajmniéj ogólnie poprzednie jego losy, o tyle po roku 1717 nie mamy o nim prawie żadnych wiadomości. „Z odzyskaniem swobody,“ mówi w pięknym swym szkicu Jarochowski, „z powrotem na łono rodziny, kończy się polityczna rola naszego bohatéra. Nie ukazuje się już odtąd na widowni, na któréj doznał tylu zawodów, upokorzeń, niepowodzeń, a któréj trudom sprostać nie umiał.“

Historyk Augustowskiéj epoki mniema, że Jabłonowski nie uczestniczył wcale w walce stronnictw, jaka się toczyła po zawarciu warszawskiego traktatu, że zajęty jedynie uregulowaniem własnych majątkowych interesów, dla tego tylko występował publicznie, aby od miast pruskich i od litewskiego hetmana odebrać należność ojcow-

ską, że powięzienne życie wojewody „płynie zresztą bogobojnie wśród dobrych uczynków i pobożnych fundacyj, wśród pisania licznych traktatów religijnéj treści, wydania na widok publiczny przekładu *Telemaka*, wśród pracy wreszcie nad perłą wszystkich pism wojewody *Skrupułem bez skrupułu.*“

Korespondencya Jabłonowskiego z marszałkiem w. kor. wskazuje, że twierdzenie p. Jarochowskiego nie zupełnie zgadza się z prawdą, że wojewoda po wyjściu z Koenigsteinu nie tylko żył dla pobożnych praktyk i zajęć literackich, lecz nie unikał także spraw publicznych, występując jednak na politycznéj arenie we wręcz przeciwnym duchu, aniżeli do 7 Sierpnia r. 1713. Przedłużając niejako upokarzający swój stosunek względem króla, zainaugurowany w więzieniu, stara się dumny niegdyś magnat uniżonością i pokorą skłonić Augusta do nagrodzenia brzęczącą monetą wyrządzonéj sobie krzywdy. „Odważyłem się,“ pisze 14 Grudnia r. 1718 z Podkamienia, „przy pożegnaniu prosić wręcz króla o *remboursement de ma prison.* Przyjął to najłaskawiéj, kazał konnotacyą téj expensy oddać, *m'assurant, qu'il ordonnera de me recompenser.*“ Gdy wojewoda złożył obrachunek, zapewniono go, że August spełni obietnicę, lecz dopiéro w Warszawie. Petent pragnie, aby to nastąpiło jak najrychléj, gdyż przyciska go potrzeba; błaga więc Mniszcha o radę, „co z tém czynić i jak się upominać,“ wzywa go, aby „zaprzągł do téj sprawy“ księcia Janusza Wiśniowieckiego i sam „ratował człowieka, którego pani płocka (gdzie indziéj „baba płocka“ czy nie owdowiała kasztelanowa płocka Krasińska?) bezbożnie za gardło dławi, póki nie oddam....“

Wojewoda ruski wiele liczy na poparcie marszałka; to téż w jednym ze swych listów stawia „tylko dwa punkta: 1-o *Ego amo te*, 2-o *Memento mei...*“ Z początku nie wie wedle własnych słów „*ruralis* senator i zagrzebany statysta,“ jaką drogą ma sobie skarbić względy dworu, na dniu bowiem 15 Kwietnia r. 1720 mówi: „kiedy się nie służy, to się gniewają, kiedy się służy, to nic nie dbają“ a równocześnie wypowiada „nieutulony żal“ z powodu, „że mizernéj chorągwi, obiecanéj synowi, doprosić się nie może“ i żąda, aby go marszałek „królowi przypominał“, ale wkrótce nastręczyła mu się sposobność pozyskania królewskiéj łaski.

Gdy po sejmie zerwanym 22 Lutego z powodu komendy Fleminga rozpasała się w kraju anarchia a hetmani gotowali nową kampanią przeciw dworowi, trzeba im było przeciwstawić silną partyą, przedewszystkiém zaś przeprowadzić na sejmikach dobrze względem tronu usposobionych posłów. Użyty w tym celu były więzień z Kenigsteinu okazał się najpowolniejszém i najgorliwszém narzędziem

saskiém, jak świadczy jego „relacya o sejmiku wiszeńskim," wyprawiona do marszałka 28 Sierpnia 1720 r. Rozpoczyna ją wojewoda wystawieniem prawie niezwyciężonych przeszkód, jakie mu przychodziło zwalczać. „W całéj Polsce," mówi, „nic trudniejszego nikt dobrze myślący nie miał, jak ja, kiedy narachowałem trzy części hetmańskich, wojskiem, grodem lwowskim i pensyami zniewolonych a ledwo czwartą część wolnych i niezależnych."

Zwiększały trudność zadania inne względy: „sejmiku rwać się nie godziło, bo się sprzysięgli zabijać tego, któryby ich posłów zbawił, bojąc się nowéj taryfy, przeprzeć ni racyami nie można, na kreski pozwalać nie chcieli...." „Przecież musieli," woła tryumfująco, „i tak pięciu główne dobrych i niezawisłych, szósty Gumoski, hetmana jednego chorąży, drugiego, to jest polnego, krewny, i przez to *tractabilis*. Chcieli naprzód przysięgi, nie dokazali, chcieli *sub discrimine* sejmu, ani tego...."

Zwycięztwo, odniesione przez Jabłonowskiego i towarzyszy, nie było jednak bynajmniéj tak świetném, jakby godziło się sądzić z powyższego opisu; cóż bowiem sprawić mogli „niezawiśli" posłowie, skoro stanęła na sejmiku uchwała, „aby nie przystąpić do żadnéj materyi, aż komenda będzie wrócona według praw i konstytucyi sejmu warszawskiego, grodzieńskim potwierdzonego!" Przekonany ztąd wojewoda, „że cenzury będą," ale wystawia swą „niewinność", tłómacząc, „że inaczéj być nie mogło żadną miarą, ani się sejmik zerwać mógł," jak zapewne polecono z dworu.

Bardzo wielkie światło na ówczesną sytuacyą rzucają następne słowa tego niepospolitego, choć słabego człowieka: „To, com przewidział, uznasz sam WMPan, że traktat hetmanów w Karłów obrócił, intryga z Flemingiem olbrzymami w kredycie czyni. Ci IChmć, *którzy się popodpisywali na elekcyą królewicza Augusta*, ciż utrzymują Fleminga na komendzie, żeby tę elekcyą wojskiem cudzoziemskiém utrzymał. Proszę, co *suspicaci populo* na to odpowiadać, chyba *fateri*, żem się podpisał i ja.... Te reflexye moje niech będą w sercu łaskawém WMPana, na obronę, jeśli będzie potrzeba, zakopane."

Silne węzły przyjaźni i powinowactwa łączą Jabłonowskiego z książętami Wiszniowieckimi, o których téż często wspomina, raz nawet w wyrazach bardzo ciekawych, szkoda tylko, że nie zaopatrzonych w dokładną datę (z Podkamienia 25 Maja): „Książę kanclerz (Michał Wiśniowiecki) i we Lwowie dla mnie i w domu u mnie był, wczora odjechał trochę nie zdrów i nic nie pił. Tego zastałem zagniewanego na Pocieja o regiment, że go chce brać Gorzdowskiemu i na kompozytorów gazety o 40 tysięcy Moskwy. Tandem go

leniwi i dał mi finalną wczoraj deklaracyą, abym ją księciu prymasowi (Teod. Potockiemu) i WMPanu doniósł, że jeżeli będziecie widzieli tego potrzebę i napiszecie do niego, aby przyjeżdżał, to przyjedzie prosić o sprawiedliwość na delatorów, ale prosi, żebyście i wojewodę trockiego (Ogińskiego) sprowadzili i *cooperabitur* do pogodzenia z IMPanem Poniatowskim i ze wszystkimi *alias* (jak on jest rzetelny) do Pana przyjechać, ale podskarbim Poniatowskiego rekognoskować nie mogę bez wojewody trockiego, to króla urażę. *Ce seroit un coup de maitre*, i sejm by się ufacylitował, i Poniatowski by siła zyskał, kosztów i wexy sejmowéj uchodząc."

Widzimy ztąd, że między Michałem Wiśniowieckim a Stanisławem Poniatowskim, dawno już wrzała nieprzyjaźń, która potém bezpośrednio po zgonie Augusta II w tak jaskrawy sposób wybuchła.

Oprócz politycznego, kryje się w listach Jabłonowskiego dużo obyczajowego materyału. Pod jesień r. 1723 donosi o niejakim Garczyńskim, hultaju chcącym „pozyskać imię i sławę polskiego Herostrata." Rozbija on „w gołych lasach" a zuchwałość swą posuwa tak daleko, że grasuje nawet „pod bokiem hetmańskim, bo pod Oleszycami." Sieniawski wyprawił przeciw niemu aż trzy podjazdy „o pierwszym mówią, że go ten scelerat zniósł."

W liście pisanym ze Lwowa 11 Stycznia r. 1728 ubolewa wojewoda ruski, że go ze strony Mniszcha spotkał „afront nienagrodzony," skoro ten jako marszałek wysyła nań do ziemstwa przemyskiego pozew o żyda z Jaworowa, który „napastował" mieszczanina pana wojewody z Mościsk. Oburzony tém hetmański syn mówi: „Musiało to być albo bez wiadomości WMPana, albo z ostatniego despektu Jego osoby mojéj i urzędu wojewódzkiego."

Zdaje się, że nie była to wcale pomyłka, a jeszcze w połowie Kwietnia wspomina Jabłonowski z ubolewaniem o sprawie żyda, „który *tanta superbia* z panami idzie." Prowadził ją niejaki doktór Fortes, niewdzięczny, albowiem niepamiętny dobrodziejstwa wojewody, który mu ocalił życie, zagrożone przez zbyt energiczną matronę: „Kiedy księżna ś. p. matka książąt Wiśniowieckich, siostra moja, zabić go kijmi kazała była i rajtarów rozesłała, i miłością księżnę i siłą uśmierzyłem a nagrodę tego od doktora miałem, że w żydowskich interesach wszystkie co mogą być, figle i afronty i przeciwności honorowi memu czynił i czyni." Nadto jeszcze, dodaje, „wyrwałem go z procesu JMPana podwojewodzego lwowskiego, a on za tę łaskę przed JMPanem wojewodą malborskim (Przebendowskim Piotrem) publicznie a kłamliwie powiedział, że mi się okupił!"

Poważny statysta w bolesnych nawet dla siebie kwestyach pozwala sobie czasem dowcipu, opartego na igraszce słów. „Pan Kra-

kowski," czytamy 15 Kwietnia r. 1723, „bardzo się był na kamień zachwiał. Pisze mi Lullier: Mr. de Cracovie a été très mal de la pierre, mais grąçe à Dieu, il l'a rendue. Jam mu chciał odpisać: s'il vouloit rendre aussi trois cents mille livres, qu'il a pris de seul Mościsk.... A to widzę nie pogodzi ich prymas, i ta szykana będzie wieczna. Mają gust wietrzyć talery i bogacić grody i jurysty. Pono i ja pójdę przed króla *de jurisdictione palatinali*, którą mi gród lwowski manifeste buławę przywiązaną łamie."

VI.

Z domem Czartoryskich łączyły marszałka chłodniejsze stosunki, zwłaszcza w późniejszych latach, aniżeli z innemi magnackiemi rodami. Przyczyniły się do ich oziębienia i polityczne względy i nienawiść, jaką pałały ku sobie nawzajem pani marszałkowa koronna i pani Konstancya z Czartoryskich, Stanisławowa Poniatowska, lubo nie zabrakło nawet związków krwi między Mniszchami a książętami. Ale owo powinowactwo właśnie, zamiast zbliżyć, oddaliło od siebie podobno związane niém rodziny,

Rodzona siostra Józefa Mniszcha wyszła za Samuela Czartoryskiego, syna Karola, podkomorzego krakowskiego; po niedługiém pożyciu, umarli oboje małżonkowie, zostawiając majątek w ruinie i dwoje dzieci, syna i córkę. Dziewczę, jak zwykle nie sprawiało nikomu kłopotu, nie mając bowiem wiana odpowiedniego urodzeniu „wybrało" wedle Niesieckiego, a raczéj musiało wybrać „życie panieńskie" i to w Krakowie u panien wizytek. Życie przykutéj do murów klasztornych księżniczki płynęło spokojnie i cicho; to téż głucho o niéj w naszéj korespondencyi. Chłopiec natomiast nie tylko nie spełnił nadziei wuja, który, łożąc dość hojnie na jego wychowanie, pragnął go pokierować w świecie, lecz owszem złém prowadzeniem się i coraz większemi wybrykami, do rozpaczy przywodził i Mniszcha i innych krewnych, niezdolnych sobie dać rady z rozhukanym i niepoprawnym paliwodą. Młodociany książę Jakób, bo takie nosił imię, był smutnym typem téj części wykolejonéj i zepsutéj młodzieży magnackiéj, jaką zawdzięczamy opłakanéj epoce saskiéj. Ilustrując w sposób jaskrawy wady i występki wieku, prześcignął on, jak się zdaje, towarzyszów swawoli i rozpasania. Zawadyaka, próżniak, stroniący od nauki, lubo niepozbawiony talentu, hulaka, pochopny do kielicha, do włóczęgi, do wszelkiego rodzaju burd i skandali, niepomny obowiązków, jakie nakładają imię historyczne i wysokie położenie społeczne domu, nabawiał on rodzinę ty-

siącznych kłopotów a nie czując sam co to wstyd, nieraz ją przyprawiał o gorący rumieniec. Jedną z przyczyn tak rażącego rozpasania było zapewne wczesne sieroctwo; mówi bowiem obżałowany do Mniszcha: „Wiadomo Waszeci Dobr. lepiéj, niżeli mnie samemu, w jakim stanie odumarli mnie ś. p. rodzice moi, ciężkie na całéj fortunie zostawiwszy długi, tak że nie mam gdzieby głowę skłonił i tylko z saméj miłości dla krwie J. O. Książę JMć chorąży litewski dotąd mię żywił i według możności mojéj *erudivit*“ (1).

Należało do zwyczajów epoki, podobnych warchołów i awanturników, dla których świat był za ciasny, zamykać w szczupłéj sali klasztornéj, by ich przepisami surowéj reguły do poprawy i zmiany życia nakłonić. Tę, jak częstokroć okazywało doświadczenie, niezbyt szczęśliwą metodę temperowania umysłów niesfornych, zastosowano do księcia tém chętniéj, że mimo świetny tytuł był ubogim, i sam się zdecydował szukać uspokojenia w klasztorze. Ponieważ jednak razem z decyzyą nie spłynęło kapłańskie powołanie na młodego kandydata do stanu zakonnego, przeto spełnienie tego zamiaru nie przyszło bynajmniéj z łatwością. Wstępował on do jednego zakonu po drugim, na to tylko, aby niebawem czy to wypędzony za karę, czy téż sprzykrzywszy sobie samotność celi i jednostajność surowego życia, porzucać mury klasztorne, rzucać się z tém większą lekkomyślnością w wir świata, chwilową pokutę wetując sobie tém jaskrawszém wyuzdaniem.

O tych ciągłych metamorfozach dowiadujemy się tylko z listów stryja i dobrodzieja nieletniego winowajcy, księcia chorążego litewskiego, gdyż jego własna korespondencya tchnie tak szczerą na pozór moralnością i tak świętobliwą pogodą, że gotowibyśmy go uważać za najprzykładniejszego młodzieńca, który wprawdzie szumiał nieco, ale wcześnie wrócił na drogę uczciwości i cnoty, a wstępując w stan duchowny, spodziewa się rychłéj za te cnoty nagrody. „Wiedząc,“ pisze do wuja 9 Sierpnia r. 1722, „że ten świat jest jedno igrzysko, jako przyobiecałem w duchownym stanie służyć Panu Bogu (!), tak nie odmieniam mego przedsięwzięcia, tylko, aby w tém łaska WMPana Dobr. była, bym przynajmniéj pierwszy stopień miał, to jest jaką kanonią.“ Na nieszczęście, czy na szczęście, listy niedyskretnego stryja odsłaniają prawdziwe oblicze płochego młoko-

(1) W tymże liście, pozbawionym daty, pisze książę Jakób, że „matka podobno sub potestate będąca, tanquam przymuszona, na tak ciężkie kredytorów długi pisać się musiała; dla tego pragnąłby dochodzić swych praw, „chciałby jakkolwiek choć o Rymanowską spytać się possesorów zastawnych substancya.“

sa. Pierwsza zaraz wzmianka, jaką o nim spotykamy w piśmie chorążego (22 Sierpnia r. 1722 z Kalwaryi) maluje dosadnie człowieka i jego usposobienie: „O xięciu siostrzeńcu WMPana donoszę WM. Panu, że przyjechawszy z Częstochowy (1) bez mojéj wiadomości wstąpił był do Jezuitów i już był w nowicyacie. Ztamtąd się go Jezuici kształtnie pozbyli, ale jeszcze był nie wziął *habitum religionis*, teraz chce być koniecznie księdzem świeckim. Ażali będzie statkował, Bóg zna, moja głowa już temu nie poradzi."

Z tegoż miejsca w niewiele dni potém (12 Września) donosi stryj, że „książę Jakób *fervidissime* chce być księdzem," posyła go więc do ojców misyonarzy, aby się przygotował do tego stanu i „aby choć liznął trochę łaciny, bo mu jest wielce potrzebna." Wiadomości szkolne wichrowatego młodzieńca musiały być przeto nadzwyczaj skromne, skoro nie znał nawet tego, co było początkiem mądrości wieku, to jest łaciny. Ale rezolutny chłopak, jak gdyby dla pokazania, że krewni i opiekunowie zbyt złe mają wyobrażenie o jego umysłowym poziomie, w ośm dni późniéj pisze z Krakowa do „z serca kochanego wuja i dobrodzieja osobliwego" list naszpikowany tak wówczas modnemi makaronizmami, rozwodząc się nad tém, jak „szczęśliwie wkroczył w stan duchowny, do którego wola Boska go wprowadziła," zaręczając, że „jak kontent jest *in hoc plano paginae* wyrazić niepodobna" i t. d.

Niedługo jednak trwało to niewymowne „wnętrzne ukontentowanie niepośledniéj szczęśliwości," niedługo także złudzenie stryja, bo godny bratanek jego dopuścił się takich czynów, za które nie do klasztoru powinien był iść, ale wprost do turmy. „Xiążę Jakób", pisze chorąży z gorzką ironią 3 Października z Krakowa, „dziwnym trybem żyjąc, cudownie w wokacyi swojéj trwa, bo poszedłszy do misyonarzów, jeno raz był na lekcyi. Więcéj jeszcze zbłądził, kiedy powiedział, że człowieka, który mu z drogi ustąpić nie chciał, zabił...."

Namby się dziś zdawało, że niegodziwy chłopak zgrzeszył nie przez to, że się przyznał do występku, ale że go popełnił, ale snać książę chorąży litewski inaczéj rzecz pojmował. Nie dziw, że „nie chciano święcić" pospolitego mordercy, „czyniąc trudności," ale dziwno, że ramię świeckie nie pociągnęło go do odpowiedzialności.

Jeśli mu sumienie wyrzucało zbrodnię, starał się uspokoić je w sposób, praktykowany często ze skutkiem przez podobnych mu rycerzy, oto „z pewnym jakimeś księdzem włóczył się po szynko-

(1) Zapewne wprzód próbował szczęścia na Jasnéj Górze u OO. Paulinów.

wnych domach od szynkarki do szynkarki, *relegato comitatu*, choć ich nie wielu.“ Oburzony tém do żywego chorąży, woła z rozpaczą: „Bóg zna, że potém wstyd mi będzie w Krakowie bywać, jeżeli on nie zmieni albo obyczajów, albo imienia. Niech komu chce zapisze swoją fortunę, byle tylko nie szpecił imienia“!

Ponieważ hultaj nie bacząc na nic, „pije i huczy,“ przeto radzi książę chorąży marszałkowi, aby go wziął do siebie „na czas słuszny“ i powagą swą wpływał na niego, z powrotem zaś dał mu na towarzysza podróży człowieka poważnego i statecznego, „któregoby się bał i słuchał, inaczéj będzie hańbą domu“—„bo“, dodaje przekonywająco, „kto go zna, że jest mój synowiec, ten będzie wiedział, że jest WPana siostrzeniec.“

Oddawszy tak hołd krewkiéj naturze i poziomym swym instynktom, rozpoczął znów szanowny młodzieniec starania o przyjęcie do zakonu, w którym to celu uzyskał „list instancyonalny“ od księdza biskupa kujawskiego Szaniawskiego; dla tego téż dodaje z całą powagą: *Quod est Caesaris, Caesari quod est Dei, Deo!*“

Ale i tém przyrzeczeniem, choć przypieczętowaném sentencyonalnie łacińskim frazesem, nie bardzo się czuł związanym; zaraz po wyjeździe stryja uciekłszy od misyonarzy, dokazywał po staremu „*cum opprobrio* imienia swego i święcić się nie chciał,“ Ażeby dostać ptaszka w ręce, trzeba było zażyć podstępu; podmówiono go, aby zajechał w odwiedziny „do księżnéj sandomirskiéj a tam go złapawszy, w miejscu trzymali aż do przyjazdu księcia chorążego.“ Spotkawszy się oko w oko ze stryjem, na całe uprawiedliwienie powiedział, „że mu xiądz sufragan odmówił w święceniu.“ Nieprzekonany tłómaczeniem chorąży, wziął go do siebie z postanowieniem rozmówienia się z sufraganem, „aby dojść prawdy i na czém te kłamstwa zawisły, zobaczyć.“

Wzięty w kluby książę Jakób, nie mógł się dłużéj wymawiać, że go nie chcą przyjąć do zakonu, sam stryj bowiem dopilnował wszelkich formalności i uprosił nawet biskupa krakowskiego, że mu własnoręcznie dał „pierwsze poświęcenie.“ Donosząc o tém, 23 Maja Mniszchowi, dodaje młody zakonnik skromnie: „Dalszych rozkazów czekam w seminaryum, bo tu zostaję, *in spiritualibus* exercytuję, tylko na mnie ciężką, od nikogo nie mając suplementu garnę się tedy do osobliwéj łaski WMPana Dobr.“

Można było być pewnym, że i teraz nawrócony grzesznik nie postatkuje długo; jakoż w dwa tygodnie później czuje się już zniewolonym do obrony z powodu wniesionych znowu oskarżeń. „Teraz widzę,“ mówi, „że jest taki, któryby mnie w respekcie i łasce osobliwéj WMPana Dobr rujnował, kiedy na mnie niedobre kładą inwektywy

przed WMDobr., do czego się nie czuję, bo na udaniu siła zależy..." Nie śmiał jednak obrońca zagrożonéj reputacyi swéj, składać wszystkiego na oszczerstwo, lecz owszem przyznając łaskawie, że nie obyło się bez pewnych uchybień, stara się przekonać surowego wuja, że to są nieuchronne następstwa bujnéj młodości: „lecz jeżeli przytrafiło się złego co, niedziw: *juventus ut ventus* (!)" a w końcu zniża się nawet do przeprosin, prawda, że niezbyt pokornych: „jednak... przepraszam, *da petenti veniam...*"

W trzy dni późniéj wyprawiony list stryja wyjaśnia rzecz całą. Wspomniawszy o „szalonéj fantazyi" i o „historyach" księcia Jakóba, dodaje na dowód, że nie oskarża synowca fałszywie: „a że to prawda, posyłam starszego od ojców misyonarzów, jak się tam sprawował, zkąd gdy wyszedł, po ulicach i wsiach włóczył się z rozdartym u szyje krawatem, po domach jednych niby wołoskich, drugich całe wołoskich..."

Zamknąwszy oczy na wybryki, przez wzgląd na dostojność i zasługi rodu, przyjęli misyonarze na nowo zbłąkaną owieczkę, ale i teraz na nic się zdała ta pobłażliwość, czytamy bowiem w piśmie księcia chorążego litewskiego do marszałka w. kor. „Z naszym księciem Jakóbem dziwne rzeczy się dzieją. Od missyonarzów już się znowu przeniósł do Jezuitów, do św. Piotra." Sprzykrzywszy sobie wreście chleb duchowny, postanowił zakosztować innego zawodu: „porzuca teologią a chwyta się jurisprudencyi, którą chce słuchać dałby Pan Bóg, choćby się *juris* opuściło, aby tylko prudencya przy nim się została ..."

Dowcipne to życzenie nie ziściło się niestety a wiele jeszcze wody miało upłynąć, zanim się wreście utemperował wichrowaty animusz książątka. Po krótkiéj ochocie do „jurisprudencyi" zwrócił się na nowo do zakonu, ale już teraz nie do misyonarzy, ani Jezuitów, tylko do Dominikanów. Na dniu 17 Stycznia r. 1724 uwiadamia wuja: „tego tygodnia ruszam się z IMcią panem Mrozkiem do Podkamienia," gdzie wedle słów jego współcześnika była „święta góra różańcowa, przez Najświętszą matkę łaski i cuda czyniąca." Miał książę „przy tymże IMci Panu Mrozku do skutku przyprowadzić wokacyą swoję"; stryj bowiem, zniechęcony bezowocnością poprzednich swych zabiegów, oświadczył listownie, że nie może być obecnym na obłóczynach synowca.

W trzy tygodnie późniéj (6 Lutego) pisze już do wuja jako „X. Dominik Józef Czartoryski ord. Pr." „Niech Bogu będzie chwała, że za błogosławieństwem IMci Pana Dobr. intencye moje do skutku przyprowadziłem, na którym akcie był pan Mrozek. Teraz na ni

czém nie schodzi, tylko łaski JWIMPana Dobr. potrzeba, abyś o mnie nie zapominał, biednym zakonniku...‘

Nie tu jednak kres kłopotów: sprawa ostatecznego wyświęcenia przeciągnęła się jeszcze teraz nadspodziewanie długo; w rok blizko po przytoczonéj wyżéj odezwie (28 Stycznia r. 1725) pisze książę chorąży z Olexinca: „Już się tu był dużo zachwiał książę Jakób, który mnie srodze poalterował: nie chciał profesyi czynić...“ I zakon ze swéj strony czynił trudności z finansowych względów, tak że chorąży zaledwie z wielkim trudem i kosztem usunął przeszkody; z przekąsem więc odzywa się do marszałka: „A WMPan na to śpisz dobrze, czego winszuję WMPanu a ja tu mam zawsze takie z nim obroty, co jest z uszczerbkiem zdrowia mego.“ Dzięki Bogu odbędzie się wreście „profesya“ na początku lutego; godzi się przeto, aby wuj dobrodziéj przysłał „dla księży z beczkę wina i dla przeora jakie honoraryum, żeby się już téj jako najprędzéj zbyć biedy...“

Zbyli się jéj istotnie, gdyż rok 1725 stanowi epokę w życiu księcia Jakóba, w dojrzalszych zaś latach stał się ów nieuchodzony wietrznik i awanturnik, jeśli nie zupełnie statecznym, to przynajmniéj poważniejszym niż dotąd człowiekiem; na dowód dość przytoczyć fakt, że raz złożywszy śluby zakonne, wbrew dawniejszym zwyczajom, wytrwał do końca w dominikańskiéj celi. Listy jego, odkąd zaczął wieść na seryo żywot zakonnika, stają się krótsze i rzadsze, lubo nie przestaje w nich apelować do wujowskiéj szkatuły, gdyż wedle rezolutnych słów, „nie na zdrowiu, ale na mieszku szwankuje.“ Nie wyrzekł się również myśli zajęcia wyższego stanowiska w hierarchii kościelnéj: pod dniem 2 Czerwca r. 1731 pisze, że przyjechał do Lwowa „dla otrzymania promocyi, która wkrótce mnie spotka przy łaskawéj rekomendacyi JWPana Dobr.“

Zawiodły go snać nadzieje, skoro 24 Września następnego roku podpisuje się jako braciszek zakonu kaznodziejskiego (*frater ordinis Praedicatorum*) w Podkamieniu; ale odtąd ginie nam zupełnie z przed oczu.

Nie zatrzymujemy się nad korespondencyą innych członków rodu Czartoryskich; gdyż etykietalne ich listy nie zawierają ważniejszych wiadomości; najczęstsze i najobszerniejsze stosunkowo księcia Kazimierza, kasztelana wileńskiego, obracają się przeważnie w kole konwenansów i interesów prywatnych. Ciekawsze natomiast są listy a raczéj rodzaj dyaryusza prowadzonego szczegółowo od 4 Czerwca do 22 Lipca r. 1768, od Drezna do Frankfurtu nad Renem, przez księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Występuje tu książę jako dowcipny światowiec, opisujący z humorem własne przygody oraz wyższe towarzystwo tych stron, które przebywa; to

też listy jego tak się podobały, że pani krajczyna Potocka, dla któréj były pisane, udzieliła ich w kopii komuś z rodziny Mniszchów, zapewne pani podkomorzynie litewskiéj. Czyniąc aluzyą do tronu, który go minął po zgonie Augusta III, pisze książę generał z Frankfurtu 15 Czerwca po francuzku: „Słusznie mawiają, że nikt nie jest prorokiem we własnéj ojczyźnie: zaledwie porzuciłem moją, aliści uznano mnie godnym korony i przeznaczono mi duńską. Zapragnęli tego wszyscy pocztmistrze pomiędzy miastami Fuldą a Hanau. Broniłem się od tego zaszczytu przez sześć pierwszych mil; widząc jednak, jak wytrwale wzywają mnie na tron i że wszędzie, gdziem zmieniał konie, tłum ludzi czeka na mnie a nikt moim wymówkom nie chce dawać wiary, ustąpiłem nareście i pozwoliłem się nazywać pocztylionom: *mein lieber Herr König*.“

Podczas gdy tak polskiemu księciu oddawano królewskie honory, monarcha, któremu się oné istotnie należały, jechał tuż za nim; w Hanau zatrzymał się tylko na noc u swéj córki, wydanéj za landgrafa Heskiego.

We Frankfurcie poszedł książe Adam do teatru; wrażenia, jakich tam doznał, opisuje w zabawny sposób. „On a donné *le Joueur*. Dans une scène du Marquis avec la Comtesse, lorsqu'elle lui dit: *Fi donc, petit baden, vous vous passionez*, le traducteur met dans sa bouche cette tendre apostrophe: *Halt das Maul du kleiner Berenreiter*, sur quoi il la quitte en lui disant: *leben Sie wohl, Madame, sie sind la Gofernante de mon coeur*.“

VII.

Znane są w ogólnych zarysach stosunki pokrewieństwa Mniszchów z innemi rodami, ale dopiéro w archiwum poznajemy je bliżéj i gruntowniéj—dopiéro na podstawie znajdujących się tu korespondencyj możemy ocenić charakter i wartość moralną osób, wchodzących w skład familii. Nie ma pomiędzy niemi indywidualności niezwykłych, typowych, wyrastających ponad poziom współczesnych; nie brak jednak takich, którym się należy bodaj słowo wspomnienia tém więcéj, że się urodziły w pierwszéj połowie XVIII stulecia, w epoce tak ubogiéj w wielkie talenta i charaktery...

Tylokrotnie już wspominany Józef Mniszech, którego osobistość stanowi jak gdyby ognisko naszego archiwum, przez dwukrotne związki małżeńskie, pobłogosławione licznêm potomstwem, spowinowacił się z wielu mniéj lub więcéj znakomitemi domami. Pierwsza żona Eleonora Ogińska, miecznikowa litewska, zbliżyła go nawet nie-

co do późniejszego przeciwnika, Stanisława Poniatowskiego, gdyż, jak wiadomo, znakomity ten mąż w młodych latach ożenił się z podstarzałą już wdową po mieczniku litewskim. Nie była to dla Mniszcha świetna partya, skoro nawet pan pułkownik żałował ożenku z miecznikową, ubolewając, że jéj dobra były mocno obciążone długami.

Ogińska umarła młodo, zostawiwszy marszałkowi dwie córki; z tych młodsza, Anna, została Benedyktynką w Jarosławiu, starsza, Teresa, wyszła najprzód za Stadnickiego, wojewodzica wołyńskiego, a owdowiawszy w krótce, powtórnie za Lubomirskiego, wojewodę czerniechowskiego.

Znana nam już Konstancya z Tarłów, wojewodzanka lubelska, oprócz synów znanego powszechnie: Jerzego Augusta i Jana Karola, miała dwie córki, z których jedna, Elżbieta, zaślubiła Wielopolskiego, koniuszego koronnego, druga, imieniem Ludwika, wyszła w r. 1732 za podeszłego już wojewodę kijowskiego, Potockiego i, przeżywszy go o trzydzieści kilka lat, umarła dopiéro w Sierpniu r. 1785 (w Krasiczynie). Ostatnia para tak często odzywała się do starych Mniszchów, że listy jéj składają dwa spore tomy. Korespondencya ta, stanowiąca dość ważne źródło dla pisarza, któryby się chciał podjąć napisania żywota pana wojewody, dla nas nie bardzo jest zajmująca, gdyż braknie w niéj listów z lat, obfitujących w najdonioślejsze zdarzenia, a główny i niemal wyłączny jéj przedmiot stanowią interesa prywatne. Niewiele tylko luźnych ustępów z korespondencyi Potockiego zasługiwałoby na przytoczenie; przytoczywszy już jeden powyżéj, ograniczamy się tutaj na podaniu drugiego wyjątku, ze względu na jego treść osobliwą: „Z naszego tu horyzontu,“ pisze wojewoda kijowski do marszałka w. kor. około 1-go Maja r. 1718, „zdaje się, że ze Stanisławowa—nad to, iż się Turcy *fortissime* na przyszłą przeciwko cesarskim gotują kampanią, nic godnego doniesienia *ex publicis* nie znajduje się. Z prywatnych zaś spraw to curiosum wiedzieć, że ów pan Tatar, którego mi król IMci oddał wyjeżdżającemu z Wschowy, chciał był być apostołem tureckim, bo mi jednę Niemkę a jeszcze mężatkę z siostrą, z tych, co z rzemieśnikami za łaską i konsensem króla IMci wyszły z Saxonii, odmówił już był na wiarę swoję tak dalece, iż gdyby się to było przez drugie ich kamratki nie odkryło, już miał z niemi *migrare*, i bez pożegnania się ze mną. Tak to temu poganinowi zasmakowała płeć saska, a cóż się dziwować, że pod czas i u ministrów zacnych swój znajduje respekt... Ale żart na stronę, kazałem te dobrodziejki z ich metrem, co na to zezwalał, posadzać do więzienia; tego zaś apostoła co prędzéj expediować będę, z którym tak samo godziłoby się postąpić,

gdyby się nie respektowało, żem go z rąk pańskich J. Ks. Mci odebrał."

Tatara, który tak zręcznie umiał sobie jednać prozelitów, imieniem Czarszembę, odesłał Potocki 4 Marca, z obawy, „aby mu podobnych nie wyrabiał sztuczek."

Dziewierz wojewody kijowskiego, a drugi syn Marszałka, Jan Karol Mniszech, w dwudziestym roku życia poseł na sejm pacyfikacyjny (1736), później podkomorzy w. litewski, osobistość niebardzo wydatna i znacząca, ożenił się z kobietą, zasługującą na bodaj pobieżną charakterystykę. „Katarzyna z Zamoyskich Mniszchowa" mówi o niéj dopełniacz Niesieckiego, powołujący się na „papiery familijne" wojewodzanka smoleńska, z ostatniéj księżniczki, Elżbiety Wiśniowieckiéj, wojewodzanki wileńskiéj, zrodzona, znana z dowcipu i nauki, posiadająca rzadką przyjemność w życiu (sic), z patryotyzmu i gorliwości o dobro powszechne, wielkiego kanclerza, Andrzeja Zamoyskiego, siostra nieodrodna..."

W charakterystyce téj mieści się wiele prawdy, choć prawda nie cała. Pani podkomorzyna litewska była nieodrodną córą swéj epoki a dorównując współcześniczkom w lekkomyślności, równie jak one tkliwa i skora do uniesień w sprawach sercowych, czém się już nie mogą pochlubić grzeszące na zimno romantyczki drugiéj połowy XVIII wieku, przewyższała swe otoczenie zaletami żywego, zdolnego i, jak się zdaje, niepospolicie ukształconego umysłu.

Wrażliwa, niepozbawiona szlachetniejszych popędów, uległa zgubnemu prądowi mody, kierunkowi, który rozwijał mdłą czułostkowość, nie ustaliwszy gruntownych podstaw uczciwości niewieściéj; to téż zapomniawszy o obowiązkach żony i matki, skarb swoich uczuć roztrwoniła małodusznie na zdawkową monetę powszednich miłostek. Wszedłszy raz na tę pochyłość, nie zatrzymywała się na niéj, darząc swemi względami ludzi, którzy ją umieli ująć zręcznem pochlebstwem, pozorami głębszego uczucia, dowcipem delikatnym i wytwornym. Gdy chodziło o wybór ulubieńców, przenosiła stanowczo cudzoziemca nad Polaka, wespół z niejakim Ferberem np. żartowała sobie z nudnych „Sarmatów", a jednak była gorąco do kraju przywiązaną, próbowała nawet przyjaciół swoich pozyskać dla ojczystéj sprawy; prawda, że żyła w czasie, gdy niektóre panie uważały za akt patryotyzmu okazywać uprzedzającą powolność obcym ambasadorom....

Zajmująca jest jéj korespondencya z Szwajcarem, zostającym od r. 1764 w polskiéj służbie, niejakim panem Glaire, o którym tyle jedynie wiemy, że był sekretarzem poselstwa Rzeczyplitéj w Petersburgu, i że Rzewuski, pisarz korony, wyjechawszy na początku r.

1767 do Polski, zostawił go w nadnewskiéj stolicy jako *chargé d'affaires*. Ten to Glaire, pisze w dwa lata późniéj (23 marca r. 1769) z Warszawy do swéj drogiéj protektorki, jak zwie Mniszchową: „Ośmieliwszy się odezwać o konfederatach (barskich), ganiłem jedynie zapatrywania, obce religii i wolności, jakiemi tchnie większa część jéj wodzów, oddawałem natomiast sprawiedliwość dzielności innych. Wierz mi Pani, że jeśli, aby być dobrym obywatelem, potrzebaby było tylko nienawidzićć nieprzyjaciół i zginąć w walce z nimi, zdołałbym zasłużyć na ten piękny tytuł, skoroby mię okoliczności powołały do czynu. Dla czegóż więc powtarzam, postępujesz Pani ze mną, jak z człowiekiem podejrzanym, niegodnym słuchania skarg serca szlachetnego, przenikniętego do głębi nieszczęściami Ojczyzny! Jesteś niesprawiedliwą i okrutną zarazem.“ (1).

Okrom pana Bertrand, również Szwajcara, jak się zdaje nauczyciela synów pani Mniszchowéj, o którym przez zazdrość może powiada Glaire, że go dziwi sprzeczność, zachodząca pomiędzy jego powierzchownością filozofa a zbyt wygórowanemi pretensyami zasługuje jeszcze na uwagę niejaki Belk, wojskowy, jeden z agentów francuzkiego rządu. Człowiek ten najwięcéj odpowiadał skłonnościom podkomorzynéj, bo schlebiał jéj politycznéj ambicyi i ulubionemu marzeniu czynnego wpływania na obrót spraw krajowych. Belk chciał i mógł stać się jéj pożytecznym w téj mierze; to téż w listach jego, zwykle cyfrowanych, góruje polityka a zaledwie tu i owdzie znajdujemy zwrot romansowy.

Była to chwila, gdy interes francuzki schodził się z interesem dworu drezdeńskiego a kuźnią wspólnych planów i widoków stawał się dwór białostockiego magnata. Mokronowski, pierwszy i wszechwładny, jeśli tak rzec można, minister Branickiego, otrzymał równocześnie od Ludwika XIV tytuł generała, od Augusta III donośne starostwo, gdyż Brühl, dotknięty postępowaniem gabinetu petersburskiego, który w obronie Czartoryskich stawał bardzo stanowczo, gotów był działać pospołu z Francyą i jéj stronnikami przeciw Rosyi. Umyślono nadto porozumiéć się w tym celu z Portą, dokąd miało wyruszyć osobne poselstwo. Belk forytował na tę godność męża pani swych myśli. List jego, pisany do podkomorzyny z Białegosto-

---

(1) Listy pana Glaire obfitują w polityczne nowiny. Pisze on z Warszawy 26 Października r. 1769 do bawiącej w Wiśniowcu podkomorzynéj: „Monsieur Wielhorski est à Paris. Un des princes du sang, lui ayant demandé, si le Wielhorski, qui avoit été a Petersbug, étoit son parent, celui-ci répondit, que c'étoit lui-même. Vous savet donc plaider le pour et le contre—lui répondit le prince!“.

ku 1 Maja r. 1755 wybornie charakteryzuje sytuacyą. Doniosłszy, że Durand, rezydent francuzki, jedzie do Wschowy w towarzystwie Mokronowskiego, „którego oczy i uszy mogą mu być pożytecznemi,“ uspokaja Mniszchową, jak widać ostróżną i we wszystkie sekreta wtajemniczoną dyplomatkę: „Nie ma się czego obawiać ze strony Mokronowskiego. P. Durand trzyma go na wodzy a powierza mu tylko zwyczajne sprawy. Hetman w. kor. (Branicki) używa go w takiż sam sposób; wiemy zaś wiele rzeczy, Mokronowskiemu zupełnie nieznanych. Starzeński powinien również wyjechać do Wschowy. Polecimy mu oddanie naszych listów senatorom i popieranie naszych zamysłów w kwestyi wyborów posła do Konstantynopola. Wybór ten żywo nas zajmuje. Mojém zdaniem jeden tylko podkomorzy w. lit. mógłby usunąć kandydatów dworu i Czartoryskich, jeśli zechce wziąć sobie gorąco do serca interesa własnego imienia i wspólnéj sprawy.“

Stało się zadość pragnieniu Belka i podkomorzynéj; chodziło teraz o to, ażeby pan ambasador zastosował się do ich żądań. Francuzki agent w liście z 17 Lipca r. 1755 (w Białym stoku) udziela swéj przyjaciółce wskazówek, w jaki sposób ma wpływać na posłusznego męża: „Pan hrabia zawezwany do dania wyjaśnień w kwestyi stanu interesów w Polsce, ma prawo czuć się wolnym od wszelkiego tłómaczenia jako minister przysłany jedynie dla tego, ażeby odpowiedzieć na ostatnie grzeczności Porty względem Rzeczyplitéj; ale jako szlachcic polski i dobry patryota nie ma najmniejszego powodu do odmawiania świadectwa prawdzie. Mam rozkaz, prosić Panią jak najusilniéj, abyś zechciała dawać to do zrozumienia Panu hrabiemu, szczególniéj zaś, jeśli uznasz za stosowne, bezpośrednio przed jego wyjazdem, ażeby nie miał czasu (!) powziąć innych instrukcyj... Jego gorliwość, gdy chodzi o dobro kraju, jego uczciwość i roztropność, pozwalają nam cieszyć się nadzieją, że usłucha Pani bez oporu. *Możesz Pani połączyć interesa męża i kochanka w jednéj miłości ojczyzny, będącéj w Niéj górującą namiętnością. Nigdy dama rzymska nie spełniała tak pięknego zadania!* (1).

---

(1) *Il Vous est reservé, Madame, de réunir les interets de Votre mari et de Votre amant, par le seul amour de la patrie, qui est Votre passion dominante. Jamais dame romaine joua un si beau role!* „Niemniéj charakterystycznym jest następny wyjątek z listu, pisanego w Białym stoku 1 Kwietnia r. 1756: „Votre amant de parade m'ordonne de Vous faire passer un grain de jalousie sur la conduite de son rival á Dresde. Il marque tant d'assiduité a la femme des ministre de Danemarc, qu'on est tenté de croire, qu'il y a entre eux quelque chose de plus, que la simple bonne intelligence entre les deux couronnes.

Patetyczny ten okrzyk, godzien zaiste lepszéj sprawy, jest zarazem kulminacyjnym punktem pisma, jakkolwiek mu jeszcze daleko do końca. Zaleca się daléj Mniszchowi, aby żądał koniecznie na tłómacza niejakiego Marini'ego; potrzebuje tylko w tym celu napisać słówko do Branickiego, a rzecz będzie skończona. Powinien się natomiast wystrzegać Julianiego, jako oddanego Rossyi. Hr. Brühl może mieć powody do wzywania go na ten urząd, lecz obydwaj bracia (Mniszchowie: podkomorzy i marszałek nadworny kor.) nie potrzebują ich podzielać: „Juliani jest osobistością sprzedajną i niebezpieczną.“

Ograniczamy się na przytoczeniu kilku powyższych charakterystyczniejszych wyjątków, gdyż o przebiegu i skutkach poselstwa nie daje niniejsza korespondencya dokładnego wyobrażenia.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że jedyny w całém archiwum list Stanisława Augusta, jeszcze jako stolnika litewskiego, pisany był do podkomorzyny (z Warszawy 16 Maja 1760); odnosi się jednak niemal wyłącznie do spraw prywatnych (1). Ciekawsze natomiast są listy jéj brata, sławnego kanclerza, Andrzeja Zamoyskiego; zwłaszcza dwa wysłane z Warszawy pod datą 16 Lutego r. 1769, z których jeden pisany do podkomorzynéj. Pisma te malują usposobienie tego zacnego obywatela w porze najwyższego tryumfu konfederacyi barskiéj, gdy naraz w różnych stronach kraju zaczynają się formować oddziały, staczają z nieprzyjacielem zwycięzkie potyczki, gdy Kirym-Giraj, zwany „ostatnim bohatyrem z rodu Dżyngis-hana“, pustoszy zadnieprzańskie włości, uprowadza w jasyr tłumy ludu i rzuca postrach aż pod same mury Moskwy a sułtan Mustafa III grozi ogromną wyprawą na Rossyą.

W téj tak korzystnéj, jak się zdawało, dla Polski chwili, starano się nakłonić do udziału w konfederacyi Stanisława Augusta, niemniéj i Zamoyskiego, który się od niéj zawsze usuwał. „Różne tutaj

---

Il est probable, que l'amant de parade ne seroit pas faché de mettre cet interregne a profit pour Vous engager a faire des infidelités en sa faveur...“

(1) List ten bezimienny, lecz po charakterze pisma nie trudno odgadnąć, że wyszedł z pod pióra Poniatowskiego, kończy się następnemi słowy: „Adieu, nóżki ściskam i całuję. Excusez cet affreux griffonage, car je suis extremment pressé. Jedyna ciekawszą wiadomość zawiera ustęp o Królewiczu Karolu: „Xiążę Kurlandzki zawsze źle się ma. On dit dans le monde, que l'on differe l'operation de la fistule a cause d'un cour de ventre; cela peut être, mais l'obstacle principal est ce que Vous savez, et que le malade veut absolument, que le Roy ne sache pas a uleczyć prawie niepodobna tak żeby król nie postrzegł l'espece des remédes necessaires pour cela“. Podobne doniesienie spotykamy we wspomnionéj powyżéj korespondencyi Brühlów z córką Amalią Mniszchową.

były gadania," mówi on, „a osobliwie o konfederacyi. Lecz król sam widząc, żeby była bardziéj szkodliwą krajowi w teraźniejszych czasach, jak pożyteczną, wcale jéj nie akceptował, témbardziéj my wszyscy ją odrzucili wcale. Ja z mojéj strony wcale żadnéj nie zechcę podjąć się roboty, póki nie obaczę, jakie są propozycye, na których ma się konkludować robota, to jest do uszczęśliwienia kraju; potém co za bezpieczeństwo w robocie saméj, potém co za bezpieczeństwo całéj roboty, gdy się ukończy."

Następne wyrazy dają niejakie wyobrażenie o środkach, jakich używano dla pociągnięcia wpływowego człowieka: „Możesz JMci Pani wierzyć, że ani obietnice, ani postrachy mnie nie odprowadzą od moich myśli. Już to nieraz było na placu a ja zawsze przy mojém zostałem zdaniu. Połowica moja nie tylko nie jest przeciwną sentymentom moim, ale możesz JWMci Pani wierzyć, że mnie jeszcze w nich utwierdza."

Szczerzéj i poufniéj zwierza się Zamoyski siostrze, dla któréj nie okazuje się zkądinąd zbyt serdecznym: „Widząc Ją troskliwą nad rezydencyą moją tutaj, umyślnie wyrażam, co mnie determinowało do tego. A najprzód miałem myśl wyjechać za granicę. To pewna, że co do osoby własnéj, miałbym spokojność i bezpieczeństwo, ale co do umysłu, te być by nie mogły. uznając całą ojczyznę w nieszczęściu a siebie oddalonego od czynności co moment w podawających się okazyach, jeżeli nie w salwowaniu zupełném, to przynajmniéj w umniejszeniu nieszczęśliwości, to przynajmniéj w okazywaniu resentymentu w czynnościach szkodliwych. Mieć okazyą, mieć sposób salwowania Ojczyzny, nie jest to teraz w rękach naszych, lecz postronnych potencyj, zaczém przytomność szkodzić nie potrafi a odległość podane okazye i sposoby omieszkać by mogła.

„Miałem w myśli siedzieć na wsi nie tak dla własnéj zabawy, jako okazania, że człowiek oddalony od wszelkiéj czynności i interesów, lecz większe daleko niebezpieczeństwo, kiedy ustawiczne przechody wojskowe różne mogłyby narzucić impostury a ztąd przystąpić do jakich gwałtownych sposobów a tak większe niebezpieczeństwo dla osoby, bez żadnego dla ojczyzny awantażu, kiedyby naród i prawdy saméj wiedzieć nie mógł. Obranie rezydencyi w stołecznéin mieście lubo exponuje osobę i fortunę, ale daje zupełnie poznać każdego charakter i umysłu stałość. Przytomność tutaj podaje okazyą czyli radzić, czyli mówić, moderacya gwałtownych czynności ze swymi, unikanie wszelkich zaczepek z postronnymi, wstrzymanie od podniesienia tutaj konfederacyi, zachowanie Zamościa i Kamieńca i inne okoliczności będą zawsze dowodami dobrego obywatelstwa. Przeszłe i teraźniejsze postępki rozumiem że każdego nie

tylko uspokoić, ale i wyperswadować powinny, że rezydencya tutaj szkodliwą nie jest, bo to w ręku naszych, żeby zaś pomocną być mogła, to jest w Bozkich.“

Z tak kategorycznego oświadczenia nie była zapewne zadowoloną pani podkomorzyna, usiłująca, jak wiemy, nawet swych cudzoziemskich faworytów natchnąć sympatyą dla konfederacyi.

VIII.

Archiwum Mniszchów mieści w sobie nie tylko oryginalne listy i relacye, przesyłane samym Mniszchom aż do początku XIX wieku, lecz także korespondencyą spokrewnionych z nimi domów, jak Potockich, Ossolińskich, Rzewuskich (1), a nadto kopie różnych pism treści publicznéj. Ztąd to znajdujemy tu np. spory tom listów feldmarszałka Münnicha, pisywanych do Józefa Potockiego a z lat dawniejszych ciekawą korespondencyą polityczną z pory pobytu Karola XII w Turcyi.

Wiadomo, że wówczas Stambuł był ogniskiem akcyi dyplomatycznéj dla całéj połowy Europy i że w ręku Porty, która pobiwszy Piotra W. nad Prutem, nie umiała korzystać z walnego zwycięztwa, spoczywał jeszcze klucz sytuacyi. To téż obie strony starały się równie usilnie o pozyskanie dywanu a Rossya z obawy, aby nie ściągnąć na siebie nowéj wyprawy muzułmanów, pragnęła rychłego powrotu Karola do Szwecyi. Wybornie maluje ówczesny stan rzeczy na wschodzie list ministra rosyjskiego, Szafirowa, pisany do Sieniawskiego z Konstantynopola dnia 13 Lipca 1712, z którego przytaczamy tu drobny wyjątek wedle kopii: „Upraszam WMPana, jako pierwszego senatora i ministra, aby przez miłość ku ojczyźnie i spólnym interesom, raczył mądremi i ważnemi swemi konsyliami u króla JMci i u stanów Rzeczypospolitéj jako najprędzéj konsens na przejazd króla szwedzkiego zjednać i o tém jak najprędzéj ordynans do JMci generała Goltza przysłać, ponieważ JMPan poseł wielki tak prędko tu być nie może, żeby, jak mogli, tego nam niebezpiecznego gościa z tych krajów przed zimą wyprowadzić, przy takiéj do tego przy-

(1) Teresa Mniszchówna, córka Józefa, marszałka w. kor., wyszła najprzód za Stadnickiego, wojewodę wołyńskiego, a po jego śmierci za Józefa Lubomirskiego, wojewodę czerniechowskiego, brata Teodora. Córka jéj z drugiego małżeństwa, wyszła za hetmana Wacława na Rozdole Rzewuskiego; do dziadka i babki pisywała bardzo często.

chylności całéj porty ottomańskiéj. Kiedy WMPan zważysz pożytek tego wyprowadzenia ztąd a *periculum*, któreby mogło być z tego przejazdu przez Polskę z tak małym a nie więcéj pięciu tysięcy Turków będącym konwojem, *inclusive* dwóchset Tatarów, to przyznać raczysz, że z pierwszego pożytek większy, niżeli niebezpieczność z ostatniego."

Przedstawia daléj Szafirow, że Polska powinna się zgodzić na propozycyą, gdyż Karol w drodze nie pozwoli „ni na stronę zjechać, ni z nikim mieć komunikacyą rozmów", nadto zaś ma „mieszkać wespół z tureckim konwojem za swój grosz według asekuracyi Porty, w czém się ofiarują (Turcy) traktatem obowiązać." Nie będzie więc Rzeczpospolita wystawiona na żadną szkodę „a do tego na pięci tysięcy Turków choćby i chcieli co zamierzać," łatwoby przyszło poskromić tak drobną garstkę (1).

Nie wiemy, co na powyższe wezwanie odpowiedział hetman; z naszéj strony o ile pojmujemy skwapliwość, z jaką Rossya pragnęła pozbyć się z Turcyi śmiertelnego wroga, o tyle rozumiemy także opór Augusta II, gdyż, jak wiadomo z listów Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, znajdowały się w kraju żywioły burzliwe, gotowe do wybuchu, skoroby się tylko pojawił w granicach Rzeczypospolitéj choćby z najszczuplejszym zastępem zbrojnym głośny z męztwa bohatér szwedzki.

August czuł całą doniosłość niebezpieczeństwa, grożącego mu z południa, zwłaszcza gdy tam podążył z Pomorza i Leszczyński. Nie ograniczając się na wysłaniu do porty Chomętowskiego, wojewody mazowieckiego, który stanął w Adryanopolu 25 Listopada r. 1712, na początku następnego roku wyprawił spolszczonego cudzoziemca pułkownika Piotra Lamara (2) do hana krymskiego z sowitemi darami i z tajną instrukcyą. Lamar znosił się z królem za pośrednictwem umocowanego na ten cel Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego, podskarbiego nadwornego koronnego, i dla tego papiéry te w skutek późniejszego powinowactwa przeszły w dom Mniszchów.

---

(1) Oryginał powyższego listu znajduje się zapewne w archiwum ks. Czartoryskich, po śmierci bowiem Sieniawskich stały się ich papiéry własnością zięcia, ks. Augusta Czartoryskiego.

(2) August II nazywa go: „generosus colonellus Lamar, aulicus noster," Ossoliński „pułkownikiem i generał-adjutantem J. Kr. Mci." Nordberg, poświęcający pułkownikowi króciuchną wzmiankę, nazywa go błędnie „Lamars."

Instrukcya, udzielona nowemu agentowi w kancelaryi pokojowéj a przechowana w kilku egzemplarzach, nie daje dokładnego wyobrażenia o celu poselstwa, a nadto położona na niéj data (22 Czerwca r. 1713) wskazuje, że sporządzano ją dla wysłannika wówczas, gdy się już znajdował na miejscu przeznaczenia.

Puściwszy się w drogę pod koniec zimy, przejeżdżał w ostatnich dniach Marca przez Lwów, gdzie miał długą rozmowę z Sieniawskim, a na początku Kwietnia stanął w Kamieńcu Podolskim.

Tutaj spotkał się Lamar z Sapiehą, starostą bobrujskim, który przekonany o knowanie ze stronnikami saskimi, schwytany w ucieczce i uwięziony, tylko hanowi zawdzięczał ocalenie; a do Kamieńca, wedle słów Nordberga, przyjechał zaledwie na pół żywy pod wrażeniem obawy, że go dopędzi wysłana za nim pogoń. W mieście tém czując się wreszcie bezpiecznym, pisze 12 Kwietnia do Ossolińskiego: „Han zrzucony, którego żal się Boże, bo wielkiego Polski przyjaciela, który tylko reprezentował Polsce korzyści nasze i Porty, dla czego Polska zasługuje na konserwacyą i asystencyą turecką od przyjaciół, ale Szwedzi i zawistni szczęścia panowie nasi przytomni Polacy *ad desperata* Polskę prowadzą, kiedy czynią *porsionem*, że do Stanisława i do nich wszystka Rzeczpospolita przystąpi i wojsko także, mnie zaś tak ukoloryzowali, że z hanem przeszłym znosiłem się, aby Polska przeciwko Porcie z Tatarami ligę mając, wojnę podniosła, co nimby do justyfikacyi przyszło, pewniebym nieszczęściu był podległy, jako jużem sprobował, gdy niedziel dwie pod wartą byłem“ (1).

Sapieha doradził Lamarowi, ażeby się zatrzymał z wyjazdem, gdyż dawny han złożony z urzędu a nowego „nie masz jeszcze na Budziaku.“ Nie chcąc przeto siedzieć bezczynnie w Kamieńcu, pospieszył pułkownik do Lwowa, zkąd na dniu 30 Maja donosi Ossolińskiemu między innemi, że „Stanisław był w Benderze u Abdy baszy, co świéżo przyszedł do Benderu, na wizycie, gdzie bardzo po czerkiesku był przyjęty, i ten go basza nie zowie, jeno Leszczyńskim.“ W załączeniu przesyła Lamar „kopie listów od WMPana

---

(1) W tym samym dniu pisze starosta do króla, tłómacząc swój nagły wyjazd z Benderu: „car pour les services de V. M. j'étois arreté par les Suédois pendant deux semaines et si le Tartar can devant son départ n'auroit pas employé les soins de moi, je n'aurois pas été restitué a la liberté.“ Nagła zmiana w usposobieniu porty powstała głównie „par des imposture, que le Tartar can vouloit faire alliance avec la Pologne et Cosaks conféderés avec Mr. Orlik contre les Turcs, ce qui on a representé au Grand Seigneur de la part du Roy de Suède et des Polonois.“

Urbanowicza i innych, z oryginałów przekopiowane.“ List Urbanowicza pisany był do pułkownika Rzeszowskiego, który podobnie jak starosta bobrzyski, podał się do amnestyi a wraz z Sapiehą więcéj się obawiał zemsty Sieniawskiego, niż króla jego też przedewszystkiém prosił o przebaczenie (1). „Nie spodziewamy się,“ pisze z goryczą słynny partyzant szwedzki 9 Maja z Adryanopola, „wojny tureckiéj z Rossyą, bo niedawno byli na dywanie wojnę ogłosili, teraz znowu pokój czynią; tacy szalbierze ci poganie, żal się Boże czterech lat, cośmy w tym kraju niepoczciwym stracili.“

Nie bardzo także pocieszającemi były słowa kuchmistrza kor. Tarły, pisane 4 Maja z Adryanopola do Rzeszowskiego: „Poufale donoszę, tylko proszę miéj to w sekrecie (Rzeszowski, pragnąc przebaczenia, nie miał nic pilniejszego, jak wydać sekret wysłannikowi Augusta), że Turcy idą dużo oporem; rozumiem jednak, że Turcy poprowadzą króla JMci szwedzkiego przez Polskę, nie rozumiem, żeby w wielkiéj kwocie, jak zaś przeprowadzą, nie wiém, bo widzę, że im się wojny o gwałt nie chce.“

Król, otrzymawszy wiadomość o upadku hana, listem z 26 Kwietnia pochwalił roztropność swego agenta i polecił mu, ażeby wraz z kapitanem Zakłackim pospieszył bez zwłoki do Chomętowskiego celem zaciągnięcia od niego rady, co począć daléj. Sapieże każe oświadczyć, że bardzo dobrze postąpił, uszedłszy „du voisinage de ces esprits mal intentionnés et pernicieux à nous et à la Patrie, car autrement il auroit fort mal passé son temps, et ses bonnes intentions, qu‘il a pour notre service et pour la République, auroient été frustrées.“

Z wspomnianéj powyżéj instrukcyi z dnia 22 Czerwca dowiadujemy się, że wysłannik do hana krymskiego „jako najspieszniéj i jako najbezpieczniejszym traktem przebierać się będzie ku granicom wołoskim, poprzedzając urodzonego Sulimierskiego chorążego bra-

---

(1) Pisał również do Sieniawskiego z Benderu 23 Lutego r. 1713 Tarło, kuchmistrz kor.: „Vous m‘aviez assuré de Votre grace et tout ensemble de celle de Sa Majesté, mais il étoit difficile en ce temps lá de retirer ses pas, mais à présent, puisque je suis à mon arbitre par cette action inouij au monde du Roy de Suède avec les Turcs, sans avoir égard à aucunes éspérances, tant de la continuation de la guerre, que d‘autres négotiations, je me voudrois sincerement chercher un azile sans aucune réserve dans la grace de V. A. et la clémence de Sa Majesté.“ Ów czyn niesłychany w świecie, o którym tu wspomina Tarło, odbył się 1 Lutego; szalony bohatér szwedzki na czele 300 ludzi podjął wówczas walkę z 26.000-czną armią turecką, wbrew brzmieniu powyższego listu nie spieszył się Tarło z powrotem do Polski.

cławskiego, z publicznym od J. Kr. Mości i całéj Rzeczypospolitéj charakterem.“ August proponuje hanowi wspólne działanie przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, „do czego że są przeszkodą wielką i zatamowaniem nieustające króla szwedzkiego i zapamiętałych na własną ojczyznę adherentów jego fakcye, bunty, praktyki, na szlakach i pasach codzienne niebezpieczeństwa,“ żąda tedy od hana, „aby te i podobne władzą i powagą swoją poskromił, jako szkodliwe sąsiedzkim interesom licencye.“

Oddawszy władzcy krymskiemu sute podarunki, wytłómaczy mu pułkownik, że ostatni sejm zerwany „nie z żadnéj między stanami Rzeczypospolitéj dyffidencyi, ale z prywatnych niektórych panów polskich kolizyi, przecież bez najmniejszych szkodliwych na przyszłość konsekwencyi“ a nadto „ubezpieczy ewakuacyą wojsk auxyliarnych rossyjskich w państwach J. Kr. Mości i Rzeczypospolitéj.“

Tak w zwięzłém streszczeniu głównych zarysów brzmi osnowa instrukcyi, nieobejmującéj jednak widocznie wszystkich punktów legacyi, skoro czytamy, że „*inquantum* by han *zalecone prywatnie* urodzonemu posłannikowi akceptował propozycye“ powinien poseł „chętnie na wszystko pozwolić,“ co król ze swéj strony „aprobować i ratyfikować ochotnie obiecuje.“

Dalsza korespondencya w kwestyi rzeczonego poselstwa nie wyjaśnia nam, na czém polegały owe „prywatne propozycye“ królewskie; ocalały z niéj bowiem tylko ułamki a w najważniejszych ustępach brak klucza do rozwiązania cyfry. Tyle wiemy, że poselstwo trwało dość długo i że chodziło o interesa niemałéj wagi a jeśli mamy wierzyć Tarle, kuchmistrzowi koronnemu, o ujęcie Augustowego rywala. Zdanie to wypowiada pan kuchmistrz w nader ciekawym liście, pisanym ze wsi Dłonie 15 Marca r. 1714 do króla Stanisława, z którego to pisma nie od rzeczy tu będzie przytoczyć wyjątki bez wszelkich komentarzy, gdyż ów list mówi sam za siebie, a rzecz widoczna, że Tarło miał przywieść do skutku układ między królami współzawodnikami. „Jakom prędko przyjechał do Warszawy,“ donosi Leszczyńskiemu, „zaraz mi wartę przydano i żadnego ani z moich ludzi do posłów, ani ich do mnie nie wpuszczono. *Tandem* przyjechano po mnie do króla, gdzie otworzyłem mu *le sujet de mon arrivée en ces termes*, że ponieważ Porta i han posyłają ofiarować W. Kr. Mości traktat z Królem JMcią szwedzkim, ponieważ po tak wiele razy imieniem W. Kr. Mości szukano tych sposobów Król JMć Stanisław *veut bien employer ses offices pour cet effet, mais qu'il souheteroit de savoir, a quelle condition, que cela se pourroit faire.* Na to mi odpowiedział, qu'il étoit bien vrai, que la paix avec le Roy de Suède lui tenoit fort à coeur et qu'il ne feroit point de difficulté de

se séparer de ses alliés, mais comme le congrès de Brunswick doit se tenir bientôt, qu'alors il auroit plus beau jeu, en voyant particulièrement, que les Russes fussent irrésolus de se séparer d'eux et de faire sa paix à part. Po téj odpowiedzi już nie myślałem więcéj, tylko się wrócić, do czego mnie i list hański przez umyślnego do mnie pisany wspierał.

„Kiedy już jechać, aż mię nie chcą puścić. Ja mówię temu Murzie: Wszak mnie wziął han na swój parol! Ty mów o to, bo ja się chcę wrócić a to widzisz, że i han tego po mnie potrzebuje, aż on mi odpowiedział d'un ton fort sec: i po cóż się masz wracać? Zrozumiałem zaraz, que cet homme étoit entièrement gagné. Odjechałem,—ledwo com do siebie powrócił, szukano mię do króla, gdzie przyszedłszy na pokój, zawołał mię do gabinetu i tam mi mówił, qu'il leroit bien aise, que j'attendois encore quelques semaines, qu'ensuite il me donneroit des reponses positives et des commissions pour le Roy de Suède; qu'en tendant je pourrois faire un tour chez moi, si je voulois, mais que je revienne aux trois Roys. Il me l'a fait dire encore par Mr. Szembek et Mr. Mniszech, ale potém wyjechał przed trzema królami, żadnéj nie kazawszy uczynić wzmianki. Pisałem już po dwa razy do pana kanclerza do Saxonii; na pierwszy odpisał, że Król JMć *in grata memoria* mieć będzie moje starania do przysługi J. Kr. Mci, na drugi tylko, że to doniesie królowi. *Wszystka rzecz jest, że mu Lamar uczynił nadzieję, że han Waszą Król. Mość wyda, moyennant une somme d'argent considérable*, i na to trzeba mieć pilne oko et ne point faire mystère de cela, tylko mnie przez Boga nie wydawać, bo nie chcę być w Kenigsteinie. „Pisał i teraz Lamar, czyniąc nadzieję tę, co wiém *decerta scientia*, i ma król August wyprawić pana Ossolińskiego do hana (który także w tę intrygę wchodzi), ażeby już z hanem skonkludował."

* *
*

Moglibyśmy rozpisać się jeszcze obszernie na podstawie kilkudziesięciu tomów i różnych materyałów, zawartych w archiwum Mniszchów, z któregośmy przytoczyli zaledwie kilka wyjątków, kilka rysów do charakterystyki ludzi i czasu; kończymy jednak artykuł, bo nie możemy myśléć o wyczerpaniu tego obfitego źródła, którego części składowe są nawet zbyt różnorodne i ułamkowe, aby wymienianie ich po szczególe było rzeczą stosowną i użyteczną. Zamiast przeto drobnostkowych wskazówek i notatek, zamiast wyliczania wszystkich sejmikowych uchwał, sądowych spraw, wypisów z różnych akt

grodzkich, „Regestrów expens marszałkowskich,“ „Sexternów prowizyj kuchennych“ i t. p., powiemy tylko ogólnie, że kto chce zbadać gruntownie stosunki polityczne, społeczne i obyczajowe XVIII wieku u nas, kto, niezadowolony stereotypowemi ogólnikami, chce sam sięgnąć do głębi i ujrzeć prawdziwe oblicze przeszłości narodu, odkryć realne warunki, wśród których się rozwijał w smutnéj dobie rozprzężenia i upadku, kto pragnie wejrzéć w stan stosunków ekonomicznych, poznać sposób traktowania spraw prywatnych i publicznych pomiędzy rodami magnackiemi a szlachecką bracią, ten w archiwum Mniszchów znajdzie nieocenione i wielostronne źródło, lubo daremnieby szukał gotowego materyału na pewne specyalne temata politycznéj treści.

Klemens Kantecki.

KRYTYKA.

Archiv für slavische Philologie, unter Mitwirkung von A. Leskien und W. Nehring, herausgegeben von V. Jagić. Tom II, zeszyt 1, 1877. Berlin. str. 200 w 8-ce w.

„Ateneum" z r. 1876 t. I, oraz z r. 1877. t. I zamieściło sprawozdanie z pierwszego tomu wyżéj pomieszczonego zbioropisma. Obecnie wyszedł jego tom drugi; czujemy się przeto obowiązanymi przejrzéć go z niemniejszą uwagą jak pierwszy.

Pierwsze z porządku miejsce w tym drugim tomie zajmuje obszerna rozprawa profesora Jagicza: Przyczynek do rocznikarstwa serbskiego wraz z wstępem dziejowo-piśmienniczym, str. 1 do 109. Ponieważ przedmiot téj pracy mało jest znany naszéj publiczności a raczéj zgoła nieznany, prosząc więc czytelnika o chwilę cierpliwości, podaję mu treściwy wyciąg z uczonéj a mozolnie napisanéj rozprawy.

Sąsiedztwo i jedność religijna większości Serbów z państwem Bizantyńskiém spowodować musiała istnienie stosunków literackich pomiędzy obu narodami. Oczywiście Słowianie byli tu stroną bierną, Grecy dającą. Ale cóż i ileż udzielać mógł średniowieczny Grek, którego ojczyzna ustaloną ma sławę, a raczéj niesławę tęgości i jałowości umysłowéj? Otóż okazuje się z najnowszych badań, że „bezwarunkowe potępianie cywilizacyi bizantyńskiéj wynika nie z wielostronnego a umiejętnego jéj zbadania, lecz z przesądu odziedziczonego przez zachód Europy po wiekach średnich" (str. 1). Wschodnie cesarstwo przeto mogło się na coś przydać Bulgarom i Serbom, bo choć sam nauczyciel zdziczał był i stępiał, nie upadł jednak ostatecznie, a uczeń dzikszym był i stokroć ciemniejszym od nauczyciela; mogło więc i z Konstantynopola spłynąć na barbarzyńskich Sło-

wian coś takiego, co w porównaniu z grubą ciemnością światłem nazwać można było.

Nie można powiedzieć, aby południowi Słowianie dobry wybór czynili, czerpiąc w zasobach nauki bizantyńskiéj: z pewnością zapożyczali od niéj najlichsze jéj utwory; ale za to co do ilości, przyznać im należy ogromną pracowitość: żadne piśmiennictwo, oprócz łacińskiego, nie pochwali się w Europie tak licznemi i stosunkowo wczesnemi przekładami z greczyzny, ma się rozumiéć chrześciańskiéj

Gdy więc prof. Jagicz położył sobie za zadanie zbadać początki dziejopisarstwa serbskiego, należało dojść nasamprzód: na czém się Serbowie w historyografii zaprawiali, co wpierw z greckich kronik tłómaczyli, zanim się odważyli sami pierwsze kroki na tém polu stawiać; gdzie i kiedy te przekłady sporządzono; jaki pożytek przyniosły; a daléj, co wydali samodzielnego w gałęzi historycznéj; jaka jest wartość prób tych, oraz z jakich wzorów i źródeł przy tém korzystali.

Ile dotąd nauka wykryć zdołała, następne pisma historyczne bizantyńskie znajdują się w przekładach starosłowiańskich: kronika Jana Matali, Jerzego Namastola, Konstantyna Manassesa, Jana Zonarasa, Opisanie świata Szymona Metafrasta, Starożytności Józefa Flawiusza i parę ułamków pism innych.

Przyglądając się bliżéj tym próbkom dziejopisarstwa południowosłowiańskiego, przychodzi p. Jagicz do wniosku, że „tłómaczów nie obchodziły zgoła sprawy świeckie, ale tylko kościelno-religijne. Ztąd też upodobanie ich do kronik silnie dążnością religijną przejętych, jak np. Jerzego Hamartola. Szczegółowy opis wewnętrznego stanu państwa greckiego mało ich zajmował, dla tego też nie tykali właściwych dziejopisów bizantyńskich. Rzecz dziwna, iż pomijali takich również pisarzów, którzy opowiadali o przeszłości Słowian, jak np. Konstantyn Purpurorodny. Posiadanie podręczników dziejowych zakonnego zakroju było tedy jedynym celem, do którego dążyli mnisi-literaci południa Słowiańszczyzny. Słusznie nawet twierdzić można, że im dziwaczniejsze rzeczy bajał oryginał grecki, byle tylko miały pozór chrześciański, tém skwapliwiéj mnich garnął się ku nim" (str. 19, 20). Tym tylko kierunkiem wytłómaczyć można wybór takiéj np. ramoty jak *Logos ekribomenos*, przypisywanéj biskupowi patarskiemu *Metodiuszowi*, będącéj zbiorem dziwacznéj mieszaniny dziejów z baśniami, ważnéj zresztą dla badaczów podań; pismo to przechowało się w znacznéj liczbie odpisów; pochodzą one, jak się zdaje, z dwóch różnych tłómaczeń, dokonanych nie późniéj jak w XIII wieku.

Prócz tego dwa cykle podań szczególnie się podobały Słowianom południowym: o wojnie trojańskiéj i o Aleksandrze macedońskim; tłómaczyli i przepisywali bardzo skwapliwie greckie o nich bajania, a „z pomiędzy wielu tekstów,“ powiada Jagicz, „wybierali takie, które się największą dziwacznością i najgorszym smakiem odznaczały“ (str. 21).

Wszystkie powyższe kroniki są tłómaczone lub skracane z oryginałów greckich. Przypuszczaćby należało, iż rozpocząwszy od przekładów Słowianie południowi próbowali wreszcie własnych sił w kreśleniu dziejów, lub przynajmniéj roczników ojczystych. Ale przypuszczenie to okazuje się płonném. „Sądząc ze wszystkiego“, powiada Jagicz, „co już obecnie wiemy o ogólnym charakterze twórczości literackiéj Bulgarów i Serbów, nie ma żadnéj nadziei, abyśmy kiedykolwiek odkryli coś, coby wyglądało na bulgarskiego lub serbskiego Nestora“ (str. 28). Główną przyczyną téj jałowości było: przeniesienie środka ruchu umysłowego z ziemi słowiańskiéj na grecką, mianowicie założenie i uposażenie klasztorów słowiańskich na górze Atos, które z czasem pochłonęły i zgreczyły całą inteligencyą Serbów. Nie ma więc u nich ani śladu chociażby kronikarskiego traktowania dziejów aż do początków XV wieku. Pojawiają się tylko nadęte, przesadne, gadatliwe a w treść ubogie życiorysy pobożnych i świętych serbskich i stanowią jedyne okazy historyografii krajowéj (jeżeli tak je nazwać wolno), przez ciąg od XII do XIV wieku. Przejrzyjmy pokrótce te pomniki, które bądź cobądź świadczą o rozbudzeniu się potrzeby zapisywania czegokolwiek z własnéj przeszłości i we własnym języku. My byliśmy pod pewnym względem jeszcze biedniejsi, bo z owego czasu ani jednego, chociażby lichego życiorysu w rodzinnéj mowie nie posiadamy.

1, Żywot Stefana Nemanii, założyciela państwa serbskiego (umarł 1200 r.), znalazł trzech opowiadaczy: z nich syn Nemanii, *Stefan*, skreślił najlepszy.

2. Żywot pierwszego arcybiskupa serbskiego Salvy przez kilku w oddzielnych biografiach opisany.

3. *Arcybiskup Danilo* (umarł na początku XIV w.) napisał żywoty kilku królów serbskich sobie spółczesnych, w rodzaju panegirycznym.

4. W takimże *Grzegorz Dzamblak* opisał życie Urosza III.

5. *Konstanty Kosteński*, zwany filozofem, jeszcze bardziéj nadętym stylem sporządził opis życia Stefana Łazarzewicza (umarł 1427).

Widzimy tedy, że od Daniła do Konstantego upłynęło całe stulecie, a nikt w Serbii nie poczuwał się do obowiązku, chociażby kro-

nikarskiego zapisywania ubiegającéj przeszłości; a co dziwniejsza, że właśnie w tym okresie przypadło panowanie największego cara serbskiego, Stefana Duszana (1336—1356), który nie na żarty marzył o zagarnięciu całego państwa wschodniego. „Rzecz ta tém się wyjaśnia, powiada Jagicz, iż ówczesna intelligencya serbska t. j. mnisi, szczególnie świętogórscy (t. j. z góry Atos), nie mogli mieć żadnego przywiązania do władcy, który, niewiele się zastanawiając i z pominięciem uszanowania należnego patryarchatowi carogrodzkiemu, nadał kościołowi krajowemu zupełną niezależność, zakładając patryarchat serbski, na co Konstantynopol odpowiedział, ciskając klątwę na niego samego, na nowomianowanego patryarchę i całe duchowieństwo. Tak mało świeckiemi byli ówcześni ludzie pióra w Serbii" (str. 44)! „Nie *dzieje* tedy i nie *ludzi świeckich* opisywano, ale „świętych bożych" i ich bogobojne czyny oraz pokuty. A jeżeli w tych panegirykach wspomniał czasem autor o wypadkach tego świata, to tak jakoś mimochodem i nieraz tłómaczył się przed podobnie jemu usposobionym czytelnikiem, że na opowiadanie, tych niepotrzebnych rzeczy czas traci. Za to z jakiémże upodobaniem i jak gadatliwie baje o wielkich i małych cudach, które czynili owi bogobojni mężowie za życia lub po śmierci (str. 47).

Wszystkie pisma, któreśmy dotychczas wymienili, nie należą do rzędu kronik ani roczników. Rzućmy więc pobieżny pogląd i na ten mało w południowéj słowiańszczyznie uprawiany rodzaj piśmiennictwa średniowiecznego.

Dopiéro w końcu XIV i na początku XV w. pojawiają się pierwsze próby kompilacyj rocznikarskich u Słowian południowych, a i te są nader lichemi, w porównaniu np. chociażby z kronikami ruskiemi. Dotychczas jeszcze biegła ręka krytyki nie uporządkowała tych zasobów: nie wiemy jeszcze z pewnością, które są odpisami, a które pierwowzorami; co i ile z obcych źródeł zaczerpnęły; które są dawniejsze, a które późniejsze. W dawniejszych latach Szafarzyk najwięcéj zrobił w tym kierunku, ogłaszając spisy znanych mu ułamków kronik oraz same pomniki (szczególnie w 3 tomie swoich Dziejów piśmiennictwa Słowian południowych, oraz w Zabytkach dawnego piśmiennictwa tychże ludów, 1851). Korzystał on przy wydawnictwach tych z dziesięciu różnych tekstów; po śmierci w papiérach jego znaleziono jeszcze więcéj surowego materyału. Późniéj wspominane już nieraz zbioropismo Glasnik, wydawane przez Towarzystwo Naukowe Serbskie, ogłosiło wielką ilość dalszych tekstów roczników serbskich.

Prof. Jagicz z porównania wszystkich odmianek tych latopisów przychodzi do wniosku: że dzielą się one na dwie gromady, które

wolno uważać za dwie odrębne redakcye, a te różnią się pewnemi szczegółami treści: jedne je znają, drugie nie wspominają o nich. O wiarogodności tych źródeł rozstrzygać może tylko czas ich powstania. Jagicz mniema, iż roczniki drugiéj redakcyi nie są dawniejszemi nad połowę XV wieku, pierwszéj zaś redakcyi przypadają pod koniec wieku XIV.

Za przejście od roczników do zaokrąglonéj opowieści historycznéj mogą być uważane tak nazwane *Rodosłowy* czyli rodowody serbskie, wydane różnemi czasy w Głasniku.

Na zakończenie swéj rozprawy prof. Jagić ogłasza kilka kart niewydanych dotąd roczników serbskich. Pochodzą one z rękopisów, będących obecnie własnością uniwersytetu odeskiego, darowanych niegdyś przez księcia czarnogórskiego naszemu Kucharskiemu, który pisał o nich w Czasopisie czeskiego muzeum (1829 t. IV); uniwersytet odeski zakupił księgozbiór po Kucharskim, a w téj liczbie i wspomnione rękopisy.

Język ukraiński, który sami Ukraińcy nazywają ruskim, a my czasami małoruskim, w ostatnich czasach coraz bardziéj zaczyna być opisywany i badany naukowo. Gramatyki jego ogłosili: Lewicki, po niemiecku r. 1834, po ukraińsku r. 1849; Wagilewicz, po polsku r. 1845; Łoziński, po polsku, r. 1846; Diaczan, po polsku i po ukraińsku r. 1865; najlepszą zdaje się napisał Osadca, po ukraińsku, któréj trzecie wydanie wyszło r. 1876 (pierwsze 1864). Oprócz tego chleba powszedniego nauki, piśmiennictwo ukraińskie w ostatnich trzydziestu latach rozwinęło się niepomału; pojawiło się dużo prac o języku, dziejach i innych stronach życia ukraińskiego, o czém nasi literaci, bliżéj z temi sprawami obeznani, warto aby obszernie i starannie nam pisali, bo to rzecz oczywiście bardzo blizko nas obchodząca, z pewnością daleko bliżéj niż „zbrodnie“ nadsekwańskie lub nadtybrowe. Pozwoliłem sobie tych kilku wierszy wstępu; z kolei bowiem wypada mi mówić o artykule, p. t. Przyczynek do nauki o przygłosie ukraińskim (str. 110—125); autorem jego jest dr. Klemens Hankiewicz, znany nam w rozbieranéj niedawno po czasopismach naszych broszury niemieckiéj O filozofii słowiańskiéj (r. 1869), oraz z pisemka ogłoszonego po polsku r. 1871 p. t. Życie, pisma i system filozoficzny B. Trentowskiego. Powtarzam tu słowa wstępne p. Hankiewicza, które dobrze malują stan sprawy przygłosu słowiańskiego w językoznawstwie. „Lingwistyka nowsza“, powiada on na str. 110, „z coraz to większą uwagą zastanawia się nad przygłosem, nie tak jak dawniéj, gdy go poczytywano za podrzędny składnik językowy, chociaż starożytny gramatyk Diomedes nazywał go już duszą języka. Po ogłoszeniu przez W. Humboldta, we wstępie

do pracy o języku kawijskim, głąb trafnych uwag o istocie przygłosu, badali grecki akcent: Vennington, Göttling, Hadley, Curtius, Misteli i inni; łaciński: Corssen, Weil, Dietrich i in.; angielski: Buschmann; wreszcie Böhtlingk zgłębił nasamprzód sanskrycki, a za jego przewodem Bopp porównał przygłos sanskrycki z greckim, łacińskim litewskim i w części z wielkoruskim, a tymczasem Benloew rozciągnął swe spostrzeżenia na wszystkie języki aryjskie, z pominięciem, niestety, słowiańskiego.“ Daléj autor wymienia prace Słowian, dotyczące bezpośrednio lub pośrednio przygłosu; z wyliczonych przezeń monografij widzę, iż pisząc swą rozprawkę nie znał jeszcze ogłoszonéj w końcu r. 1876 gruntownéj rozprawy Leonarda Masinga: O głównych postaciach przygłosu serbsko chorwackiego i t. d. (Die Hauptformen des serbisch-chorwatischen Accentes etc., Petersburg 1876, odbitka z XXIII tomu, seryi VII, pism Akademii petersburskiéj). Zdawało się p. Hankiewiczowi, że zbadanie porównawcze przygłosu ukraińskiego z innemi aryjskiemi byłoby nader wdzięczną i pożyteczną pracą: sądził jednak, że tymczasem wzięcie się do niéj byłoby przedwczesném, zanimby się nie zgromadziło i nie uporządkowało odpowiednich zasobów; i właśnie w tym celu napisał w mowie będącą rozprawkę. Nie będę wchodził w jéj szczegóły: zanotuję tylko najważniejsze wnioski autora. Dowiadujemy się z nich, że przygłos ukraiński padać może na każdą bez różnicy zgłoskę wyrazu, nie tak np. jak u nas, lub we francuzczyźnie. Daléj, że mowa ukraińska, jak inne, ma prowincyonalizmy, odbijające się i w przygłosie; tak np. na Ukrainie mówią: *swobóda*, *naród*, *wéselo*, a w Galicyi: *swobodá*, *níryd*, *weséło*; w ogole, tam daje się czuć na język pewien wpływ wielkoruszczyzny, tutaj polszczyzny. W pieśniach ludu i w poezyi panuje dziwna swoboda przyglosu: może się on zmieniać ad libitum. W wielu razach, powiada autor, bardzo jest trudno znaléźć jakąkolwiek ogólną zasadę i podać regułę. W deklinacyi przygłos pada najczęściéj na tę zgłoskę, na któréj się znajduje w pierwszym przypadku.

Nie mogę pominąć milczeniem krótkiego przypisku, który zamieścił prof. Jagicz (na str. 112) na końcu wstępu p. Hankiewicza. Szan. profesor tak mówi: „Ponieważ *mowa ukraińska zostaje w stosunku narzecza do wielkoruskiéj*, nasamprzód więc zadać należy pytanie, ile się różni przyglos ukraiński od wielkoruskiego“ i t. d. Otóż podkreślone przezemnie twierdzenie p. Jagicza nie jest zdaniem wszystkich językoznawców; na dowód tego przytaczam opinie w tym przedmiocie Miklesicha, Schleichera i F. Ks. Malinowskiego. Wiadomo czytelnikowi, iż dwaj pierwsi uważani są za najlepszych dotąd językoznawców słowiańskich; ostatni zaś, o którego zasługach

w gramatyce polskiéj nikt u nas nie wątpi, badał specyalnie język ukraiński i ma gramatykę jego ogłosić. Oto najprzód zdanie Miklosicha, wyrażone przezeń w r. 1852 (w przedmowie do tomu I Gramatyki porówn. jęz. słow., str. IX): „Układając języki według stopni powinowactwa, zajmę się następnie (po chorwackim) językiem ukraińskim, który, naukowo rzecz biorąc, jak to widać z samych tych badań, *uważać należy za język odrębny, ale nie za narzecze języka wielkoruskiego.*“ W tym samym roku Schleicher we wstępie do swéj Odmienni (Formenlehre) języka starosłowiańskiego (str. 29) zalicza wprawdzie „do gałęzi południowo wschodniéj (języków słowiańskich): najprzód język rosyjski z trzema narzeczami: wielkoruskim, ukraińskim i krewickim (białoruskim)“ i t. d. Ale w trzynaście lat późniéj, po bliższém obeznaniu się z mową słowiańską w różnych jéj odcieniach, zmienia zdanie, przychyla się do zapatrywania Miklosicha i tak powiada (w piśmie Kratkij očerk doistoričeskoj žizni sêvero-vostočnago otdêla indo-germanskich jazykov, str. 10, przypis 1): „Miklosich.... wedle powinowactwa, tak porządkuje narzecza słowiańskie: starosłowieńskie...., nowosłowieńskie...., bulgarskie, serbskie, ukraińskie (które i my, zgodnie z Miklosichem, oddzielamy od wielkoruskiego), wielkoruskie“ i t. d. Wreszcie F. Ks. Malinowski (Kryt. porówn. jęz. polsk. str. 84), rozkładając wszystkie mowy słowiańskie na trzy działy, do drugiego działu „Wschodnich Słowian,“ obejmującego dwa narzecza, zalicza narzecze „wielkoruskie z podrzeczem nowogrodzkiém i małoruskie z podrzeczem białoruskiém.“

Profesor uniwersytetu petersburskiego Aleks. Wesełowski, poświęcający się przeważnie i z powodzeniem badaniom stosunku literackiego zachodu Europy ze wschodem słowiańskim, szczególnie na polu podań i legend średniowiecznych, autor znanéj w świecie uczonym pracy O Salomonie i Kitowrasie (Centaurze—Marchołcie), zamieścił w dalszym ciągu Archiwum rozprawę p. n. Podanie o państwie babilońskiém (str. 129—143; 308—333). Poszukuje on tutaj i w części dochodzi początku staréj legendy wielkoruskiéj, któréj ostatnią część w skróceniu przytaczam, opuszczając mniéj ciekawe ustępy. Runął Babilon, powiada ona, i tylko niezmierna kupa gruzów, chwastem porosłych i przez żmije zamieszkałych świadczyła o istnieniu niegdyś olbrzymiego grodu. W Carogrodzie wiedzą o tém, ale też nie zapomnieli, że w téj bezbożnéj stolicy spoczywają ciała trzech męczenników: Ananiasza, Azariasza i Misaela. Więc cesarz Leon-Bazyli (może Leon VI Filozof, domyśla się pan W.) postanawia wysłać tam poselstwo i na ten cel wybiéra trzech mężów: Greka Jerzego, Obieżanina (Abissyńczyka) Jakóba i Słowianina Izaula, towa-

rzyszy im aż pod sam prawie Babilon z wojskiem i, czekając powrotu, staje o 15 stadyów przed miastem. Posłańcy przebywają zarośla pełne ohydnych i zjadliwych gadów, wreszcie trzeciego dnia dochodzą aż pod miasto, które otacza olbrzymi smok, trzymając ogon swój w paszczy, jak lewiatan. Na szczęście stoi drabina, oparta o mury miasta, po której się wznosząc można smoka nie zaczepić, a oto tylko chodzi, bo bestya śpi prawie ciągle. Wędrowcy nasi pomyślnie się dostają do Babilonu i zmierzają prosto do kościoła męczenników; tam grobowcowi ich przekładają cel swojego przybycia, a dostrzegłszy stojący na nim kielich z mirrą i libanem, piją z niego, „wpadają w wesoły humor i w sen długi.“ Gdy się przespali, zechciało im się wracać i zabrać kielich ów wyborny, ale głos z grobowca zabronił im tego, doradzając aby poszli do skarbca królewskiego i ztamtąd zabrali znak, który im cesarz przynieść sobie kazał, na dowód, że dotarli byli aż do celu. Udali się przeto do pałaców królewskich i w jednym z nich znaleźli na łożu dwie korony, które należały niegdyś do pana świata, Nawchodonosora; przy nich znajdująca się karta głosiła, iż skutkiem modłów trzech męczenników, przeznaczone są one teraz dla cesarza Leona i jego małżonki; posłowie tedy zabiérają te korony, a oprócz nich mnóstwo kosztowności i zabiérają się do powrotu; uważają jednak, iż należy pożegnać jeszcze grób męczenników; idą więc tam i, znowu pociągnąwszy z kielicha, wpadają w wesołość i sen; nazajutrz wreszcie opuszczają Babilon, ale gdy jeden z nich przypadkiem spadł z drabiny na smoka, ten zaczął się poruszać i zagwizdał okropnie, że aż trzéj pątnicy popadali; koniec końcem dostali się do cesarza nieposzkodowani, wręczyli mu klejnoty, a ten ich za to hojnie obdarzył. Taka jest treść owéj wcale niepoetycznéj legendy, którą jednak człowiek średniowieczny czytał i słuchał ciekawie, wierząc w nią i ucząc się jéj na pamięć, jak my dzisiaj czytamy i wielbimy naszych wielkich poetów. Oprócz streszczonéj tu wersyi, istnieje w Rosyi kilka innych, mniéj lub więcéj odmiennych i obszernych. Profesor W. nie znalazł ani greckiego, ani żadnego innego słowiańskiego lub niesłowiańskiego tekstu, któryby mógł być uważany za pierwowzór lub odpis tego podania. Rzecz oczywista, iż redakcya jego pochodzi z Grecyi bizantyńskiéj; treść zaś, prawdopodobnie z irańsko-semickiego wschodu. Wąż, opasujący miasto i gady w pobliskich gęstwinach, są wyraźnemi śladami wierzeń perskich, w których grają rolę siły szatańskie; odgłos ich znajdujemy i w biblii, gdy mówi o grodzie Baala: „upadł, upadł Babilon on wielki i stał się przybytkiem czartów i mieszkaniem wszelkiego ptastwa nieczystego i przemierzłego“; zburzony gród w podaniach łączono z pojęciem pie-

kła, jak Nabuchodonozora z Antychrystem. Syna i następcę tego monarchy legenda wielkoruska nazywa Bazylim; a że w jednym średniowiecznym poemacie niemieckim syn Nemroda (Ymelôta) nazywa się Bâsilistjum, pan W. przeto wnosi, że legendę owę znano i w Niemczech, popierając to jeszcze jednym ustępem z poematu innego średniowiecznego poety niemieckiego, Henryka z Neustadtu, który uderzające przedstawia podobieństwo z wyprawą posłów do Babilonu. Tak wreszcie autor formułuje swe zdanie o rozbieranem podaniu: „Nie ulega wątpliwości, iż niegdyś legenda bizantyńska o państwie babilońskiém szerokie miała rozpowszechnienie, a dochowała się na zachodzie romańsko-germańskim jedynie w ułamkach, na słowiańskim zaś wschodzie w dość pełnéj całości" (str. 331). Ostatnie jednak przypuszczenie pana Wesełowskiego (którego rozprawka zresztą, równie jak i wiele innych znanych mi prac jego, odznacza się niepospolitą uczonością i bystrością poglądów), jakoby zabranie koron babilońskich i przeniesienie ich do Carogrodu miało symbolicznie oznaczać przejście władzy nad światem ze wschodu na zachód, wydaje mi się zgoła nieprawdopodobném. Nie wierzę, aby legendy miały jakiekolwiek symboliczne, ukryte znaczenie, a tém mniéj aby pod postacią bajania wystawiać miały prawdy historyozoficzne. W moich oczach nic nie jest tak dalece „sztuką dla sztuki," jak podania ludowe: bają one, aby bajać; żadnych ani moralnych, ani naukowych prawd nie tają w sobie i w najlepszym razie dają tylko pewne wyobrażenie o czasach i miejscach, gdzie były tworzone lub przetwarzane.

Dalsze stronice Archiwum (143—155) zajmuje krótki, lecz zajmujący artykuł J. Gebauera, jednego z redaktorów czasopisma czeskiego „Listy filologické a paedagogické," o ustępie pieśni p. t. Jarosław z tak zwanego Rękopisu Królodworskiego. Dla zrozumienia rzeczy, podaję ten ustęp w przekładzie Siemieńskiego: Wybierający się na zachód

„Kublaj przywołał swoich guślarzy,
Czarnoksiężników, wróżków, gwiazdarzy,
Każe im wróżyć, niechaj odgadną,
Jakie z téj wojny skutki wypadną.
Zewsząd się zbiegną owi guślarze,
Czarnoksiężnicy, wróżki, gwiazdarze,
Na dwie się stronie z koła rozgarną
I podłuż laskę położą czarną
I laskę kłują na dwie połowy;
Jedna się poła Kublajem zowie,

Druga połowa znaczy: królowie;
I zaśpiewali staremi słowy...
Wstaje do bójki każda połowa
I zwyciężyła część Kublajowa.“

Trzeba przedewszystkiém skorygować niefortunny ten przekład, grzeszący okropną polszczyzną i niedokładnością. Niezrozumiałemu *kłuciu* laski odpowiada *roszczepienie* jéj w oryginale; *na dwie stronie*; bez żadnéj potrzeby użyta liczba podwójna, zamiast *na dwie strony; poła* ma znaczyć połowa; w oryginale jedna część laski nie *zowie się* Kublajem, a druga nie *znaczy*: *królowie*, ale owi wieszczbiarze *nadali imię* Kublaja jednéj, a królów (europejskich) drugiéj. Otóż p. Gebauer zwraca uwagę na podobieństwo tego ustępu Jarosława z niżéj przytoczoném miejscem podróży Marka Polo i zastanawia się nad pytaniem: czy czeski tłómacz tych podróży zapożyczył opisu sceny wróżenia laskami z pieśni, czy autor pieśni z tego przekładu podróży, czy téż obaj od siebie niezależnie zaczerpnęli z wspólnego pierwowzoru. Ustęp zaś z Marka brzmi prawie dosłownie jak w Jarosławie: „Wtedy Chinchisz (tj. Dżengis-Chan), król tatarski, przykazał czarodziejom a gwiazdarzom swoim, aby powiedzieli zgadując, jakiby koniec ich bój wziąć miał. Wtedy ci odpowiedzieli i na dwoje rozdzielili laskę wzdłuż i położyli przed sobą na ziemi, a jedną część nazwali Chinchiszem, a drugą Unchamem itd.“ Już sama ta okoliczność, że przekład Marka mówi o *szczepaniu* laski *wzdłuż*, a pieśń królodworska o *położeniu* laski *wzdłuż* na ziemi, wystarcza, zdaje mi się, do wniosku że to poeta zapożyczył się u tłómacza podróży; bo mówić o *szczepaniu* laski *wzdłuż* jest rzeczą naturalną i zrozumiałą; ale opisywać, że ktoś *kładnie* laskę *wzdłuż na ziemi* jest oczywistą niedorzecznością; zdaje się, że w tym razie poeta nie zastanowił się nad tém i, nie zrozumiawszy dobrze wyrażenia podróżnika, powtórzył jego wyrazy, cokolwiek je przestawiwszy. P. Gebauer, nie pomijając i tego dowodu, dochodzi do przekonania, że przekład Marka jest dawniejszym od pieśni „Jarosław“; że ta zaczerpnęła swój opis wieszczby z powyższego przekładu i że wreszcie, ponieważ czeski przekład Marka około r. 1320 dokonano, więc pieśń „Jarosław,“ a tém samém i cały rękopis królodworski przed tą datą przepisane być nie mógłby, pieśń zaś „Jarosław“ dopiéro po tym roku ułożono.

Pierwszy zeszyt kończy się kilku drobniejszemi pracami, o których słówko jeszcze zamieszczamy. Czytamy najprzód recenzye świeżych dzieł, odnoszących się do rzeczy słowiańskich. Dwie pierwsze poświęca prof. Jagicz pismom Jerzego Daniczicza, wydanym

w Belgradzie: Dzieje postaci (fo rm grama tycznych) języka serbskiego czyli chorwackiego, 1874, str. 400 i Osnowy (temata, źródłosłowy) języka serbskiego czyli chorwackiego, 1876, str. 463. Oba te dzieła krytyk stawia wysoko, twierdząc, iż w obecnéj chwili żaden naród słowiański nie może się pochlubić równéj wartości pracami na tém polu, a nawet w zakresie literatury europejskiéj przeznacza im zaszczytne miejsce. Wielkiemi także pochwałami okrywa p. Jagicz wydane przed trzema laty profesora Potebni, znanego językoznawcy rosyjskiego, Badania nad składnią języka rosyjskiego, oraz tegoż autora Wstęp do tych badań. Z tego ostatniego podnosimy tu jednę myśl ogólniejszego znaczenia. Przed niedawnemi jeszcze czasy uważano języki za organizmy starzejące się, tracące powab i wdzięk młodzieńczy; większą część tedy mów europejskich uważano za jakieś przeżyte księżyce, o formach startych, zamazanych, zmechanizowanych, a na pierwotny stan językowy zapatrywano się tak, jak sto lat temu Rousseau i spółka spoglądali na dzikie plemiona, z zachwyceniem i zazdrością. Nawet głośny Maks. Müller po części hołduje tym poglądom w swoich odczytach. Otóż trzeźwiejsze spojrzenie na rzecz tę okazuje, że jeżeli języki w swym rozwoju tracą dużo pierwotnych postaci, to za to tém dzielniéj cieniują i rozróżniają pozostałe; z wiekiem przeto nie tylko nie zamierają i nie ubożeją, ale owszem ciągle się zbogacają, tylko w innym kierunku, któryby można nazwać intensywnym, natężonym, gdy rodzimy, młodzieńczy rozrost ich należałoby oznaczyć przydomkiem ekstensywnego, rozlewnego. Uciekając się do podobieństwa, możnaby ten ostatni porównać z młodzieńcem bogatym w zdrowie i pieniądze, a pierwszy z mężem zamożnym w rozum i doświadczenie. Ostatni referat, pióra p. Drinova, znanego uczonego bulgarskiego, poświęcony jest obszernéj krytyce świeżo wydanych Dziejów narodu bulgarskiego, napisanych po czesku przez Konst. Józ. Jireczka (Praga, 1876, str. 536); referat ten przełożony jest z Czasopisma Muzeum Czeskiego. Czytelnik mój wié już zkądinąd, iż dzieło Jireczka należy do najznakomitszych prac dziejowych na polu słowiańszczyzny; tegoż zdania jest i Drinov, który, jako specyalista historyk bulgarski, ze słusznéem prawem czyni o niektórych ustępach dzieła Jireczka krytyczne uwagi, nieprzynoszące ujmy całości jego. Zanotujemy tu pogląd autora na pochodzenie Bulgarów przybyłych nad Dunaj w połowie VII wieku. Dotychczasowi badacze zaliczają ich to do Tatarów, to do Finnów, to wreszcie obstają za ich słowiańskością. Jireczek przyłącza się do fińskiéj hipotezy, bo ta ma w oczach jego więcéj pewności; wprawdzie parę lat temu prof. Iłowajski usiłował dowieść słowiańskiego pochodzenia tych przybyszów, ale twierdzenia swojego nie poparł dość silnemi

podstawami. Słusznie też Jagicz mniema, że pytanie to tylko drogą skrzętnych wywodów językoznawczych może być rozwiązane, mianowicie dokładném zbadaniem bulgarskich imion własnych, aby się przekonać czy są turańskiego pochodzenia, czy nie; a do tego oczywiście przystąpić należy z dokładną znajomością języków fińskich.

Po recenzyach następuje kilka niewydanych listów Dobrowskiego do Jakóba Grimma, udzielonych przez syna tego ostatniego, prof. Hermanna Grimma. Listy są bardzo zajmujące; składają jeszcze jeden dowód bystrości poglądów sławnego Czecha, który wyprzedzał wiek swój w poglądzie na fakt i stopnie pokrewieństwa języków aryjskich. Nie pomijam przytoczenia ustępów najbliżéj nas obchodzących. W liście z dnia 10 Maja r. 1812 pisze pomiędzy innemi Dobrowski: „Ponieważ dla Pana i podania ludowe mają wartość, do wielu tedy osób pisałem, prosząc o takowe. Wprawdzie z Warszawy odpowiedziano mnie, że nie mogą tam w téj chwili zajmować się mitami, z powodów, które mi chętnie wyjaśnią ustnie, ale nie na piśmie: ale gdzieindziéj okazano mi więcéj uprzejmości i nadesłano pół tuzina bajek, nadmieniając, że hr. Józef Ossoliński w Wiedniu posiada wielki zbiór legend polskich. Pan Brentano (oczywiście Klemens, powieściopisarz i dramaturg, brat Bettiny Arnim przy. J. K.) przeczytał kilka z nich i powiedział, że znane są i u Niemców. 1. *Wilczek* (ten wyraz i inne podkreślone napisane są w liście po polsku J. K.) przychodzi do trzech królewiczów i prosi o podarunek. Dwaj chcą go zastrzelić itd. (z okolic Krakowa). 2. Głupiec ma się żenić, matka posyła go do przyjaciółki, która ma córkę Maryą itd. (od Krakowa i Lublina). 3. Królewna Jamusia uciekła, przyszła do pustelnika i prosiła o przytułek, a ten odpowiedział: nie mogę tego zrobić i t. d. 4. Trzy księżniczki, z których dwie były czarownicami, tańcząc, zdzierały codzień po siedm par trzewików. Nocami latały po powietrzu i t. d. 5. Furman więźnie w błocie, pokazuje mu się szatan i t. d. Aschenbrödel, la cendrière, kopciuszek (NB. rodzaju męzkiego, od *kopeć*, *kopet* w innych narzeczach t. j. sadza) u nas (Polaków) dobrze znany i nawet na teatrze występuje. 6. Rozbójnicy mają przytułek w jaskini, która się odmyka, jak tylko powiedzieć: skało, otwórz się na rozcież. Głupi dyabeł podsłuchał i mówi jak oni i t. d.“ W innym znowu liście, z Grudnia r. 1812, wraca znowu Dobrowski do tegoż przedmiotu. „Przy téj sposobności, szanowny przyjacielu, załączam nadesłane mi bajki polskie wraz z egzemplarzem przysłów. Bandtke pisał do mnie niedawno z Krakowa i świeżo, dla zrobienia Wam przyjemności, zamieścił w „Schlesiche Provinzialblätter“ (w Marcu 1812) romans ze starożytnych dziejów

Polski (einen uralten Pohlnischen Roman), Primislaw (tak), z Oświęcimia. (Bibliografia Estrajchera nie wymienia tego romansu; możeby ktoś, mający pod ręką owo czasopismo, zechciał wynaléźć go i podać w wyciągu. Przyp. J. K.). Dalej donosi, że hrabina Anna Mostowska, z domu księżniczka Radziwiłłówna, umieściła ładne powiastki narodowe (Nationalmärchen) w książce swojéj „*Moie rozrywki*,“ Wilno, u Zawadzkiego 1806, t. I, II, III. Te „*Rozrywki*“ (Unterhaltungen, amusements) zawierają tedy w III tomie: *Zamek Koniecpolskich. Nie zawsze tak się czyni jak się mówi*. W tomie II: *Matylda i Daniło*, podanie żmudzkie, a więc litewskiego pochodzenia, „Skirwinda“ mam, ale bez tytułu. „Szafir przemieniający się“ (der wandelbare; autorka nazywa go „Cudowny szafir“. Przyp. J. K.), bajka wschodnia, tu nie należy. W tomie I. *Strach w zameczku*, zdarzenie prawdziwe. Rzecz wymyślona. Powinnaby się nazywać: Zemsta kobiéca. (Nie podoba mi się). Posągi, Salamandra Wielanda. (U autorki: Posąg i Salamandra. Przyp. J. K.). Ograniczam się nawiasową wzmianką o tém wszystkiém. Każdą z tych powieści można dostać i pojedyńczo. W tomie III: *Zamek koniecpolskich* ma drugi tytuł *powieść ruska* (tj. rusko-polska. *Nie zawsze tak się czyni* itd. nazywa się *powieść białoruska*.“

Nie ma wątpliwości, że Grimm, przywołując swą Mitologją niemiecką, życzył dla porównania mieć baśni słowiańskie i prosił o ich dostarczenie przyjaciela swojego Dobrowskiego, a ten co mógł przesyłał i donosił. Nie wiem co się stało z klechdami zebranemi przez Ossolińskiego. Jeżeli rękopis jeszcze istnieje, koniecznieby go należało ogłosić: byłby to najpierwszy zbiór podań ludowych polskich. Po śmierci Ossolińskiego, w r. 1852 w Krakowie wydane „Wieczory badeńskie czyli powieści o strachach i upiorach itd.“ zawierają powiastki, ale nie ludowe. Równie Rozrywki Mostowskiéj, pomimo zwodnicze tytuły, nie mają w sobie nic ludowego. Nikt nie zabrał się jeszcze wówczas do spisywania z ust ludu jego bajań: uważano je za utwory grubéj wyobraźni, za „torbę śmiesznych gawęd babskich“—„Sack voll lächerlicher Ammenfabeln“, jak mówił Leibnitz o Gerwazego Dziwach świata. Jeden tylko Kołłątaj zrozumiał i ocenił ich znaczenie i pisał jeszcze w r. 1802 program zbierania rzeczy ludowych; ale głos jego przebrzmiewał bez echa, a wydrukowany został dopiéro w lat czterdzieści z górą póżniej. Potrzeba było pół wieku, abyśmy pojęli, że ten „ktoby podania zebrał i spisał, złotą księgę dałby narodowi,“ jak powiada prof. Łepkowski.

Kończąc ten przegląd, nadmieniam jeszcze, że na recenzyą dzieła Schmidta, napisaną przez Jagicza, o któréj mówiłem zdając sprawę z 1-go tomu „Archiwum“ („Ateneum“ 1877, I, 691 i dal.), autor

odpowiedział obszerną repliką w świeżo ogłoszonym zeszycie tomu XXIII. Zeitschrift für vergl. Sprachforschung (429—457). Tłómaczy się tam z nieznania najnowszych prac słowiańskich tém głównie, iż dla badacza niemieckiego są one prawie niedostępnemi w handlu księgarskim; twierdzi także, iż chociażby znał takowe, toby zdania swojego nie zmienił, przy którém i teraz obstaje. Nie mogąc tu wchodzić w treść polemiki, pozwolę sobie zauważyć, iż bądź co bądź, ani trudność dostania, ani przekonania o niemylności własnych twierdzeń nie uniewinniają uczonego, który, pisząc o pewnéj kwestyi specyalnéj, pominął jednorodne prace współkolegów.

Jan Karłowicz.

Błogosławieństwo na drogę życia przez T. I. Rolę.

Pod tym tytułem wyszła w drukarni u Józefa Sikorskiego, nakładem Teodora Osieckiego w Warszawie, z datą roku 1877 książeczka, poświęcona dorastającéj młodzieży. Jak sam jéj autor we wstępie i „Omówieniu“ na końcu pomieszczonym powiada, jest ona zbiorem „rad zaczerpniętych z Pisma Świętego, z doświadczenia i mądrości ojców narodu, z natchnionych pieśni wieszczów i zdań myślicieli.“ Panu T. I. Rola należy się tylko przyznanie tytułu ojcowstwa względem myśli obdarzenia młodzieży swém „*Błogosławieństwem*“. Przeciw tego rodzaju robocie, w zasadzie nikt nie może mieć niczego do nadmienienia; zbawienną bowiem zawsze jest rzeczą uprzestępniać dla ogółu, zwłaszcza maluczkich, choćby w téj formie wielkie myśli geniuszów, lub pierwszorzędnych talentów ludzkości; idzie tylko o to, aby wybór był zrobionym właściwie. Otóż tego niestety o książeczce pana T. I. Roli wpełni powiedzieć nie możemy. Nie myślimy mu zarzucać, że oparł całą swą robotę na wyborze myśli, wypływających niby ze źródła, z morału chrześciańskiego. Powiemy tylko, że książka jego ma wszystkie przymioty, ale są i wady pospolitych prac tego rodzaju, a mianowicie ogromne nagromadzenie złotych zdań bez przewodniéj na prawdę myśli; a brak téj myśli sprawia, że się one przesuwają w umyśle, nie pozostawiając po sobie śladu. Zapomniał p. Rola, że aby człowieka udoskonalić trzeba mu wielkie cele w życiu wytknąć i umieć do nich zapalić. Dla nas dziś wielkim celem, z morału chrześciańskiego wyjętym, może być tylko miłość, pojęta w duchu poświęcania swych sił dla społeczeństwa, kraju, dla jego pomyślności i dobra, osiąganych przez pracę. Te cele zdolne są zapalić dusze dziś jak i w przyszłości. Dla tego też

za najszczęśliwszy pomysł panu Roli należy policzyć pomieszczenie w swéj książeczce na końcu ustępu z Corlyle'a, traktującego, z deklamacyą co prawda, o pracy, ale zawsze o pracy. Drugim cennym wyjątkiem, ale tylko w porządku kształcenia się umysłowego, jest ustęp z Brodzińskiego. Pomimo wad zasadniczych, broszurka pana Roli, w braku innéj, warta jest znajdować się w ręku młodzieży dorastającéj płci obojga. Boć z niéj niczego złego nikt się nie nauczy, a dobre myśli w szczęśliwéj chwili mogą paść na grunt rodzajny.

Biblioteczka obrazkowa dla grzecznych dzieci.—Baśnie i podania ludu polskiego. K. Wł. Wójcickiego. Z illustracyami Władysława Szymanowskiego. *Pan Twardowski*; in IV-to; str. 11. Warszawa. Nakładem Ferdynanda Hősick r. 1879.

Powiastki i nauczki dla Stasia i Jadwisi przez Zofię z Rymanowa. Z wielu rycinami w 8-ce, str. 151. Warszawa. Nakładem Ferdynanda Hősick r. 1879.

Pamiętnik Laury. Upominek babuni dla dorastających dziewczynek, naśladowany przez Felicyę Szymanowską. Z rycinami, w 8-ce, str. 391. Warszawa. Nakładem Ferdynanda Hősick r. 1877.

Ziemia i jéj mieszkańcy. Tom II-gi. Europa Północno-wschodnia przez Stanisława Stroynowskiego. Z rycinami—w 8-ce str. 317. Warszawa. Nakładem Ferdynanda Hősick. r. 1879.

Pierwsza z tych książek opisuje znane powszechnie sceny tego wielkiego czarodzieja polskiego, który, będąc człowiekiem wyższym pod względem wykształcenia, nad wiek sobie współczesny, pokrył się dla nas jakąś mityczną tajemniczością; a dzieła jego w legendarnéj formie przeszły do nas jako nadzwyczajności. Dla tego téż Twardowski w dziedzinie naszych podań wybitne zajmuje stanowisko. Twardowskiego śmiało nazwać możemy Faustem polskim. Postać ta personifikuje w sobie wiele wyobrażeń, pojęć i dążeń naszego narodu. Twardowski to dostarczył mnóstwa materyału do podań, ballad, powieści, dramatów; przysłużył się nawet sztuce choreograficznéj. Otóż ten Twardowski, będąc bohaterém tylu produkcyj ludowych i artystycznych nie może nam być obojętnym.

Czy jednak tenże sam Twardowski, a raczéj jego fantastyczna historya życia szczęśliwie jest wybraną, jako podarek dla dziatwy na gwiazdkę? Na to się nie godzimy. Naszem zdaniem, niebezpiecznie jest dla moralnéj strony dziecka przedstawiać mu jaskrawe obrazy, w których nieczysta siła faktycznie odgrywa rolę dodatnią; od dziecka zaś trudno jest wymagać krytycznego zmysłu z jakim podanie to czytaném być winno.

Prawda, że dobra siła w Twardowskim zwycięża; odmawiane bowiem przez niego, w drodze do piekła, *godzinki* do Pana Jezusa i Najświętszéj Jego Matki ratują go od męki wiecznéj, ale nie zgładzają złego, popełnionego za życia.

Sąd podaniowy niezdecydowany w obec całego życia Twardowskiego, pod protektoratem dyabła, w obec wezwania pomocy Boskiéj, dopiéro w ostatecznéj godzinie wynajduje półśrodek i zawiesza go między niebem i ziemią.

Jest tam także scena z dzieckiem w karczmie *Rzym*, gdzie znów dobre bierze górę nad złém. Dwa jednak te fakty są małoznaczne w porównaniu z całym szeregiem cudów, dokonywanych przez złego ducha, aby uprzyjemnić życie swéj ofierze.

Książka więc takiéj treści, naszém zdaniem, powinna pozostać na półkach uczonych badaczy psychicznéj strony narodowéj przeszłości. Przerobienie zaś jéj *ad usum Delfini* mimo starannego wydania mimo artystycznych kolorowanych rysunków, zupełnie zgodnych z treścią, nie sądzimy, aby było pożądaném, a co ważniejsza odpowiednim podarunkiem choćby dla *grzecznych dzieci.*

Druga książka z kolei, przeznaczona również dla małych dzieci, jak *Pan Twardowski*, zawiera w sobie powiastki i nauczki dla Stasia i Jadwisi, przez Zofię z Rymanowa. Książkę tę z radością wzięliśmy do ręki, albowiem dotąd w naszéj literaturze powiastek króciutkich, odpowiadających rozwinięciu małych dziatek, przedstawiających pojęcia pierwotne, a co najważniejsza odznaczających się prostotą języka, daleką jeszcze od wszelkich ozdób krasomównych, nie znaleźliśmy. Wyjątek tu może stanowić *Równianka* Jeskiego, która jednak jest jedną ze słabszych książek z szeregu tego wydawnictwa.

Powiastki i nauczki opowiadają o rzeczach najbliżéj otaczających dziecko. Świat fantastyczny jest tu więc pominięty, co uważamy za bardzo właściwe. Powiastki te zwracają uwagę dzieci na rzeczy, zwierzęta, zjawiska i wzajemny ich do siebie stosunek. Materyał tam podany podwójnie jest użyteczny; raz służy on do zaspokojenia ciekawości, zwrócenia uwagi dziatwy; drugi raz wprowadza ją nieznacznie w *naukę rzeczy*.

Możemy tylko przyklasnąć założeniu i planowi téj książki; tém więcéj, że wiele, choć małych ilustracyj przyczynia się do objaśnienia rzeczy. Żałować nam jednak wypada, że wykonanie nie odpowiada założeniu. Cóż z tego, że książka jest piękna, druk jéj czy-

telny i obrazków w niéj wiele; kiedy język jest niedokładny, nieścisły; wiązanie myśli często nielogiczne; architektonika powiastek niedokładna.

Pamiętnik Laury pani Szymanowskiéj również, jak *Europa w obrazach* St. Stroynowskiego przeznaczone są dla podroślejszéj młodzieży.

Pamiętnik Laury jest niby upominkiem dla dorastających dziewczynek. Jest to naśladowanie jakiegoś utworu, prawdopodobnie francuzkiego, którego autor, czy autorka więcéj miała talentu artystycznego niż pedagogicznego.

Dzieło to przeznacza się głównie dla panienek kończących pensyą i wchodzących w życie. Składa się ono z dwóch części. Część pierwsza przedstawia Laurę na wakacyach i na pensyi. Część druga przedstawia ją w otoczeniu domowém i towarzyskiém, czyli, jak to się mówi, w świecie.

Chwila przejścia ze szkoły do życia jest ważną bardzo dla każdego, a tém ważniejszą dla kobiéty, któréj cały los przyszły często od pierwszych szczęśliwych, lub nieszczęśliwych kroków w salonie zależy.

Jeżeli weźmiemy na uwagę, ile to kobiécie, kończącéj zakład naukowy a wchodzącéj w życie, jeszcze brakuje; jak dla niéj pożądaną jest strawa umysłowa o szerszym poglądzie, zdrowa rada praktyczna lub moralna; to pojmiemy, jak wielkim skarbem jest dla takiéj kobiéty, w téj chwili właśnie, poważna, pełna treści i zdrowych rad książka.

Pojmujemy dla czego takiego wielkiego wzięcia doznała *Pamiątka po dobréj matce.*

Czy *Pamiętnik Laury* takie ma mieć znaczenie w ręku młodych panien? Nie sądzimy. *Pamiętnik Laury* czyta się bardzo przyjemnie. Zajmuje nas sama Laura, osoby ją otaczające; bo wszystko to kreśliło pióro zdolne, ale nam się zdaje, że *Pamiętnik Laury* jest tylko tendencyjną powieścią i niczém więcéj. Żywych, sympatycznych obrazków, moralnych nauczek w niéj jest wiele; ale treści poważnéj, materyału dla myśli—nie wiele. Zresztą i poglądy autorki na wychowanie kobiét wydały nam się za ciasne; poglądy, które wykształcenie kobiéty ograniczają (na pobieraniu obcych języków i *talentów* str. II i 233) nie wystarczają współczesnéj kobiécie; jéj czegoś więcéj potrzeba, niż języków i *talentów*, przez które rozumiéć nam trzeba rysunek, malarstwo, śpiew, muzykę, taniec itp. talenty.

Co do formy zewnętrznéj utworu niewiele mielibyśmy do zarzucenia. Styl lubo nie zawsze dość ścisły, jest żywy i swobodny; mimo to jednak chroma miejscami na błędy gramatyczne, jak np. na fałszywą konstrukcyą imiesłowową str. 199,—289,—306. Błędów zaś korektorskich znaleźliśmy bardzo wiele, co obniża wartość dzieła, dla młodzieży poświęconego.

W Bibliotece illustrowanéj dla młodzieży F. Hösicka (ale nie F. *Hösick*, jak chce nakładca) najpoważniejsze miejsce, pod względem naukowym, zajmują dwa dzieła Stanisława Stroynowskiego: *Ziemia i jéj mieszkańcy* r. 1877 i *Europa w obrazach* r. 1879. Zgasły w roku bieżącym autor był najpierwszym może u nas specyalistą w geografii, jak zresztą tego dowodzi jego *Geografia fizyczna* r. 1865. Dwa wyżéj wymienione dzieła, może miejscami zbyt poważne i mniéj dostępne dla młodzieży, mają jednak niezaprzeczoną wartość. Nie są to wprawdzie dzieła oryginalne, ale raczéj wypisy z różnych autorów. Jednakowoż wypisy te dokonane są ze znajomością rzeczy i umiejętnie. Autor, oczytany w literaturze geograficznéj, wiedział jak wybrać i co wybrać, a dla zaokrąglenia całości dawał artykuły własnego pióra (1).

W zakończeniu niniejszego sprawozdania z książek na gwiazdkę, sprawiedliwość każe nam dodać choć niektóre bibliograficzne szczegóły, kiedy już wszystkich tych książek nie rozbieramy. Zaznaczamy więc, że w roku przeszłym pominęliśmy z szeregu wydawnictw Hösicka—*Pokój dziadunia* K. Wł. Wojcickiego. Z innych zaś wydawnictw przeszłorocznych wspominamy *Wiązkę bławatków* pani Izdebskiéj, *Wieczory starego nauczyciela* Świętochowskiego i *Szlachetną zabawę* wydane przez Wł. Nowickiego. Ostatnie to wydawnictwo skromne co do formy zewnętrznéj, ale téż i tanie, zwraca na siebie uwagę z tego mianowicie względu, że powiastki i opowiadania, tam zebrane, są pióra różnych autorek. Fakt ten świadczy o budzącym się u nas ruchu na polu pedagogiczném. Jak na teraz zaznaczamy, że pani Maréné także wystąpiła na tém polu; a jéj *Fortepian Helenki* jest ozdobą *Szlachetnéj zabawy.*

Feliks Witkowski.

---

(1) Niepotrzebnie w ostatnim rozdziale występuje autor z napaściami na żydów, co w książce dla młodzieży nie jest przyzwoitém, a o czém obszerniéj z czasem pomówimy (Przypis. Redakcyi).

R U C H

SPÓŁEK ZALICZKOWO-WKŁADOWYCH

w guberniach północno-zachodnich.

„Ateneum“ w roku zeszłym zamieściło w zeszycie Październikowym r. z. krótki artykulik, zawierający niektóre szczegóły o korzyściach, zakładaniu i obrocie Spółek zaliczkowo-wkładowych. Przynoszę dzisiaj znowu skrócony i unaoczniony obraz działania w ciągu roku 1877 sześciu Spółek dawniéj już wspomnianych, oraz czterech, o których dopiéro niedawno mogłem bliższych wiadomości zasięgnąć.

Nie będę się wdawał w komentowanie szczegółów: cyfry, jako fakta, same za siebie przemawiają. Na pierwszy rzut oka widać postęp; a to świadczy z jednéj strony, że Spółki były i są istotną potrzebą prowincyi; z drugiéj, że się i nadal utrzymują i istnieniem swym oraz wzrostem prawdopodobnie zachęcą do zawiązywania nowych.

Przed spojrzeniem na tablicę porównawczą głównych cyfr obrotu, niech czytelnik zwrócić raczy uwagę na następne wskazówki. Najprzód: że liczb brakujących w tabeli nie zawierały nadesłane mi łaskawie sprawozdania, więc też nie mogłem ich zamieścić. Powtóre, że mając pod ręką sprawozdanie za trzy kwartały roku bieżącego z obrotów Spółki Szemetowskiéj, pozwoliłem sobie zamieścić takowe zaraz po zeszłorocznym dla porównania. Potrzecie: ponieważ Spółka Żagorska rachuje rok swój od dnia otwarcia, t. j. od 29 Października st. st. r. 1876, więc i cyfry jéj obrotu są podane za rok od téj daty po takąż r. 1877. Po czwarte: prostuję pomyłkę, którą popełniłem w zeszłorocznym artykule, umieszczając Spółkę Konstantynowską po Podbirżańskiéj, wziąwszy datę zatwierdzenia ustawy za datę początku istnienia, gdy właściwie powinienem był dzień otwarcia Spółki przyjąć za punkt wyjścia; że zaś Konstantynowska działać zaczęła 19 Lutego 1874, a Podbirżańska, choć wcześniéj zatwierdzona, dopiéro 7 Listopada 1874 otworzyła swe czynności, więc słusznie Spółce Konstantynowskiéj pierwszeństwo się należy.

SPÓŁKA.	w powiecie	data otwarcia	Członków	Udziałów	Wkładów	Pożyczek zaciągniętych	Kapitał żelazny	Udzielono pożyczek	Koszta zarządu	Obrót ogólny w r. 1877	Obrót ogólny w r. 1876	Czysty zysk r. 1877	Pobierano %
Konstantynow.	poniewiezk.	19 lutego 1874	799	34.367	10.231	94.285	2.687	283.951	1.442	885.622	595.724	8.265	10
Podbirżańska .	„	7 listopad. 1874	750	16.328	7.117	22.979	1.524	67.354	823	159.990	86.432	3.946	10
Kurszańska. .	szawelskim	7 wrześn. 1875	180	4.384		1.000	120	7.441	113	16.740		74	
Traszkańska .	wiłkomiers.	24 paźdz. 1875	332	10.971	910	10.845	470	58.632	306	144.102	129.908	1.670	
Kupiska. . .	„	? paźdz. 1875	328	2.509	2.243	3.637	33			26.723	23.408	291	
Nowomiejska .	poniewiezk.	11 lipca 1876	170	6.391	2.588	18.255	181	44.198	634	158.575	22.717	859	10
Żagorska . .	szawelskim	29 paźd. 1876	109	3.907	500	1.000	49	8.495	60	1.959		378	12
Remigolska .	poniewiezk.	15 stycz. 1877	78	2.617	575	5.750	46	12.526	281	29.997		321	10
Szemetowska .	święciańsk.	18 stycz. 1877	122	5.263	1.381	11.908	262	21.716	24	56.984		1.271	10
„ w r. 1878			216	9.681	3.812	19.313	266	50.763	2	143.074		2.030	10
Rakiska druga	nowoaleks.	14 paźdz. 1877	51	1.456	150			1.535	67	3.477		3	

W ciągu bieżącego roku trzy jeszcze Spółki, o ile mi wiadomo, otworzyć się miały: w Saryi (powiat Drysieński), w Porzeczu (pow. piński) i w Żemłosławiu (pow. oszmiański).

Jan Karłowicz.

KRONIKA NAUKOWA.

Nowe drogi nauki i przemysłu.

Szkice z wystawy paryskiéj.

Nowe telefony.

Wielki i niespodziewany wynalazek Bella do przesyłania mowy ludzkiéj na znaczną odległość, za pomocą elektryczności, był punktem wyjścia całego szeregu ważnych i zadziwiających odkryć, tak w dziedzinie akustyki jak też i elektryczności. Otworzył on zupełnie nowe pole badań, leżące dotąd prawie zupełnie odłogiem i dał popęd do poszukiwań nadzwyczaj obfitych w rezultaty, które od roku sypią się formalnie jak z rogu obfitości.

Telefon Bella zdobył sobie w ciągu roku taką popularność, iż dziś wszędzie już jest znanym, i nie potrzebujemy się przy nim długo zatrzymywać, a tylko przypatrzymy się nieco jego licznemu następstwu.

Telefon Bella nosi na sobie znamię wszystkich wielkich wynalazków. Jest nad wszelki wyraz prostym przyrządem. Na obu stacyach, między któremi ma być prowadzoną rozmowa, znajduje się laska magnesu. Drut telegraficzny łączy obie laski, obwijając się około jednego i drugiego magnesu i zapuszczając się na jednéj jak i na drugiéj stacyi w ziemię. Na bliższych odległościach drut jest bez końca i, zawinąwszy się około jednego magnesu, idzie do następnéj stacyi, obwija się około drugiego i wraca napowrót, zamykając obwód.

Przed jednym i przed drugim magnesem, bardzo blizko od bieguna umocowaną jest mała blaszka żelazna. Oto cała budowa tele-

fonu. Gdy się mówi do jednéj blaszki, zaczyna ona drgać od fal głosowych powietrza i, drgając, przybliża się i oddala z wielką szybkością od bieguna magnesowego. Otóż, według powszechnie znanego zjawiska indukcyi, w chwili każdego zbliżania się i oddalania, w drucie otaczającym magnes powstają prądy elektryczne, zmieniając co chwilę swoje natężenie, proporcyonalnie do drgań blaszki i przenoszą się do następnéj stacyi, do zwojów stanowiących drugi magnes, wywołując, według znanego także powszechnie prawa, zmianę w natężeniu tego magnesu. Zmiany te, wyrażające się w zmianie siły przyciągającéj, wywołują napowrót drżenia blaszki żelaznéj, znajdującéj się przy biegunie, i to drżenie zupełnie takie, jak blaszki na stacyi wysyłającéj. Więc powtarza ona najdokładniéj to, co się mówiło na pierwszéj stacyi, naturalnie tylko że znacznie słabiéj, bo wielka ilość siły, jak w każdéj maszynie, zużywa się na przezwyciężenie różnych oporów.

Mamy tu przed sobą piękny przykład zamiany sił fizycznych. Drgania blaszki żelaznéj zamieniają się na prądy elektryczne, przebiegające znaczną odległość i na następnéj stacyi pojawiające się znowu w postaci drgań mechanicznych blaszki. Jak Minerwa z głowy Jowisza, telefon zjawił się odrazu w postaci skończonéj, i stosunkowo bardzo mało w nim nowości zaprowadzono. To téż wystawa Bella zawiera mnóstwo telefonów, różnych co do kształtu, lecz w zasadzie niczém się od siebie nieróżniących. W jednych z nich magnesy są zwinięte spiralnie, i cały telefon mieści się w małém pudełku, podobném do zégarków kieszonkowych, naturalnie o większych rozmiarach; w innych znowu mają kształt podkowy, są duże i służą do przesyłania mowy na większą odległość; w innych zaopatrzone są w tuby do wzmacniania dźwięków, lecz w ogóle zasadniczo niczém się nie różnią.

Przejdźmy więc do innych telefonów, znajdujących się na wystawie, nie znalazłszy tu nic nowego. W oddziale amerykańskim, spotykamy wielką ilość telefonów Graya, które są oparte na zupełnie innéj zasadzie i służą przeważnie do komunikacyi telegraficznéj. Urządzenie ich jest także niezmiernie proste, a mają tę wielką zaletę, iż po jednym drucie, można przysłać zaraz kilka depesz, które na następnéj stacyi mogą być zupełnie dobrze rozróżniane.

Telefony Graya nie przesyłają ludzkiéj mowy, lecz tylko tony muzyczne. Wyobraźmy sobie dwie stacye połączone za pomocą drutu. Na jednéj i na drugiéj stacyi znajdują się kamertony, nastrojone na jednę nutę. Prąd elektryczny z bateryi nie przechodzi wprost do drutu łączącego obie stacye, lecz idzie do kamertonu, który jest zupełnie izolowany w chwili gdy się znajduje w spokoju. Lecz

gdy drgać zacznie, wydając właściwą sobie nutę, wtedy widełki jego dotykają się do umieszczonego w bliskości ostrza, to znów się odeń odrywają. Takie dotknięcia następują bardzo szybko po sobie, równie szybko jak drgania kamertonu. Ponieważ zaś ostrze jest w komunikacyi z drutem łączącym obie stacye, więc w chwili gdy kamerton drga, po drucie przebiegają przerywane prądy elektryczne, idące od bateryi złączonéj z kamertonem. Na stacyi odbierającéj, drut obwija się około kawałka miękkiego żelaza, które w chwili przebiegu prądu staje się elektro-magnesem, a gdy prądu nie ma, wraca napowrót do zwykłego stanu. Otóż i na téj stacyi odbierającéj znajduje się kamerton, jak już wspomnieliśmy, nastrojony na tę samę nutę, jak na stacyi wysyłającéj. Umieszczonym on jest w blizkości biegunów elektro-magnesu i, w chwili gdy prąd przebiega, widełki jego są przyciągane; a ponieważ prąd jest przerywany, i to tak szybko jak szybko drży magnes na stacyi wysyłającéj, więc kamerton powtarza nutę wysłaną.

W ten sposób ton może być z wielką łatwością na dowolną odległość przesłanym. Lecz, żeby ten ton był ciągłym, żeby kamerton wysyłający ciągle drżał, trzebaby było ciągle go uderzać, lub pociągać po nim smyczkiem. Żeby tego uniknąć, kamerton wysyłający wprowadza się w ruch za pomocą elektromagnesów, w podobny sposób jak kamerton na stacyi odbierającéj, i gdy się naciśnie odpowiedni klawisz, drga on aż póki na nim palec trzymany.

W ten sposób urządzony aparat jest już zupełnie przydatnym do komunikacyi telegraficznéj. W zwykle na stacyach telegraficznych używanym aparacie Morse'a, depesze przesyłają się według umówionych znaków, złożonych z krések i punktów, odbijanych na pasku papiérowym.

Otóż telefon Graya może przesyłać nuty długie i krótkie, stosownie do dłuższego lub krótszego naciśnięcia klawisza, i wprawny telegrafista może wybornie uchem czytać depeszę wyrażoną tego rodzaju dźwiękami. Lecz telegraf taki, interesujący jako nowość, nie miałby żadnego znaczenia praktycznego, bo w rezultacie nie daje nic lepszego, nad to, co daje aparat Morsowski i w dodatku nie pozostawia z depeszy żadnych śladów na papiérze. Zaleta jego leży w czém innem. Oto można przesyłać po jednym drucie kilka depesz naraz w jednym i drugim kierunku. Widziałem na wystawie aparat w działaniu, wysyłający w jednym i drugim kierunku cztery depesze. Urządzenie takiéj komunikacyi niczém się prawie nie różni od wyżéj opisanego aparatu, przeznaczonego do przesyłania jednéj depeszy, tylko że, zamiast jednéj pary kamertonów, znajduje się ich kilka, wydających różne nuty. Dajmy na to, że na stacyi wy-

syłającéj umieściliśmy w jednym obwodzie cztery kamertony, nastrojone na nuty c, e, g, h i takież cztery, naturalnie z należącemi do nich elektromagnesami na drugiéj. Gdy naciśniemy klawisz odpowiadający nucie *e*, wtedy, na stacyi odbierającéj, odezwie się tylko kamerton *e*. Nacisnąwszy wszystkie cztery klawisze, wszystkie kamertony w stacyi odbierającéj zaczną wydawać dźwięki, i jeśli je umieścimy w osobnych pokojach, to będziemy słyszeli każdy z nich z osobna. Za pomocą czterech klawiszy na stacyi wysyłającéj, można wysyłać w ten sposób cztery depesze, które doskonale w odbieraczach mogą się odróżnić, bo każdy kamerton odzywa się tylko dla depeszy wysłanéj z kamertonu do równéj wysokości z nim nastrojonego.

Na téj zasadzie oparł także p. Gray swój telefon muzyczny do przesyłania większéj ilości dźwięków. Zamiast kamertonów na jednéj i na drugiéj stacyi znajduje się po kilkanaście prętów stalowych, odpowiadających dwóm oktawom gammy muzycznéj. Pręty na stacyi wysyłającéj wprowadzają się w drganie uderzaniem palców po dwuoktawowéj klawiaturze, jak na fortepianie, a odbiéracz powtarza na drugiéj stacyi wszystkie akordy i pasaże i to z taką siłą, że liczne audytoryum może się takiej muzyce, przysłanéj z daleka przysłuchiwać.

Telefony Graya są bardzo interesującemi, lecz wątpimy, aby miały wielką przyszłość, gdyż depesze żadnych śladów na papiérze nie zostawiają, a przecież są aparaty telegraficzne, które służą do przesyłania po jednym drucie kilku depesz na raz i zostawiają znaki drukowane, albo téż wyrażone morsowskim alfabetem.

Obok stolika, na którym Gray wystawił swoje telefony, znajdujemy na amerykańskiéj wystawie inne przedmioty, daleko bardziéj oryginalne, bardziéj zajmujące pod względem naukowym i nawet praktyczniejsze w zastosowaniu. Są to przedmioty, wystawione przez słynnego Edisona.

Jego telefon węglowy, który dał popęd do odkrycia mikrofonu, funkcyonuje codzień w oczach publiczności. Z wystawy przeprowadzonym jest drut do Wersalu, i z osobą tam się znajdującą prowadzi się rozmowa.

Telefon ten opartym jest co do swéj budowy, na jedném z najważniejszych odkryć Edisona, który już dotąd obfitém jest w rezultaty praktyczne, a w przyszłości telefonów grać będzie niezmiernie ważną rolę.

Edison wykazał, że jeżeli przez kawałek koksu, albo téż grafitu będziemy przepuszczali prąd elektryczny i w tym samym cza-

się ściskali go, lub też rozciągali, to prąd przechodzący będzie ciągle zmieniał swoje natężenie. Przy większém naciśnięciu przechodzić będzie z większą łatwością niż przy słabszém i odwrotnie. Łatwo bardzo wykazać tę miarę przewodnictwa koksu, za pomocą bardzo prostego doświadczenia. Pomiędzy dwoma kawałkami blachy metalowéj umieszczamy kawałek koksu; jeden drut, od bateryi idący, łączymy z jedną blaszką, drugi zaś—z drugą. W ten sposób prąd zmuszonym jest przechodzić przez blaszkę, koks i drugą blaszkę. W obwód drutu ustawiamy czuły galwanometr, który wskazuje jak najdrobniejsze zmiany w natężeniu prądu elektrycznego. Otóż jeżeli jak najmniejszy ciężarek położymy na górnéj blaszce, to wnet igła galwanometru zbacza i wskazuje zmianę siły prądu. Najdrobniejsza zmiana w ciśnieniu staje się widoczną tak dalece nawet, że skoro zbliżymy do koksu rękę, to od ciepła promieniejącego z ręki powstanie małe rozszerzenie się koksu i blaszek, wywołujące zmianę w ciśnieniu między koksem i blaszkami, i wnet igła galwanometru wskazuje zmianę w natężeniu prądu elektrycznego.

Zjawisko to dziwne nie zostało jeszcze dotąd całkowicie wytłómaczonem, i są rozmaite poglądy. Jedni twierdzą, iż wskutek ciśnienia w całéj masie koksu, lub też grafitu zmienia się jego przewodnictwo, tak iż im większe ciśnienie, tém przewodnictwo staje się lepszém; inni zaś, a do nich i Edison należy, powiadają, że koks właściwie nie zmienia swego przewodnictwa, lecz że przy większém ciśnieniu ilość punktów styczności między blaszką a koksem się zwiększa i powstaje większa powierzchnia, przez którą elektryczność może przebiegać. Oba jednak tłómaczenia nie są zupełnie przekonywającemi i czekać trzeba jeszcze dalszych doświadczeń.

Na téj własności koksu, oparł Edison najnowszy swój przyrząd do mierzenia najsłabszych zmian temperatury, który nazwał *mikrotasimetrem*, a który jest, mówiąc bardziéj zrozumiałym językiem, termometrem, albo raczéj bardzo małym termoskopem. Mikrotasimetr, podobnie jak przyrząd przez nas wyżéj opisany, składa się z kawałka koksu, lub jeszcze lepiéj sztucznego węgla, otrzymanego przez silne ściśnięcie sadzy z lamp naftowych, umieszczonego między dwoma blaszkami platyny połączonemi z obu drutami bateryi. Prąd elektryczny u jednego bieguna bateryi przebiega przez drut, blaszkę platynową, koks, drugą blaszkę i nareszcie przez drut prowadzący do drugiego bieguna bateryi.

Na górnéj blaszce platynowéj opiéra się jednym końcem mała laseczka metalowa, któréj drugi koniec jest nieruchomo umocowanym. Skoro tylko temperatura téj laseczki podniesie się, wydłu-

ża się ona i ciśnie na koks, przepuszczając przezeń prądy o większéj sile. Galwanometr wskazuje wszystkie zmiany w natężeniu.

Czułość takiego przyrządu jest tak wielką, iż zwykłych zmian w temperaturze powietrza mierzyć nim nie można. Jeżeli go postawimy na oknie, to będzie nam sygnalizował chmurkę przesuwającą się po niebie. Zbliżenie ręki, już z dość znacznéj odległości, robi na nim silne wrażenie.

Ażeby wypróbować czułość swego instrumentu, Edison pojechał podczas ostatniego całkowitego zaćmienia słońca w góry skaliste i tam chciał mierzyć siłę cieplikową promieni pochodzących nie od powierzchni słońca, które było zakryte, lecz od atmosfery to słońce otaczającéj. Otóż okazało się, że instrument nawet do takich obserwacyj jest za czułym, gdyż igła galwanometru dawała nadto silne zboczenie, których nie można było mierzyć dokładnie.

Wielce interesującém i ważném dla astronomii fizycznéj, jest zbadanie ciepła, które gwiazdy do nas przysyłają. Są to naturalnie ilości tak małe, że ich przyrządami, które dotychczas posiadamy, zmierzyć wcale nie można. Mikrotasimetr Edisona obiecuje oddać w tym kierunku bardzo ważne usługi. Według bowiem sprawozdań nadesłanych z Ameryki przez Edisona, potrzebujących jednak jeszcze potwierdzenia, zauważył ten wielki wynalazca, iż gdy ustawił mikrotasimetr w ognisku wielkiéj lunety, to w chwili gdy obraz gwiazdy padał na laseczkę instrumentu, galwanometr wykazywał zmianę w natężeniu prądu.

Zrobiliśmy małe zboczenie od telefonów, o których mamy mówić, lecz mikrotasimetr jest tak spokrewnionym z telefonem węglowym Edisona, iż między jednym a drugim jest bardzo mała różnica. Zwykła cienka blaszka telefoniczna opiéra się na kawałku koksu, lub węgla preparowanego. Oto i cały telefon, którym się wysyła depesze. Prąd z bateryi przechodzi przez koks, zanim wpadnie do drutu łączącego obie stacye. W chwili gdy mówimy do blaszki, zaczyna ona drgać i naciska słabiéj lub mocniéj na koks, który zmienia proporcyonalnie do nacisku swe przewodnictwo, tak że po drucie idącym do następnéj stacyi przebiegają ciągle zmienne prądy. Zwykły telefon Bella służy za odbieracza.

Nowy ten telefon ma dwie wielkie zalety. Po pierwsze, słychać w nim lepiéj przesłaną mowę, niż w telefonie Bella; a powtóre może on być użytym na znacznie większe odległości; prądy bowiem wywołane drżeniem blaszki w zwykłym telefonie Bella są niezmiernie słabe i, jeżeli odległość między obu stacyami jest znaczną, to niszczą się one zupełnie wskutek oporu przewodnika i wpływów atmosferycz-

néj elektryczności. W telefonie Edisona, prąd się bierze z bateryi, któréj siła jest dowolna, i takim telefonem można rozmawiać, jak to próby wykazały, z dwunastu mil odległości. Siłę telefonu węglowego wzmocniono jeszcze w ostatnich czasach znacznie, używając cewki indukcyjnéj. Zmienne prądy, idące od telefonu, nie prowadzono wprost do odbieracza na następnéj stacyi, lecz wpuszczano do wewnętrznego drutu cewki Ruhmkorfa. Przy każdéj zmianie powstawały w zewnętrznym drucie prądy, które dopiéro przenosiły się na drugą stacyą i zamieniały się na powrót w drgania blaszki. Przez tego rodzaju urządzenia, zyskiwano na tém, że słabe różnice w natężeniu prądu po wyjściu z cewki stawały się wybitniejszemi, i dla tego też na większą odległość można było telefon zastosowywać.

Lecz ze wszystkich telefonów, najsilniéj głos odtwarzającym jest telefon p. Righi'ego z Medyolanu, który był pokazywanym przez p. Corna, na jednym z odczytów urządzanych w Sierpniu przez kongres naukowy. Pan Corna podał bardzo mało objaśnień co do tego telefonu; widocznie wynalazca chce jeszcze bliższe szczegóły zachować w tajemnicy, jednak powiada, iż w ogóle mało się różni od telefonu Edisonowskiego, lecz pod względem siły, przechodzi go w znacznym stopniu. Słyszałem ten telefon w wielkim amfiteatrze konserwatoryum sztuk i rzemiosł. W sali było przeszło 600 osób zgromadzonych. Otóż telefon Righi'ego zawieszonym był w żyrandolu w środku sali, a gdy zaczęto w innym budynku, przez wysyłacza grać na trąbce, to z telefonu wydobywały się dźwięki tak silne, iż pomimo nieuniknionego szmeru można je było wybornie słyszéć w każdym zakątku ogromnéj sali. Barwa głosu przenosiła się z nadzwyczajną dokładnością, i doskonale można było odróżnić głos trąbki od fletu i od dźwięków śpiewu ludzkiego.

Ze wszystkich znanych telefonów, ten jest bez zaprzeczenia najwięcéj zbliżonym do rozwiązania wielkiego zadania przesyłania dźwięków na wielką odległość bez żadnéj ich zmiany.

Niewyczerpany w pomysłach Edison wymyślił jeszcze innego rodzaju telefon, który wprawdzie pod względem praktycznym małe ma znaczenie, zasługuje jednak na uwagę ze względu na oryginalną, zupełnie nową zasadę. Przedstawmy sobie kawałek blachy metalicznéj, połączonéj drutem z jednym biegunem bateryi. Na niéj kładziemy ćwiartkę zwykłego, dość szorstkiego papiéru, namoczonego poprzednio w roztworze żelazocyanka potasowego, szkła wodnego, kwasu pyrogallasowego, albo téż innych mniéj znanych związków chemicznych. Otóż, jeżeli się weźmie w rękę drut, prowadzący do dru-

giego bieguna bateryi, zakończony ostrzem metalicznćm, i zacznie się niém prowadzić po papiérze, to ostrze to będzie ślizgać się z ogromną łatwością, jak łyżwa po lodzie. Jeżeli jednak po drucie prąd nie przebiega, jeżeli go oderwiemy od bateryi, to ostrze na papiérze spotka opór, stawiany przez papiér w silnym stopniu. Prąd elektryczny robi papier ślizkim pod ostrzem. Jaka jest tego przyczyna, dotąd jeszcze nie zbadano dokładnie.

Otóż jeżelibyśmy na przemian przerywali i przepuszczali prąd elektryczny, to w ręku prowadzącém ostrze po papiérze czulibyśmy wstrząśnienia, pochodzące od nierównéj gładkości papiéru.

Przymocujmy to ostrze do napiętéj błony, połączmy je z drutem prowadzącym od wysyłacza Graya (o którym mówiliśmy wyżéj) i przesuwajmy na wałku papiér preparowany jak wyżéj, tak żeby się to ostrze zawsze po nim ślizgało, a otrzymamy telefon powtarzający dźwięki wydawane przez wysyłacza.

Ostrze a z niém razem i błona będą wprawiane w ciągłe drgania w skutek nierównego oporu na przemian szorstkiéj i gładkiéj powierzchni papiéru.

Zastosowania telefonu.

Jakkolwiek telefon jest jeszcze zupełnie nowym wynalazkiem, jakkolwiek budowa jego nie jest jeszcze tak udoskonaloną, iżby można powiedzieć, że nie wiele jest w nim do zrobienia, jednakże oddał już bardzo wiele usług nauce, a w praktyczném życiu znajduje coraz szersze zastosowanie.

W Niemczech zarząd telegrafów wprowadził już kilkaset stacyj telefonicznych, które funkcyonują wybornie i służą głównie do przesyłania mniéj ważnych depesz, które nie potrzebują przestawiania dokumentu na papiérze, do porozumiewania się między urzędnikami i w ogóle do przesyłania spraw bieżących między stacyami. Przytoczyć jednak wypada fakt charakterystyczny, iż Niemcy odmówiły patentu wynalazcy telefonów Bell'owi z powodu jakichś drobnych nieformalności, również jak dawniéj odmówiły patentu Giffard'owi, na jego sławny injektor, przez co odebrały mu znaczną część dochodu z wynalazku.

W wielkich miastach, szczególniéj w Ameryce, telefon z dniem każdym usuwa z użycia domowego, dawne telegrafy powietrzne, składające się, jak wiadomo, z rur, przez które się porozumiewano. Telefony mogą je w obecnym stanie zastąpić zupełnie, i to nawet ze znacznemi korzyściami, gdyż nałożenie drutu daleko mniéj kosztu-

je niż założenie rury. Z początku natrafiono na wielką przeszkodę w tym kierunku, gdyż nie umiano za pomocą telefonu dawać tak silnych sygnałów, żeby zwrócić uwagę tego, na którego się wołało, szczególniéj jeśli się znajdował w większéj odległości. Wszyscy wiedzą, że przy użyciu rur do rozmawiania sygnał się daje w ten sposób, że się dmucha do rurki, a świstawka umieszczona na drugim jéj końcu wydaje głos dość silny do zwrócenia uwagi; telefon zaś mówi tak słabo, że trzeba go do ucha przykładać, żeby coś usłyszéć. Otóż nad urządzeniem sygnału telefonicznego pracowano bardzo wiele w ubiegłym roku i otrzymano rezultaty zupełnie zadawalniające. Najbardziéj używanym sygnałem jest dzwonek urządzony przez Lorenz'a, w ten sposób, iż przed jego ścianką znajduje się magnes zawinięty w druty izolowane, połączone z drutami idącemi do następnéj stacyi. Jeśli się uderzy w taki dzwonek, to drga on z wielką siłą. i w drutach powstają dość silne prądy elektryczne, pojawiające się na drugiéj stacyi jako dźwięki wydobywające się z telefonu, ale tak silne, że je w całym pokoju słyszéć można.

Dotąd jednak najlepiéj się udawało połączenie zwykłego dzwonka elektrycznego z telefonem w ten sposób, iż się najprzód, za pociśnięciem odpowiedniego guzika, przywoływało głosem dzwonka do telefonu osobę, z którą się chciało rozmawiać, a potém używało do rozmowy telefonów. Urządzenie takie jest bardzo wygodne, szczególniéj w zakładach publicznych, hotelach i t. p., gdyż przywoławszy swego urzędnika, lub służącego do telefonu, można się z nim porozumiéć, nie potrzebując się fatygować do schodzenia po schodach, lub przechodzenia większych odległości. Amerykanie zaprowadzają w swoich domach urządzenia tegoż rodzaju, iż wszystkie mieszkania są połączone drutami z mieszkaniem poritera, z którym się w każdéj chwili można porozumiéć, nie schodząc na dół. Komunikacya tego rodzaju daje widoczne korzyści tak co do oszczędności czasu, jak téż i wygody.

Jeszcze więcéj pożytku przynoszą telefony tam, gdzie chodzi o porozumiewanie się z większéj odległości, jak naprzykład w oddalonych majątkach, dla porozumiewania się z osobami w nich zamieszkałemi i niemi zarządzającemi; w fabrykach, których budynki są rozrzucone na znacznéj przestrzeni; wreszcie do porozumiewania się między strażami ogniowemi jednego miasta, lub téż między takiemi strażami a znaczniejszemi fabrykami, gdzie jest niebezpieczeństwo pożaru. Na znaczniejszą odległość, zaprowadzenie rur przedstawia nieraz trudności nie do zwalczenia; albo téż jest zupełnie niewystarczającém, i głos niknie, zużywając się na przezwyciężenie rozmaitych oporów. Otóż drut izolowany bardzo łatwo jest przepro-

wadzić; z jednéj stacyi można urządzić kilka lub też kilkanaście odnóg, nawet na przebiegu jednego druta można umieścić kilka telefonów w różnych miejscach, a w dodatku ma się tę wygodę, iż nie potrzeba telegrafisty, obznajmionego ze znakami telegraficznemi i manipulacyą dość skomplikowaną. Każdy sam z łatwością i bez żadnego przygotowania potrafi używać telefonu, nie potrzebuje nawet umiéć pisać, gdyż rozmawia tak jak zwykle i zwykłym głosem. Zresztą telefony mają tę wielką zaletę, iż nie potrzebują bateryi elektrycznéj jak zwykłe telegrafy i, raz założone, mogą funkcyonować przez czas nieograniczony, nie potrzebując żadnego szczególnego nadzoru. Zajmują przytém mało miejsca i kosztują nie wiele.

Zastosowania tego rodzaju spotykają się coraz częściéj, i sądzimy, że niedługo wszystkie większe fabryki będą w tego rodzaju komunikacyą zaopatrzone. O ile wiemy, objawiła się u nas z początku pewnego rodzaju niechęć przeciw telefonom, i powiadano, iż porozumiewanie się za pomocą ich jest niewystarczającém, gdyż źle słychać. Pochodzi to ztąd, iż telefony, które u nas w kraju spotykałem są po większéj części partackiéj roboty, sprowadzane z fabryk niemieckich lub też austryackich, niedbających wcale o dobry wyrób, lub też nieumiejętnie się do rzeczy biorących. Oryginalne telefony Bell'a funkcyonują wybornie, i cichą nawet rozmowę słyszéć można doskonale. Robiłem z niemi próby na bardzo wielką odległość (między Lwowem a Brodami) 12 mil. geogr., i wybornie można było się porozumiewać.

W sztuce wojennéj telefony nie mogły być jeszcze w praktyce wypróbowanemi; robią się jednak w wielu miastach próby z tym nowym przyrządem, i sprawozdania z nich brzmią w większéj części pomyślnie. Już od dość dawna zastosowywano zwykłe telegrafy polowe. Żołnierze zakładali druty między ważniejszemi punktami strategicznemi, ustawiano bateryą i używano do przesyłania depesz zwykłego Aparatu Morse'a. Lecz ustawienie takiego aparatu i bateryi zajmowało wiele czasu, sam przyrząd potrzebował wiele miejsca, trudnym więc było do przenoszenia, i trzeba było mieć sprawnego telegrafistę. Otóż telefony w takich warunkach daleko łatwiéj zaprowadzić się dają. Żołnierz bierze do tornistru parę telefonów, a na plecy wielki wałek z drutem izolowanym nań nawiniętym. W czasie chodu drut rozwija się sam z wałka i kładzie wzdłuż drogi na ziemi a nieraz jest zupełnie wystarczającém dla prowizorycznéj komunikacyi. Ponieważ drut może być bardzo cienkim, więc jeden żołnierz może na plecach swoich przenieść parę kilometrów.

Bardzo często używają obecnie telefonów, przy strzelaniach

z dział do odległego celu, ażeby się módz porozumiewać z oficerami stojącymi przy celu co do rezultatów strzelania. Dotąd posyłano w tym celu zapytanie przez posłańca, lub też porozumiewano się za pomocą zwykłych telegrafów. Jeszcze korzystniéj daje się telefon zastosować w fortecach, pomiędzy rozlicznemi bateryami. Założenie drutu jest łatwém, a porozumiewanie się nie przedstawia żadnych trudności.

Nadzwyczajna czułość telefonu na wszelkiego rodzaju prądy elektryczne, przebiegające w blizkości drutów łączących telefony, daje możność łatwego podchwycenia nieprzyjacielskiéj depeszy. Zauważono bowiem, że jeżeli w blizkości linii telefonicznéj przebiega drut telegraficzny, to w telefonie Bell'a słychać doskonale przerwy prądów, powstające przy przesyłaniu alfabetu Morsowskiego. Telefon jest tak czułym przyrządem, iż słychać w nim depesze przesyłane po drucie idącym równolegle, w kilku metrach odległości. Chcąc więc przejąć depeszę nieprzyjacielską, dość jest zarzucić drut, prowadzący od telefonu, na drut telegraficzny, a wprawne ucho zdoła odczytać każdą depeszę.

Sekcya aeronautyczna francuskiego ministeryum wojny, zajmująca się przeważnie sprawą zastosowania balonów na uwięzi w celu obserwowania ruchów nieprzyjacielskich, łączy obecnie łódkę balonu z ziemią za pomocą drutu izolowanego i używa go do telofonów.

W marynarce, przeważnie Amerykanie zastosowywać zaczęli telefony do porozumiewania się między kapitanem okrętu, sternikiem i bateryami. Nowa flotylla amerykańska kanonierek systemu „Alarm" została w taką komunikacyą zaopatrzona. Wrócimy jeszcze do tego, przy opisie kanonierek amerykańskich.

W Anglii w wielu miejscach zaprowadzono linie telefoniczne w kopalniach, tak między szybami jako też między podziemiami a biurem centralném, znajdującém się nad niemi na powierzchni ziemi. Szczególniéj pożyteczném w górnictwie okazało się zastosowanie telefonu do kontrolowania wentylatorów, przesyłających do galeryj podziemnych świeże powietrze, lub też wyciągających złe gazy. Otóż, telefon odpowiednio urządzony pozwala doskonale słyszeć z powierzchni ziemi wszelkie ruchy wentylatoru, a nawet obliczyć ilość jego obrotów.

Nakoniec, spuszczający się pod wodę w skafandrach używają obecnie telefonów do porozumiewania się z łodzią, lub okrętem, z których na linie do wody zostali spuszczeni.

Lecz ze wszystkich największy pożytek przyniosły dotąd telefony jako instrument fizyczny, wykazujący najdrobniejsze nawet śla-

dy prądu elektrycznego. Jest on najczulszym ze wszystkich znanych galwanoskopów. Jeżeli mamy naprzykład jakieś bardzo słabe źródło elektryczności, tak słabe, iż jego istnienia nie możemy skonstatować za pomocą zwykłych przyrządów, to telefon wykaże je nam z łatwością, jeżeli tylko prąd idący z takiego źródła będziemy przerywali. Za każdém przerwaniem słyszéć będziemy w telefonie puknięcie i im częstsze będą takie przerwy, tém puknięcia będą częstsze, i idąc daléj możemy otrzymać tą drogą nutę muzyczną, wykazującą istnienie prądu. Otóż dobre galwanoskopy należą do przyrządów bardzo skomplikowanych i drogich, a telefon jest bardzo prostym i tanim; ma więc on przez to samo wielką przewagę nad zwykłemi galwanoskopami. Przytém telefon nie potrzebuje żadnéj szczególnéj staranności w ustawieniu, gdy tymczasem galwanoskop musi być zawsze na nowo regulowanym i to z wielką starannością. Galwanometr jest trudnym do przenoszenia; telefon można nosić z sobą w kieszeni.

Z powodu tych zalet telefon zajmuje już obecnie jedno z pierwszych miejsc w gabinetach fizycznych i stał się odrazu niezbędnym przyrządem.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przyczyny odciągające uwagę publiczną na zewnątrz.—Kłopoty naszego rolnictwa, walka z Ameryką.—Pogłoski o towarzystwach rolniczych.—Melioracye.—Ruch w przemyśle i brak fachowego ukształcenia. — Szkoła techniczna drogi żelaznéj Nadwiślańskiéj. — Szkoły niedzielne, dozór nad terminatorami i małe nadzieje pomyślnych skutków.—Potrzeba większéj ilości podręczników rzemieślniczych, a nadewszystko dzieł o technologii.—Pogłoski o towarzystwie ubezpieczenia losu okaleczonych robotników.—Stowarzyszenia w Prusach.—Stosunki obywateli ziemskich z młynarzami.—Oszczędność w ochronach i pewnéj cegielni.—Uwagi nad stanem bezpieczeństwa publicznego w kraju. Wystawy powiatowe i wystawa w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. — Uniwersytet i Instytut gospodarstwa i leśnictwa w Puławach, realizm i akuszerya w pedagogice. — Jaką rolę odegrywają niektórzy zwierzchnicy szkół średnich?—Logika Baina. Zmarli: Józef Kowalewski i Herman Fudakowski.—

Trudniéj dziś, niż kiedykolwiek zwrócić uwagę publiczności na fakta naszego życia dotyczące. Płynie ono wąziutkim, ledwie widzialnym strumykiem, podczas gdy olbrzymie wypadki zewnętrzne zdają się prawie całkowicie pochłaniać natężoną przez nie myśl ogółu.

Ludzkość niewiele chyba przeżyła epok do dzisiejszéj podobnych. Bliżéj, cesarstwo Niemieckie przechodzi ciężkie walki z trudnościami ekonomicznemi, niezadowolonemi partyami, knowaniami. Daléj na zachód, Francya, zrezygnowawszy na pewien czas z wojennych tryumfów, ledwie zdążyła zgasić ognie półrocznéj uroczystości cywilizacyjnéj i krząta się około ostatecznego ugruntowania republikańskich instytucyj. Na południo-wschodzie, skamieniała w ciągu wieków powódź islamizmu cofa się do źródeł, a na miejscu jéj wytryskują zmartwychwstające narodowości wśród bojów o jakich już

zapomniała nowożytna historya. W środkowéj Europie tymczasem ogólny upadek dobrobytu splata się z powszechnym pociągiem do używania; bankructwa potrącają o spiski; nieokreślone żądania czegoś doskonalszego ścierają się z zupełną niewiarą w przyszłość, ze wstrętem do urządzeń z przeszłości, z całkiem negatywnemi programami i straszliwemi zamachami, które szeroki gościniec torują obostrzeniom praw i ograniczeniom swobód.

Na tym ponurym, ruchliwym i dziwnym horyzoncie, w błyskawicznych odstępach czasu zapalają się wynalazki naukowe i praktyczne. Wczoraj poznana elektryczność wypiera odwieczne światło ognia i walczy ze słońcem. Ogólny podziw, jaki obudził żywy głos przebiegający miliony stóp za pośrednictwem telefonu, ustąpił miejsca większemu jeszcze zdziwieniu w obec głosu dającego się przez długie lata więzić na blaszcze fonografu. Nim zdołano obrachować korzyści ze skroplenia gazów zwanych „stałemi,“ już donoszą o rozkładalności metali, stanowiących dotychczas najliczniejszą grupę „pierwiastków“ chemicznych. Jednocześnie inżynierya poważnie myśli o zużytkowaniu w celach technicznych wodospadu Niagary, przez przemianę siły mechanicznéj na elektryczność i odwrotnie, robiąc tém samém pierwszy krok do zużytkowania niezmiernego zasobu sił, jakie wytwarzają morskie przypływy i odpływy.

W obec tego niepodobna dziwić się, że uwaga na własne sprawy osłabła, tém bardziéj, że najwybitniejsze fakta wewnętrzne są tylko echem zewnętrznych. A ponieważ jak dziś, wszędzie prądy niepomyślne przeważają, więc i u nas łatwiéj potknąć się o złe niż o dobre.

Dotychczasowa wyłączna prawie podstawa bytu ekonomicznego kraju, rolnictwo, ciężkie w chwili obecnéj przechodzi koleje. „Ceny spadają“ oto jego choroba, którą za pomocą liczb przedstawimy. W tym celu zebraliśmy ceny płacone naszemi banknotami w ciągu Listopada za pszenicę wyborową i żyto, tudzież za funt szterling w latach od r. 1875 do bieżącego włącznie.

Rok	Pszenica.	Żyto.	Funt. Szt.	Średnia wartość rubla w funt. szt.
1875	6,90—7,8	4,25—5,10	7,49— 7,61	0,132
1876	7,25—8,14	4,60—5,17	7,84— 8,42	0,123
1877	9,15— 11	5,10—6,15	9,79—10,26	0,100
1878	7,50—8,25	4,50—4,95	10,06—10,27	0,098

Więc cena w funtach szterlingach wynosi na korzec:

W roku	Pszenicy	Żyta
1875	0,91—1,03	0,56—0,67
1876	0,89—1,00	0,57—0,71
1877	0,92—1,10	0,51—0,62
1878	0,44—0,81	0,44—0,49

Ostatnie dwie kolumny cyfr wskazują wahania się cen zboża w monecie złotéj i dotkliwą zniżkę w roku bieżącym. O ile straty ztąd wynikłe zrównoważą się przez młotność snopów, w porównaniu z przeszłemi latami, dzisiaj jeszcze nie wiadomo.

Natomiast przyczyny zniżki teraźniejszéj i możliwość stałego powtarzania się jéj w latach przyszłych są znane. Zależą one od dobrych urodzajów w całéj Europie, a nadewszystko w Ameryce, któréj zboża na rynkach angielskich stanowczo pobijają inne. Coraz większe przestrzenie dziewiczych gruntów tamtejszych dostają się pod uprawę i coraz większe ilości ziarna stawać będą obok produktów wschodniéj Europy. Musimy zatém współzawodniczyć z rolnictwem drugiéj półkuli, a sprzymierzeńcami Amerykanów w téj walce są: łatwe komunikacye, tanie grunta, małe ciężary publiczne, a nareszcie, szybkie wyprzedawanie zbiorów, czemu mnóstwo instytucyj pomaga. Rolnik amerykański nie „wyczekuje cen,“ nie karmi ziarnem niezliczonych rojów myszy polnych, nie naraża się na klęski pożaru; ale sprzedaje zbiory jak najśpieszniéj, uruchomia swój kapitał za pośrednictwem agentów i banków, skromnym zadawalniających się procentem. System gospodarowania jest tam w ogóle dość pierwotny, ale żyzność i obszary gruntów wydają wielkie zbiory, a obfitość gotówki pozwala za pomocą mnóstwa machin uzupełnić brak robotników. Zresztą i robotnik tamtejszy doskonale płatny, światły, silny, żyjący na przyjacielską stopę z pracodawcą, inaczéj robi niż u nas.

Ziemianie nasi rozumieją swoje położenie, znają trudności z któremi walczyć muszą i prawdopodobnie stopniowo nauczyliby się zwyciężać je, czego dowiodły nieliczne i krótkotrwałe zjazdy powiatowe. Ponieważ jednak sprawy rolnictwa nie mają właściwego organu, na polu tém więc panuje zastój, któremu niewiele pomogą największe wysiłki pojedyńcze. Chodzą wprawdzie bardzo nieokreślone pogłoski, o mających jakoby powstać „towarzystwach rolniczych gubernialnych.“ Kiedy jednak zostaną utworzone owe towarzystwa, jakie będą miały prawa i jak prędko na ogół oddziaływać zaczną? są to pytania, na które odpowiedzićć jeszcze niepodobna.

Jest tylko uzasadniona nadzieja, że po ostatecznem uregulowaniu się kwestyi wschodniéj, finansowe położenie państwa wywołać musi reformy, wśród których może i na rolnicze interesa zwrócić będzie można uwagę i wywołać w tym kierunku sprężystsze działanie sił społecznych.

Tymczasem głośny agronom i zasłużony obywatel, p. Kowalski z Olbięcina, z ramienia Tow. Kred. Ziem. bada rezultaty dokonanych już ulepszeń gruntowych w majątkach. Zupełnego sprawozdania nie ma jeszcze, dochodzą tylko wieści pojedyńcze. Okazuje się z nich, że w pewnéj liczbie miejscowości kraju urządzane są drenowania pól i nawadniania łąk, i że kosztowne roboty te prowadzą się bardzo powoli, stopniowo, o własnych funduszach, ale z dobrym w ogóle skutkiem. W niektórych majątkach drenowana przestrzeń podwójny plon przynosi, gdzieindziéj skutkiem téj saméj operacyi wzrosła wartość zbiorów rocznych średnio o 13 rs. na morgu. Powstają téż liczne fabryki rur drenarskich.

Ze sfery pracy włościańskiéj wspomnieć wypada o czynie przezorności gospodarzy wsi Sędowic nad Wieprzem. Mieli oni moczary i przekształcają je, czy już przekształcili na sadzawki. Dwór do roboty pożyczył im taczek i ze stawów swoich podarował im zarybek; obie więc strony popisały się bardzo dobrze.

Godną także uwagi jest wiadomość, ogłoszona przez „Kuryer Poranny,“ że pewien właściciel ziemski chce dać 40 morgów ziemi, dom murowany i budowle na założenie „niższéj szkoły rolniczéj.“ Dar istotnie wspaniały; na nieszczęście jednak zużytkowaniu go przeszkodzić może znowu brak organu do interesów rolniczych. „Ekonomista“ w sprawie téj odwołał się do Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Zdaje się jednak, że członkowie instytucyi sami chętnie ofiarowaliby nawet kilka folwarków na niższe szkoły rolnicze, gdyby była możność założenia ich. Komitet Muzeum mógłby poczuwać się do obowiązków wzięcia inicyatywy w sprawie szkół rolniczych, chociaż czy będzie miał prawo do tego? to już inna kwestya.

Wysokie cło od wyrobów zagranicznych i wypływająca ztąd konieczność poprzestawania na wystawach miejscowego przemysłu korzystnie oddziaływa na tę ostatnią gałąź gospodarstwa krajowego. Istniejące już fabryki, osobliwie tkackie, rozszerzyły się i wzrosły ilościowo. Powstało też kilka nowych fabryk, np. szyn, machin do szycia, żniwiarek, a mówią i o utworzeniu innych jeszcze, w ich zaś liczbie fabryki stalówek. Przemysł dźwignąłby się w warunkach dzisiejszych potężnie, mając odpływ do Cesarstwa, gdyby nie prastara choroba nasza, brak ludzi!.... Wielu ziemian przenosi się do miast, szukając w nich lokacyi dla kapitałów, czemu nawet przypi-

sują niektórzy dzisiejszą gorączkę budowlaną w Warszawie, gdzie bez względu na późną jesień budują się jeszcze kamienice. Ludzie ci jednak korzystniéj umieściéby mogli zasoby w jakimś przemysłowym interesie, gdyby nie niedostatek fachowego ukształcenia.

Pole jest wdzięczne, ani słowa, robota, jak to mówią, aż się prosi. Mimo to ludzie mający kapitały narzekają na brak odpowiednich lokacyj, a niemający ich—na biedę. Byłoby inaczéj, gdyby nad pieniędzmi jednych a fizyczną siłą drugich, górowała wiedza specyalna. Szkół fachowych potrzeba, szkół kształcących majstrów i robotników, obznajmiających tych i tamtych z najnowszemi postępami rzemiosł, ze środkami umożliwiającemi użyteczną pracę. Na nieszczęście i przemysł nie ma swego organu w żadnéj publicznéj instytucyi. Fundusze na szkoły kraj by znalazł, nauczycieli by nie brakło; cóż kiedy nie ma kto zająć się wyrobieniem odnośnéj koncesyi i zebraniem sił marnujących się dziś w społeczeństwie, bez względu na potrzeby teraźniejsze i przyszłe.

Pomimo tak fatalne położenie, dzięki kolejom żelaznym posiadamy obecnie trzy szkoły techniczne, z konieczności zabarwione właściwą sobie kolejową dążnością. Szkoła drogi Warszawsko-Wiedeńskiéj od kilku lat funkcyonuje w Warszawie, drogi Terespolskiéj na Pradze i drogi Nadwiślańskiéj przed paroma tygodniami jest otwarta w Lublinie.

W tym ostatnim zakładzie, jak i w innych podobnych, wykładane są: religia, języki polski i rosyjski, geografia i historya; arytmetyka, algebra, geometrya i fizyka, a wreszcie kaligrafia, śpiew i gimnastyka. Są to nauki ogólnie kształcące rzemieślnika; do specyalnych zaś należą: rysunek ręczny i linijny traktowany obszernie, szkic zasad budownictwa i mechaniki; tudzież rzemiosła: kowalstwo, ślusarstwo, kotlarstwo, stolarstwo i tokarstwo, oparte na zasadach technologii.

Ostatnie słowo wszystkiego stanowią ogólne pojęcia o budowie i eksploatacyi dróg żelaznych pod względem technicznym i administracyjnym. Pomoce naukowe znajdą uczniowie w stosownéj bibliotece tudzież w gabinecie modeli, rysunków i przyrządów. Wpis wynosi w klasie przygotowawczéj rs. 5, w specyalnéj rs. 10 rocznie. Kandydatów zebrało się stu kilkudziesięciu, z których ledwie połowa z powodu braku uzdolnienia i miejsca mogła być przyjęta. Szkoła ta stanowi pamiątkę, którą krajowi zostawił ś. p. Leopold Kronenberg a synom do urzeczywistnienia przekazał.

Jak widzimy z przytoczonego programu, celem szkół technicznych kolejowych jest przygotowanie ukształconych oficyalistów dla dróg żelaznych. Ponieważ jednak instytucye te wszystkich sił

w taki sposób wytworzonych zużytkować nie będą mogły, pewna zatém część wychowańców wzmocni fabryki i rękodzielnie krajowe. Dziesiątki jednak ludzi, gruntownie obeznanych z rysunkiem, rachunkami, fizyką i mechaniką, niewiele zaważą tam, gdzie tysięcy rocznie potrzeba.

Gdyby publiczność nasza mogła mieć prawo inicyatywy w tych rzeczach, nie wątpimy, że w ciągu kilku lat każda gubernia przynajmniéj posiadałaby jakąś niższą szkołę rzemieślniczą, co w rezultacie bardzo zmieniłoby fizyognomią przemysłu. Dziś kontentować się musimy szkołami elementarnemi, tudzież dwu i trzyklasowemi miejskiemi, którym pomagają, przynajmniéj do pewnego stopnia, rzemieślnicze i handlowe szkoły nied ielne.

Łatwo pojąć, że wpływ szkół niedzielnych, których program nie wybiega po za granice wykładów elementarnych odbywających się ledwie kilkadziesiąt razy na rok, nie może być wielki. Chyba nader pilny uczeń obezna się tu jako rzemieślnik z rysunkiem, jako handlujący z rachunkiem; reszta zaś poprzestać musi na niedokładnéj znajomości czytania i pisania, a i z tego jeszcze w dalszém życiu niewiele korzyści odnosi. W każdym razie zakłady te są jakiémśkolwiek źródełkiem nauki dla chłopców biednych, którzy wcześnie wziąć się musieli do rzemiosł; więcéj zaś niż dzisiaj przyniosłyby pożytku dla społeczeństwa, gdyby wszyscy terminatorzy uczęszczali na wykłady niedzielne. Od paru lat jednak warsztaty zaniedbały się pod tym względem; a terminatorzy, zamiast uczyć się w niedzielę, całą gromadą zbijali bąki na mieście lub za miastem. Zwyczaj ten rażące jakieś wywołać musiał skutki, skoro w ostatnich czasach aż municypalność przeciw niemu wystąpiła, przynajmniéj w Warszawie.

W tym miesiącu właśnie opublikowały pisma reskrypt p. Prezydenta miasta, przypominający postanowienia b. rady administracyjnéj Królestwa Polskiego, z dnia 28 Kwietnia r. 1863 odnośnie do terminatorów. Według powyższego rozporządzenia, terminator we trzy dni po wejściu do warsztatu musi być zapisanym do szkoły niedzielnéj i nie może dopóty otrzymać patentu na czeladnika, dopóki albo nie złoży świadectwa z ukończenia trzech klas szkoły niedzielnéj, albo dwu klas szkoły elementarnéj lub średniéj. Majstrowie obowiązani są czuwać nad tém, aby chłopcy na wykłady regularnie uczęszczali, w razie zaś zaniedbania obowiązku zapłacą karę od 30 do 75 kop. za każdy dzień opuszczony. Niezależnie od tego terminator lub jego rodzice wytoczyć mogą majstrowi proces, jeżeli po upły-

wie czasu nauki w warsztacie, chłopiec nie zostanie wyzwolonym na czeladnika z powodu braku świadectwa szkolnego.

Nie wątpimy, że przypomnienie to w pierwszéj chwili zwiększy zastępy uczniów szkół niedzielnych; na nieszczęście jednak rygor, osobliwie w tych rzeczach, słabnie nader szybko, tak że po upływie roku ślad z niego nawet może nie zostać. Chłopcom nie bardzo chce się uczyć, majstrom pilnować ich; a i system kar pieniężnych łatwo omdlewa, jeżeli osobistych korzyści nie przynosi. Wielka szkoda, że przez pewien czas nie pamiętano o tém rozporządzeniu b. rady administracyjnéj: dzięki bowiem nieograniczonéj wolności próżnowania, zagnieździło się ono w zwyczajach warsztatowych, tak że dziś rzecz prawie od początku zaczynać wypada.

Przypominamy sobie, że dawniéj lepsi uczniowie wyższych klas gimnazyalnych wykładali w szkołach rzemieślniczych; środek ten i dziśby się przydał i uprzystępniłby naukę terminatorom, których jest bardzo wielu w Warszawie i bardzo wielu tłoczyć się musi w obrębie jednéj klasy, co utrudnia wykład i egzamin.

W końcu nie możemy zamilczéć o jednéj ważnéj niedogodności, która paraliżować musi wpływ szkół niedzielnych. Wielu majstrów ma zwyczaj przed nadchodzącym dniem świątecznym forsować robotę i trzymać bodaj całą noc chłopców przy warsztacie. Naturalnie dzieciak niewyspany, znużony, idzie do szkoły jak na torturę i drzémie, zamiast słuchać. Nie możemy téż pojąć, kiedy on uczy się lekcyi, pracując po kilkanaście godzin na dzień?... Te i tym podobne względy głośno przemawiają za potrzebą reformy w nauczaniu rzemieślników. Należy pragnąć, aby chłopiec jeszcze przed wstąpieniem do terminu kończył szkołę dwu lub trzy klasową, w niedzielę zaś aby uczył się niedługo i to już rysunków, technologii i innych rzeczy, bliżéj z jego fachem związanych.

Co jednak w materyi ukształcenia specyalnego zależy od inicyatywy prywatnéj, to dostarczenie rzemieślnikom książek i dobrych wzorów rysunkowych. Pomysłu tego nie podajemy bynajmniéj za własny wynalazek, wiedząc, że wydawnictwo podręczników rzemieślniczych istnieje oddawna. Jego nakładem wyszły przewodniki dla ślusarzy, stolarzy, cieśli, kowali i kilka innych; książki te jednak ukazują się w bardzo długich odstępach czasu i nie wyczerpały jeszcze zakresu rzemiosł. Sądzimy téż, że autor, piszący w podobnym przedmiocie, jeżeli nie ma gotowych podręczników w obcych językach, dobrzeby zrobił, przedstawiwszy plan swego dzieła świātlejszym majstrom odnośnego fachu.

Za niezbędny dodatek do tych podręczników uważać należy treściwy wykład technologii chemicznéj i mechanicznéj, dokonany

w taki sposób, aby i mniéj ukształcony czytelnik zdołał uchwycić naturę, najogólniejsze zadania i kierunki rzemiosł. Wyrozumienie téj gałęzi pracy, w któréj przyjmuje się udział, oznaczenie stosunku jéj do innych, uprzytomnienie sobie wszystkich operacyj i ich naturalnego ciągu nadaje pracownikowi pewną filozoficzną podstawę, rozszerza horyzont jego myśli i wyrywa go z klubów pochłaniającéj samodzielność rutyny. Strach wyobrazić sobie, że ogromna większość rzemieślników robi swoje, nie troszcząc się o to: co robi, dla czego i w jakim celu nie inaczéj robi, czy nie możnaby tego samego zrobić lepiéj? Samodzielniejsi zaś z pośród nich, zamiast pracować nad udoskonaleniem własnéj specyalności, wybiegają z jéj sfery i przerzucają się na pole spekulacyj, najczęściéj *perpetuum mobile* mających na względzie. Sami znamy kilku rzemieślników, wynalazców; i otóż wszyscy oni są do siebie podobni z téj racyi, że każdy z nich szuka odkryć na cudzém polu. Znaczy to przedewszystkiém, że własnego nie rozumieją i że nie pokochali go. Tymczasem każda robota inaczéj wygląda, gdy człowiek wkłada w nią nie tylko jak automat zasoby sił fizycznych, ale jeszcze myśl, wiedzę i uczucie. Takie jednak skierowanie wszystkich władz w jednym kierunku wymaga poprzednio ogarnięcia całości, które tylko może być skutkiem umiejętnego przedstawienia najogólniejszych zadań i procesów technologicznych.

Zasługuje też na pilną uwagę ruch w kierunku poprawienia materyalnego bytu robotników. Nie powtarzając legendy o mających się wznosić gdzieś, na końcu miasta, nie wiadomo przez kogo, domów dla ludności uboższéj, wspomniéć jednak musimy o zaprowadzeniu przymusowéj oszczędności w paru większych fabrykach krajowych, a także o towarzystwie ubezpieczenia losu ranionych podczas pracy robotników, lub wdów i sierot, które pozostają po nich w razie śmierci.

Myśl piękna i zgodna z wymaganiami czasu. Fabryki bywają niekiedy rzeczywistém pobojowiskiem i widownią scen rozdzierających. W jednéj, schwycony przez koło, lub przygnieciony ciężarem, ginie syn, jedyna podpora matki. W innéj, żywy człowiek gotuje się w kotle; jeszcze w innéj maszyna urywa rękę małemu chłopcu, który, przestraszony, kryje się do kąta i płacze, nie z bólu, ale dla tego, że już nie będzie mógł zarabiać. Jeżeli robotnik zdrowy bywa niekiedy niesympatycznym próżniakiem i hulaką, to już raniony tak ciężko jest ofiarą, o któréj najpierwéj pomyślećby winno miłosierdzie społeczne. Zawszeć on pracował, dopóki mógł i jak umiał, pod groza śmierci lub kalectwa, które go ostatecznie dosięgło i opuszczonego przez wszystkich spycha w błoto żebractwa. Całą winę jego stanowi to,

że w danéj chwili zły los wyciągnął; téj jednak haniebnéj loteryi wypadków nieszczęśliwych, społeczność najpierwéj powinnaby usiłować zapobiedz.

Ubezpieczenia tego rodzaju w Prusach (jak podaje „Ekonomista“) już w r. 1875 rozciągały się na 318.000 robotników przeszło, a wysokość ubezpieczeń, średnio na każdego, wynosiła około 675 marek. W ciągu lat czterech (1871—1875) było nieszczęśliwych wypadków 4.287, za co ogółem wypłacono około 760.000 marek, czyli po 177 m. jednemu. Całkiem téż sprawiedliwą jest zasada, że pryncypałowie wnoszą przeszło 96% premii, a tylko pozostałe 4% robotnicy; jeżeli bowiem wypadek często ma miejsce z ich winy, to bardziéj podobno winnemi są niedostatecznie zabezpieczone mechanizmy.

Ciekawą téż jest ilość wypadków nieszczęśliwych. Otóż okazało się, że na 1.000 ubezpieczonych, około 3,3 średnio ulega im rocznie. Najniebezpieczniejsze w tym względzie jest młynarstwo (7, 1 na 1.000 rocznie), fabryki chemiczne (około 5 na 1.000), przeróbka metali (4.9) itd.; znacznie zaś mniéj: rolnictwo (2,9), górnictwo (2,1), a nareszcie warsztaty tkackie i garbarnie (1,5 na 1.000). Cyfry te zmienić mogą nie jeden fałszywy pogląd na stopnie bezpieczeństwa różnych gałęzi przemysłu, aczkolwiek nie malują one jeszcze bezpieczeństwa pod względem ogólnie higienicznym.

Jako przyczynek do sprawy podniesienia przemysłu i kwaszących się jeszcze tu i owdzie poglądów, posłużyć może pewien rodzaj manifestu wystylizowanego przez dwu przedstawicieli sztuki młynarskiéj w nowym stylu, a ogłoszonego w paru pismach. Panowie ci, zebrawszy w jedno pozostałe im fortunki, otworzyli w jednéj okolicy młyn. Zaczęli naturalnie od zakupów zboża; wnet jednak przekonali się, że bez pomocy żydka stracą, ponieważ obywatele ziemscy sprzedają im ziarno po rublu drożéj na korcu, niż starozakonnym handlarzom. Użyty za pośrednika faktor rzeczywiście nabywał im produkt taniéj, związki te jednak nie musiały być błogie, skoro młynarze, zerwawszy bezpośrednie i pośrednie stosunki z okolicą, poczęli całemi wagonami sprowadzać zboże z za Buga.

Jest to dopiéro połowa skargi, któréj druga część wygląda całkiem humorystycznie. Obywatele bowiem nie tylko kazali sobie drożéj płacić, ale jeszcze bardzo lekko traktowali przemysłowców. Jeden z nich, w kantorze młyna gospodarował jak we własnym salonie i wchodzącego właściciela upoważnił do tego aby usiadł. Pewna dama już w swoim domu, mówiła do skalanego młynarskim kunsztem gościa: „niech siada.“ Inny wreszcie „ziemianin“ wyprowadzał od siebie „przemysłowca“ tylnemi drzwiami, z obawy, aby nadjeż-

dżający w téj porze sąsiedzi nie posądzili go o wdawanie się z młynarzami.

Ponieważ każda rzecz ma dwie strony, wartoby więc usłyszéć z kolei opinią ziemian o młynarzach i zebrany w ten sposób materyał zużytkować... w komedyi. Wstyd doprawdy, że obywatele jednego a tak bogatego w gorzkie doświadczenia kraju tracą jeszcze czas i psują sobie humor na błahe komeraże parafialne.

Ochrony, które z pośród wszystkich zakładów naukowych dla dzieci, najpierwéj zaprowadziły u siebie gimnastykę i naukę poglądową, naśladując przykład szkół zachodnich, przystąpiły téż pierwsze do praktycznego nauczania oszczędności. Kilkuletnie biedactwo składać tam może choćby po dwa grosze na tydzień, otrzyma odnośne karty i przyzwyczai się do posiadania kapitału na „złą godzinę.“ Piękne zaiste urządzenie i piękny rozwój tych instytucyj, które zostają wyłącznie pod opieką osób prywatnych i wymownie dowodzą zarówno wytrwałości ich, cnoty niedostającéj nam w wielu razach, jak i dojrzałości społecznéj.

Doskonały przykład téj saméj natury daje pryncypałom p. Wincenty Michnowski, właściciel cegielni w Mokotowie. Ma on zwyczaj w ciągu lata strącać pewną cząstkę z płacy robotnikom i odkładać ją na oszczędności, wydawane dopiéro albo w razie nieodbitéj potrzeby, albo po zamknięciu robót w cegielniach przed zimą. P. Michnowski sam prowadzi rachunki, a robotnicy jego oszczędzają sobie niekiedy po 50 i 80 rs. w ciągu lata. Łatwo ocenić praktyczne znaczenie tego zwyczaju w trudnéj dla robotnika chwili, kiedy szukać musi nowego zajęcia na zimę, a także rezultaty moralne. Przypuszczać bowiem można, że owi bohatérowie nocni, koczujący po za okopami miejskiemi, wybornie znający glinianki, a tak groźni w czasie zimy dla oddalonych dzielnic Warszawy, rekrutować się muszą w pewnéj części z pośród pozbawionych zarobku ceglarzy.

Bezpieczeństwo publiczne stanowi jednę z ciemniejszych stron kraju naszego. Obok pomnażających się kradzieży, stają powikłane oszustwa, fałszerstwa listów prywatnych i urzędowych aktów, przemytnictwo, napady na drogach, włamywania się do mieszkań i zabójstwa całych rodzin.

Człowieka do zbrodni najczęściéj popycha pragnienie zysku, a obok niego szał, zemsta i inne namiętności, których nie mogą pohamować takie czynniki, jak obawa odwetu, wstręt do występku, bojaźń Boga i poczucie odpowiedzialności prawnéj. Z umysłu wyliczamy przynajmniéj najwybitniejsze motory i hamulce zbrodni dla tego, aby czytelnik sam mógł wymiarkować, które z nich najdzielniéj

przyczyniły się u nas do rozwoju przestępstw i wnioski co do przyszłości wysnuwać.

W społeczeństwie, podobnie jak pewien procent chorób i śmierci, tak i pewien procent występków istnieć musi. Przyczyną tego nie jest niemożność kierowania swemi czynami, automatyzm, brak woli w człowieku, ale warunki otaczającego świata, właściwości społecznego życia. Są lata klęsk i nieurodzajów, zwiększające ogólną sumę nędzy ludzkiéj i są znowu ludzie, którzy po za pewną granicą niewygód osobistych popełniają nadużycia. O ile cyfra tych ludzi nie zmienia się zbyt nagle a zjawiska zewnętrzne powtarzają się prawidłowo, o tyle pewna prawidłowość, stałość nawet przejawia się w statystyce kryminalnéj.

Zbrodnia więc gdy jest wynikiem „siły większéj“, niedostatku wielkich przewrotów w położeniu, obłędu lub namiętności, o tyle jest złém koniecznem, które dopiéro wysoki a wszechstronny postęp ludzkości zmniejszyć może.

Wypadków tych nawet w rachubę brać nie warto. Inaczéj jednak rzecz się ma z nienormalnym, nagle ilościowo i jakościowo wzrastającym stanem przestępstw, którego ani głód, ani wielkie namiętności nie wywołały, jak to właśnie dzieje się u nas.

Rozpatrując pojedyncze czynniki zbrodni, lepiéj zrozumiemy powody jéj wzrostu. Przedewszystkiém spotężniał główny jéj motor, chęć zysku i używania. Jest to zjawisko, trapiące dziś całą Europę a wynikające z coraz silniejszego rozwoju indywidualności. Miliony ludzi ubogich, niedawno jeszcze pozbawionych praw, dzisiaj stanęły na równi z innymi i pragną posiadać, używać. Ten więc czynnik w przyszłości tylko zpotężnieć może.

Lecz chęć zysków przedewszystkiem pobudza do pracy i, tylko przy braku hamulców, wywołuje występki. Otóż u nas ta druga właśnie połowa kwestyi wiele pozostawia do życzenia. Wstręt do występku może nie osłabł jeszcze, lecz wobec złych przykładów słabnąć musi.

Wychowanie moralne jest bardzo zaniedbane, a i uczucia religijne są głęboko wstrząśnięte z wielu powodów.

Są epoki w których społeczeństwa wierzą w Boga, wychowują dobrze dzieci, szanują cudzą własność i praktykują wiele innych cnót z nałogu. Jest to czas dobrobytu, bezpieczeństwa i spokoju, obraz nieba na ziemi. Ale bywają inne epoki, kiedy siła tradycyi osłabnie, a ludzie sądzą, że możliwe jest a nawet potrzebne, wyłamywać się z pod wszelkich reguł, deptać wszelkie dawne pojęcia i na jakichś nowych drogach urzeczywistniać odwieczny popęd do szczę-

ścia. Są to czasy wielkich błędów i występków, walk, wątpliwości, zdobywania nowych prawd i praw, utrwalania dawnych całemi szeregami bolesnych doświadczeń. W takiéj epoce żyjemy dziś. Oby tylko z zamętu tego wypłynęła pomyślność dla przyszłych pokoleń, o czém ani na chwilę nie wątpimy.

W Październiku, w różnych miastach gubernii Lubelskiéj odbyło się coś nakształt wystaw powiatowych. W ciągu lata nikt o nich ani słyszał, ani myślał; nagle rozesłano wezwania do władz gminnych, spędzono w ten sposób okazy i zaimprowizowano uroczystości. Była to taka parodya rzeczy, zkądinąd potrzebnéj i użytecznéj, że nawet uwag nad nią robić nie myślimy. Jeżeli wystawy nie będą oddane pod kierunek inteligencyi wiejskiéj i miejskiéj, która zna zasoby swych okolic i lepiéj niż sołtysi rozumie cel wystaw, to szkoda czasu i kosztów na podobne rozrywki.

Całkiem już poważnie, choć ubogo wystąpiło Muzeum Przemysłu i Rolnictwa z wystawą wyrobów z drzewa (51 wystawców), gliny 68 wyst.) i szkła (7 wyst.). Przemysłowcy i rzemieślnicy przyjęli w niéj udział; jakby przez grzeczność znalazło się téż kilku amatorów i tyluż prawie włościan, za sprawą panów nadleśnych, obywateli, agentów Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń.

Jak zawsze tak i tym razem wyroby włościańskie z drzewa odznaczyły się pierwotnością formy i wykończenia, czemu się zresztą dziwić nie można, ponieważ chodzi o najprostsze naczynia i narzędzia gospodarskie. Między glinianemi okazami z téj klasy zauważyliśmy parę okazów głośno mówiących, że i tam kiedyś myślano o kształtach ozdobnych, lecz że dalszy rozwój dążności téj został przerwany. Charakterystyczną uwagę czytamy przy osadzie Sławkowie (pow. Olkuski): „zdolniejsi garncarze przenieśli się do Galicyi“ (!).

Z pośród wielkich przemysłowców, pp. Hordliczkowie przedstawili cały proces fabrykacyi szkła w okazach; Hille i Dietrich—cegłę, dreny, dachówki i rury; Lilpop Rau i S-ka—artyleryjskie koła. Fabryki te otrzymały najwyższe nagrody: podziękowania.

Zresztą były tam ładne wyroby koszykarskie (fabr. pp. Gostomskiego i Kocha), fajansowe i ozdobne stolarskie. Wnosić z nich można, że gdyby kraj był bogaty, a rzemieślnicy mieli wiedzę fachową, wówczas moglibyśmy dorównać przemysłowi Europy Zachodniéj.

Z wynalazków własnych zauważyliśmy trzy: p. Aleksandrowicza żłób drewniany; p. Stopellego model do tłuczenia szabru i p. Lublińskiego nowy system posadzki drewnianéj. Ostatni ten wynalazek przedstawił się w formie wykończonéj i praktycznéj i tworzy niewątpliwy postęp w téj gałęzi stolarstwa.

Wspominając tylko o pięknych wyrobach z terrakoty p. Andrzejowskiego z Krakowa i rzeźbach z drzewa szkoły rymanowskiéj, radzilibyśmy położyć nacisk na wyroby stolarskie, kołodziejskie i stelmarskie Osad Rolnych. Instytucya ta rzeczywiście dokonała zadziwiających rzeczy, jeżeli pomyślimy, że wychowańcy jéj mają po kilkanaście lat, uczą się rzemiosł najwyżéj półtora roku, a pomimo to wyroby ich odznaczają się wykończeniem. Kto w Osadzie zrobi obstalunek z pewnością nie dozna zawodu.

W ogóle, te same klasy okazów jakie widzieliśmy w Muzeum były na zeszłorocznéj wystawie lwowskiéj bez porównania liczniejsze i piękniejsze. Okrzyczany przemysł galicyjski lepiéj popisał się od naszego.

Uniwersytet warszawski posiada w r. b. 538 studentów, o 13 przeto więcéj niż w roku zeszłym. Ze względu na wydziały, rozdzielają się oni w sposób następujący: 23 uczęszcza na filologią, 27 na nauki przyrodnicze, 60 na matematyczne, 173 na wydział prawny i 255 na lekarski. Cyfry te wymownie dowodzą, że instynkt młodzieży najmniéj ciągnie ją do „uniwersalnie kształcącéj umysły filologii,“ najbardziéj zaś do nauk z życiem praktyczném związanych, jakiemi są: medycyna i prawo. Szkoda tylko, że nauki przyrodnicze są dość zaniedbane, może dla tego, że wielu chemików nie może jakoś znaléźć pomieszczenia w fabrykach naszych.

Dzięki ofierze dra Perlmutera i zasłużonéj sympatyi jaką uniwersytet u publiczności posiada, instytucya ta ma już pewien fundusz około 14.000 rs. w chwili obecnéj wynoszący, na pokrycie potrzeb, a głównie wpisów dla młodzieży ubogiéj przeznaczony. Z sumy téj, 10.000 rs. złożone przez dra Perlmutera w banku Rawicza, pod kontrolą dziekana Kasznicy, przeznaczone są na 6% pożyczki dla studentów. Obecnie, większa część kapitału tego rozpożyczona jest między 200 potrzebujących.

Ważniejszy nierównie, duchowy kapitał młodzieży téj stanowią: szczera chęć nauki i zapał dla wiedzy połączony z miłością kraju. Dwa te uczucia, tworzące w naturze ludzkiéj niewyczerpane źródła najszlachetniejszych popędów, są zarazem tarczą, która zabezpiecza młodzież naszę od wpływu prądów zgubnych dla rozwoju społeczeństwa.

Ogólna pomyślność, postęp, sprawiedliwość i swoboda, stare to hasła ludzkości! Nie wynaleziono ich wczoraj, nie urzeczywistnią się one jutro. Dążyć do nich, jest obowiązkiem każdego, pamiętając jednak, że ulepszenia w bycie społecznym, jeżeli ulepszeniami być mają, muszą uwzględniać przyrodzone prawa jednostek; że gwałt nie tylko nie usuwa złego, ale je stokrotnie powiększa, i że każdy rozwój

bardzo długiego wymaga czasu i o tyle tylko jest rozwojem, o ile nie niszczy sił wytworzonych a lepszy tylko im nadaje kierunek.

Kto kocha społeczeństwo we wszystkich jego warstwach, nie zaś teoryą; kto życzy szczęścia wszystkim współobywatelom swoim; ten nie zechce narzucać im doktryn, ale raczéj zbada ich potrzeby, przekonania, uczucia, wytknie co w nich złego, lecz podniesie i dobre. Postęp, podniesienie życia ludzkiego na szlachetniejszy i wyższy stopień dokonywa się na jednéj tylko drodze: powiększenia ogólnéj sumy czynów rozumnych i dobrych.

Zasoby pieniężne uniwersytetu nie są wielkie, a z natury rzeczy uszczuplać się muszą i co roku powinny być zasilane; w każdym jednak razie zakład ten w lepszych bez porównania znajduje się warunkach, aniżeli Instytut Gospodarstwa i Leśnictwa w Nowéj Aleksandryi (Puławach). W mieścinie téj kilka zaledwie znajduje się korepetycyj, zarobek więc dla studenta jest wprost nie możliwy. Co gorsza, publiczność zupełnie nie zajmuje się losem młodych agronomów.

Prawda, że wiele w tém być może ich własnéj winy, że sami sobie radzić nie umieją. Cięższym jednak jest grzech władz instytutu, które żadnych nie obmyśliły środków do tego, aby umożliwić publiczności przyjście z pomocą ubogiéj młodzieży i nie potrafiły nawet dotychczas zakończyć kwestyi stypendyów, zdaje się przez ś. p. Leśniewskiego pozostawionych.

W obec tego *Gazeta Polska* rzuciła myśl, aby majętniejsi obywatele ziemscy weszli w układy ze zdolnymi uczniami agronomii, wypłacali im pewne sumy na koszta edukacyi i utrzymania się w Nowéj Aleksandryi (Puławach), a następnie przyjmowali ich na urzędników do swoich gospodarstw i z pensyi strącali pożyczkę wraz z procentem. Kombinacya ta zapewne dla bogatszych ludzi nietrudna, tém bardziéj, że po upływie pewnego czasu koszta mogą być odrobione przez dłużnika, czy też spłacone gotówką. Spodziewać się też można, że tak wcześnie zawiązany stosunek przyjacielski między obywatelem ziemskim a jego przyszłym oficyalistą obu stronom wyszedłby na dobre. Nie twierdzimy, aby plan ten przynajmniéj do pewnego stopnia nie był ryzykownym, ale któż z nas nie ryzykuje w życiu?...

Ogólny popęd do krytyki i realizmu, który w nauce, w literaturze i w sztukach tyle wielkich i pięknych dzieł dokonał, skoro opanuje umysł słaby przeradza się nierzadko w bezwzględne przeczenie, w zamiłowanie nie do prawdziwych popędów życia, ale do brudnych stron jego; w takim wypadku chce on widzieć mądrość w potępianiu wszystkiego, co dotąd szanowano, najwyższe piękno w rozpasaniu namiętności a zabawę po prostu w skandalu. Jeżeli człowiek

umysłu słabego i tak spaczonych pojęć stanie na stanowisku, które mu pozwala szerzyć pewien wpływ koło siebie, nie zawaha się rzucić na wsze strony upodobanych sobie zasad, chociażby budzić miał przez to niechęć i wstręt w ludziach, którzy go otaczają i wśród których pracować każe mu obowiązek.

Tak pewien nauczyciel geografii, chcąc zapewne zwalczyć przesądy, w społeczeństwie naszém panujące, ogłosił wykłady *pedagogiki* dla pensyonarek i tak pięknie zużytkował swój przedmiot dla estetyki realnéj, że aż niektóre słuchaczki chodzić na lekcye przestały. Uczony ten wykładał pannom—akuszeryą.

Wiemy co jest pedagogika i jaki zakres nadać jéj wypada w wykładach popularnych. O tém jednak, ażeby do pedagogiki popularnéj wchodziła akuszerya, nie słyszeliśmy. Gorszy nas to tém bardziéj, że wykładający ją jako z powołania geograf, nie musi znać przedmiotu i że *nie ma prawa* dotykać go w swoich lekcyach. Wedle bowiem bardzo słusznego rozporządzenia władz, akuszeryi uczyć może tylko specyalista i profesor uniwersytetu, a słuchać tylko panny, które otrzymały na to wyraźne pozwolenie od rodziców. Dziwi nas więc nieuwaga rodziców, którzy, usłyszawszy o podobném nieposzanowaniu uczennic i samego nauczycielstwa, nie zanieśli skargi do sądu.

Prace około przyswojenia naszemu językowi poważnych dzieł naukowych zachodu nie ustają, jednym nabytkiem więcéj dla publiczności naszéj jest przed kilkoma tygodniami wydana w przekładzie polskim *Logika* A. Baina. Pierwszy tom, p. t. Dedukcya, poświęcony jest logice formalnéj, z uwzględnieniem najnowszych prac w tym zakresie; drugi obejmuje Indukcyą, metodę, dzięki któréj nauki tak szybko w ostatnich czasach posunęły się naprzód, a którą to metodę wielu piszących traktowało bardzo pobieżnie. W tym również tomie obszernie uwzględniono logikę stosowaną do nauk pojedyńczych, co ożywia dzieło i rozjaśnia sam jego przedmiot. O książce téj ukaże się w piśmie naszém obszerniejsze sprawozdanie.

W tym miesiącu uniwersytet warszawski poniósł dwie straty, w kilkudniowym odstępie czasu.

Pierwszą był ś. p. Józef Kowalewski, od roku 1862 profesor historyi starożytnéj i dziekan wydziału filologicznego, starzec 79-cio letni. Zmarły kolegował w uniwersytecie wileńskim z Mickiewiczem, następnie przeniósł się do Azyi i tam badał języki mongolskie. Owocem studyów tych były: gramatyka języka mongolskiego, takież wypisy, słownik mongolsko-rosyjsko-francuski i rozprawka w języku mongolskim „o szczepieniu ospy.“ Prócz tego zostawił wiele rękopismów w zbiorach Petersburskich i Kazańskich. Od ludzi godnych wiary słysze-

liśmy o istnieniu pamiętników, pisanych przez zmarłego po polsku, których początek ma się odznaczać wielką siłą uczucia.

Współcześnie prawie, w sile wieku, bo w 44-m roku życia, zmarł śp. Herman Fudakowski, doktór medycyny i docent chemii fizyologicznéj, od r. 1863 pracujący w naszym uniwersytecie. Wydał wiele rozpraw w języku polskim i niemieckim tudzież obszerne dzieło o chemii lekarskiéj, które weszło w skład „Biblioteki Umiejętności Lekarskich,“ stworzonéj przez śp. Girsztowta. Jak dalece ś. p Fudakowski przywiązanym był do społeczeństwa, dowodzi tego na parę dni przed śmiercią pisany do redakcyi „Zdrowia“ list, w którym konający prawie zwraca jeszcze uwagę na niehigieniczne warunki, w jakich znajduje się młodzież szkolna. W ostatniéj odezwie téj myśli są już splątane i niejasne, tylko uczucia zawsze ożywiające zmarłego pozostały jasnemi. To téż pogrzeb ś. p. Hermana był jednym z najwspanialszych. Cała młodzież uniwersytecka i tłumy osób wyległy, aby złożyć hołd jego naukowym i obywatelskim zasługom.

Słyszeliśmy, że na opróżnioną katedrę władza uniwersytecka ma zamiar zaprosić głośnego już z położonych dla nauki zasług profesora chemii lekarskiéj, p. Nęckiego; jeśli p. Nęcki przyjmie wezwanie, będzie to szczęśliwém dla uniwersytetu zwiększeniem jego sił naukowych.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**



Sprostowanie omyłek dostrzeżonych w tomie IV.

Stronica	wiersz	zamiast	powinno być:
114	1 z góry w przypisku	pomocy	*pracy*
„	4 tamże	omówimy	*pomówimy*
261	11 od dołu	Krakowie	*Krakowcu*
267	10 od góry	Dołkowskiego	*Dolhoruckiego*
270	14 od dołu	służył	*płużył*
284	17 od góry	od śmierci	*po śmierci*
„	7 od dołu	która, *fota*	która *fata*
286	3 od góry	Jan	*San*
287	16 od dołu	Główne	*Głośne*
309	3 „	prapostors	*prepostors*
310	17 od góry	młodzi	*młodsi*
323	19 „	co	*eo*
324	14 „	takie	*także*
327	6 „	60 fr.	*60 f.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Ateneum“

w ciągu Listopada, r. 1878.

---

1. **Alfred de Musset** Szkic biograficzno-literacki według nowych źródeł przez Jadwigę Krausharową. Warszawa, 1879.
2. **Rocznik** Towarzystwa Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych za rok 1877.
3. **Wspomnienia z ostatnich podróży** Dr. Teodora Tripplina. Tom III. Warszawa, 1878.
4. **Ziemia i jej mieszkańcy** Tom II. Europa północno-wschodnia przez Stanisława Stroynowskiego. Warszawa, nakład F. Hösick, 1879.
5. **Pamiętnik Laury,** upominek babuni dla dorastających dziewczynek, naśladowany przez Felicyę Szymanowską. Warszawa, nakład F. Hösick, 1879.
6. **Powiastki i nauczki dla Stasia i Jadwisi** przez Zofię z Rymanowa. Z wielu rycinami. Warszawa, nakład F. Hösick, 1879.
7. **Biblioteka obrazkowa** dla grzecznych dzieci—Baśnie i podania ludu Polskiego K. Wł. Wójcickiego, z illustracyami Wł. Szymanowskiego—Pan Twardowski. Warszawa, nakład F. Hösick, 1879.
8. **Statystyka Gospodarstwa Gminnego** przez Dr. Józefa Kleczyńskiego. Lwów, 1878.
9. **Biblioteka filozoficzna.** Tom I. Renota Kartezyusza. Droga do prawdy, tłómaczenie Wojciecha Dobrzyckiego. Lwów, nakładem I-ej Związkowej drukarni, 1878.
10. **Błogosławieństwo na drogę życia**. T. I. Rola. Warszawa 1879.
11. Wydawnictwo Michała Glücksberga **Historya Stanów Zjednoczonych**. Tom IV. Rys dziejów od r. 1788 do r. 1855 przez Maryana Dubieckiego. Warszawa, 1878.
12. **Poezye Goethego** (wybrane) tłómaczył Hugo Zathey I Kraków, 1879.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

w roku 1879

wychodzić będzie na początku każdego miesiąca zeszytami. najmniéj 12 arkuszy druku zawiérającemi.

W „Ateneum" pomieszczane będą: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa; oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie	Rs. 12.
Półrocznie	„ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„ 3.

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Дозв. Цензурою, Варшава, 20 Ноября 1878 г. Druk. K. Kowalewskiego, Królewska 23.

